

NUMER SPECJALNY NA BOŻE NARODZENIE • 132 STRONY

SEMKA O DYLEMATACH KACZYŃSKIEGO • JAK „WYBORCZA” WALCZYŁA O WOLNOŚĆ SŁOWA • MAREK JUREK O PRZYSZŁOŚCI PIS •
PIERWSZA DAMA OD KULIS • DOROTA GAWRYLUK O WOJNIE MEDIÓW • REPORTAŻ Z POLSKIEGO DWORU • JAN SZYSZKO: UPOLUJ I UGOTUJ •
PIUS X – PIERWSZY POLSKI PAPIEŻ? • SZAŁAMACHA – CAŁA PRAWDA O USZCZELNIANIU VAT • ALFABET CELEBRYTÓW JASTRZĘBOWSKIEGO

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZEC**

NR 51/303 17-26 GRUDNIA 2018
CENA 8,50 zł (W TYM 8% VAT)



• Kto podsłuchiwał
Herberta?

• Porachunki
Ziemkiewicza

• Łysiak
o największym
zamachu
na Napoleona

Paweł Lisicki:

ŚLEDZTWO W SPRAWIE MATKI BOŻEJ

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 80 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 1486b6e0cc

ŚWIECA CARITAS TWORZY POLSKĄ WIGILIĘ OD 25 LAT



WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ W 1994 ROKU W OŚRODKU DLA NIEPEŁNOSPRAWNYCH DZIECI I MŁODZIEŻY W RUSINOWICACH. DOCHÓD ZE ŚWIEC POMÓGŁ ZASPOKOIĆ POTRZEBY DZIECI.



Z BIEGIEM LAT POJAWIAŁO SIĘ CORAZ WIĘCEJ ŚWIEC...



DZIĘKI PARAFIOM I SIECI DZIECZAJALNYCH CARITAS ŚWIECE TRAFIAŁY DO KOLEJNYCH RODZIN...



DZIŚ PŁOMIEN ŚWIECY CARITAS ROZŚWIELA DOMY W CAŁEJ POLSCE.



DZIĘKI WIGILIJNEJ ŚWIECY DZIECI WYJEŻDŻAJĄ NA KOLONIE...



...JEDZĄ POSIEKI, NA KTÓRE NIE STĄC ICH RODZICÓW

25 LAT 
WIGILIJNE
DZIEŁO
POMOCY
DZIECIOM



...ZDOLNI UCZNIOWIE OTRZYMUJĄ STYPENDIA NA ROZWÓJ SWOICH PASJI



...A NIEPEŁNOSPRAWNE DZIECI DOSTAJĄ WSPARCIE W REHABILITACJI I LECZENIU

wyślij sms: **WIGILIA** na nr **72052** (koszt: 2,46 z VAT) • www.wigilijnedzielo.caritas.pl

Patroni medialni:



Akcję
wspiera:



Prawda o przyszłości Europy



PAWEŁ LISICKI

Od czasu, kiedy napisałem powiastkę „Epoka Antychrysta”, co rusz bywam zapraszany na różne spotkania z czytelnikami, na których pada sakramentalne pytanie o przyszłość Europy. Niektórzy dopytują, skąd we mnie tyle pesymizmu. Może to wystarczy za odpowiedź...

Kilka dni temu Krajowy Instytut Statystyczny w Madrycie poinformował, że między styczniem a czerwcem 2018 r. przyszła na świat najmniejsza liczba Hiszpanów od 1941 r. Urodziło się tam w tym czasie 179,8 tys. dzieci, czyli o 5,8 proc. mniej niż w podobnym okresie roku 2017. Demografowie

rodzinę. Nie zamierzam tu ciągnąć tej wyliczanki w nieskończoność – kto chce, ten znajdzie potrzebne dane w Internecie. Może tylko dodam, niech będzie to rodzaj podsumowania, kilka wniosków, jakie przed miesiącami już znalazły się w raporcie nt. rodziny, opublikowanym na stronie internetowej przez papieską Dykasterię ds. Świeckich, Rodziny i Życia. Otóż „od 1995 r. w Europie wzrost demograficzny w większym stopniu był wynikiem imigracji niż liczby urodzeń w poszczególnych krajach. W latach 2015 i 2016 wzrost ten był w 100 procentach efektem imigracji, ponieważ łączny

Nie mniej uderza to, w jaki sposób na tę coraz wyraźniejszą tendencję reagują od lat rządy państw Zachodu. Od końca lat 60. wszystkie państwa wprowadzały systematycznie przepisy liberalizujące ustawy chroniące życie. To, co było stałym elementem prawnej tradycji chrześcijańskiej – sprzeciw wobec zabijania nienarodzonych – zostało praktycznie wyrugowane z systemów prawnych państw Unii. Powszechnej akceptacji aborcji towarzyszył wzrost politycznego znaczenia ruchów feministycznych i coraz bardziej krzykliwa próba zanegowania wartości macierzyństwa. Wreszcie, zjawisko ostatnie, od kilkunastu lat kolejne państwa Unii wprowadzają legalizację związków jedнопłciowych, zrównując prawa i przywileje par homoseksualnych, które z natury nie mogą mieć dzieci, z przywilejami, którymi cieszyły się małżeństwa, z których naturalnie rodzą się dzieci. Żeby jeszcze bardziej zatuszować tę naturalną różnicę, kolejne państwa przyznają parom jedнопłciowym – rzecz z moralnego punktu widzenia horrendalna – prawo do adopcji dzieci.

Każdy obserwator musi dostrzec w takiej polityce rys samobójczy. Teoretycznie państwo, którego siła zawsze jest pochodną liczby świadomych obywateli, powinno się zachowywać odwrotnie. Za wszelką cenę powinno chronić życie poczęte. Powinno też pilnować, żeby przywileje przyznane naturalnym parom, to jest mężczyźnie i kobiecie, były niewspółmiernie wyższe niż ochrona prawna innych relacji międzyludzkich. Wreszcie powinno troszczyć się o odpowiednie otoczenie kulturowe, w którym to wartość macierzyństwa byłaby nieproporcjonalnie wyższa niż sukces zawodowy.

To wszystko brzmi jednak jak pobożne życzenia. Odpowiedź na pytanie o przyszłość Europy naprawdę nasuwa się zatem sama. ©©

Niech Boża Dziecina opromienia nas swym blaskiem,
niech dodaje sił i otacza opieką.

Błogosławionych
świąt
Bożego Narodzenia
życzy redakcja
„Do Rzeczy”



zwracają uwagę, że stała tendencja spadkowa występuje tam od połowy lat 70. XX w. Czyli – to już moja uwaga – od końca rządów Franco. Wtedy to jedna kobieta rodziła statystycznie troje dzieci, dziś ten wskaźnik płodności spadł do 1,3 dziecka na kobietę.

Nie lepiej wygląda sytuacja we Włoszech. Według tamtejszej instytucji badającej liczbę urodzeń rok 2017 był najgorszym w dziejach prognoz demograficznych, a kończący się rok 2018 – wszystko na to wskazuje – będzie jeszcze gorszy. W 60-milionowych Włoszech urodziło się w 2017 r. 458 tys. dzieci, w tym roku będzie to zaledwie 440 tys. Średni wskaźnik wynosi 1,32 dziecka na

przyrost naturalny w krajach UE był ujemny. [...] Jeśli chodzi o stosunek liczby narodzin do zgonów, to w 2016 r. w Europie liczba zgonów była wyższa od wskaźnika urodzeń o ponad 15,8 tys.”. Powtarzam, nie chcę zasypywać czytelników liczbami, ale ta garść danych była konieczna, żeby zrozumieć obecną sytuację. Europa wymiera i się starzeje. Rodowite Europejki rodzić dzieci nie chcą i robią to w coraz późniejszym wieku. Co ciekawe, w największym stopniu ten radykalny spadek dotknął krajów o tradycji katolickiej – Hiszpanii, Włoch i Portugalii, gdzie od kilkudziesięciu lat rządzą, z krótkimi przerwami, liberalna lewica.



TEMAT TYGODNIA

22 PAWEŁ LISICKI
ŚLEDZTWO W SPRAWIE DZIEWICY
Czy Jezus miał braci i siostry?

KRAJ

28 ROZMOWA Z MARKIEM JURKIEM
CZAS NA KONSERWATYWNĄ KOREKTĘ
PiS akceptuje liberalne status quo

32 PIOTR SEMKA
DYLEMATY KACZYŃSKIEGO

35 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SOLIDARNOŚĆ WYBIÓRCZA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DAMA W CINIENIU MĘŻA

40 ROZMOWA Z DOROTĄ GAWRYŁUK
NIEZALEŻNOŚĆ POLSATU NIE PODOBA SIĘ OD DAWNA

44 MACIEJ PIECZYŃSKI
DWÓR, CZYLI KWINTESENCJA POLSKOŚCI

47 SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI
ALFABET CELEBRYTÓW

KULTURA

50 ROZMOWA Z JOANNĄ SIEDLECKĄ
ZBIGNIEWA HERBERTA ŻYCIE NA PODSŁUCHU
Poszerzone wydanie „Pana od poezji”

58 JOANNA LICHOCKA
PIEŚŃ ŻYCIA POETY Z MILANÓWKA

62 PIOTR GOCIEK
CO SIĘ ZDARZYŁO Z MARY POPPINS

NIE PRZEGAP

64 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PSIE SERCE, CZYLI ŚWIĄTECZNE PORACHUNKI
Kto z psem zadziera, prędzej czy później jego kły poczuje

76 ŁUKASZ WARZECHA
SUWERENNY, CZYLI JAKI?

HISTORIA

78 WALDEMAR ŁYSIAK
„MACHINA PIEKIELNA” KONTRA BONAPARTE
Najkrwawsza Wigilia nowożytnej Europy

85 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
PIERWSZY „POLSKI PAPIEŻ”?

88 TOMASZ LENCZEWSKI
HOCHSZTAPLER OD ZASZCZYTÓW

ŚWIAT

94 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
TRUMP ZDRAJCA?
Paranoiczna wizja lewicy

98 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOŚCIÓŁ W KRAJU SAMURAJÓW

100 GABRIEL MICHALIK
W OKOPACH ŚWIĘTEJ RUSI

104 TERESA STYLIŃSKA
TRUDNA DROGA DO PRAWDY

EKONOMIA

106 PAWEŁ SZAŁAMACHA
JAK USZCZELNILIŚMY VAT
Kulisy naprawiania państwa



110 JACEK PRZYBYLSKI
POLSKI DESIGN ZMIENIA ŚWIAT

O ZDROWIU

118 ROZMOWA Z WOJCIECHEM MIKOŁUSZKĄ

MARZENIA DO SZEŚCIANU
Nowe terapie w SM

STYL

120 JOANNA BOJAŃCZYK
UBIÓR POLSKI 2018
Wygląd o niczym nie świadczy?

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (12), WARZECHA (14), GMYZ, GOCIEK (20), ZALEWSKI, WOLSKI (73), ZYCHOWICZ, KOPER (92), KOWALCZUK (97), GABRYEL, RYBIŃSKI (109), KOMUDA (124), TYRMAND (128), JASTRZĘBOWSKI (129), KATARYNA (130), ŁYSIAK (131)

Absolutna precyzja

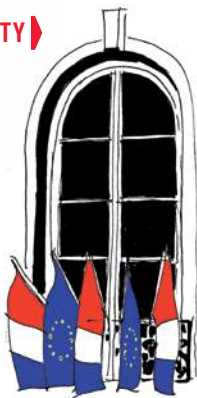
 **PROMASTER**

Eco-Drive Radio Controlled
Super Titanium™



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW



Patrac Elizejski
Nie mają na paliwo?
- Niech więc jedzą ciastka!

ce z z t y e r j u z t o a

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj tylko jeden list prostujący błędną informację.

„Obchody pod okiem SB” – Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak („DRz” 47/2018)

Uprzejmie prosimy autorów o sprostowanie informacji zawartej w powyższym artykule: pisać panowie o obchodach rocznicy odzyskania niepodległości w 1981 r. w Jeleniej Górze, ale podane fakty miały miejsce w Częstochowie, która była wówczas bardzo prężnym ośrodkiem Solidarności.

Wspomniany w artykule bp Franciszek Musiel to niezapomniany biskup pomocniczy diecezji częstochowskiej, wielki patriota, b. kapelan AK, patron i opiekun Solidarności oraz jej ludzi zarówno w czasie oficjalnej działalności, podczas stanu wojennego, jak i późniejszej działalności podziemnej.

**Z pozdrowieniami dla Redakcji
Danuta i Krzysztof Biało, Kanada**

To oczywista pomyłka. Przepraszamy i dziękujemy Czytelnikom za czujność.

**Z szacunkiem
Sebastian Ligarski,
Grzegorz Majchrzak**

DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof**
Masłoń, **Piotr Semka**, **Łukasz Warzecha**,
Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**,
Joanna Bojańczyk, **Grzegorz Brzozowicz**, **Sławomir**
Cendekiewicz, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić**
(Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**, **Piotr**
Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (Rzym), **Jakub Kowalski**, **Tomasz**
Łenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzak**, **Marcin**
Makowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska**-
Trzmiel, **Gabriel Michalik**, **Filip Memches**, **Agnieszka**
Niewińska, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold**
Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan**
Sekowski, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P.**
Terlikowski, **Błażej Torajski**, **Matthew Tyrmund**, **Szewach**
Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

Do Rzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz
Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M.**
Piotrowska, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Karol Gac**,
Przemysław Harczuk (także SuperExpress), **Magdalena**
Złotnicka (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek**
Miłoszewski, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wojtowicz**,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okladka: „Madonna i Dzieciątko” **Marianne Stokes**
fot. **Bridgeman Images/PhotoPower**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie
innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest
zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez **RUCH SA**:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami:
22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze
w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca
materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do
skrótowania i adaptacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na
podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca
wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione
są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą
wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

8 grudnia po wieloletniej walce z chorobą odeszła od nas



Jolanta Szczypińska

poseł na Sejm IV, V, VI, VII i VIII kadencji.

Była Człowiekiem wielkiego ducha i odwagi.

W czasach PRL opozycjonistka, w niepodległej Polsce poświęciła się służbie Ojczyźnie.

Jola była dobrą, życzliwą i pełną ciepła kobietą,

nawet w cierpieniu zaangażowaną w sprawy innych ludzi.

Zawsze gotowa oddać serce potrzebującym i nieść pomoc słabszym.

Jesteśmy jej wdzięczni za niezłomną pracę dla Polski i świadectwo życia.

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

Ceny prądu wzrosną, ale Polacy nie zapłacą więcej?

Od stycznia ceny energii elektrycznej mają pójść w górę. Ma to związek głównie z pakietem klimatycznym i wzrostem uprawnień do emisji CO₂. Takie uprawnienia firmy otrzymywały lub kupowały. Na rynku malała pula darmowych uprawnień do emisji. W związku z tym polska energetyka – w blisko 80 proc. oparta na wytwarzaniu energii z węgla – musiała kupować coraz droższe uprawnienia. Tylko w ciągu tego roku ich ceny wzrosły niemal trzykrotnie. Rosły też ceny węgla.

W ten sposób wytwarzanie energii w Polsce stawało się coraz droższe. Ostatecznie i gospodarstwa domowe w kraju musiałyby płacić więcej za prąd.

To jednak nie ma nastąpić. Premier Mateusz Morawiecki w ubiegłym tygodniu w Sejmie wytykał, że rząd PiS objął energetykę opartą głównie na węglu, i zaznaczył, że jej transforma-

cja nie nastąpi szybko. Jego zdaniem potrzeba na to jeszcze 20–30 lat. Jednocześnie szef rządu zapowiedział, że prąd nie zdrożeje. – Mimo tych ogromnych błędów z przeszłości chcę powiedzieć: nie będzie podwyżek cen energii – oświadczył Mateusz Morawiecki.

Jak to możliwe, skoro prawdopodobnie Urząd Regulacji Energetyki niebawem zdecyduje o wzroście taryf na energię elektryczną dla gospodarstw domowych o 20 proc.? Jak ustaliło radio RMF, rząd postanowił obniżyć akcyzę na energię (z 20 do 5 zł za megawatogodzinę) i kilka innych opłat w rachunkach dla zwykłych odbiorców. Jednocześnie do kosza trafić ma pomysł ministra energii, który chciał, by to same spółki energetyczne znalazły u siebie oszczędności, z których wypłacano by rekompensaty za wzrost cen prądu. © © Łukasz Zboralski

ISLAMISTA ZAATAKOWAŁ W STRASBURGU



29-letni Cherif Chekatt w pobliżu katedry i jarmarku bożonarodzeniowego w centrum Strasburga we wtorek 11 grudnia zabił trzy osoby i ranił trzynastą kolejnych. Wśród poszkodowanych jest obywatel Polski.

Terrorysta został postrzelony, ale udało mu się uciec z miejsca zdarzenia. W czwartek 13 grudnia wieczorem niedaleko miejsca, gdzie doszło do ataku, zamachowiec został zidentyfikowany przez patrol policji. Radykalny islamista zaczął strzelać do stróżów prawa. Policjanci odpowiedzieli ogniem, zabijając zamachowca. (jap) © ©

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK
TOMASZA TERLIKOWSKIEGO:

ROZMOWA Z KS. P. GLASEM „DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
ROZMOWA Z KS. J. CIELECKIM „PADRE JAREK OD ŚW. SZARBELA”
„WENANTY KATARZYNYC”

+ SŁUCHAWKI STARS + E-WYDANIE

Cena: 138 zł
Oszczędność: 264 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzczy.pl

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czas działa przeciw **Wałęsie**

PIOTR SEMKA

Rękopisy nie płoną – ta mądrość Michaiła Bułhakowa okazała raz jeszcze swą prawdziwość. Generałowa Kiszczakowa, zapewne z żądzy zysku, sprzedała papiery swego męża wysłannikom Instytutu Hoovera w Stanford w USA. Tam odnaleźli je dziennikarze Polskiego Radia i „Rzeczpospolitej”.

Wśród pierwszych ujawnionych dokumentów najwięcej uwagi przykuwa list gen. Czesława Kiszczaka z 31 maja 1993 r. Formalnie list jest protestem przeciw wypowiedziom Lecha Falandysza, sugerującym, że Kiszczak pozostawił w archiwach SB fałszywki, które wykorzystał w lustracji w 1992 r. minister Antoni Macierewicz.

Kluczowe w treści listu jest jednak inne zdanie: „Nie zabieram głosu w sprawach operacyjnych – pisze Kiszczak do Wałęsy – w posiadanie których wszedłem, pełniąc służbę w organach wywiadu i kontrwywiadu, mimo że moja wiedza w tej materii jest duża. Uczyniłem jednak wyjątek, z własnej woli i bezinteresownie, kiedy znieważono Osobę i Urząd Prezydenta RP, który symbolizuje Majestat Rzeczypospolitej. Z tą intencją, w obronie Pańskiego

autorytetu, chcę to czynić nadal, jeśli trwać będzie nagonka na Pana Prezydenta, współtwórcę »Okrągłego stołu« oraz procesu porozumienia i pojednania narodowego, który szczególnie w obecnej, trudnej sytuacji dla Polski winien być kontynuowany pod Pana przewodnictwem”.

To zdanie wskazuje, że teczka „Bolka” była straszakiem w czasie prezydentury Wałęsy. Kiszczak daje do zrozumienia, że doskonale zna agenturalne uwikłania byłego TW „Bolka” i zdaje się przypominać o jakimś wcześniejszym układzie – swoje milczenie w zamian za parasol ochronny rozpięty nad swoją osobą i wszystkimi agentami. I uważa to za element procesu porozumienia i pojednania narodowego. To może być aluzja do jakichś rozmów z okresu Okrągłego Stołu.

„Nie zabieram głosu w sprawach operacyjnych” – te słowa można czytać jako groźbę: nie zabieram głosu, ale mogę w każdej chwili głos zabrać.

Ważny jest też inny fragment listu. Dowiadujemy się z niego, że w styczniu 1990 r. te sprawy (czyli los teczek agentów SB) omawiane były na posiedzeniu rządu (Tade-

usza Mazowieckiego). Jak pisze Kiszczak: „Zapewniano mnie, że te materiały będą ściśle chronione i nikt i nigdy nie będzie miał do nich dostępu”.

Na jakiej zasadzie ktoś – można przypuszczać, że sam Mazowiecki (wchodził w skład prezydium rządu) – składał takie obietnice? Przez ile lat chciał trzymać teczek pod kluczem? A może w planie było ich zniszczenie? Kiszczak mógł do takich deklaracji podchodzić z ironią, bo sam teczkę Wałęsy zabrał do domu.

Fakt, że nigdy nie trafił do więzienia za swoje zbrodnie w stanie wojennym, potwierdza, że była to mocna polisa bezpieczeństwa. O przezorności Kiszczaka świadczy też to, że oryginał listu-deklaracji ugody „kaprała Lecha Wałęsy z listopada 1982” czerwony generał także trzymał w domu.

Ile podobnych dokumentów kupiły lub przechwyciły wywiady: amerykański, rosyjski, niemiecki czy innych państw? I jaki robiły lub jeszcze robią z nich użytek?

Takich dokumentów może z czasem wychodzić coraz więcej. Lech Wałęsa nie może mieć spokojnych snów. ©

NAJPIĘKNIEJSZA STEWARDESA W POLSCE

27-letnia brunetka o zielonych oczach została Miss Polski. Pochodząca ze Świnoujścia Olga Buława obecnie mieszka w Warszawie. Jest magistrem prawa, ale pracuje w innym zawodzie. Chociaż kiedyś bardzo bała się latać, od pięciu lat jest stewardesą w PLL LOT. Niedawno awansowała na szefową pokładu. Oprócz tytułu Miss Polski oraz korony otrzymała również nagrodę o wartości 100 tys. zł. ©

(jap)



FOT. INSTAGRAM/OLGAHELENABE

Wesołych Świąt



Świąt Bożego Narodzenia pełnych rodzinnego ciepła
oraz wszelkiej pomyślności w nadchodzącym Nowym Roku
czytelnikom DoRzeczy życzy
Bank Gospodarstwa Krajowego

W Teatrze Polskim w Warszawie wielcy artyści zaśpiewali piosenki Przemysława Gintrowskiego

Koncert pieśni barda wolności, który przez całe życie za najwyższe wartości uznawał niezależność i niepodległość kraju, zyskał szczególne znaczenie w roku stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę – podkreślała prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego, Katarzyna Gintrowska. 10 grudnia na scenie Teatru Wielkiego wykonano pieśni barda w nowych interpretacjach.

NOWA PRZESTRZEŃ

Marzeniem Gintrowskiego było, aby kojarzone z nim kompozycje zyskały instrumentacyjną „przestrzeń”, a nie zostały uwiecznione w ascetycznej, gitarowej formie. Specjalne aranżacje i orkiestracje przygotował Jan Stokłosa, który tego wieczoru poprowadził również orkiestrę Stokłosa Collective Orchestra oraz pięcioosobowy band. Artystom towarzyszył też chór pod kierownictwem Zuzanny Falkowskiej. Podczas koncertu, który wyreżyserowała Gabriela Gusztyn-Popławska, nie brakowało więc niespodzianek. Emocje towarzyszyły wykonaniu nieformalnego hymnu Solidarności, czyli „Murów”, który zaśpiewali wspólnie tenor Rafał Bartmiński oraz baryton Adam Szerszeń. Jako że twórcą utworu jest kataloński artysta Lluís Llach, początek jej został wykonany w języku autora.

Prowadząca koncert Monika Zamachowska przypomniała, że Gintrowski był wielkim miłośnikiem poezji, a szczególnie cenił Zbigniewa Herberta, z którym zresztą znali się osobiście. Nawiązanie do twórczości autora „Pana Cogito” było naturalne – w końcu Sejm RP ogłosił rok 2018 rokiem wielkiego poety. Zamachowska mówiła, że jak trudnym zadaniem zmagął się Gintrowski, przenosząc język poezji na formę pieśni. Z tego pojedynku zwycięsko wyszli tego wieczoru nawet ci wykonawcy, których nieczęsto łączymy z tzw. poezją śpiewa-



Brzmienie

ną. Kojarzony z rockiem i metalem Marek Piekarczyk poruszająco zaśpiewał m.in. „Cesarza”, Krzysztof Kiljański zaprezentował „Kamyk”. Zbigniew Zamachowski w swoim niepodrabialnym stylu interpretował „Nike, która się wciela” Herberta. Wszystkich zaskoczyła Izabela Trojanowska, która zaśpiewała znane z wykonania Gintrowskiego „Zapałki”, do których tekst napisał Bogdan Olewicz.

Na scenie pojawili się też Ola Gintrowska („Modlitwa o wschodzie słońca”), Paulina Grochowska („Smutny”), Julia Gintrowska („Przyjaciele, których nie miałem”), Łukasz Drapała („Karol Levittoux”), Jakub Wociał („Potęga smaku”), Renata Przemyk („Wilki”) oraz Mateusz Ziółko.

Zaprezentowana w duecie przez ostatnią dwójkę „Pieśń o bębnie” była jednym z najmocniejszych punktów koncertu, na którego finał wszyscy artyści zaśpiewali pamiętne „Dokąd nas prowadzisz, Panie”. Zegnała ich długa owacja na stojąco.

SŁOWO „WOLNOŚĆ”

Ważnym elementem koncertów ku czci barda wolności jest co roku wręczenie Nagrody im. Przemysława Gintrowskiego. Od trzech lat przyznawana jest artystom, którzy nie pozwalają w sobie stłumić wolności do samostanowienia i wyrażania siebie. Przed dwoma laty zostali nią uhonorowani Stanisława Celińska, Antonina Krzysztoń oraz Jan

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

MECENASI KONCERTU:

PGNiG

LOTOS

Enea



wolności

Laudacja wyraźnie poruszyła aktora, który podziękował kapitułę w specjalny sposób: – Jestem wzruszony i zaszczycony. Chciałbym przy okazji przeczytać kilka słów refleksji o wielkości słowa. „Słowo ma pieśń i parabolę, zagadkę, przysłowie. Dialog, dramę, epos, prawdziwa w wymowie. Ma harangę i powieść, wreszcie romans grecki. Pamflet i panegiryk senatu, szlachecki... Raz nawet już stało u kresu dojrzenia: Poczuło, że jest także i wolność milczenia, nie tylko wolność Słowa” – fragment „Rzeczy o wolności słowa” Cypriana Kamila Norwida w ustach Franciszka Pieczki zabrzmiał w sposób wyjątkowy.

Do słowa „wolność” nawiązywano na scenie wielokrotnie. – To była jego idée fixe, o którą walczył swoją twórczością w czasach socjalizmu, ale również później w czasach wolnej Polski. Wiedział, że samostanowienie jest pracą i ciągłym dążeniem, z którego nie chciał zwalniać ani siebie, ani rządzących – tak życie barda podsumowała Katarzyna Gintrowska.

W ubiegłym roku koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie” obejrzało w relacji telewizyjnej ponad 3 mln widzów. Retransmisja tegorocznego koncertu odbyła się 16 grudnia w TVP1.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Marcin Hajduk

Polkowski. W 2017 r. wręczono ją Ewie Błaszczyk. W tym roku kapituła nagrody zdecydowała, że otrzyma ją legendarny aktor, znany z setek ról teatralnych i filmowych, Franciszek Pieczka.

– Gra czyni wolnym w drodze do prawdy, którą objawia artysta. Zwłaszcza taki artysta jak Franciszek Pieczka – powiedział w laudacji Dariusz Domański. I dodał: – Wielki aktor, który za przykładem swoich postaci scenicznych i filmowych bohaterów skłania nas do refleksji nad naszą egzystencją, uczy nas przede wszystkim, jak kochać drugiego człowieka i jak bronić go od krzywdy, niesprawiedliwości. Broni wolności sumienia. To jest motyw przewodni jego bohaterów i jego samego.



PARTNERZY:

PATRONAT MEDIALNY:

WSPÓLORGANIZATOR





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Złudzenie mocy

Ciągłe składanie wniosków o wotum nieufności dla tego czy innego ministra albo całego rządu to zmora polskiego parlamentu. Taki wniosek dopóty, dopóki większość sejmowa jest stabilna, nie ma żadnego sensu, bo wynik głosowania jest z góry wiadomy – służy wyłącznie do tego, żeby politycy mogli pogadać sobie na sejmowej trybunie i potem obejrzeć się z zadowoleniem w wieczornych dziennikach, przy akompaniamencie pochwał partyjnych lizusów: Ale im pan powiedział, panie prezesie! Ale pan dowalił!

Jest to czysta strata czasu, potwierdzająca tylko, że posłowie niewiele mają do roboty. W końcu, jak głosować, mówi im kierownictwo partii, projekty ustaw, nawet (albo i zwłaszcza) „przedłożenia poselskich” przynosi im do klepnięcia rząd. Gadanie i urąganie sobie

nawzajem stało się jeśli nie jedyną, to dominującą aktywnością parlamentu, co zresztą skutkuje stabilnie niskimi notowaniami jego prestiżu.

Czy jest coś śmieszniejszego od owych stale ponawianych „wotów nieufności”? Owszem. Autowotum zaufania, kiedy to równie niepotrzebnie sprawdza, czy ma sejmową większość, sam rząd. Czyli operacja, którą właśnie wykonał premier Morawiecki.

Złożenie wniosku o ponowienie przez Sejm wotum zaufania miałoby sens po jakichś rozłamach czy rozpadach, masowych przejściach posłów partii rządzącej do opozycji, jak to się dzieje obecnie w brytyjskiej Partii Konserwatywnej. Jednak w Zjednoczonej Prawicy nic takiego miejsca nie miało. Premier twierdzi, że ponowione wotum zaufania jest mu potrzebne przed unijnym szczytem, żeby pokazać, że ma silny mandat...

To zresztą powtórka z historii, identyczny wniosek z identyczną argumentacją złożył kilka lat temu przed jednym z unijnych szczytów Donald Tusk. Nie jest to ten wzór, którego naśladowania po Mateuszu Morawieckim oczekują jego wyborcy.

Argumentacja, że postawa negocjatorów innych państw zmieni się choć o włos, gdy się dowiedzą, że PiS nadal ma w polskim Sejmie większość, jest – delikatnie mówiąc – mało poważna. Wniosek, przerywający prace nad budżetem na rzecz debaty nad autowotum, służył tylko temu, by premier mógł wygłosić samochwalcze przemówienie, a życzliwe media – chwalić go za „nieoczekiwany ruch”, nagłe „przejęcie inicjatywy”... Jednak w istocie żadnego praktycznego znaczenia to głosowanie nie miało. To tylko głędoły. Jak to w Sejmie. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Wszystko się sypie

Nadchodzi czas zerkania w niebo, oczekiwania na przybycie gościa w czerwonym kubraczku i tradycyjnego pytania: „Czy są tu grzeczne dzieci?”. Tymczasem w obozie opozycji niejeden kpi, że Schetyna też będzie zerkał, tyle że nie w niebo, a w kierunku Brukseli, i nie z nadzieją, a z obawą przed powrotem Donalda Tuska. Bilans zysków i strat, który musi zrobić lider Platformy na progu roku wyborczego, nie wypada dla niego korzystnie.

Primo – jego ugrupowanie zgubiło gdzieś „chadecką kotwicę”, mocno skręcając w ideowe lewo, przygarniając Barbarę Nowacką

i wyciągając teraz ręce po Roberta Biedronia, którzy mogą być dla części elektoratu PO trudni do przełknięcia. Sam Schetyna dwa lata wcześniej w rozmowie z „Rz” oceniał, że nie ma dziś istotnego elektoratu lewicy „do wzięcia”, bo ten zameldował się w PiS. Secundo – Platforma straciła też szansę na pozyskanie konserwatywnego wyborcy. Po trzech latach bujania się trochę w prawo, trochę w lewo partia Schetyny pozostała tym samym bezideowym ugrupowaniem władzy, którym była w 2015 r., kiedy przegrała wybory.

W dodatku Koalicja Obywatelska zaczyna trzeszczeć w szwach po tym, gdy jej potencjalni uczest-

nicy zorientowali się, że jedyna rola, jaką w niej dla nich przewidziano, to rola łatwej do skonsurowania przystawki.

Niektórzy, co prawda, stawiają Grzegorza Schetynę w roli zwycięzcy wyborów, bo dzięki mobilizacji wielkomiejskiego, twardego elektoratu utrzymał bastiony. Tyle że to wciąż armia, której żołnierzy nie przybywa. „Wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie. Polska powiatowa będzie decydować, w którym kierunku pójdzie kraj po wyborach” – deklarował lider PO w wywiadzie dla „Do Rzeczy”. W Końskich, w Polsce powiatowej partia Schetyny poniosła klęskę... ©©

Zbadają transakcję Hajdarowicza

Zespół biegłych ma przeanalizować 230 tomów dokumentów zabezpieczonych przez śledczych w sprawie sprzedaży przez Skarb Państwa Grzegorzowi Hajdarowiczowi spółki Presspublica wydającej m.in. „Rzeczpospolitą”.

Śledztwo w sprawie podejrzenia nieprawidłowości przy sprzedaży w 2011 r. Grzegorzowi Hajdarowiczowi przez Skarb Państwa spółki Presspublica wszczęto 17 czerwca 2016 r., po zawiadomieniu, które złożył Dawid Jackiewicz, wówczas szef Ministerstwa Rozwoju. Audyt przeprowadzony w resorcie miał wykazać, że mogło dojść do działania na szkodę interesów państwa.

– W toku śledztwa zabezpieczono dokumenty i dokonano ich oględzin, uzyskane elektroniczne nośniki informacji poddano badaniom przez biegłych z zakresu informatyki, przesłuchano kilkudziesięciu świadków. Zgromadzony materiał dowodowy w tym zakresie obejmuje ponad 230 tomów akt – poinformowała nas prokurator Elżbieta

Potoczek-Bara, rzecznik Prokuratury Regionalnej w Krakowie.

Jak się dowiedziało „Do Rzeczy”, dopiero w październiku tego roku śledczy powołali zespół biegłych, w którego skład weszli m.in. specjaliści z zakresu rachunkowości, przetargów i zamówień publicznych, księgowości, a także ekspert z zakresu szacowania wartości spółek prawa handlowego. Dlaczego prokuratura zwlekła z tym tak długo? Według naszych informatorów śledczy musieli zabezpieczyć w resorcie i spółce Skarbu Państwa, która wystąpiła jako pośrednik sprzedający Presspublicę, dokumenty księgowe oraz dane informatyczne, bo tych brakowało w dołączonym do zawiadomienia protokole z przeprowadzonego audytu. Ponadto miał być też problem z utworzeniem takiego zespołu.

Z naszych informacji wynika, że biegli wstępnie oszacowali, iż na wydanie opinii potrzebować będą nawet pół roku. Jednak po wstępnym zapoznaniu się z mate-

riałami i zakresem oczekiwanej opinii wskazali, że termin sześciu miesięcy jest dla nich za krótki. A to oznacza, że samo oczekiwanie na analizę, od której prokuratura uzależnia dalsze czynności w tej sprawie, potrwa przynajmniej do połowy przyszłego roku.

Z przeprowadzonego w 2016 r. w Ministerstwie Rozwoju (dziś Inwestycji i Rozwoju) audytu sprzedaży Presspublici Grzegorzowi Hajdarowiczowi miało wynikać, że termin składania ofert na zakup spółki był tak krótki, iż ograniczało to możliwość przygotowania oferty potencjalnym inwestorom. Wpłynęła tylko jedna oferta – złożona przez spółkę Gremi Grzegorza Hajdarowicza, który zaproponował za zakup Presspublici 40 mln zł. Tymczasem wycena przygotowana przez Skarb Państwa szacowała wartość spółki na 60 mln zł. Po negocjacjach Hajdarowicz podniósł swoją ofertę do 55 mln zł, natomiast państwowi urzędnicy dokonali „autokorekty”, obniżając wartość spółki. © © **Wojciech Wybranowski**

REKLAMA

MARCIN DOROCIŃSKI IWAN RHEON MIŁO GIBSON STEFANIE MARTINI KRYSTOF HADEK

303

BITWA O ANGLIĘ

CHWAŁA BOHATEROM

JUŻ NA DVD | BLU-RAY

1918-2018
PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY
W STULECIE
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
NAD PREMIERĄ FILMU

NOTATNIK MALKONTENTA

Polska chwalebna niemrawość rewolucyjna



ŁUKASZ WARZECHA

Rolnicy, którzy zablokowali w ubiegłym tygodniu autostradę A2, założyli odbłaskowe, żółto-zielone kamizelki. Jak wyjaśnili organizatorzy protestu, podobieństwo do ubioru inicjatorów buntu we Francji nie było przypadkowe. Jednak już nic więcej podobnego do sytuacji we Francji nie było, nawet jeśli życzyć by sobie tego mogli blokujący ważną drogę rolnicy. A już na pewno uszczęśliwiona byłaby ta część opozycji, która uważa, że im gorzej, tym lepiej. Niestety dla nich – nic z tego.

W Polsce potencjału dla choćby jednej dziesiątej tego, co się dzieje we Francji, nie ma i nie będzie. Nawet gdyby mocno miały pójść w górę ceny prądu (choć teraz wygląda na to, że Urząd Regulacji Energetyki nie pozwoli na to w roku wyborczym). W całej III RP nie było ani jednego masowego protestu socjalnego, który nie byłby po prostu demonstracją tej czy innej organizacji lub grupy społecznej. A nawet gdy te miały charakter gwałtowny, to rzucanie mutrami trwało od godz. 12 do 15, a potem towarzysztwo się zwijało, wsiadało do autokarów i odjeżdżało. Fajrant, koniec zamieszek, następne za sześć miesięcy w godz. 12–15.

Francuskie CRS zablokowaną autostradę udroźniłoby błyskawicznie za pomocą pałek i polewaczek. Polska

policeja kulturalnie spisała uczestników protestu i w końcu namówiła, żeby sobie poszli. Nie pobił ich też żaden wkurzony kierowca. Oni sami również się nie rwali, żeby kogoś bić. I tak samo to wygląda podczas demonstracji antyrządowych: policja legitymuje, przesuwając demonstrantów lub ich przenosi, spisuje, ewentualnie na kilka godzin zatrzymuje, a nawet daje się czasem sama podrapać czy uderzyć. Jednak tylko lekko, właściwie symbolicznie, bo z drugiej strony trzeba przyznać, że i nasi demonstranci – poza może absolutnym zadymiarским marginesem – też się nie kwapią do bitki. Symboliczny był pod tym względem 11 listopada: szczerze odizolowani od maszerujących Obywatele RP coś tam pokrzyczeli, trochę postali i się zwinęli. Jak na kraj, który – według niektórych zagranicznych mediów – jest niemal na krawędzi wojny domowej, to jakoś słabo.

Jarosław Marek Rymkiewicz napisał całą książkę o tym, że Polacy za mało się biją, zarzynają, mordują i wieszają, a jeśli już, to in effigie. Dlatego właśnie książka nosiła tytuł „Wieszanie”. Diagnoza milanowskiego poety była bardzo trafna, z tym że jego to martwiło, a mnie cieszy. Ostrą nawałankę mogą sobie zawsze pooglądać we francuskiej telewizji. ©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pociąg do wpadek

Rok zbliża się ku końcowi, ale patrząc po liczbie wpadek, stawiam orzechy przeciw dolarom, że karuzela śmiechu na Twitterze dopiero się rozkręca. „Bardzo dobry artykuł o emisji CO2 w UE. Przystępnie przedstawia realną sytuację. Warto przeczytać. Polecam” – napisał np. Andrzej Duda.

Następnie po dziesiątkach komentarzy, mówiących, że w polecanym tekście roi się od przeinaczeń i propagandy, przyszła refleksja. „Przyznaję rację Tym, których oburzyła druga część artykułu zamieszczonego na portalu salon24.pl, który poleciłem kilka godzin temu. Był to błąd, wynikający z lektury pierwszej części tego artykułu. Nie podzielałem poglądów i stylu wypowiedzi zawartej w 2. części. Błąd” – odparł prezydent. I tylko strach dopytać, czy podobnie rzeczy się mają z ustawami.

Cóż, głowa państwa przynajmniej przyznała się do błędu. Niektórych dla ich dobra może nie warto z błędów wyprowadzać? „Pociąg jakiegos nowego państwa podstawiony na dworcu we Wrocławiu. Grafika nawiązuje do naszego zachodniego sąsiada z lat 30-tych” – oburzyła się Ewa Stankiewicz-Jorgensen, tweeta opatrując zdjęciem. A że składy Kolei Regionalnych (ten był akurat z Dolnego Śląska) od lat mają malowanie charakterystyczne dla każdego województwa? A orzeł nawiązuje do Piastów Śląskich, a nie III Rzeszy? Detale.

„Czytam o tym wypożyczeniu posłów. To jest ciekawa usługa nawet. Na jakieś urodziny, Mikołajki czy wieczór panieński” – zauważył Michał Majewski, komentując pomysł „przekazania” posła dla Nowoczesnej, która w wyniku wewnętrznej woltury straciła Klub. „Piotr Apel zostanie »wypożyczony« Nowoczesnej?! A dlaczego nie Winnicki? Kukiz zupełnie stracił poczucie humoru” – skomentowała Marzena Paczuska. „Bo Winnicki ponad dwa lata temu odszedł z klubu Kukiz’15” – przypomniał byłej szefowej „Wiadomości” Piotr Witwicki.

Najlepsze, a właściwie najgorsze zostawiłem na koniec. „Tradycyjna wigilia PO-PSL w Strasburgu w pobliżu Parlamentu. Koledzy, życzenia i nagle zagrały smartfony: strzelanina w mieście, są ofiary, europarlament zablokowany, Jarmark świąteczny, ściągający 2 mln gości – cel wymarzony! Na szczęście my daleko” – odetchnął z ulgą Janusz Lewandowski. Prawdziwy świąteczny odruch empatii. ©



SWISS MILITARY
HANOWA

Challenge Time



Chrono Classic

Swiss Made



butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 1486b6eccc



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH

Kochani, jak pewnie zaobserwowa-liście, prowadzimy trudną walkę o zaprzestanie delaicyzacji Winter Holidays, które podkarpacie wciąż, pomimo tego, iż żyjemy w XXI w., próbuje nazywać Bożym Narodzeniem. W naszych staraniach o świeckość próbujemy zachować pewne tradycyjnie przyjęte formy, aby przekształcać je według nowoczesnych, a nawet ponowoczesnych paradygmatów. W ten sposób, dzięki sukcesywnej pracy, może kiedyś uda się nadać europejski, świecki charakter tym świętom.

Z okazji tegorocznych Winter Holidays przygotowaliśmy więc dla Was przewodnik prezentowy. Podpowiadamy, jakimi upominkami obdarować waszych najbliższych, iżby delikatnie zasugerować im, że inne święta są możliwe.

KOSZULKA Z NAPISEM „KONSTYTUCJA” – to z pewnością uniwersalny prezent, który nada się zarówno dla frendów z korpo (choć już na pewno przynajmniej jedną taką mają), jak i dla osób płodzących z niewielkich ośrodków. Być może fizyczna bliskość napisu „KONSTYTUCJA” i noszenie go na sercu sprawia, że zatwardziali dotąd prawnicy dostrzegą dramat łamania ustawy zasadniczej w tym kraju i na pasterce, zamiast śpiewać koledy, będą skandować hasła prodemokratyczne i opozycyjne.

PLAKAT Z RYSZARDEM PETRU – kiedyś na ścianach w pokojach w rodzinnych domach w małych ośrodkach czy potem w akademikach wieszaliśmy plakaty z piłkarzami lub gwiazdami muzyki rozrywkowej. Jeśli natomiast macie teraz młodsze rodzeństwo, które wciąż chodzi do szkoły w niewielkim ośrodku i potrzebuje idoli oraz wzorców, to proponujemy mu plakat z jednym z najbardziej kreatywnych postaci polskiej polityki w ostatnich latach. Podobieństw do gwiazd sportu i muzyki jest zresztą więcej: Richie dość często zmienia ugrupowania i kluby. Jeśli więc wasi młodzi osobobrat lub osobosiostra lubią oglądać piłkę nożną lub słuchać muzyki, to warto ich przy okazji wręczenia plakatu z Richiem zainteresować ekonomią, kredytami walutowymi czy planami inwestycyjnymi.

WEGAŃSKI KOSZ PREZENTOWY – każda osobobabcia będzie próbowała Was utuczyć podczas świąt tradycyjnie przygotowa-

nymi potrawami o zawartości przekraczającej 100 proc. mięsa ze zwierząt albo z ryby. Upprzedźcie więc swoją babcię i zaproponujcie jej kosz prezentowy zawierający kielbaski z tofu, sojowe kotleciki, pasztety z ciecioriki czy wegańskie szynki z białka sojowego. Pamiętajcie: nigdy nie jest za późno, iżby zmienić nawyki żywieniowe! Jeśli natomiast babcie będą odporne, to zawsze skuteczny powinien być argument, iż spożywanie mięsa zwiększa globalne ocieplenie.

KIESZONKOWA EDYCJA KONSTYTUCJI – idealny prezent dla partnerki lub partnera, iż w ten sposób pokażecie mu/jej, iż kochacie go/ją tak samo jak demokrację i konstytucję w tym kraju. Poza tym trudno wyobrazić sobie romantyczny wieczór bez wyrывkowego czytania rozdziału o wolnościach, prawach i obowiązkach człowieka oraz obywatela lub rozdziału o bezpośrednim stosowaniu konstytucji przez sądy.

ŚWIECKI SWETER W RENIFERY – hipster-ski sweter, ale obowiązkowy pozyskany w niszowym second-handzie i wyprodukowany w latach 80. w byłej Jugosławii to z pewnością prezent, który ucieszy niejednego członka kolektywu ze skłotu. Ewentualnie można pokusić się o świecki sweter z motywami winterholidayowymi z sieciówek, ale pamiętajcie, że taki prezent należy wręczać ironicznie i tak samo nosić ten sweter.

WEJŚCIÓWKI NA FILM „KLER” – dla wszystkich, którzy będą Was zaciągać w czasie Winter Holidays do kościoła na pasterkę, do szopki czy do żłóbka. Iżby pokazać im, jaki jest prawdziwy, obiektywny i rzetelnie przygotowany obraz Kościoła w tym kraju! Of kors, wejściówki będą dotyczyły tajnych, zamkniętych pokazów, iż – jak wiadomo – kościelna dyktatura zamknęła wszystkie kina, w których był wyświetlany „Kler”, i przerobiła je na świetlice oazowe.

ROCZNA PRENUMERATA POSTĘPOWEJ PRASY – to oczywiście prezent dla Nowego z Tarnowa. Mamy nadzieję na to, iż Nowy, kierując się wdzięcznością, prezent przyjmie i będzie systematycznie czytał o tym, jak w tym kraju jest niszczone demokracja, a przy okazji będzie chłonał treści o nowoczesnej kulturze, alternatywnym patriotyzmie, dzięki czemu wychowamy sobie na kolejne Winter Holidays nowego

Europejczyka. To nawet takie nasze świeckie winterholidayowe życzenie do nikogo i nadzieja na świecki, racjonalny cud.

CZARNE PARASOLE – dla frendziar z kolektywu, iż – jak wiadomo – rząd nienawidzi waginoosób i prześladuje je przez zaniechanie, więc musimy być gotowi na kolejne czarne marsze w obronie praw kobiet, których nikt aktualnie nie będzie pogwałcał ani naruszał. Jak wiadomo, czarny parasol jest niezbędnym atrybutem postępowej waginoosoby podczas eventu protestacyjnego, a że tajne służby w dni czarnych marszów konfiskują wszystkim jak leci czarne parasole, to im ich więcej, tym lepiej.

Korzystając z okazji, sami również chcielibyśmy rozdać kilka specjalnych prezentów oraz różg. Of kors wiemy, iż różga to symbol opresji i dzielenia dzieci na grzeczne i niegrzeczne (a także przyrząd do bicia żony na podkarpaciu, kiedy akurat pod ręką nie ma kabla od żelazka), ale czujemy, iż w przypadku niektórych osób musimy dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

Najpierw jednak prezenty, iżby podkreślić naszą otwartość i tolerancję oraz, a co tam, chcemy sami poczuć ten magiczny winterholidayowy klimat (ale oczywiście wszystko w warstwie materialistycznej, racjonalnej i świeckiej). A zatem, wczuwając się w rolę świeckiego mikołaja, przynosimy następujące upominki:

DLA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO – puzzle, iżby wreszcie mógł coś łączyć, a nie dzielić. Of kors puzzle 10 tys. elementów, iżby miał tego zajęcia na długo, trochę się zrelaksował i wyciszył, i zostawił nas w spokoju xD

DLA ANDRZEJA DUDY – najbardziej przydatny byłby of kors niewypisowywalny długopis do podpisywania wszystkich ustaw, jakie dostanie na biurko, ale jednak przede wszystkim życzymy, iżby wreszcie zdobył się na śmiałość i zagadał do Lecha Wałęsy o pomoc i żeby go przychylnie przedstawił na Zachodzie.

DLA LECHA WAŁĘSY – komplet koszulek „OTUA” w różnych kolorach, iżby nie było wątpliwości, że je zmienia.

DLA RYSZARDA PETRU – elektorat oraz partyjne koleżanki i kolegów, którzy wreszcie traktowaliby go poważnie.

OŚRODKÓW

DLA GRZEGORZA SCHETYNY – koalicjanta, którego mógłby traktować poważnie.

DLA PSL – jakiś szczodry koalicjant w 2019 r., niezależnie od tego, jakiej opcji będzie.

DLA ROBERTA BIEDRONIA – jakkolwiek elektorat.

DLA JANUSZA KORWIN-MIKKEGO – wreszcie udanego wyjścia z progu xD

DLA PAWŁA KUKIZA – żeby wszyscy komentatorzy, dziennikarze i publicyści wreszcie zapamiętali słowa: „My nie jesteśmy partią”.

DLA WSZYSTKICH FRENDÓW W KORPORACJACH – odległych dedlajnow, żadnych asapów i fakapów, kreatywnych czelendży, wysokich premii i płatnych nadgodzin.

No i pora na różgi. Do nich dołożylibyśmy może jeszcze nawet unfollow na Twitterze i cofnięcie lajka na fejsie, ale to są jednak środki ostateczne, do których nie chcielibyśmy się pochopnie uciekać. Na początek sama różga wystarczy. Jeśli za rok nie będzie poprawy, to wtedy

wyciągniemy konsekwencje w social mediach.

DLA MIESZKAŃCÓW TEGO KRAJU – za brak poszanowania demokracji. Co z tego, że chodzą na wybory, skoro głosują nieodpowiedzialnie i bez zrozumienia tego, kto chce dla nich dobrze? Wybory powinny być świętem demokracji, a nie, że każdy sobie idzie i głosuje, jak sobie chce.

DLA POLSKICH PIŁKARZY – za ich postawę na rosyjskim mundialu, niczego więcej chyba nie trzeba tłumaczyć.

DLA KOMISJI EUROPEJSKIEJ – wiemy, przewrotny żart, ale jednak: za zbyt słabą walkę o zachowanie i poszanowanie demokracji w tym kraju. Od porządnej instytucji unijnej oczekiwaliśmy jednak zdecydowanego, merytorycznego i odważnego działania, jakichś porządných sankcji na ten kraj, a nie takiego teatryku.

DLA KAMILA STOCHA I POLSKICH SKOCZKÓW – za rozbudzanie ducha polskiego patriotyzmu i tego, że zimą strach włączyć telewizor, by nie natrafić na ten triumfalizm.

DLA RZĄDU – za całokształt twórczości związanej z wprowadzaniem dyktatury: łamanie demokracji, prześladowanie opozycji, zamykanie gazet, rozwiązywanie zgromadzeń i cenzurowanie Internetu.

DLA PARTII RAZEM – of kors znów przewrotnie, ale za zdecydowanie zbyt zachowawcze propozycje podatkowe. Sprawiedliwość społeczna i sprawna redystrybucja wymagają ofiar.

DLA DONALDA TRUMPA – za to, iż mimo że jest prezydentem Ameryki, nawet my się musimy za niego wstydić.

Już za rok sprawdzimy, czy nasze prezenty rzeczywiście dotarły do adresatów oraz czy różgi okazały się wystarczającym środkiem wychowawczym, iżby za rok święcki miłośnik nie musiał przynosić ich ponownie. A tymczasem, kochani, życzymy Wam pięknych Winter Holidays!!! xD

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

REKLAMA

MARCIN LUDWICKI
PŁONĄCE PUSTKOWIE
WARSZAWA OD UPADKU POWSTANIA DO STYCZNIA 1945
RELACJE ŚWIADKÓW

KONIEC „PARYŻA POŁNOCY”

Opis zaplanowanego niszczenia Warszawy przez oddziały okupanta

Dramatyczne relacje świadków ze zniszczonej wojną Warszawy

Książka dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNOŚCI





FOT. PAMEL GROMADA

WYGLĄD SIĘ NIE LICZY?

Celebrytka Anna Mucha w rozmowie z „Faktem” wyznała, że w przeciwieństwie do wielu gwiazd show-biznesu dla niej wygląd nie jest najważniejszy. – Współczuję kobietom, które oceniają siebie przez pryzmat własnej urody. To, że się jakoś tam wylasczyłam, jest oczywiście niezwykle przyjemne, ale w moich oczach wtórne. Ta zewnętrzna powłoka nigdy nie była dla mnie istotna. Nigdy nie wyznaczałam swojej wartości przez pryzmat tego, ile mam kilogramów, jak wyglądam. Takie rzeczy mam głęboko w du... ie – wyznała. – Może jest tak dlatego, że miałam szczęście w swoim życiu spotykać mężczyzn mądrych, fajnych, wartościowych, którzy mnie doceniali pomimo mojego wyglądu – dodaje. Ciekawe jest to zjawisko celebrytek, które tak bardzo nie przywiązują wagi do swojego wyglądu i tak bardzo cenią naturalność, że czują ciągłą potrzebę mówienia o tym. Jakby próbowały nieustannie przekonywać, że to prawda. Siebie przekonać, bo nikogo innego nie zdołają.

NOWY MAŻ, NOWE GACIE

Dżoana Krupa już ma pierwsze poważne problemy małżeńskie! Otóż jej nowy mąż Douglas jest mocno zazdrosny o poprzedniego męża Romaina (którego polska prasa ochrzciła Romkiem). Znajomy celebrytki ujawnił, że nowy mąż jest do tego stopnia zazdrosny, że kazał Dżoanie wyrzucić całą bieliznę osobistą, którą nosiła jako żona Romaina. – Douglas obdarowuje ją nowymi kompletami – twierdzi informator „Faktu”. – Po prostu źle się czuł z tym, że tamte rzeczy zdzierał z Joasi Romek – dodaje. Teraz zapewne czuje się dużo lepiej. W końcu nie każdy może przeczytać w bulwarówkach o nowych gaciach swojej żony.

MOWA TRAWA

Znana piosenkarka Justyna Steczkowska podczas jednego z koncertów zaprezentowała się w koszuli z krwawym napisem „Konstytucja” na plecach. Niestety, reakcje fanów na ogół były bardzo krytyczne i sprowadzały się do pytań, po co pcha się w politykę. „Róbcie muzykę, a nie politykę”, „Oto jak można stracić szacunek w sekundę”, „Co to ma być?” – to tylko niektóre z komentarzy na jej Instagramie, które cytuje portal Pudelek. Justyna była mocno zaskoczona, bo liczyła

chyba na zgoła inny efekt. „Media, ratunku, nie mówcie znowu za mnie! Jestem muzykiem i nie należę do żadnej partii. To nie jest mój protest, tylko wyraz artystycznej wizji składającej do myślenia nad tym, gdzie w polityce zaginął człowiek i jego dusza – napisała urażona, zapewniając, że „opcja polityczna nie ma tu znaczenia”. – Jako artysta mam prawo wyrażać swoją wizję poprzez muzykę, w której od lat opowiadam o człowieku i jego duszy właśnie. Nie oceniam... Staram się



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

po prostu zrozumieć – dodała. My już nawet nie staramy się zrozumieć, co Justyna próbuje nam powiedzieć, bo wciąż nie możemy wyjść z podziwu, jak dużo można napisać, żeby nie napisać nic!

MOJE ŚWIĘTA, MOJA SPRAWA

Aktorka Maja Ostaszewska, która była jedną z twarzy tzw. czarnych protestów przeciwko obywatelskiemu projektowi ustawy zwiększającej ochronę życia od poczęcia, jak co roku przed świętami apeluje do Polaków o poszanowanie praw karpia. Boże Narodzenie to bowiem czas, jak twierdzi pani Ostaszewska, „masowego znęcania się nad karpami”. – Święta już za chwilę. Proszę, nie kupujcie żywych karpia. Karpie podobnie jak ssaki i ptaki odczuwają ból, strach i stres. Bez wody duszą się. Gdyby miały głos, ich krzyk nie dałby nam przejść obok nich obojętnie. Jeśli przez cały rok kupujecie państwo ryby w płatach i uznajecie je za świeże, to, proszę, zróbcie tak samo w przypadku karpia – apeluje Ostaszewska na Facebooku. Informuje też, że jak co roku włącza się w oficjalną kampanię przeciwko sprzedaży i kupowaniu żywych karpia i zachęca do bojkotu tych sklepów, które nie wycofały ze sprzedaży żywych ryb. – Niech te święta nie będą krwawe! – apeluje aktorka. Zaraz, to w tym wypadku już nie działa argument „moje święta, moja sprawa”? Dziwne. ©©



Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl

Zanim przejdziemy do rozdawania gwiazdkowych prezentów, chcielibyśmy się oficjalnie poskarżyć na męską dyktaturę. Otóż dawno, dawno temu, kiedy marszałkiem Sejmu była Ewka Kopacz z Szydłowca i z PeŁo, zasady były proste – tygodnie przed Wigilią były w Sejmie wolne i wszyscy mogli się rozjechać do domów, żeby sprzątać, piec i robić zakupy. Niestety, kaczystowska i zdominowana przez mężczyzn władza ma te zasady w nosie, nad czym ubolewamy.

Dwa słowa o tym, w jakiej kolejności rozdajemy w tym roku prezenty. Żeby napięcie rośło, wręczamy je, poczynając od najmniej ważnych bohaterów naszej rubryki, a kończąc na najważniejszych. Dzięki temu mamy od razu wspólne życzenia dla wszystkich: życzymy wam, byście w przyszłym roku znaleźli się w świątecznym wydaniu naszej rubryki nieco dalej, czyli wyżej w hierarchii, czyli byli coraz ważniejsi. Czy można politykowi złożyć lepsze życzenia?

Dla nich wszystkich książeczka „Maksymy” Lao Tsu. Maksyma z pierwszej strony: „Mędrzec widzi, nie patrząc, działa, nie czyniąc”

ZACNIEMY OD UPOMINKU DLA MAŁO WAŻNYCH, ZA TO BARDZO AKTYWNYCH W DARIU JAPY POSŁÓW PIS. Tych, dzięki którym występom medialno-tanecznym przeciętny Polak zaczyna czasem uważać, że polityk prawicy to coś w rodzaju skrzyżowania klaksonu z betonem: głośne i niezbyt lotne. Dla nich wszystkich książeczka „Maksymy” Lao Tsu. Maksyma z pierwszej strony: „Mędrzec widzi, nie patrząc, działa, nie czyniąc”.

DLA BARBARY NOWACKIEJ – wiarygodność w proszku. Instrukcja obsługi: bierzemy dwie saszetki wiarygodności i rozpuszczamy w ciepłej wodzie. Następnie pijemy duszkiem. Niestety nie gwarantujemy skutków w postaci powrotu wiarygodności. Lekarze mówią bowiem, że w przypadku pacjentów, którzy dobrowolnie związali się z PeŁo, żadne leki nie działają.

DLA KAMILI GASIUK-PIHOWICZ – kilku mężów. Jeden nie da rady spłacić długów Nowoczesnej Kropki. Kilku też nie, ale przynajmniej będą mogli wziąć więcej kredytów.

DLA WŁADYSŁAWA KOSINIAKA-KAMYSZA – stanowisko wiceprzewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Podejrzewamy bowiem, że stanowisko prezesa PSL wkrótce ulegnie likwidacji wraz z całym Peezelem.

DLA TEFAUENÓW – wafelki. Bardzo dużo wafelków. Będą sobie mogli ułożyć z nich, co chcą: swastykę, sierp i młot, półksiężyc proroka, a następnie podpalić. Dzięki temu oszczędzą na kosztach delegacji, kamerzyście, dziennikarce i tak dalej.

DLA JACKA ŻALKA – lusterko podręczne. Żeby wreszcie zobaczyć, jaki makijaż mu kładą, kiedy idzie do Tefauenów, bo najwyraźniej nie widzi, że ktoś robi go na perłowo, z istotnym dodatkiem małego męskiej szminki.

DLA KATARZYN Y LUBNAUER – porządny, solidny koalicjant. Może być ktoś w rodzaju Jarosława Kaczyńskiego. Lubnauer opowiada ostatnio wśród zaufanych ludzi, że „Schetyna traktuje swoich koalicjantów gorzej niż Jarosław Kaczyński”, więc wiemy, że nasz prezent ma sens.

DLA LECHA WAŁĘSY – nowa koszulka z napisem „ESBECJA”, bo ta z napisem „KONSTYTUCJA” już się trochę pobrudziła i trzeba wyprać. A w czymś chodzić trzeba. Najlepiej w czymś, w czym człowiekowi jest do twarzy.

DLA RYSZARDA PETRU – nowa partia. Wiemy bowiem, co się stanie z obecną. Za mniej więcej rok albo dwa jej członkowie



dwaj panowie

To akurat musi załatwić Święty Mikołaj (ewentualnie gwiazdor dla PiS-owców mniej wierzących lub Jezusek dla PiS-owców bardziej wierzących)

dojdą do wniosku, że mają już dość Ryśka oraz jego bon motów i wymienią go na jakiegoś innego przywódcę, a on sam odejdzie i będzie musiał założyć nową partię. Kiedyś! Więc my załatwiamy mu ją już Teraz!

DLA WŁODZIMIERZA CZARZASTEGO – sztandar. Żeby mógł go sobie wyprowadzić.

DLA ROBERTA BIEDRONIA – murzyna. Nie, nie chodzi nam o niewolnictwo ani o prawdziwego Afroamerykanina. Pamiętamy po prostu czasy, kiedy ktoś, kto anonimowo pisał za kogoś znanego książki, był zwany murzynem. Robik pilnie potrzebuje takiej osoby, i to utalentowanej, bo tego, co sam napisał, czytać się nie da. Ups, przepraszamy, Robert jest politykiem europejskim, więc zamiast murzyna powinien być europejski termin „ghost writer”.

DLA WICEMINISTRA JAROSŁAWA ZIELIŃSKIEGO – konfetti. Żeby miał zapas i nie musiał wycinać. Ani zatrudniać podwładnych do wycinania.

DLA KLUBU S-PO-KO – nową nazwę, gdyż w przypadku aktualnej przyjęło się lansowane w Sejmie czytanie „poko” zamiast „peŁo-kaŁo”.

DLA CZŁONKÓW KOMISJI DS. AMBER GOLD – długi urlop. Żeby mieli czas na przygotowanie się do przesłuchań, bo np. taki Tusk Donald to zeżarł ich na surowo bez popitki, tak go zlekceważyli.

DLA CZŁONKÓW KOMISJI DS. WYŁUDZENIA VAT – to samo co dla członków komisji ds. Amber Gold, bo krążą słuchy, że też chcieliby wezwać przed swe oblicza Złego Donalda z Brukseli.

DLA RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO – nowy pomnik w Warszawie. Jak to czyj? Rafała Trzaskowskiego. Rafał jest bowiem postacią bardziej świetlaną niż np. Lech Wałęsa. Nie brał forsy od SB.

DLA WSZYSTKICH PRZEKONANYCH, ŻE ICH PRZYSZŁOŚĆ LEŻY W BRUKSELI, a los odmiennie się już w maju – zestaw Lego Europarlament.

DLA RYSZARDA CZARNECKIEGO – fotel wiceprzewodniczącego parlamentu europejskiego. Wiemy, jak tęskni.

Nowoczesna. Ostatni spłaca dług...



DLA DONALDA TUSKA – konik. Biały koń na biegunach.

DLA GRZEGORZA SCHETYNY – mały podręczny zestaw koalicyjny. To znaczki sztuczne i duża serwetka. Serwetkę zawiązujemy pod szyją, żeby się nie poplamić. Widelcem przytrzymujemy Nowoczesną, podczas gdy nożem odkrawamy smaczne, soczyste kawałki i spokojnie konsumujemy.

DLA PIS – nowy program. Brzmi dziwnie, wiemy, ale to akurat musi załatwić Święty Mikołaj (ewentualnie gwiazdor dla PiS-owców mniej wierzących lub Jezusek dla PiS-owców bardziej wierzących), bo jeśli zostawi się rzecz frakcji profesorskiej, to nigdy nie napiszą.

DLA JACKA KURSKIEGO – całkiem nowy standard badań pomiaru oglądalności. Jesteśmy niecierpliwi, więc trochę naddarliśmy papier i zajrzeliśmy do środka, a tam jak byk stoi, że oglądalność najbardziej rośnie, gdy na pasku jest dowolne zdanie zaczynające się od słów: „Przez osiem lat złodzieje z Platformy...”.

DLA ZBIGNIEWA ZIOBRY – nową Berezę.

DLA WICEPREMIERA JAROSŁAWA GOWINA – jakiś obraz olejny. Może być „Stańczyk” Matejki.

DLA WICEPREMIERA PIOTRA GLIŃSKIEGO – wielki film hollywoodzki. O historii Polski, ale mogłoby też być coś o Glińskim.

DLA ELŻBIETY RAFALSKIEJ – w prezencie nowy wiceminister od pięćsetki, jak czule nazywa sztandarowy rządowy program pani Elżbieta. Poprzednim był Bartosz Marczuk, ale poszedł organizować emerytury kapitałowe i teraz bez niego w resorcie rozpacz, chaos i zgrzytanie zębami.

DLA MARIUSZA BŁASZCZAKA – fort Trump. Gdy już będzie, minister obrony przestanie opowiadać, jak bardzo o niego zabiega – co staje się już trochę męczące.

DLA MICHAŁA DWORCZYKA, szefa kancelarii premiera Mateusza – dwa prezenty. Po pierwsze, kilku radnych opozycji z rozmaitych sejmików, żeby łatwiej było montować koalicje. Po drugie, silna wola.

Czasem mu jej nieco brakuje, tak jak wtedy, gdy deklaruje, że podczas adwentu nie chodzi do mediów, a dzień później widzimy go w programie resortowej bejbi Olejnej.

DLA WICEPREMIER BEŁATY SZYDŁO – robota-kierowcę limuzyny rządowej. Z wbudowanym autopilotem.

DLA PREMIERA MATEUSZA – elektryczny samochodzik na licencji izraelskiej, z brukselskim certyfikatem umożliwiającym poruszanie się po drogach lokalnych i krajowych oraz wyrokiem TSUE zezwalającym na prowadzenie pojazdu po osiągnięciu wieku emerytalnego.

DLA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO – replikator. Żeby mógł się zreplikować, bo jeden Kaczor Dyktator tego wszystkiego nie przypilnuje, potrzebnych jest przynajmniej 20, z tego przynajmniej dwóch przy samym Ziobrze.

DLA PREZYDENTA ANDRZEJA SEBASTIANA – prezentem jest już to, że wymieniamy go na samym końcu, czyli jako najważniejszego. Nie dla wszystkich jest to oczywiste, ale my nie jesteśmy wszyscy.

PS Prezent specjalny dla wszystkich ministrów i szefów rozmaitych urzędów – nowe szumidła. ©©

REKLAMA

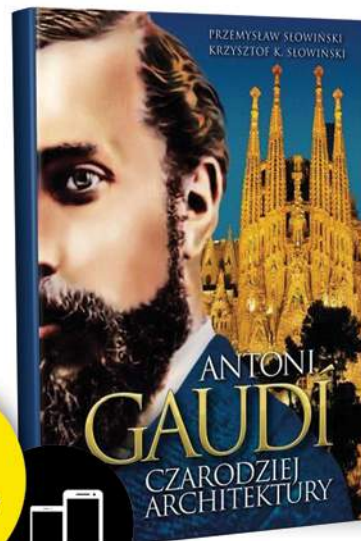
PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
W PREZENCIE KSIĄŻKA
P i K. SŁOWIŃSKY
„ANTONI GAUDI
– CZARODZIEJ ARCHITEKTURY”
+ E-WYDANIE

Cena: 228 zł
Oszczędność: 328 zł

+
e-wydanie



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

„Zwiastowanie”
autorstwa Giovanniego
Antonía Pellegriniego
FOT. ADOBE STOCK

Śledztwo w sprawie Dziewicy



Paweł Lisicki

Przez niemal dwa tysiące lat przekonanie, że Chrystus został urodzony przez kobietę bez udziału mężczyzny, było stałą częścią wiary chrześcijańskiej. Podobnie przyjmowano, że Maryja, jego matka, pozostała dziewicą nie tylko przed narodzinami Jezusa i w ich trakcie, lecz także przez całe swoje życie

Nie budziło to szczególnych kontrowersji. Tego przekonania nie podważali nawet reformatorzy – Marcin Luter i Jan Kalwin – którzy w tej sprawie zachowali wyjątkowo ortodoksyjne podejście.

Prawdziwą zmianę przyniosły dopiero dwa ostatnie stulecia. Najpierw teologowie protestanccy, a od kilkudziesięciu lat również katolicy coraz częściej twierdzą, że Jezus miał naturalnych braci i siostry, którzy przyszli na świat z małżeństwa Maryi i Józefa. Wielu z tych znawców kwestionuje też fakt dziewiczych narodzin samego Jezusa. Charakterystyczne są pod tym względem słowa Johna P. Meiera, amerykańskiego katolickiego biblisty, który

stwierdził, że „dokładne ustalenie początków powstania koncepcji dziewiczego poczęcia pozostaje czymś, z historycznego punktu widzenia, niejasnym”. Dla takich jak on przekazane przez ewangelistów Łukasza i Mateusza opisy narodzin Jezusa są w najlepszym razie ubranym w szaty historycznej opowieści twierdzeniem teologicznym. Doskonale ten sposób podejścia przedstawił niemiecki teolog protestancki, Wolfhart Pannenberg, który napisał, że „współczesny chrześcijanin może w najwyższym stopniu akceptować intencję [...], która była źródłem opowieści o dziewiczych narodzinach Jezusa”, tyle że musi sobie zdawać sprawę z legendarnego charakteru tej opowieści. Miała ona posłu-

żyć wyłącznie wyrażeniu wiary, że Jezus jako Syn przeegzystował w wiecznej istocie Boga. Jeśli tak, to oczywiście tradycyjne rozumienie traciłoby rację bytu. Zamiast z reportażami mielibyśmy do czynienia z pobożnymi zmyśleniami.

NOWA KRYTYKA MA GŁOS

W pewnym stopniu te próby zakwestionowania i podważenia przekazów Nowego Testamentu nie są niczym nowym. Różnej maści racjoniści, odrzucając to, co cudowne i niezwykłe, od wieków próbowali na wszelkie sposoby ośmieszyć zarówno opowieść o tym, że Maryja poczęła Jezusa, będąc dziewicą, jak i dowieść – z jeszcze większą siłą – że Jezus miał naturalne rodzeństwo. Tym jednak, co nowe, jest nie atak na te elementy wiary chrześcijańskiej, ale to, że coraz częściej i coraz wyraźniej takie stanowisko reprezentują, formalnie przynajmniej, chrześcijanie oraz że przyjmując taki punkt widzenia, powołują się na nowe, głębsze i bardziej naukowe odczytanie Pisma Świętego. W ten sposób niemal wszyscy autorzy protestanccy ostatnich dziesięcioleci, i to nawet ci uważani za konserwatywnych, przyjmują, że o ile Jezus narodził się z Dziewicy, o tyle później



Maryja miała z Józefem naturalne dzieci. Katolicy bibliści długo bronili tradycyjnego stanowiska. Jednak do czasu. Obecnie wśród nich, jak pokazał to przypadek Johna P. Meiera, zmiana jest wyraźna. Sam amerykański autor nie wahał się stwierdzić, iż „najbardziej prawdopodobne jest to, że bracia i siostry Jezusa [o których wspomina Nowy Testament] były jego naturalnym rodzeństwem”. Wielu innych teologów katolickich nie zajmuje wprost tak jednoznacznego stanowiska, przyjmując je jednak milcząco, tak jak np. Joachim Gnilk, autor przetłumaczonej na język polski książki „Jezus z Nazaretu”, gdzie po prostu pisze o braciach Pańskich tak, jakby chodziło o braci rodzonych. Oczywiście zaskoczony nieco czytelnik będzie miał problem ze zrozumieniem tego, jak ksiądz katolicki, wierzący, że Maryja była zawsze Dziewicą, może przyjmować jednocześnie, że miała ona dzieci w małżeństwie z Józefem, ale to już pytanie do psychologa.

Ważniejsze jednak jest co innego: Czy faktycznie, jak chcą tego współcześni interpretatorzy, wiara w narodziny z Dziewicy była stosunkowo późna? Czy to ta późna wiara wspólnoty w szczególności charakter samego Jezusa była źródłem powstania opowieści Łukasza i Mateusza? Czy faktycznie opowieści te są tak niespójne i niejasne, bo zawierają legendarną treść? I czy wreszcie to, że w Nowym Testamencie kilkakrotnie mówi się o braciach i siostrach Pana Jezusa, wskazuje na to, że Maryja z pewnością miała naturalne dzieci? Moimi przewodnikami w odczytaniu i zrozumieniu tekstów będzie trzech teologów: Brant Pitre, amerykański biblista, autor niedawno wydanej książki „Jezus i żydowskie korzenie Maryi”, ojciec Thomas J. Lane, autor książki „Katolickie kapłaństwo”, oraz Josef Blinzler, biblista dawno już zmarły, ale niezwykle przenikliwy autor podstawowego dziełka – „Bracia i siostry Jezusa”. Niestety, żadna z tych książek nie została jeszcze przetłumaczona na język polski.

Zacznijmy od samych podstawowych tekstów. Czy faktycznie, jak twierdzą liczni współcześni krytycy, to, że Maryja chciała zostać dziewicą, było tak mało prawdopodobne i tak obce ówczesnej kulturze żydowskiej? Tak utrzymywał choćby Geza Vermes, słynny historyk chrześcijaństwa z Oxfordu, według którego dziewictwo nie było dla Żydów żyjących w epoce Jezusa wartością pozytywną i było w istocie czymś niespotykanym. Jeśli tak, jeśli faktycznie w otoczeniu kulturowym, w którym wychował się i urodził Jezus,

wstrzemięźliwość płciowa była czymś nieznanym, to trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób Maryja miałaby być dziewicą. Według Vermesa i wielu innych idea narodzin z Dziewicy mogła się zatem pojawić wyłącznie z zewnątrz, przysiąc do chrześcijan ze świata pogańskiego. Myśl o narodzinach Mesjasza z Dziewicy była judaizmowi rzekomo obca. Wzięła się stąd, że przypadkowy autor Ewangelii wg św. Mateusza błędnie odczytał prorocstwo proroka Izajasza, w którym mówi się, że Panna, to jest dziewica, urodzi syna, i odniósł je do Maryi. „Rodzice Jezusa, Józef i Maria, byli dobrze znanymi mieszkańcami Nazaretu, gdzie, jak się zdaje, wychowali liczną rodzinę – Jezusa, jego czterech braci: Jakuba, późniejszego przywódcę Kościoła jerozolimskiego, Judę, rzekomego autora jednego z listów znajdujących się w Nowym Testamencie, Józefa i Szymona, jak również kilka anonimowych siostr (Mk 6, 3; Mt 13, 55–56). Nic w Testamencie samo w sobie nie sugerowałoby, że ci mężczyźni i kobiety nie byli w pełni braćmi i siostrami Jezusa. Maria nie jest nazwana Dziewicą nigdzie z wyjątkiem opowiadań o »dzieciństwie«, które dodano później do głównej tradycji ewangelicznej” – pisze Vermes. Jak to często w przypadku tego autora bywa, kategoryczność stwierdzeń ma się nijak do rzeczywistości. Nie ma choćby żadnych dowodów, że opowiadania o „dzieciństwie” powstały później niż pozostałe teksty ewangeliczne. Podobnie nie jest prawdą, że „nic w Testamencie samo w sobie nie sugerowałoby, że ci mężczyźni i kobiety nie byli w pełni braćmi i siostrami Jezusa” – przeciwnie, właśnie w Nowym Testamencie jest bardzo dużo określeń i opisów, które nie tylko sugerują, że Jezus nie miał naturalnego rodzeństwa, lecz wręcz czynią to przeświadczenie niemal pewnym. Po kolei jednak.

NIE ZNAM MĘŻA

Pierwszym tekstem, na który powołują się wszyscy, gdy mowa o dziewictwie Maryi, jest słynny fragment Ewangelii wg św. Łukasza, gdzie święty autor opowiada o Zwiastowaniu.

W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja. Anioł wszedł do Niej i rzekł: »Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą«. Ona zmieszana się na te słowa i rozważała, co miałyby znaczyć to pozdrowienie. Lecz anioł rzekł do Niej: »Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz

**Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca«. Na to Maryja rzekła do anioła: »Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?»«
(Łk 1, 26–34).**

Ten tekst, a szczególnie odpowiedź Maryi: „Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?”, od dawna budzi szyderstwa i kpiny racjonalistycznych krytyków. Jak pisał w swojej pierwszej znanej książce „Jezus, Żyd” Vermes, najprawdopodobniej są to słowa kobiety w okresie jeszcze przed dojrzwaniem płciowym i mogą świadczyć co najwyżej o jej naiwności. Gdzie indziej szydził, że na to pytanie lepiej niż anioł odpowiedziałaby starsza i doświadczona kobieta. Inny radykalny krytyk prawdziwości doniesień ewangelicznych, znany niemiecki teolog ateista Gerd Lüdemann, kpi z tych słów i twierdzi, że cały tekst robi wrażenie niedorzecznego, bo w jaki sposób narzeczona już po zaręczynach miałaby się dziwić temu, iż zajdzie w ciążę, i dopytywać się, jak się to dokona? Takich głosów jest wiele. Wszystkie jednak, jak to jest typowe dla racjonalistów, wynikają z nie dość uważnego odczytania kluczowego, podstawowego tekstu. Bardzo trafnie pokazał to właśnie Brant Pitre.

Otóż zauważa on, że pytanie Maryi: „Jakże mi się to stanie, skoro nie znam męża?” zostało niebyleb szczęśliwie przełożone z oryginału greckiego na wiele języków współczesnych. Faktycznie, w takiej wersji, jaką podają na ogół przekłady, w tym również polska Biblia Tysiąclecia, odpowiedź ciśnie się na usta sama: „Poznasz męża”, i tyle. Oczywiście w biblijnym języku „poznawać” oznacza utrzymywanie relacji seksualnych. Tyle że wbrew wielu współczesnym przekładom Maryja nie pyta o to, jak zajdzie w ciążę, skoro do tej pory nie „znała” pożycia z mężczyzną (pytanie naiwne i dziwaczne w ustach narzeczonej), ale o to, jak zajdzie w ciążę, skoro „nie obcuje z mężczyznami”. Albo dosłowniej: jak może począć dziecko, skoro jest dziewicą i zamierza nią pozostać. Przyznaję państwu, że to całkiem inne pytanie, i każdy, kto się nad nim chwilę zastanowi, będzie musiał dojść do konkluzji, że trudno, chcąc być dziewicą, jednocześnie zostać matką.

Jak zauważa Pitre, stwierdzenie „nie znam męża” należałoby rozumieć jako: „nie utrzymuję relacji seksualnych z mężczyznami”. Po grecku brzmi to „epei andra ou gignosko”. Co ważne i co niknie

W polskim przekładzie, przy słowie „mężczyzna” (gr: aner) nie ma w tekście ewangelicznym rodzajnika określonego, co dodatkowo potwierdza, że pytanie Maryi nie odnosi się do tego, w jaki sposób zajdzie w ciążę z zaręczonym sobie Józefem, ale zawiera treść ogólną: jak pocznie dziecko, skoro nie zna, „nie obcuje cielesnie” z mężem, „mężczyznami”. Jeśli słyszymy kogoś, kto mówi nam, że „nie pali papierosów”, to nie tylko – zauważa amerykański autor – spodziewamy się tego, że w danej chwili nie będzie on trzymał papierosa w ustach, lecz także nie spodziewamy się zobaczyć, jak wydycha kłęby dymu w przyszłości. Takie zdania – „nie palę”, „nie piję alkoholu”, „nie jem mięsa”, „nie uprawiam seksu” – nie tylko opisują stan faktyczny, lecz także przyszłość. Dopiero taki przekład słów Maryi czyni z jej wypowiedzi zdanie w pełni sensowne i nadaje całej scenie spotkania z aniołem sens: „Jakże mi się to stanie, skoro jestem i pozostanę dziewicą” – mówi Maryja. I rzeczywiście, dopiero w takim ujęciu wszystko ma sens.

To, co proponuje tutaj Pitre, nie jest niczym nowym – o tym, że pytanie Maryi wskazuje na to, iż najprawdopodobniej złożyła ona wcześniej ślub wstrzemięźliwości i dlatego jest tak zaskoczona zapowiedzią anioła, pisali już dawno ojcowie Kościoła. Tyle że przynajmniej od XVI w., czyli od czasu komentarza Kalwina, w którym nazwał ją papistowskim wymysłem, liczba zwolenników takiej interpretacji malała. Tak jest i obecnie: zdecydowana większość zarówno katolickich, jak i protestanckich znawców odrzuca takie rozumienie tekstu. W pytaniu Maryi widzą zatem słabość Łukasza, który w niezbyt udolny sposób próbował w naturalną opowieść o narodzinach Jezusa wpleść mit o dziewiczym narodzeniu.

Krytycy ci mieliby rację – stwierdza Pitre – gdyby faktycznie, jak utrzymują, judaizmowi nie było znane pojęcie ślubu dziewictwa i gdyby nie to, że dziewiczość Maryi potwierdza w nie mniej wyraźny sposób ewangelista Mateusz. Najważniejsze pytanie brzmi zatem następująco: Czy Stary Testament zna coś takiego jak ślub dziewictwa czy – jak utrzymuje to wielu współczesnych – jest to rzecz starożytnym Hebrajczykom obca i nieznana? I ściśle z nim związane drugie pytanie: Czy istnieją przekazy historyczne z czasów Jezusa, w których zachowałyby się informacje o Żydach, którzy ślubowali wstrzemięźliwość płciową? Jeśli odpowiedź na te pytania byłaby negatywna – Stary Testa-

ment nic nie mówi o ślubach czystości ani wstrzemięźliwości oraz żadni Żydzi w czasach Jezusa takich ślubów nie składali – to sprawa byłaby jasna i krytycy opowieści Łukasza mogliby ogłosić zwycięstwo. Tak, cała opowieść byłaby niezbyt udaną próbą wprowadzenia do pierwotnego żydowskiego przekazu obcych, pogańskich mitów i naleciałości. Tylko że odpowiedź na oba pytania jest pozytywna!

ZAGINĘŁO W TŁUMACZENIU

Brant Pitre wskazuje na kluczowy z tego punktu widzenia fragment, czyli na cały rozdział 30 w biblijnej Księdze Liczb. Oto zapis najważniejszych wersów w przekładzie z Biblii Tysiąclecia:

Jeżeli jednak ojciec sprzeciwi się, i to w dniu, w którym się dowiedział, wtedy stoją się nieważne wszystkie śluby i zobowiązania, które uczynił. Pan nie poczyta jej tego za winę, ojciec bowiem okazał swój sprzeciw. Gdy jednak wyjdzie za mąż, a jest jeszcze związana ślubem czy nieopatrznie obietnicą swych warg, którą się związała, wtedy ślub i zobowiązanie będą ważne, o ile mąż powiadomiony o tym nie okaże sprzeciwu w dniu, kiedy się dowiedział. [...] Jeżeli jednak mąż, dowiedziawszy się o tym, od razu unieważnił je, wtedy śluby i zobowiązania wyrażone słowami stoją się nieważne. Jest jednak ona bez winy przed Panem, jej śluby bowiem mąż unieważnił. Mąż może unieważnić lub potwierdzić wszelkie śluby i przysięgi żony. Jeśli jednak mąż milczy aż do następnego dnia, tym samym wyraża zgodę na śluby i zobowiązania, jakie uczynił. Wyraził swą zgodę, ponieważ milczał w dniu, w którym się dowiedział. Gdyby unieważnił je po upływie dłuższego czasu od dowiedzenia się, wówczas na niego spadnie cały ciężar winy. Oto są prawa, które podał Pan Mojżeszowi [dotyczące spraw] pomiędzy mężem a żoną, pomiędzy ojcem a jego córką, która jeszcze jako młoda dziewczyna przebywa w domu swego ojca (Lb 30, 6–8, 13–17).

Zapewne czytelnik mojego tekstu będzie teraz nieco zaskoczony. Obiecywałem mu przed chwilą, że przedstawię dowody na istnienie w Starym Testamencie ślubów wstrzemięźliwości, tymczasem najuważniejsze nawet odczytanie przytoczonego przeze mnie fragmentu na nic takiego nie wskazuje. Owszem, czytelnik ma rację, w dziwny sposób w tym tłumaczeniu o wstrzemięźliwości seksualnej mowy nie ma, a cały fragment opisuje ogólnie różnego rodzaju niezbyt jasne zobowiązania, jakie wzięła na siebie kobieta. Pierwsze wrażenie jest takie, że dotyczy to zobowiązań odnoszących się do prawa cywilnego. Jedyne, co z niego wynika istotnego dla naszego badania, to to, że kobieta jest

związana swoim ślubem wtedy, gdy uznał go ojciec lub mąż.

To samo zaskoczenie musi odczuwać czytelnik przy zetknięciu z dwoma innymi najbardziej popularnymi przekładami katolickimi Starego Testamentu, przekładem bp. Kazimierza Romaniuka i Biblią w przekładzie pod egidą Towarzystwa św. Pawła. Ten pierwszy pisze o „zobowiązaniu się kobiety do czegoś” (ale do czego konkretnie?), a ten drugi o „jakimś zobowiązaniu” (jakim?). I w jednym, i drugim przypadku o ślubie czystości nie ma mowy. Ciekawe, że ten kluczowy fragment został przełożony znacznie lepiej w Biblii Jakuba Wujka oraz w tłumaczeniach protestanckich. U Wujka czytamy: „Jeśliby ślubowała i przysięgła się zobowiązać, żeby postem albo wstrzymaniem się od innych rzeczy umartwić siebie, od woli męża będzie zależało, żeby czyniła albo nie czyniła”. A to ten sam fragment z protestanckiej Biblii warszawskiej:

Jeżeli jednak w domu swego męża złożyła ślub lub zobowiązała się przysięgą do wstrzemięźliwości, a jej mąż usłyszy o tym, lecz nie odezwie się do niej i jej się nie sprzeciwi, to ważne będą wszystkie jej śluby i wszystkie zobowiązania, którymi zobowiązała się do wstrzemięźliwości. Jeżeli jednak mąż unieważni je w dniu, kiedy o nich usłyszy, to wtedy wszystko, co wyszło z jej ust, więc jej śluby i zobowiązania do wstrzemięźliwości, nie będą ważne. Mąż je unieważnił, a Pan jej odpuści. Każdy ślub i każdą przysięgę wstrzemięźliwości złożoną w celu umartwienia się może jej mąż zatwierdzić i może unieważnić.

Nie wiem, dlaczego w trzech najbardziej obecnie popularnych katolickich przekładach nie ma słowa o przysiędze ani ślubie wstrzemięźliwości w celu umartwienia, jakim wiązały się w starożytnym Izraelu Żydówki. Faktem jest jednak, że brak tego określenia czyni wyznanie Maryi z Ewangelii wg św. Łukasza mało zrozumiałym. Dlaczego polscy katolicy tłumacze odeszli od tradycji zarówno własnej, jak i protestanckiej oraz od samego źródłowego tekstu, trudno powiedzieć. W każdym razie w tekście oryginalnym, hebrajskim, pojawia się określenie „annoth naphesh”, które oznacza dosłownie „umartwienie się” lub „zaprzeczenie sobie” i które od początku było interpretowane, a pokazują to późniejsze tłumaczenia na aramejski, grecki oraz komentarze rabinów, jako zobowiązanie się do postu i do abstynencji seksualnej.



Nie ma zatem wątpliwości, że udało się znaleźć w Starym Testamencie podstawę, która pozwala zrozumieć słowa Maryi do anioła. Od samego początku, kiedy to napisana została Księga Liczb, a więc setki lat przed narodzeniem Jezusa, zdarzały się Izraelitki, które składały śluby czystości i postu. Co więcej, gdy taki ślub został potwierdzony przez ich ojca lub męża, obowiązywał i nie można się było z niego, bez wzbudzenia gniewu Boga, uwolnić.

Drugim pytaniem, jakie należało sobie zadać – przypomnę – była kwestia historyczna: Czy znane są nam przekazy z epoki Jezusa, które o takich ślubach wspominają? I tu znowu odpowiedź jest pozytywna.

O tym, że wśród żydowskich esenicków praktykowano wieloletnie śluby abstenencji seksualnej, pisze żyjący w drugiej połowie I w. po Chrystusie Józef Flawiusz. Nie mniej istotny jest głos innego ówczesnego żydowskiego autora, Filona z Aleksandrii, który opowiada o żydowskich kobietach znanych z tego, że zachowywały dziewictwo przez całe życie. Najważniejszym tekstem z tego punktu widzenia jest jednak pochodzący z przełomu II i III w. po Chrystusie tekst praw żydowskich, Miszna, w którym wspomina się o tym, że zbyt ekstremalne dążenie do zachowywania wstrzemięźliwości płciowej w małżeństwie może być przyczyną rozwodu. Wszystkie te rozważania pozwalają stwierdzić z jasnością, że Żydom w epoce, kiedy żył Jezus, znane były śluby czystości i dziewictwa oraz że – jeśli taki ślub składała kobieta i został on potwierdzony przez jej męża, w tym przypadku Józefa – był on wiążący.

ZGODA JÓZEFA

Jeśli to odczytanie jest poprawne, to wówczas znaczyłoby to, że również Józef, w chwili, kiedy zdecydował się na zaręczyny z Maryją, musiał o jej ślubie wiedzieć i go potwierdzić. Czy istnieje jakikolwiek znak, że tak właśnie było? Znowu odwołam się do znakomitego komentarza Pitre'a. Pisze on, że zgodnie z ówczesną tradycją żydowską zaręczyny oznaczały już formę małżeństwa, które ostatecznie zostało jedynie dopełnione podczas nocy poślubnej. Zaręczona uchodziła już za małżonkę. Co zatem dokładnie na temat współżycia Józefa i Maryi przekazuje nam Nowy Testament? W tym przypadku trzeba odwołać się do pierwszej ewangelii, wg św. Mateusza.

Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, wpięrow nim zamieszkali razem, znalazła się brzemenną za sprawą Ducha Świętego. Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem sprawiedliwym i nie chciał

narażać Jej na zniesławienie, zamierzał oddać Ją potajemnie. Gdy powziął tę myśl, oto Anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: „Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło. Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów”. A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka: Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy: „Bóg z nami”. Zbudziwszy się ze snu, Józef uczynił tak, jak mu polecił anioł Pański: wziął swoją Małżonkę do siebie, lecz nie zbliżył się do Niej, aż porodziła Syna, któremu nadał imię Jezus (Mt 1, 18–25).

Jak widać, opis ten dokładnie pasuje do wcześniejszego, Łukasza. Maryja poczęła dziecko po zaślubinach z Józefem, ale „wpięrow nim zamieszkali razem”, czyli zanim, zgodnie z ówczesnym prawem żydowskim, małżeństwo zostało skonsumowane. We fragmencie tym znajduje się jedno zdanie, które przez krytyków katolicyzmu było często wykorzystywane jako koronny dowód na nieprawdziwość stałego dziewictwa Maryi. Otóż padają tu słowa, że Józef „nie zbliżył się do Niej, aż porodziła Syna”. Faktycznie, naturalnym sposobem odczytania tego tekstu po polsku byłoby uznanie, że skoro „nie zbliżył się do niej aż do momentu narodzin”, to znaczy, że po nich się do niej zbliżył, co by tłumaczyło pojawienie się na kartach Nowego Testamentu braci Pańskich. Tyle że takie rozumowanie pokazuje nie tyle przenikliwość krytyka, ile jego ignorancję. Josef Blinzler był tym biblistą katolickim, który zebrał kilkanaście przykładów określenia „aż” (gr. heos) w kontekście biblijnym. Otóż inaczej niż na pierwszy rzut oka się wydaje, sformułowanie to miało przede wszystkim podkreślać trwałość danego stanu, a nie jego zmianę po upływie granicznego terminu. Z wielu przykładów przedstawionych przez Blinzlera i Pitre'a wybrałem jeden, który to doskonale obrazuje: „Mikal, córka Saula, była bezdzietna aż do czasu swej śmierci” (2 Sm, 6, 23).

Nikt o zdrowych zmysłach nie rozumiał tego stwierdzenia w ten sposób, że po swej śmierci Mikal zaszła w ciążę i miała dzieci! Dokładnie takie samo znaczenie ma tekst św. Mateusza. Autorowi zależało na tym, żeby pokazać, że Maryja była dziewicą aż do narodzenia Jezusa. O tym, czy później się to zmieniło, z jego słów nie da się, wbrew krytykom, wyciągnąć żadnego wniosku. Natomiast prawdziwie ważna rzecz często czytelnikom umyka.

Inaczej niż w przypadku zwykłych żydowskich par Józef i Maryja nie skonsurowali, zauważa Pitre, swojego związku w noc poślubną. Wyraźnie pisze o tym Mateusz: „Zbudziwszy się ze snu, Józef uczynił tak, jak mu polecił Anioł Pański: wziął swoją Małżonkę do siebie, lecz nie zbliżył się do Niej”.

„Wziąć swą małżonkę do siebie” oznaczało „spełnić akt małżeński”. Mówią o tym wszystkie znane nam przekazy żydowskie z tego okresu. Nawet jeśli Maryja była już wtedy brzemenna, nic nie stało na przeszkodzie, żeby doszło w noc poślubną do konsumpcji małżeństwa. Chyba że Maryja faktycznie złożyła wcześniej ślub dziewictwa, a Józef ten ślub na samym początku małżeństwa zaakceptował, dokładnie tak, jak mówiło o tym prawo w Księdze Liczb. Dlaczego to zrobił? Jest tylko jedna sensowna odpowiedź: uznał za prawdziwe słowa anioła o tym, że to, co Maryja nosi w łonie, jest „z Ducha Świętego”. Skoro tak, skoro jego żona stała się swego rodzaju świątynią zamieszkaną przez Boga lub Arką Przymierza, a to były niewątpliwie pierwsze skojarzenia, które musiały przyjść do głowy pobożnemu Izraelicie z początku I w. po Chrystusie, to nic dziwnego, że zamiast odczuwać pożądanie i doprowadzić do konsumpcji małżeństwa, Józef otoczył Maryję pobożną czcią.

Wydaje się zatem, że kilka rzeczy udało się ustalić. Po pierwsze, w czasach, kiedy żył Pan Jezus, zdarzały się przypadki kobiet, które składały śluby stałego dziewictwa, i to również w małżeństwach. Po drugie, oba teksty niezależnie od siebie, Łukasza i Mateusza, wskazują na to, że taki właśnie ślub dziewictwa złożyła Maryja i że został on zaakceptowany przez jej męża, Józefa. Po trzecie, jeśli odrzucić arbitralne założenie, że opowieści o narodzinach Jezusa są dodane później, to jedynym sensownym wytłumaczeniem zachowania się Maryi i Józefa jest przyjęcie, iż faktycznie poczęła ona bez udziału mężczyzny z Ducha Świętego, a on to zaakceptował. Po czwarte zatem, wynika z tego, że taki sposób patrzenia obecny był wśród pierwszych wyznawców chrześcijańskich. W jaki bowiem inny sposób opowieść o narodzinach z Dziewicy miałaby



■ się pojawić wśród chrześcijan w czasie, kiedy to jeszcze żyli najbliżsi krewni Jezusa? W każdym innym przypadku opowieści Łukasza i Mateusza okazałyby się ciągiem niedorzeczności.

PRZEDSMAK RAJU

Pozostają jeszcze dwa istotne pytania. Pierwsze: Dlaczego Żydzi mieliby się wiązać ślubami dziewictwa? I drugie: Co zrobić z pojawiającymi się kilkakrotnie na kartach Nowego Testamentu braćmi (a we fragmentcie Ewangelii wg św. Marka 6,3 również siostrami) Pańskimi?

Na pierwsze pytanie odpowiedź przynosi sam Nowy Testament. Właściwie są to dwie odpowiedzi i autorem obu jest sam Pan Jezus. W pierwszej, przekazanej przez św. Mateusza, mówi o bezzennych (w oryginale mówi się mocniej, o eunuchach), „którzy dla królestwa Bożego sami pozostali bezzenni” (19, 3–12). W drugiej, u Łukasza, można przeczytać:

Jezus im odpowiedział: „Dzieci tego świata żenią się i za mąż wychodzą. Lecz ci, którzy uznani zostaną za godnych udziału w świecie przyszłym i w powstaniu z martwych, ani się żenić nie będą, ani za mąż wychodzić” (Łk 20, 34–36).

Te słowa, żeby miały sens dla Jego słuchaczy, musiały odwoływać się do czegoś powszechnie znanego i przyjmowanego. Można zatem sądzić, że przyjęcie ślubów dziewictwa w okresie przed przyjściem i narodzinami Jezusa było uważane przez ówczesne Żydówki za szczególną formę wyrzeczenia, które miało na celu przyspieszenie przyjścia obiecanego w prorocztwie Daniela „królestwa Bożego” oraz było przedsmakiem życia wiecznego. W przeciwieństwie do innych ustaleń jest to jedynie hipoteza, ale osadzona na tekstach. Odwołuje się ona do oczekiwań pochodzących z tego samego okresu lub z niewiele późniejszego niż ten, kiedy to żyła Maryja.

BRACIA CZY KUZYN?

Bez dwóch zdań najważniejszym rzekomo dowodem na to, że wskazani w Nowym Testamencie bracia Jezusa byli jego naturalnym rodzeństwem, a więc zapewne dziećmi z naturalnego związku Maryi i Józefa, są same teksty. Najbardziej istotnym z tego punktu widzenia i najwcześniejszym jest fragment Ewangelii wg św. Marka. „Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?” (Mk 6, 3) – pytają zdziwieni czynami Jezusa mieszkańcy Nazaretu. Faktycznie, gdyby wszystko,

czym dysponujemy, ograniczało się do tego przekazu, można byłoby tezę tych krytyków, którzy podważają stałe dziewictwo Maryi, uznać za nie do obalenia. Naturalnie i bez wahania można stwierdzić, że kiedy ktoś mówi o braciach, ma na myśli braci rodzonych, z tej samej krwi, z tej samej matki i ojca. Tyle że to niejedyny fragment, do którego należy się odnieść. W tej samej Ewangelii wg św. Marka w rozdziale 15, opisującym jego śmierć na krzyżu, czytamy, że „były tam również niewiasty, które przypatrzywały się z daleka, między nimi Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba Mniejszego i Józefa, i Salome” (15, 40–41). Zaraz potem dowiadujemy się, że „Maria Magdalena i Maria, matka Józefa, przyglądały się, gdzie Go złożono” (15, 47) oraz że „po upływie szabatu Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa” (Mk 16, 1). Wystarczy zebrać te fragmenty razem i sprawa stanie się jasna: chociaż w rozdziale 6 Marka mówi się o braciach – Jakubie, Józefie, Judzie i Szymonie (po gr. adelphoi), to nie może tu chodzić o rodzonych braci. W końcowych rozdziałach tej samej ewangelii pojawia się bowiem jeszcze raz ta sama dwójka – Jakub i Józef – tyle że tym razem są przypisani Marii, która z pewnością nie jest matką Jezusa. Twierdzenie to jest jeszcze bardziej oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę fakt, którego nie widzą polscy czytelnicy: za każdym razem, kiedy św. Marek pisze o bracie Pańskim, o Józefie, używa rzadkiej formy „Joses”. Tak nazywa go w rozdziale 6 i tak dwukrotnie, pod koniec, kiedy to wymienia go razem z Jakubem jako synów Marii, i osobno, jako jej syna. Ponieważ nie jest możliwe, żeby Maria, o którą tu chodzi, była matką Jezusa – nie można sobie wyobrazić, żeby matkę Jezusa ewangelista przedstawił jako matkę Jakuba i Józefa – musiała to być inna Maria, ta, której synowie uchodzili za braci Pańskich.

Dodajmy kolejne elementy. W języku hebrajskim i aramejskim brat, kuzyn, siostrzeniec opisywani byli jednym określeniem. Kiedy później dokonywano przekładów tekstu Pisma Świętego na grecki, od III w. przed Chrystusem, nawet tam, gdzie z kontekstu wynikało, że nie chodziło o braci, lecz o innych krewnych, tłumacze zachowywali określenie „brat”. Kilkanaście przykładów zebrał Josef Blinzler.

Chociaż zatem istniało w grece osobne słowo „kuzyn” („anepsios”) i chociaż znane było ono autorom Nowego Testamentu, to w przypadku, kiedy opisywali relacje

rodzinne Jezusa, posługiwali się w stosunku do jego męskich krewnych określeniem „brat”. Blinzler wspomina nawet, że we wczesnym Kościele to określenie „bracia Pańscy” było swego rodzaju tytułem honorowym. Chociaż zdawano sobie sprawę z rodzaju pokrewieństwa i z tego, że nie chodzi o naturalnych braci, określenie to było wyrazem szacunku dla najbliższych krewnych. Widać to zresztą doskonale w samej Ewangelii wg św. Marka, który opisuje, że w pewnym momencie „nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posłali po Niego, aby Go przywołać” (3, 31). Nie jest możliwe, co pokazuje cała tradycja żydowska, żeby w ten sposób zwracali się do starszego brata, do pierworodnego, jego bracia młodszy. Podobnie gdyby Jezus miał rodzonych braci, nie można byłoby wyjaśnić słynnej sceny spod krzyża, przekazanej przez św. Jana, w której to Galilejczyk oddaje swoją matkę pod opiekę ukochanemu uczniowi. Takie zachowanie – oddanie matki pod opiekę obcemu człowiekowi, chociaż jeszcze żyją jej naturalne dzieci – nie mieściłoby się ówczesnym w głowie.

Wbrew temu, co utrzymuje wielu krytyków Nowego Testamentu, można zatem pokazać, że katolicka wiara zarówno w narodziny Jezusa z Dziewicy, jak i w jej stałe późniejsze dziewictwo wypływa wprost z najwcześniejszych przekazów Nowego Testamentu. To oczywiście nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu dowód prawdziwości wiary. Ci jednak, którzy ją odrzucają, znajdują się w trudnym położeniu. Muszą wyjaśnić, jak to możliwe, że w środowisku żydowskim, w którym narodziło się chrześcijaństwo, od samego początku obecny był przekaz o dziewiczych narodzinach Jezusa, mimo że wcześniejsza tradycja o tym nie wspominała. I jak to możliwe, że przekaz ten, zapisany przez Łukasza i Mateusza nie później niż pod koniec I w. po Chrystusie, a prawdopodobnie znacznie wcześniej, mógł się tam znaleźć mimo tego, iż we wczesnym Kościele żyli jeszcze, a w Jerozolimie nawet zarządzili Kościołem, „bracia” Pańscy, a sama matka Zbawiciela najprawdopodobniej żyła do połowy I w.? Jeśli ktoś a priori nie odrzuca cudu, to będzie musiał uznać, że najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem powstania opowieści ewangelicznych było to, że są one zwyczajnie prawdziwe i że Maryja poczęła z Ducha Świętego, pozostając dziewicą do końca życia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku składamy wszystkim naszym pracownikom i partnerom życzenia wszelkiej pomyślności i wspaniałych chwil w gronie najbliższych.

Dziękujemy za wspólną pracę oraz życzymy, aby przyszły rok był równie udany, jak ten mijający.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy dzisiejsza Polska jest Polską wymarzoną przez Marka Jurka – bezkompromisowego prawnika?

MAREK JUREK: Marzenia zawsze są na horyzoncie. A realistyczna ocena Polski to z jednej strony świadomość cudu niepodległości („Ale nam się porobiło!” – jak mówił w Sejmie Jan Paweł II), z drugiej – świadomość porażek niepodległej Polski. Te rzeczy nie mogą się przysłaniać nawzajem, bo niepodległość jest i zasadniczą wartością, i zadaniem. A tu porażek jest wiele, choćby demografia i nieprzeprowadzona w czas dekomunizacji. Są także sukcesy: podstawowe instytucje cywilizacji chrześcijańskiej, odbudowa świadomości narodowej. Nowemu pokoleniu polityków życzę więc dwóch rzeczy: żeby zrobili, czego do tej pory nie zrobiono, i żeby zrobili przynajmniej tyle, co ich poprzednicy. Żadne pokolenie nie zrobi wszystkiego, na tym polega historia narodu.

Był pan założycielem i współczestnikiem Ruchu Młodej Polski. Działo tam wielu aktywistów, którzy dziś decydują o kształcie polskiej prawicy. Jak pan wspomina ten okres? Na ile wtedy zahartowała się stal polskiej prawicy?

RMP był pierwszą taką formacją młodej konserwatywnej inteligencji, która sprzeciw wobec systemu komunistycznego i walkę o niepodległość łączyła z wizją przyszłej Polski, opartej na zasadach chrześcijańskich i wartościach narodowych. W naszej akcji łączyliśmy myśl polityczną z zaangażowaniem bieżącym, poczynając od naszych pierwszych akcji – „By Ojciec Święty mógł przyjechać do Polski”, petycji o najszybsze przyjęcie papieża w ojczyźnie (komuniści zablokowali jego przyjazd na uroczystości św. Stanisława) i „Nauczania bez kłamstwa”, czyli pomocy nauczycielom chcącym przekazywać w szkołach tradycję narodową, prawdziwą historię.

Już w wolnej Polsce współtworzył pan ZChN, które nawiązywało do idei chadeckich i endeckich. Krytycznie odnosiliście się do planu Balcerowicza. Czy obecny rząd PiS zdołał pańskim zdaniem naprawić wszystkie krzywdy, wynikające ze skutków ubocznych transformacji? Czy partia Kaczyńskiego zrealizowała socjalne postulaty, głoszone przez ZChN na początku lat 90.?

„Rodzina 500+” to niewątpliwie wielki sukces rządu, ale również społeczeństwa. Proszę pamiętać, że jeszcze 10–12 lat temu PiS nie chciał realizować takiego programu. Prawica Rzeczypospolitej musiała walczyć (z sukcesem) o podwo-



Z Markiem Jurkiem, europosem, byłym marszałkiem Sejmu rozmawia Maciej Pieczyński

Czas na konserwatywną korektę

jenie propozycji ulgi w PIT na dziecko, podniesienie z 50 zł do 100 zł. Jeśli zaś chodzi o czasy wcześniejsze, o Balcerowicza, to nasza krytyka nie miała charakteru socjalnego, ale gospodarczego. Byliśmy przeciw biernemu wsparciu dla budowy fortun nomenklatury i przeciw jednostronnej stawce na kapitał zagraniczny. Również przeciwko takim destrukcyjnym pomysłom jak tzw. Narodowe Fundusze Inwestycyjne.

Ile z postulatów ZChN udało się w tej czy innej formie zrealizować na przestrzeni ćwierćwiecza wolnej Polski?

U progu niepodległości odbudowaliśmy podstawowe instytucje cywilizacji chrześcijańskiej, których istnienie dziś wydaje się oczywiste, ale wtedy nie było. Ochrona życia, media katolickie, katechizacja szkolna przez jednych były atakowane, przez innych traktowane jako sprawy trzeciorzędne. Politycy z naszego grona w Krajowej Radzie RiTV (przede wszystkim prof. Ryszard Bender) starali się o ogólnopolską koncesję Radia Maryja i inne media katolickie, my wspieraliśmy prezesurę Wiesława Walendziaka, który zmienił TVP w latach 1994–1996. To tam pokazała się szerszej opinii plejada najważniejszych

dziś prawicowych dziennikarzy. Trzeba jednak pamiętać, że ZChN tworzyło bardzo wielu różnych ludzi o głębszych i płytszych motywacjach.

Czy taką przypadkową osobą był Stefan Niesiołowski?

Jego wuj, Tadeusz Łabędzki, został zamordowany jako jeden z przywódców antykomunistycznego podziemia, a i Stefan miał potem bardzo dobrą kartę. Jego późniejsza droga to dla mnie rzecz równie niepojęta, co bolesna.

FOT. ANDRZEJ WIKTOR/FORUM



Członkiem założycielem ZChN był również Michał Kamiński, z którym w 1999 r. pojechał pan na spotkanie z Augustem Pinochetem. Dzisiaj jest on „europejskim demokratą” i wojującym antyprawicowcem... Pański dawny kolega partyjny okazał się koniunkturalistą?

W międzyczasie Michał był oddanym politykiem PiS. Gdy zakładaliśmy Prawicę Rzeczypospolitej, zrobił naprawdę dużo, by przekonać wielu naszych wspólnych kolegów o niesłuszności naszej krytyki.

W 2002 r., wraz ze swoim ówczesnym ugrupowaniem Przymierze Prawicy, dołączył pan do PiS. Na zjeździe partii wraz z mniejszością działaczy opowiedział się pan przeciwko uchwaleniu wzywającej do głosowania za wstąpieniem do UE w referendum. Nie żałuje pan z perspektywy czasu?

Dzisiaj tamto stanowisko jest dla mnie jeszcze bardziej oczywiste niż wówczas. Swoje przemówienie na zjeździe, który o tym decydował, zakończyłem stwierdzeniem, że „wolałbym popierać Europę zjednoczoną na rzecz prawa natury, niż zwalczać Europę zjednoczoną przeciwko niemu”, i że „bardzo bym chciał Europy przeciwdziałającej solidarnie politycznym zagrożeniom zewnętrznym i moralnym zagrożeniom wewnętrznym. Europy odzyskującej miejsce w świecie, które miała jeszcze nie tak dawno, kiedy nie tylko Ameryka, lecz także Francja czy Portugalia stawiały opór ekspansji komunizmu w świecie.

Jednak dziś najuczciwsze, co polska opinia katolicka

może powiedzieć Europie o stanie Europy i jej politycznych tendencjach, to nasze referendalne nie”. Wszystko, co wtedy mówiłem, potwierdziło się nie jako prognoza, ale po prostu jako opis unijnego status quo.

Czy mamy dziś dobry moment na to, by rozpocząć dyskusję na temat sensu naszej obecności w Unii?

O polexicie mówi dziś głównie liberalna opozycja, aby tym sposobem straszyć Polaków widmem międzynarodowej izolacji. Tymczasem nasz rząd nie prowadzi żadnej metodycznej opozycji wobec władz Unii, to Frans Timmermans atakuje władze Rzeczypospolitej, a wielu przywódców obozu lewicowo-liberalnego atakuje często wprost polskie społeczeństwo. Decyzja o wejściu do Unii miała charakter narodowy, dziś w niej jesteśmy (co więcej, nie tylko my, lecz także wszystkie bliskie nam państwa) i trzeba budować nasz wpływ, przeciwstawiając się wszystkiemu, co w Europie trzeba zmienić. Na szczęście przez Europę – od Szwecji do Włoch – idzie fala zmian. I szkoda, że nasz rząd dalej prowadzi politykę „dostosowawczą”, potwierdzając w Deklaracji rzymskiej horyzont likwidacji walut narodowych czy – w przemówieniu premiera w Strasburgu – popierając budowę armii europejskiej.

Niektórzy twierdzą, że PiS i PO różnią się od siebie tylko retoryką...

Te partie się różnią, ale ich klótnie często tworzą gęstą zasłonę dymną dla tego, w czym się zgadzają. Obie przyjmowały traktat lizboński z jego nową definicją tzw. wartości Unii Europejskich oraz z radykalnym osłabieniem pozycji Polski i Europy Środkowej. To dlatego nasze kraje nie są w stanie zablokować w Radzie Europejskiej kosztownych programów antyprzemysłowych. Obie partie odrzucały projekt „Stop aborcji”, a teraz blokują projekt „Zatrzymaj aborcję”. Są również różnice o charakterze retorycznym. PiS wprowadził był przeciw genderowej konwencji stambulskiej, ale teraz ją akceptuje.

Część osób mówi, że PiS nie jest partią prawniczą, tylko socjalistyczną.

Według kategorii René Rémonda PiS to radykalna centroprawica, wojownicza retoryka, pasja władzy, a jednocześnie akceptacja liberalnego status quo. Modelowo to bliskie bawarskiej CSU,

■ a szczególnie francuskim gaullistom. PiS nie jest żadnym socjalizmem, ale nie jest też konserwatywną alternatywą dla liberalizmu. A przede wszystkim ma problemy z solidarnością, bo partie tego typu przedstawiają się jako organy jedności narodu.

A czy tę alternatywę stanowi ugrupowanie Pawła Kukiza, z którym podjął pan współpracę?

Współpracuję z ruchem Kukiz'15 i Prawicą Rzeczypospolitej. Dla samego Pawła mam wielkie uznanie, że swą kampanią prezydencką (i potem parlamentarną) obronił wolność opinii publicznej, uniemożliwiając zamknięcie życia publicznego w systemie PO-PiS. To jego historyczna zasługa. Natomiast mam wrażenie, że Paweł żywi przesadną wiarę, iż demokracja bezpośrednia automatycznie wyprodukuje dobro publiczne, tak jak „niewidzialna ręka rynku” dobrobyt. Tymczasem demokracja bezpośrednia to bardzo ważna instytucja, ale tylko instytucja. Polityka jest dziełem ludzi i narodów, instytucje mogą ją tylko ułatwiać (choć mogą też bardzo utrudniać). Dlatego bar-

Sprzeciw wobec PiS rykoszetem uderza w wartości, na które PiS się w polityce powołuje

dzo zachęcam Pawła Kukiza do budowy szerokiego patriotycznego frontu republikańskiego, łączenia różnych środowisk oddanych dobru wspólnemu. Natomiast on sam musi odpowiedzieć na pytanie: Czy opinię chrześcijańską będzie traktował jak konieczny element takiego frontu (konieczny, a więc taki, którego poglądy wpływają istotnie na wspólną politykę), czy tak jak PiS, jak masę wyborczą?

Już kilku działaczy ruchu Kukiza przeszło do partii Janusza Korwin-Mikkego. Jaką przyszłość widzi pan przed wolnościowcami?

Janusza Korwin-Mikkego znam od ponad 30 lat. Jego działalność polityczna to nieustający festiwal libertariańskiej kontestacji, choć czasami jej koszty bywają wysokie. Przy całej sympatii dla prezesa Korwin-Mikkego – trudno mi traktować jako zwykłe prowokacje jego niektóre wypowiedzi o kobietach czy niepełnosprawnych.

Korwin-Mikke wieczny nie będzie, ale wolnościowcy pewnie zostaną. I mogą skutecznie konkurować z Kukizem o miejsce na scenie politycznej na prawo od PiS.

To nie jest formacja nastawiona na budowanie większości.

A może po prostu na polskiej scenie politycznej nie ma miejsca na żadną skuteczną siłę na prawo od PiS? I nie da rady jej zbudować ani Janusz Korwin-Mikke, ani Paweł Kukiz, ani Marek Jurek?

Prawica chrześcijańska i konserwatywna jest potrzebna nie politykom, lecz także Polsce. Dlatego walczymy o jej obecność. Bez niej jesteśmy skazani na wszystkie konsekwencje dzisiejszego postrepublikańskiego liberalizmu i eurokonformizmu polityków. Dzisiejsza polizbońska Europa albo „pakt Lipiński-Bodnar”, czyli pozostawienie w mocy konwencji stambulskiej, to tego przykłady. Jeśli chcemy to zmienić, wówczas musimy zmienić politykę. A konserwatywną korektę musimy uruchomić jak najszybciej. Przecież już dziś widzimy, że sprzeciw wobec PiS rykoszetem uderza w wartości, na które PiS w swych walkach wyborczych się powołuje. Najbardziej fatalny przykład to czarna rewolucja. Polska zaś musi konsekwentnie budować opinię chrześcijańską w Europie (temu służy zgłoszony przez Prawicę Rzeczypospolitej projekt Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny). Musimy konsekwentnie przeciwdziałać kryzysowi demograficznemu. Musimy bronić też praw opinii publicznej przed ujarzmieniem jej przez partyjne centra. To zresztą leży również w interesie samych partii politycznych, które dziś nie odgrywają konstytucyjnej roli ciał pośredniczących.

Czyli co? Polska powinna spróbować zreformować Unię od środka, a jeśli nie, to jedynym wyjściem jest polexit?

W Unii jesteśmy, więc trzeba wpływać na jej politykę. Międzynarodowa Konwencja Praw Rodziny temu np. służy. Jeśli państwa, które nie chcą ratyfikować konwencji stambulskiej, ją przyjmą, to mogą zarówno zawiązać w Unii „wzmocnioną współpracę” (która jest przecież instytucją traktatową), jak i skutecznie przeciwstawić się angażowaniu instytucji Unii w rewolucję gender. Od wielu lat powtarzam, że europejska solidarność bezpieczeństwa nie polega na tworzeniu armii europejskiej, ale na wspólnym stanowisku unijnych państw NATO na forum Przymierza i, oczywiście,

na wspieraniu bezpieczeństwa państw, które tego potrzebują. Trzeba zmienić politykę migracyjną Unii, przechodząc do wsparcia dla państw, które naprawdę naszych granic chronią. I trzeba budować – w opozycji do dzisiejszego zaniku pamięci – wspólne potępienie komunizmu i marksizmu, a także traktować solidarność chrześcijańską jako priorytet europejskiej polityki praw człowieka. Te postulaty to horyzont, ale czas będzie sprzyjał ich kolejnej realizacji, poczynwszy już od najbliższych wyborów. Sytuacja w Europie się bowiem zmienia. A PiS sam nie wie, czy chce je wspierać, czy chce po prostu uzyskać aprobatę dla swych rządów ze strony Unii. Zapewnienia przywódców obecnego obozu, że w „sprawie wartości” są z władzami Unii po jednej stronie, hałas w rodzaju: „Chcemy Polski takiej jak Unia Europejska” nie budują miejsca Polski w tym froncie zmian. Orbán prowadzi tu o wiele odważniejszą i owocniejszą politykę.

Czeka nas emocjonujący rok wyborczy. PiS straci władzę czy ją utrzyma?

Stefan Kisielewski mawiał, że przyszłości nie znamy. Jedyne, co znamy, to przeszłość. PiS wrócił do władzy, bo zaczął budować większość. To właśnie porozumienie z Prawicą Rzeczypospolitej w Narodowy Dzień Życia 2012 było pierwszym krokiem w tę stronę. Zawarliśmy je, gdy jeszcze w sondażach prowadziła PO, Jarosław Gowin był w rządzie Donalda Tuska, a liderzy Solidarnej Polski odsyłali PiS do historii. Pół roku przed wyborami w 2015 r. wspólnie z Jarosławem Gowinem pisaliśmy, że aby odsunąć PO od władzy, PiS musi nauczyć się współpracy z innymi ugrupowaniami, „zamienić ekskluzywną kulturę »tylko my« na kulturę solidarności narodowej, współpracy i rozpoznawania zalet partnerów, odnajdywania tego, co łączy, bez szkody dla własnych zasadniczych przekonań”. Sprawdziło się, ale gdy tylko PiS poczuł się silniejszy, ze „zjednoczonej prawicy” zrobił frazes przywoływany przeciw prawicy niezależnej. Gdyby jednak PiS liczył się z tymi, bez których nie miałyby bezwzględnej większości w parlamencie, gdyby po prostu szanował tych wyborców, gdyby Jarosław Kaczyński zdawał sobie sprawę, że stoi na czele nie tylko partii, lecz także wielkiej koalicji społecznej, ustrzegłby się wielu błędów. Szczególnie tych, z których się potem wycofywał. Polityczny hazard zawsze może się źle skończyć. Oby nie kosztem nas wszystkich.



Ciepłych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia, pełnych magicznych chwil
oraz pozytywnej energii w nadchodzącym Nowym Roku

życzy

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo



 **PGNiG**

Dylematy Kaczyńskiego



Piotr Semka

Jarosław Kaczyński w polityce III RP jest od 29 lat. Właśnie stoi przed kolejną misją niemożliwą. Jednak już pokazał, że w polityce nie ma dla niego rzeczy niewykonalnych

Z liderów lat 90. w aktywnej grze są już tylko on i Donald Tusk. Przez lata zmieniała się skala jego aspiracji. Najpierw w latach 1990–2001 walczył o zbudowanie silnej partii prawicy. Potem, w 2005 r., stoczył batalię o prezydenturę dla brata, wygranie wyborów i stworzenie rządu. To się ziściło, ale w dysfunkcyjnej koalicji z LPR i Samoobroną, która potrwała dwa lata. W 2015 r. Jarosław Kaczyński dokonał czegoś, co uznawano za niemożliwe – ponownie odzyskał ośrodek prezydencki i zbudował samodzielny rząd. Wtedy zaczął walczyć, by rząd PiS przetrwał całą kadencję. I ten

cel ma szansę na realizację. Teraz przed nim najbliższa *mission impossible* – przedłużenie władzy na drugą kadencję.

Kaczyński musi dźwigać ciężar swojej skuteczności. Jest jak mistrz Hollywood, od którego oczekuje się, że każdy kolejny film będzie równie dobry lub nawet lepszy od poprzedniego. Przed jakimi problemami i wyborami stanie w nowej kampanii?

PEKNIĘTE PRZESŁANIE

Jeśli konferencja w Jachrance 7 grudnia br. miała być inauguracją nowej kampanii, to przemówienie prezesa było pęknięte na pół.

Mocnym przekazem były słowa, że najbliższe wybory będą walką o wszystko. Podkreślenie, że elementem wolności Polaków musi być poziom życia porównywalny z tym na Zachodzie. Tak samo zdecydowanie zabrzmiały słowa, że Polska powinna być w Unii Europejskiej, ale na zasadach podmiotowych i z własną walutą.

Druga połowa przemówienia – której z racji transmisji dla mediów miało charakter przesłania do Polaków – zabrzmiała dość defensywnie. Była wezwaniem, by PiS nie dał sobie wmówić, że

to on złamał konstytucję, i była przypomnieniem afer Platformy. Ta część miała sens jako przesłanie do partii. Jednak nie zarysowywała haseł, z którymi PiS chce iść do wyborów.

Opowiadanie o grzechach PO kryło w sobie pułapkę. Po pierwsze, świeże afery zawsze mocniej oddziałują na wyobraźnię niż skandale sprzed lat. Po drugie, część twardego elektoratu zareagowała na to kąśliwym pytaniem: Skoro afer w ekipie Tuska było aż tyle, to dlaczego nikt z jej bohaterów jeszcze nie siedzi? Sam casus zatrzymanego Stanisława Gawłowskiego to dla wyborców PiS za mało. Pytają: Gdzie jest program „Cela plus”? PiS sam wyczuł, że Jachranka nie była mocnym akordem otwierającym kampanię.

Krew poczuł Grzegorz Schetyna i natychmiast wniósł o propagandowe głosowanie nad odwołaniem rządu. Z efektowną kontrą wyszedł premier Mateusz Morawiecki i złożył wniosek o wotum zaufania dla rządu. Nawet zwykle krytyczny TVN przyznał, że jest to polityczny majstersztyk PiS.

Premier wykorzystał wystąpienie do wyraźnego przesłania – nie będzie



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/EPORUM

palne i przy okazji dokonał podsumowania osiągnięć rządu.

Jednak kolejne mantry premiera o sukcesach to już za mało. Rządząca partia potrzebuje pilnie nowego kostiumu haseł i stylu. Ostatnie klipy z serii „Praca dla Polski” to krok w dobrym kierunku, ale znów eksponują one głównie osobę szefa rządu.

Tutaj wrażenie nowości mogą uczynić tylko zaskakujący pomysł, odrobina dowcipu i lekkości. Tego na razie brak. Są liczby, słupki i premier.

Platforma w kampanii zapewne skupi się na trzech kierunkach uderzenia. PiS atakowany będzie jako partia polexitu, ugrupowanie aferzystów, i jednocześnie opozycja rozkręcać będzie każdy impuls niezadowolenia społecznego. Niedawna blokada autostrady A2 przez rolników pokazuje, że po przykłady francuskie może sięgnąć każdy.

Partia Jarosława Kaczyńskiego stoi przed groźbą wyjątkowo niezręcznej sytuacji. O ile PO będzie brutalnie dążyła do polaryzacji i konfrontacji, o tyle PiS schładzający swój przekaz wydawać się może błady i reaktywny.

Prezes Prawa i Sprawiedliwości musi się liczyć z tym, że będzie obiektem wielu prowokacji. Jak zwykle jego przeciwnicy celują w najczulszy punkt – pamięć o bracie i traumę smoleńską. „Gazeta Wyborcza” wypytuje ratusz, czy odda zdemontowaną tabliczkę z nazwą ulicy Lecha Kaczyńskiego na aukcję WOŚP Jerzego Owsiaka. Prezydent Rafał Trzaskowski podnosi kwestię referendum w sprawie usunięcia pomnika ofiar 10 kwietnia z placu Piłsudskiego.

Hałaśliwie lansowana jest teza o rozpadzie obozu dobrej zmiany. Do narzucania tej propagandy wysuwani są tradycyjni zaogniczcy PO, tacy jak Kazimierz Marcinkiewicz. Ogłasza on, że w rządzącej partii „jest przerażenie”, „to jest początek końca”.

Ta retoryka zderza się z wciąż wysokimi sondażami – w grudniowym badaniu IBRiS PiS ma 41 proc., a PO tylko 24 proc. Nawet z 7 proc. PSL i 4 proc. SLD daje to łącznie totalnej opozycji tylko 35 proc.

Tyle że Platforma zakłada, iż uda się jej zmienić nastroje, powtarzając swoją kampanię strachu, która półtora miesiąca temu zdobyła dla niej duże miasta.

Wszystko wskazuje na to, że Mateusz Morawiecki po raz kolejny będzie twarzą kampanii. Jednak wielu obserwatorów zwróciło uwagę, że w Jachrance premiera posadzono przy stole prezydialnym obok marszałka Ryszarda Terleckiego („stary” PiS), Zbigniewa Ziobry (Solidarna Polska) i Jarosława Gowina (Porozumienie). Wyglądało to jak przypomnienie szefowi rządu, że jest liderem tylko jednej z sił tworzących obóz.

Ukłony Kaczyńskiego w przemówieniu dla Beaty Szydło mogą wskazywać na większą rolę w kampanii byłej premier. Może to mieć na celu uspokojenie twardego elektoratu, zirytowanego zmiękczeniem linii.

Kolejnym problemem prezesa jest kwestia coraz głośniejsza wewnątrz jego partii, choć bardzo starannie przemilczana na zewnątrz. Chodzi o ostrą rywalizację Morawieckiego i Ziobry. Jest tajemnicą poliszynela, że oba obozy dysponują otoczeniem, które wydaje się prowadzić grę na dyskredytację adwersarza. Trudno ■

podwyżek prądu. Było to konieczne wobec prób wywołania wokół tej sprawy fali protestów. Róża Thun z Platformy tweetowała na początku zeszłego tygodnia: „Prąd u nas będzie 70 proc. droższy. Założymy kamizelki czy przyjmujemy to spokojnie?”. Morawiecki zgasił to możliwe ognisko za-

REKLAMA

Lotteria Świąteczna

WYGRANE
+ że +
HoHoHo!

Weź udział w loterii do 31 grudnia 2018 r.

**28x
5000 zł**

**92x
PREZENT
JUBILERSKI
1000 zł**

**500x
KARTA
PRZEDPŁACONA
200 zł**

4x Toyota AYGO

Zapoznaj się z regulaminem loterii na www.lotteriaswiateczna.pl Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa

■ jednoznacznie stwierdzić, ile jest prawdy w opiniach, że z obu obozów wypływają do mediów niechętnych PiS informacje o potknięciach drugiej strony. Faktem jest, że w partii istnieje przekonanie, iż tak się dzieje naprawdę. I obawa, że w wyniku takich gier cierpi wizerunek partii jako całości.

Kaczyński będzie musiał kontrolować ten konflikt. Na dymisie ani Ziobry, ani Morawieckiego w wyborczym roku raczej go nie stać. To „raczej” nie zamyka ponoć drogi do radykalnych decyzji w razie jakiegos szkodliwego dla partii kolejnego kopniaka w kostkę rywala.

Jak mówi jeden z polityków PiS: „Zakon PC naprawdę serio obawia się, że te wojenki wysadzą nas w powietrze. Jeśli któryś z tej dwójki przekroczy miarę – prezes nie będzie się wahał ani chwili z dymisją. Choć wydaje się, że Morawiecki jako spec od gospodarki jest w lepszej sytuacji, to jeśli prezes nakaze Morawieckiemu powrócić do roli wicepremiera, ten usłucha. Za dużo ma do stracenia, trzaskając drzwiami. A Zbyszek ze swoją Solidarną Polską też nie ma gdzie pójść”.

Innym kłopotem lidera PiS może być obawa przed wizerunkiem grzesznych moralistów. Teraz sukcesy w wyborach samorządowych stworzyły też setki nowych posad dla ludzi z aparatu PiS. W ośmiu sejmikach wojewódzkich zarządom podlegają dziesiątki firm. Każdy przypadek korupcji będzie przez PO przedstawiany jako dowód na zepsucie całego PiS.

Już afera KNF dała totalnej opozycji wiele paliwa. Każda kolejna będzie w czasie kampanii jak nóż w plecy.

Politycy rządzącej partii gorzko żartują, że CBA tak bardzo musi się skupić na pilnowaniu „swoich”, iż nie wystarcza jej sił, by wykrywać afery z udziałem polityków z okolic PO.

FRONDA Z PRAWY

Najświeższym kłopotem prezesa jest powstanie Ruchu Prawdziwa Europa. Samo pojawienie się nowej inicjatywy uznano za wejście o. Tadeusza Rydzyskiego do rywalizacji o liczbę miejsc dla bliskich mu polityków na listach PiS do europarlamentu. Pogłoski o takich targach pojawiały się już w poprzednich latach. Jednak wystąpienia lidera nowej grupy – Mirosława Piotrowskiego – w wideokomentarzach w telewizji Trwam z cyklu „Myśląc Ojczyzna” uderza w PiS wyjątkowo dotkliwie.

„Wiemy także, że najważniejsze decyzje dla naszego kraju podejmowane są przy

ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie, gdzie mieści się siedziba rządzącej partii Prawo i Sprawiedliwość. Podobno o wszystkim decyduje jej prezes Jarosław Kaczyński. Podobno. Czy jednak aby na pewno?” – zastanawia się Piotrowski. Następnie dowodzi, że ważne decyzje dotyczące naszego kraju zapadają poza granicami Polski. I są – jak to określa – „niezwłocznie nad Wisłą implementowane”. Piotrowski opowiada plotki o tym, jak ustawę o IPN zmieniali przedstawiciele polskiego rządu z „oficerami obcego wywiadu”, a ministra Jana Szyszke miano zdymisjonować na wniosek francuskiego premiera.

Jeszcze tak ostro w mediach toruńskich o rządzie PiS i liderze rządzącej partii nie mówiono. Słowa mają swoje konsekwencje. Raz rzucone stają się problemem w polityce. Kaczyński będzie musiał dobrze się zastanowić, czy puścić te słowa mimo uszu, czy stanowczo zareagować. Jednak pójście na zwanie może oznaczać pojawienie się po raz pierwszy od czasu LPR konkurencji dla PiS z prawej strony. Razem z sojuszem Ruchu Narodowego z Partią Wolność – ewentualny blok mający błogosławieństwo z Torunia – może uszczknąć PiS parę cennych punktów procentowych w wyborach do europarlamentu. Można traktować sceptycznie symulacje IBRiS wróżące, że konkurencja z prawej strony pozwoli wygrać eurowybory opozycji, ale uszczknięcie 2–4 proc. jest realne.

A linia przyjęta przez Kaczyńskiego – walki z oskarżeniami o polexit, deklaracje zdecydowanego pozostania w UE, ale na podmiotowych zasadach – podmywana może być przez agresywną postawę Komisji Europejskiej i TSUE. Frans Timmermans będzie prowadził swoją kampanię na szefa Komisji Europejskiej, waląc przez najbliższe miesiące w Polskę jak w bęben. Bez żenady ujawnia swoje przekonanie, że TSUE nie odpuści Polsce mimo ostatnich ustępstw Warszawy. Jak Kaczyński rozwiąże ten problem?

Na to nakłada się rozgoryczenie środowisk katolickich postulujących wprowadzenie zakazu aborcji eugenicznej. Ten konflikt tlił się przez ostatnie trzy lata. Lider PiS z jednej strony sugerował, że nie jest przeciw projektom, z drugiej obawiał się, że naruszenie tzw. kompromisu aborcyjnego wywoła falę czarnych protestów, które postawią rząd w trudnej sytuacji. Być może gdyby sprawę stawiał od początku jasno, mniej byłoby rozczarowań. Dzisiaj objawia się to atakami Wojciecha Cejrowskiego rozprawiającego o Kaczyńskim

„mającym za pazurami krew niewiniątek” i coraz krytyczniejszym wobec rządzącej partii tonem prasy katolickiej, np. „Gościa Niedzielnego”. Posłowie PiS traktujący poważnie sprawę ograniczenia aborcji według przecieków z Jachranki byli nieprzyjemnie poruszeni ultymatywnym tonem, jakim prezes PiS mówił o zamknięciu dyskusji w partii na ten temat.

Rozdarcie wokół tego sporu pojawia się w najgorszym dla prezesa PiS momencie. I czyni pozycję przetargową Torunia jeszcze mocniejszą.

POZOSTAJE „VIRTU”

Kaczyński ma wciąż silne atuty. Pierwszy to osobisty autorytet. W ostatnim roku używał go już parokrotnie – firmując taktyczne odwroty PiS. Tak było z ekspresową zmianą ustawy o IPN pod naciskiem Izraela i USA. Tak było niedawno przy wycofywaniu się z zapisów o wieku 65 lat jako momencie przejścia w stan spoczynku sędziów Sądu Najwyższego.

Kaczyński unika mówienia wprost, ale daje znać, że są to decyzje wynikłe z potrzeby przetrwania pierwszej kadencji i zagwarantowania kolejnej. „Zaufajcie nam” – ten motyw używany był już parę razy. Teraz to zaufanie w twardym elektoracie będzie potrzebne w dwójnasób. Po raz pierwszy od bardzo dawna pojawia się groźba konkurencji z prawej strony. Akurat wtedy, gdy prezes gra o wyjątkowo wysoką stawkę.

Ludwik Dorn wyznał niedawno, że jest rozczarowany Platformą Obywatelską. Zarzucił jej brak rzymskiej cnoty „Virtu”, czyli niepoddawania się mimo niesprzyjających okoliczności. Skoro Platforma jej nie ma, to kto ją posiada? Dorn Anno Domini 2018 tego nie wyjaśnił.

Wystarczy jednak skrzyżować rzadkie słowo „Virtu” z nazwiskiem Dorn, by Internet przypomniał, z kim ta cnota kojarzyła mu się w 2010 r.: „Już w początkach niepodległości wiedziałem, że jest w Polsce dwóch ludzi w wybitnym stopniu posiadających szczególną polityczną cnotę »Virtu«, czyli według Machiavellego odwagę, dzielność i umiejętność wykorzystywania dla ambitnych celów politycznych Fortuny, nieuniknionej zmienności losu. Byli to Adam Michnik i Jarosław Kaczyński”.

Znów na liderze PiS skupione są oczy członków jego partii i nienawiść wrogów. Znów ma być cudotwórcą, który wyczaruje sukces. Potworny to ciężar.

Jarosław Kurski i Adam Michnik w 2011 r., podczas ceremonii przyznania tytułu Człowieka Roku „Gazety Wyborczej”

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

Solidarność Wybiórcza



Wojciech Wybranowski

„Gazeta Wyborcza” kreuje się na „obrońcę wolnych mediów”. Przyjrzelśmy się, jak gazeta Michnika i bliskie jej media solidaryzowały się z dziennikarzami publikującymi materiały niewygodne dla lewicowo-liberalnej władzy

Nie damy się uciszyć. Będziemy walczyć o wolne media” – grzmi w specjalnym oświadczeniu Jarosław Kurski, wicenaczelný „Gazety Wyborczej”. I peroruje z nieskrywanym oburzeniem, że jego gazeta – jak twierdzi – jest niszczona przez rządzący Polską obóz Zjednoczonej Prawicy. Dlaczego? Ponieważ, jak skarży się Kurski, nie otrzymuje tylu rządowych

reklam i ogłoszeń, ile przyznawano jej za rządów PO-PSL, a niektóre spółki z udziałem Skarbu Państwa nie chcą prenumerować tego tytułu.

Apel w obronie „niezależnych mediów” wydało też Towarzystwo Dziennikarskie kierowane przez publicystę „Gazety Wyborczej” Seweryna Blumsztajna i tworzone przez bliskie jej środowisko liberalno-lewicowych publicystów. „Wolność słowa jest w Polsce poważnie zagrożona” – przekonują i proszą o interwencję.

Przejęci dramatycznym wezwaniem sprawdziliśmy, jak jeszcze niedawno wyglądała obrona wolności słowa i niezależności mediów w wydaniu środowiska, które dziś w pełnych frazesów deklamacjach domaga się dziennikarskiej solidarności.

USTA SZEROKO ZAMKNIĘTE

„Gazetą Wyborczą” w ostatnim czasie targają liczne problemy. Sytuacja finansowa zmusiła ją do zamknięcia wielu regionalnych wydań i dodatków,

systematycznie traci czytelników wydań papierowych; w połowie roku zanotowała najniższą sprzedaż w swojej historii. Niedawno musiała przeprosić byłego ministra skarbu Dawida Jackiewicza za publikację, jak uznał sąd, naruszającą jego dobre imię, a także przeprosić PiS za użyty w tekście Wojciecha Czuchnowskiego zwrot „tak działa mafijne państwo”.

Teraz Narodowy Bank Polski, po serii krytycznych wobec niego artykułów „GW” i „Newsweeka”, zwrócił się do sądu o tymczasowe, do czasu rozstrzygnięcia sprawy na etapie procesowym, usunięcie tych publikacji z portali gazet. Rzeczywiście, ten wniosek budzi poważne zastrzeżenia, można go bowiem uznać za próbę tłumienia krytyki prasowej.

Tyle że to ścieżka prawna, z której politycy – również bliscy środowisku „GW” – korzystali już wcześniej. W sierpniu 2015 r. warszawski sąd, na wniosek Ryszarda Kalisza, zakazał tygodnikowi „Do Rzeczy” publikacji

■ materiałów na temat ujawnionej przez nas bulwersującej rozmowy Kalisza z Aleksandrem Kwaśniewskim oraz zażądał usunięcia ze stron „Do Rzeczy” fragmentu tej rozmowy. Wówczas jednak Jarosław Kurski i jego gazeta milczeli. Protestów przeciw uciszaniu niezależnych mediów zabrakło.

Cofnijmy się nieco w czasie do przełomu października i listopada 2012 r. Na portalu Gazeta.pl pojawia się nietypowa sonda. Jej autorzy pytają czytelników, czy wystarczy, by z pracy w redakcji „Rzeczpospolitej” wyrzucić dziennikarza Cezarego Gmyza, czy może obok niego należałoby usunąć również ówczesnego szefa „Rz” Tomasza Wróblewskiego, a może – i to jest trzeci wariant – obok tych dwóch trzeba zwolnić wszystkich dziennikarzy działu krajowego „Rz”.

– Takie wsparcie dostałem od ludzi gazety z Czerskiej, gdy za artykuł śledczy wyleciałem z pracy w „Rzeczpospolitej”. Było z tamtej strony odczuwalne poczucie satysfakcji, że mam problemy, że problemy mają moi koledzy, że to koniec konserwatywnego dziennika – wspomina Cezary Gmyz.

Chodzi o artykuł w „Rz” pt. „Trotyl na wraku tupolewa” ujawniający, że na szczątkach wraku, który rozbił się pod Smoleńskiem, znaleziono cząstki materiałów wybuchowych. Wiele miesięcy później – jesienią 2015 r. – warszawski sąd orzekł, że artykuł dziennikarza był rzetelny i starannie przygotowany. Zanim jednak to nastąpiło, politycy rządzącej koalicji PO-PSL przy medialnym wtórze „GW” i bliskich jej środowisk medialnych przypuścili ostry atak na dziennikarzy ówczesnej „Rz”.

„Chciał tym tekstem podpalić państwo” – grzmiał Seweryn Blumsztajn, jeden z założycieli „GW”, i atakował ówczesnych dziennikarzy „Rz” – „tego typu prawnicy publicyści z góry krytykują instytucje polskiego państwa – efekt i jakość pracy nie ma dla nich żadnego znaczenia, [...] sami skazują się na konfabulację, mnożenie coraz bardziej fantastycznych hipotez” – dodawał.

Z kolei dziennikarka „GW” Agnieszka Kublik wzywała, by Gmyz – co stoi w sprzeczności z podstawowymi zasadami pracy dziennikarskiej – ujawnił swoich informatorów.

„NIE MA GRANIC BEZCZELNOŚCI”

– Nie pamiętam żadnych wyrazów solidarności ze strony środowisk „GW” –



Listopad 2012 r., Cezary Gmyz opuszcza redakcję „Rzeczpospolitej” FOT. K. MAJ/REPORTER

mówi stanowczo Piotr Skwieciński, dziś publicysta „Sieci”, wcześniej związany m.in. z „Rz” i „Uważam Rze”.

Utworzony w 2011 r. przez Pawła Lisickiego i jego współpracowników „Uważam Rze”, często kontestujący poczynania rządzącej wówczas koalicji PO-PSL, przez wiele miesięcy był jednym z najlepiej sprzedających się w Polsce tygodników opinii.

Być może właśnie to było powodem, dla którego część bliskich ówczesnej władzy publicystów dołożyła starań, by konserwatywne pismo solidarnie... zadusić. Latem 2011 r. dziennikarz branżowego pisma „Press” pod pretekstem analizy pozycji rynkowej tygodnika obdzwaniał

**Konserwatywnych dziennikarzy
zaczęto z publicznej TVP
i Polskiego Radia usuwać
już w lutym 2009 r.**

kilku reklamodawców i potencjalnych reklamodawców, dopytując, czy na pewno rozważali, gdzie się ogłaszają, i czy nie przeszkadza im „wizerunek upolitycznionej i skrajnej w opiniach redakcji”.

Reklamodawców „Uważam Rze” nie udało się wystraszyć i pismo przez wiele miesięcy święciło tryumfy. Koniec pisma zaczął się rok później, jesienią 2012 r., kiedy to właściciel pisma Grzegorz Hajdarowicz, prywatnie znajomy ówczesnego rzecznika rządu Pawła Grasia, przeprowadził coś, co można by określić mianem politycznej czystki. Z pracy wyrzucony został Paweł Lisicki (w 2015 r. wygrał w sądzie z Hajdarowiczem), wraz z nim z „URZ” odeszła

zdecydowana większość konserwatywnych dziennikarzy i publicystów.

„GW” opublikowała wówczas obszerny tekst „Uważam, Rze nie ma granic bezczelności”, którego autor Waldemar Kumór bronił... przeprowadzonej w tygodniku politycznej czystki. Ostro krytykował za to tych z publicystów, którzy wskazywali, że działania Hajdarowicza uderzają w niezależność dziennikarską: „Zakrzyczeć fakty, zdrowy rozsądek, obrazić inteligencję. I szantażować – że to atak na wolność słowa, prawdę, demokrację” – perorował publicysta „GW”.

„Gazeta Wyborcza” nie była jedyną, która w 2012 r., gdy niszczone niewygodne dla ówczesnej władzy „Uważam Rze”, postanowiła udowodnić, że solidarność dziennikarska i wolność słowa są dla lewicowo-liberalnych dziennikarzy jedynie sloganem, wytrychem służącym obronie własnych interesów

„W »Uważam Rze«, a dokładniej w Presspublic Grzegorza Hajdarowicza, stało się to, co stać się musiało” – przekonywał Tomasz Lis, redaktor naczelny „Newsweeka”, na portalu NaTemat.pl, a Jacek Żakowski, publicysta „Polityki”, w TVP1 dodawał: „Uważam Rze” to sukces intelektualny. Żałuję, że ten wytwór Waszej kreatywności został zniszczony. [...] Ale należy porozmawiać o tym, jakiego rodzaju dziennikarstwo było finansowane za publiczne pieniądze” – mówił.

Z chóru pełnych satysfakcji głosów wyłamali się wówczas publicyści „GW”: Paweł Wroński i Dominika Wielowieyska.

„DEPISYZACJA MEDIÓW”

„PiS-owski”, „prawicowy” – tak często dziennikarze niedawnego lewicowego mainstreamu określają, zwłaszcza w mediach społecznościowych, dzienni-



Akcja ABW w redakcji tygodnika „Wprost”,
7 maja 2014 r. FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

karzy konserwatywnych. W okresie rządów Donalda Tuska takie etykietowanie stało się też wygodnym pretekstem do usunięcia z mediów publicznych dziennikarzy niewygodnych ówczesnej władzy.

„DePiSyzacja szybko” – tak do czystki m.in. w mediach publicznych nawoływał w grudniu 2007 r., po wyborach wygranych przez Platformę Obywatelską, Adam Szostkiewicz, publicysta „Polityki”. Na realizację apelu nie trzeba było długo czekać. Konserwatywnych dziennikarzy zaczęto z publicznej TVP i Polskiego Radia usuwać już w lutym 2009 r.; na pierwszy ogień poszli m.in.: Agnieszka Romaszewska-Guzy, wówczas dyrektor TV Polonia i Biełsat TV, oraz Igor Zalewski, a także Rafał Ziemkiewicz, wówczas prowadzący „Poranki” w TVP Info. Do 2011 r. z mediów publicznych usunięto też: Bronisława Wildsteina, Jacka i Michała Karnowskich, Anitę Gargas, Joannę Lichocką, Marka Pyzę, Wojciecha Reszczyńskiego, Rafała Brzeskiego, Krzysztofa Skowrońskiego.

„Koniec radia Sakiewicza i Ziemkiewicza” – donosili na łamach „GW” Agnieszka Kublik i Wojciech Czuchnowski, przedstawiając sylwetki dziennikarzy tak, by czytelnik uznał wyrzucenie ich z pracy za zasadne.

Szybko okazało się jednak, że dla części środowiska dziennikarskiego i to było niewystarczające. We wrześniu 2013 r. Kamil Sikora, dziś dziennikarz WP, opublikował na portalu NaTemat.pl tekst, w którym wytykał, że nie wszystkich „niepokornych” dziennikarzy usunięto z telewizji publicznej, wskazywał na Marzenę Paczuska oraz Jana Marię Tomaszewskiego, kuzyna Jarosława Kaczyńskiego. A co z solidarnością dziennikarzy?

– Nie było jej od dawna. Koledzy z „Wyborczej”, którzy dziś wzywają do solidarności, dziwnie nie pamiętają, jak milczeli albo wręcz kibicowali, kiedy z pracy wyrzucono dziennikarzy „Rzeczpospolitej”, „Uważam Rze” czy TVP za poprzedniej władzy – uważa Igor Janke, prezes Instytutu Wolności, wcześniej publicysta m.in. „Rz”. – Żeby było jasne, nie słyszałem też, by moi koledzy z prawej strony solidaryzowali się z tymi, których w ostatnich latach pozbywała się obecna władza – dodaje.

„KTO NIE Z MIECIEM, TEGO...”

Testem tego, jak sami dziennikarze i ich środowiska traktują swoją niezależność i wolność słowa, była w czerwcu 2014 r. akcja ABW przeprowadzona w redakcji tygodnika „Wprost”. Wkroczenie funkcjonariuszy do siedziby tygodnika, próba przeszukania pomieszczeń i zarekwirowania nośników danych mogących zawierać także informacje chronione tajemnicą dziennikarską wywołały spore wzburzenie środowiska dziennikarskiego. Grupa dziennikarzy, m.in. z RMF, TVN24, Radia Zet i „Gazety Wyborczej”, wystosowała mocny list protestacyjny w obronie „Wprost”. „Po raz pierwszy od 1989 r. tak otwarcie władza użyła tajnych służb przeciwko mediom. Nie możemy wobec tego pozostać obojętni” – napisano w nim. A Monika Olejnik, odnosząc się do całego zdarzenia, wygarnęła Donaldowi Tuskowi: „Całe środowisko dziennikarskie jest przeciwko panu”.

„Ja nie jestem. Moniko, kraj, w którym możesz apelować o wolność słowa, pozostaje demokratyczny, choć niedołężny” – hasło do odwrotu rzuciła Ewa Milewicz z „GW”, Jacek Żakowski z „Polityki” na antenie TOK FM dodał: „[...] Z faktu, że grupa

rozhisteryzowanych prawicowych dziennikarzy rzeczywiście doznawała takich uniesień, nie wynika, że całe środowisko zwariowało”.

Równie krytyczne zdanie ma niekryjący lewicowych poglądów dziennikarz Rafał Woś, publicysta „Tygodnika Powszechnego”. Woś, do niedawna dziennikarz „Polityki”, sam przekonał się, jaka jest „solidarność dziennikarska”.

– Jest z nią w Polsce bardzo cienko. Można to pokazać na wielu przykładach. Winą nie obarczałbym pojedynczych osób. Od tego powinny być organizacje branżowe. Niestety, zarówno SDP, jak i Towarzystwo Dziennikarskie zajmują się tropieniem przewin „tych drugih”. Tak jak nie było reakcji SDP na zwalnianie za poglądy z mediów publicznych po 2015 r., tak samo TD nawet się nie zająknęło o mojej sprawie ani o rozpędzeniu działu opinii Gazeta.pl – mówi nam Woś.

Kilka miesięcy temu opublikował on w dziale „Opinie” na portalu Gazeta.pl tekst pt. „Lewico, czas na współpracę z PiS”, po którym został natychmiast brutalnie skrytykowany przez wielu publicystów i komentatorów bliskich dzisiejszej opozycji. Jego rodzima redakcja „Polityki” najpierw się od tekstu Wosia odcięła, a następnie nie przedłużyła z nim kontraktu. A niedługo później spółka Agora, wydawca portalu Gazeta.pl, zawiesiła wydawanie serwisu „Opinii” kierowanego przez Grzegorza Sroczynskiego. Ponoć budził wewnętrzne emocje między portalem a dziennikarzami „GW”, którym miało się nie podobać, że na stronach WWW należących do ich spółki od czasu do czasu oddawano też głos publicystom konserwatywnym, m.in. Piotrowi Skwiecińskiemu i Kamili Baranowskiej. Większość aktywnych w mediach społecznościowych dziennikarzy uznała to za kolejne tłumienie wolności słowa. Jednak nie wszyscy. „I od razu dzień robi się przyjemniejszy! Brawo, »Gazeta Wyborcza«, Gazeta.pl!” – cieszyła się we wpisie na swoim profilu facebookowym dziennikarka „Polityki” Malwina Dziedzic.

– Dziennikarze są na wojnie po dwóch stronach barykady i jedyne, co ich łączy, to wzajemna szczerza, głęboka niechęć i pogarda. Żołnierze wrogich armii raczej nie zwykli solidaryzować się ze sobą – ocenia Igor Janke.



Agnieszka Niewińska

Chwałę ją za styl, krytykują za niemieszanie się do polityki. Większość Polaków ocenia ją dobrze, ale nie chce przyznania pierwszej damie pensji. Jak po trzech latach w nowej roli odnajduje się Agata Kornhauser-Duda?

Zosie Samosie”, czyli panie z Koła Gospodyń Miejskich z Włodawy, w pałacu prezydenckim na spotkaniu z pierwszą damą zjawiły się z lnianym fartuszkem z wyhaftowanym imieniem „Zosia Agata” – w prezencie dla pani prezydentowej. – Pierwsza dama wykazała się poczuciem humoru i dystansem do siebie. Od razu ten nasz fartuszek przymierzyła i zapozowała w nim do zdjęcia – opowiada „Do Rzeczy” Renata Holaczuk, wiceprzewodnicząca Koła Gospodyń Miejskich z Włodawy. Przyznaje, że wysyłając list do Kancelarii Prezydenta, nie sądziły, iż dostaną zaproszenie na spotkanie z pierwszą damą. – Panią prezydentową bardzo zainteresowało to, że nasze koło, założone trzy lata temu przez Elżbietę Wołoszun, to oddolna inicjatywa. Okazało się, że w naszym mieście są zajęcia dla dzieci, młodzieży, seniorów, ale dla nas – kobiet – nie było żadnej oferty. Pozazdrościłyśmy paniom z obszarów wiejskich, które potrafią się zrzęsać, i też powołałyśmy koło gospodyń. Spotykamy się, uczymy wielu rzeczy, prezentujemy naszą działalność na kiermaszach, jesteśmy też aktywne w lokalnym środowisku. A że obserwujemy aktywność pierwszej damy i jej wsparcie dla kół gospodyń wiejskich, uznaliśmy, iż zainteresujemy ją także naszą działalnością – tłumaczy Renata Holaczuk.

Z pałacu prezydenckiego panie z Włodawy wyjechały z jak najlepszymi wrażeniami. – Spotkanie miało trwać około godziny, a przeciągnęło się do dwóch. Pierwsza dama zaproponowała nam nawet zwiedzanie pałacu prezydenckiego. Okazała się osobą niezwykle ciepłą, otwartą, serdeczną, o zdecydowanym charakterze – opowiada Renata Holaczuk.

BEZ ETATU I UBEZPIECZENIA

W okresie przedświątecznym kalendarz pierwszej damy jest szczególnie wypełniony. To wtedy para prezydencka wspiera wiele akcji charytatywnych. Pierwsza dama wzięła udział m.in. w dobroczynnym kiermaszu Stowarzyszenia Małżonków Szefów Misji

Dyplomatycznych. Wraz z prezydentem wsparła Świąteczną Zbiórkę Żywności. Odwiedziła także ośrodek socjoterapeutyczny w Stoczku, gdzie dołączyła do akcji „Kurier Świętego Mikołaja”. Para prezydencka po raz kolejny zachęcała do wsparcia akcji Caritas Wigilijne Dzieło

Dama

Pomocy Dzieciom, przygotowała też Szaletną Paczkę i zaprosiła wolontariuszy do pałacu prezydenckiego.

Ze strony polityków PiS pojawiły się niedawno zapowiedzi, że status pierwszej damy mógłby ulec zmianie, a małżonka prezydenta mogłaby otrzymywać pensję. „Sprawowanie funkcji pierwszej damy to poważne obowiązki, także wagi państwowej. To w gruncie rzeczy praca na pełen etat. Oznacza też osobiste wyrzeczenia. Pani Agata Kornhauser-Duda dla męża i by służyć Polsce, zrezygnowała ze swojej pracy. Podobnie zresztą było w przypadku innych pierwszych dam, dlatego jestem za tym, by pierwsza dama otrzymywała wynagrodzenie” – stwierdził Mateusz Morawiecki w wywiadzie dla „Super Expressu”. Tabloid wyliczył, że rezygnacja z pracy w krakowskim liceum to dla Agaty Kornhauser-Dudy realne straty w przyszłym świadczeniu emerytalnym – po pięcioletniej kadencji może być ono niższe nawet o 400 zł, bo w czasie pełnienia funkcji pierwsza dama nie jest nawet objęta ubezpieczeniem emerytalnym.

Media szybko temat podchwyciły, pisząc o etacie dla pierwszej damy. To jednak pieśń przyszłości, bo – jak mówi „Do Rzeczy” poseł PiS Marek Ast – partia rządząca na razie nie pracuje nad takim projektem.

FOT. JACEK DOMINIŃSKI/REPORTER





Okazuje się też, że niechętnie na pomysł przyznania pensji pierwszej damie patrzą Polacy. W niedawnym sondażu dla serwisu rp.pl 55 proc. ankietowanych było przeciwnych przyznaniu pensji pierwszej damie. Nie podoba się to zwłaszcza kobietom – odsetek ten wyniósł 56 proc. Zaledwie 24 proc. opowiedziało się za wynagrodzeniem dla prezydentowej. To może dziwić, bo pozytywnie pierwszą damę ocenia 41 proc. badanych, a negatywne zdanie o niej ma 27 proc. (badanie Ariadna dla wp.pl z października 2018 r.).

Bartosz Czupryk, specjalista ds. wizerunku i marketingu politycznego, zwraca uwagę, że jeśli wysuwa się postulat

cieplej i serdeczniej, ale trudno jest mówić o wizerunku pierwszej damy, bo niewiele o niej wiemy.

BEZ SESJI I WYWIADÓW

Pierwsza dama stroni od mediów. Nie udziela wywiadów, nie występuje w kolorowych czasopismach. Środowiska kobiece mają jej za złe, że nie zabiera głosu w ich sprawach. W odróżnieniu od poprzednich pierwszych dam Agata Kornhauser-Duda nie przyjęła zaproszenia od Kongresu Kobiet. Feministki krytykowały także to, że nie poparła czarnych protestów.

– Postanowiła nie angażować się w politykę, tylko poświęcić działalności społecznej. Szczególnie interesują ją pro-

portale. Nazywają ją „nową ikoną stylu”. Przyporównują do księżnej Kate i Jackie Kennedy. Media chętnie informują o tym, że eleganckie i klasyczne kreacje pierwszej damy nie są przesadnie drogie oraz zostały zaprojektowane przez rodzimych projektantów. Pierwsza dama ubiera się m.in. w pracowni Doroty Goldpoint czy Eli Piorun. Dzięki niej rozgłos zyskał także Paweł Kuzik, młody łódzki projektant, na którego kolekcje w Internecie natrafiła córka prezydenckiej pary. Projektanci przyznają, że dzięki pierwszej damie więcej osób zainteresowało się ich projektami. Tuż po wizycie brytyjskiej pary książęcej w Polsce w butik Eli Piorun urywały się telefony z pytaniami o to, czy

w cieniu męża

pensji dla pierwszej damy, to należałoby jej rolę dokładniej określić. – Pierwszą damę widziałbym w szerszej działalności społecznej. Mogłaby inicjować działania, zwracać uwagę na problemy konkretnych grup, wnioskować o korzystne rozwiązania – wylicza Czupryk. I dodaje, że w przypadku obecnej pierwszej damy brakuje mu szeroko zakrojonej działalności. – Z perspektywy czasu wydaje się, że najbardziej aktywną pierwszą damą była Jolanta Kwaśniewska. Chciała coś wnieść, chętnie pokazywała się w mediach. W latach 90. jej aktywność to było dla Polaków coś nowego. Kolejne pierwsze damy nie były już tak aktywne, ale pokazywały się w mediach, udzielały wywiadów. Maria Kaczyńska w trudnych sytuacjach potrafiła zabrać głos. Pani Agata Duda w inny sposób pełni swoją funkcję. Przyjęła rolę osoby towarzyszącej prezydentowi. Uczestniczy w zagranicznych wizytach, przyjmuje u nas zagranicznych gości, koronowane głowy. Postanowiła być jednak w cieniu męża. Nie angażuje się w życie polityczne ani społeczne, nie zdradza swoich zapamiętywań na sprawy światopoglądowe. Odbywa spotkania z działaczami społecznymi, wspiera akcje charytatywne, ale bez dużego rozgłosu. Podczas spotkań z głowami innych państw sprawia wrażenie

blemy edukacji, dzieci, niepełnosprawnych oraz oddolne inicjatywy obywateli. Działa dyskretnie – mówi Renata Holaczuk z Koła Gospodyń Miejskich z Włodawy, które podjęło ten temat na spotkaniu z prezydentową. – Pierwsza dama ma własny pomysł na sprawowanie swojej funkcji, nie zajmuje się tym, co piszą media czy jak komentują ją internauci – dodaje.

Katarzyna Chołdżyńska z agencji PR Projekt zwraca uwagę, że dla każdej aktywnej zawodowo kobiety taka radykalna zmiana środowiska, pracy czy miejsca zamieszkania, do jakiej muszą się przystosować pierwsze damy, byłaby poważnym wyzwaniem. – Żadna z pierwszych dam nie jest na to przygotowana. Jedynie Jacqueline Kennedy, wychodząc za mąż, wiedziała, że John Kennedy ma prezydenckie aspiracje, a jej może przypaść rola pierwszej damy – mówi Chołdżyńska. – Nie ma szkoły pierwszych dam, każda z małżonek prezydentów musi wypracować własny styl pełnienia tej funkcji. Agata Kornhauser-Duda odnajduje się w niej coraz lepiej – mówi. I dodaje, że dla wykształconych, niezależnych kobiet, które pracowały zawodowo, szczególnie trudne jest to, że w nowej roli zwraca się uwagę głównie na ich wygląd, strój i ocenia się je nieustannie.

Tutaj akurat Agata Kornhauser-Duda jest chwalona nawet przez plotkarskie

można kupić czerwoną koronkową suknię jej projektu, którą na spotkanie z księżną Kate i księciem Williamem wybrała pierwsza dama.

LEKcje W PAŁACU

– W rozmowie z nami pierwsza dama podkreślała, że zawsze chciała być nauczycielką, i to właśnie za pracę w zawodzie nauczyciela najbardziej tęskni – opowiada o spotkaniu gospodyń z pierwszą damą Renata Holaczuk. Marek Stępski, dyrektor krakowskiego liceum, w którym pracowała pierwsza dama, jeszcze niedawno opowiadał mediom, że Agata Kornhauser-Duda ciągle marzy o powrocie do zawodu i często nieoficjalnie odwiedza swoją szkołę, spotyka się z koleżankami i kolegami z dawnej pracy. Już jako pierwsza dama wolontariacko udzielała lekcji języka niemieckiego uczniom Liceum Polonijnego św. Stanisława Kostki, w którym uczą się potomkowie Polaków ze Wschodu. Ostatnio udziela lekcji w pałacu prezydenckim. Fakt ten potwierdził sam prezydent. „Tak, moja żona uczy społecznie języka niemieckiego” – powiedział. Jak długo funkcja pierwszej damy będzie pracą społeczną? Jak mówi poseł PiS Marek Ast, jeśli pojawi się jakiś projekt dotyczący statusu pierwszej damy, to raczej w kolejnej kadencji.

MARCIN MAKOWSKI: Czy szykuje się pani do powrotu do Telewizji Polskiej? Życzliwi donoszą o „intensywnych spotkaniach” z prezesem Jackiem Kurskim. Podobno miałyby pani zająć jego miejsce.

DOROTA GAWRYLUK: Dobrze pan powiedział: „życzliwi”. Cudzystów jest tutaj potrzebny. Mówi się, że w każdej plotce tkwi ziarno prawdy, ale w przypadku tej plotki owego ziarna zdecydowanie nie widzę.

Jak to sobie pani w takim razie tłumaczy?

Może ktoś chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu? Zaszкодzić mi i pokazać, że szykuje się do objęcia stanowiska z politycznego nadania, przy okazji szkodząc obecnemu prezesowi?

Dobrze. Skąd jednak w takim razie doniesienia o wspólnych kolacjach w miejscach publicznych? Jakiś sobowtór grasuje po mieście?

To mnie w tym wszystkim najbardziej zabolalo i na ten temat myślałam najdłużej. Któż śmie być podobny do mnie i chodzić na pielgrzymki do gmachu TVP? Wszystko mogę wybaczyć, ale to prawdziwy cios w serce (śmiech). To bajki wyssane z palca.

Zdaje sobie pani sprawę z tego, że podobne plotki nie brzmiałyby realnie, gdyby nie powtarzana od jakiegoś czasu teza, że wraz ze zmianą władzy i kłopotami w interesach prezesa Zygmunta Solorza Polsat zrobił się „PiS-owski”?

Na pewno wielu środowiskom zależy, żeby w ten sposób stygmatyzować Polsat i kłamać na temat „upolitycznienia” stacji. Czy to się komuś podoba, czy nie: jedno media budowane są na prawdzie, inne na kłamstwie. Zawsze je w ten sposób dzieliłam i tymi drugimi, które grają nieczysto, wołałabym się nie zajmować. Ten temat nie spędza mi snu z powiek, bo przez lata słyszałam różne odmiany tego samego oskarżenia. Zmieniające się tylko w zależności od aktualnie sprawującego władzę. Zygmunt Solorz nie musi się z nikim układać. Jestem tego świadkiem i w pewnym sensie efektem takiej postawy, bo ze względu na brak ingerencji w charakter naszej anteny mogliśmy zachować polityczną neutralność, na którą ktoś chce dzisiaj położyć rękę. Ta narracja musi mieć swoją „twarz”, ja również pasowałam do teorii o skrócie w prawo, i dalej już poszło.

„Gazeta Wyborcza” i „Newsweek” donoszą, że ręcznie steruje pani anteną Polsat News, spychając na dalszy plan informacje niekorzystne dla PiS.



Z Dorotą Gawryluk, dziennikarką
rozmawia Marcin Makowski

Niezależność Polsatu nie podoba się od dawna



FOT. KUBIEL/POLSAT



Ciekawe, szczególnie że nikt z tych mediów do mnie nie dzwoni ani nie próbuje o nic pytać. Najwyraźniej dominuje w tych mediach jasnowidztwo. Byłam już wcześniej szefową publicystyki i szefową informacji na antenie stacji i jakoś wtedy nikt nie miał uwag do mojego warsztatu. Czytam czasami, że w „Wydarzeniach” nie było jakiegoś tematu albo materiału, sprawdzam potem z ciekawości i – nie spodzianka – jednak był. Słyszałam, że np. przemilczeliśmy aferę KNF, gdy w jednym wydaniu mieliśmy dwa wejścia na ten temat w przeciwieństwie do innych mediów, które faktycznie przedstawiały sprawę Leszka Czarneckiego i Marka Chrzanowskiego marginalnie.

Pozostając przy sprawie KNF. Grzegorz Kowalczyk – prawnik z Częstochowy i jedna z kluczowych postaci afery – zasiada również z rekomendacji Marka Chrzanowskiego w radzie nadzorczej Plus Banku, który wcześniej miał problemy z KNF, a po jego zatrudnieniu skończył się jak ręką odjął. Tak się składa, że ten bank należy do Zygmunta Solorza, z czego część polityków opozycji wyciąga dalsze wnioski o sojuszu z PiS. Czy takie historie nie przeszkadzają pani w pracy? Rozmawia się o tym na korytarzach?

Na ten temat nie rozmawia się po-
kątnie na korytarzach, bo Polsat nie ma
niczego do ukrycia. W sprawie Komis-
ji Nadzoru Finansowego wydaliśmy
oficjalne oświadczenie, odnieśliśmy
się do informacji o mec. Kowalczyku –
w żadnym momencie prawo nie zostało
złamane, nie mamy również żadnych
niejasnych powiązań na sumieniu. Sami
zresztą też o tym informowaliśmy.

**„Newsweek” opisał niedawno „tajemni-
cze” spotkanie Zygmunta Solorza z premierem
Mateuszem Morawieckim, do którego miało dojść
w Świątyni Opatrzności Bożej tydzień przed tym,
zanim Roman Giertych złożył w prokuraturze
zawiadomienie w sprawie afery KNF.**

Po pierwsze, i rzecznik rządu, i nasza
stacja wyjaśniały już, co było przedmio-
tem spotkania, to nie jest moja rola, żeby
to tłumaczyć. Wiem, że Polsat i Zygmunt
Solorz od niemal dwóch lat brali udział
w produkcji filmu na 100-lecie odzys-
kania niepodległości. Zwieńczeniem
prac były premiera w Teatrze Wielkim
i emisja w telewizji, która zgromadzi-
ła ok. 6 mln widzów. Pomijając nawet
to, powinno być czymś normalnym,
że przedstawiciele polskiego biznesu
rozmawiają z politykami, to zupełnie
oczywiste na całym świecie. Ja zajmuję

się dziennikarstwem i nie dziwi mnie, że
reprezentanci polskich firm spotykają się
z administracją, ale raczej że niektórzy
dziennikarze zamiast dziennikarstwa
uprawiają politykę, i to wręcz plemienno-
-walczącą.

**A co z informacjami o sporych przetarasowaniach
kadrowych w telewizji?**

„Czystki” wyglądają tak, że decy-
zją kierownictwa Polsatu w ciągu pół
roku zwolniliśmy jedną osobę, głównie
dlatego, że były na nią skargi od współ-
pracowników i nie chciała z nami nawet
na ten temat rozmawiać. Proszę to po-
równać z innymi mediami, jaka tam jest
skala rotacji. Reszta dziennikarzy, którzy
przestali pracować w Polsat News, zrobi-
ła to na własne życzenie albo przeszła do
innej spółki. Kłamstwa na temat miotły
kadrowej wynikają z bezsilności tych,
którzy je podają dalej. Jestem przekona-
na, że to wszystko było skoordynowane,
ale nawet się nie dziwię. Niezależność
Polsatu zawsze innych bolała, bez wzglę-
du na opcję rządzącą.

**Co w takim razie miała na myśli Dominika
Długosz, z którą pracowała pani jeszcze w starych
„Wiadomościach” TVP, pisząc na Twitterze, że po
rezygnacji z etatu w Polsce nareszcie czuje się
wolna.**

Dominikę Długosz sprowadziłam do
Polsatu. Nie będę komentować jej słów
po 10 latach wspólnej pracy. Można
się rozstać na różne sposoby, ocenę
pozostawiam innym. Dominika miała
propozycję dalszej pracy w Polsce,
ale podjęła decyzję o odejściu. Warto
jednak zwrócić uwagę, czy ktoś ocenia
inne media tak skrupulatnie z polityki
kadrowej jak nas? Mamy przecież pełne
prawo do dobierania sobie pracowników.
Czy my komentujemy każde odejście
np. z „Gazety Wyborczej”, „Polityki” czy
„Newsweeka”? Media nie powinny moim
zdaniem ingerować w swoje wewnętrzne
decyzje, a niektórym chyba się wydaje,
że mają jakieś dziwne prawo do decydo-
wania o tym, co inne media mają mówić
i kogo zatrudniać.

**Cytat z „Newsweeka” na temat Polsatu:
„Reporterzy zapewniali jednak, że rzadko ktoś na-
cisną otwarcie, za to coraz powszechniejsza staje
się autocenzura. – Miałem niedawno dwie setki,
ostrzejszą i letnią. Zdecydowałem, że daję letnią,
bo uznałem, że tego oczekuje ode mnie szefowa –
przyznaje jeden z dziennikarzy. – W moim kanale
zostało może troje ludzi, którzy myślą inaczej”.**

Podobno wystarczy też, że mrugnę
albo zrobię jakiś grymas twarzy, i re-
porterzy wiedzą, jak mają montować
materiał. Gdyby jeszcze ktoś się pod tą
opinią podpisał... Powiem panu szczerze,
że gdybym wiedziała, iż w Polsat News
jest dziennikarz, który autocenzuruje
materiały, toby już u nas nie pracował.
Ktoś, kto nagina się do wyobrażeń tego,
co mogłaby chcieć zobaczyć szefowa,
nie nadaje się do bycia dziennikarzem.
Tak że może rzeczywiście lepiej, żeby ta
osoba się nie ujawniała (śmiech).

Czyli jednak sroga szefowa.

Tutaj mnie pan złapał. Ale już na
poważnie, chodzi o to, że dziennikarz nie
może być tchórzliwy.

**Jak się pani pracuje z Bogdanem Rymanow-
skim? Tutaj też pojawiły się komentarze, że do
Polsatu przechodzi „kryptopisowicz”, który przez
lata znajdował swoją niszę w TVN24.**

No tak, bo każdy, kto stara się my-
śleć szerzej i zadawać tak samo trudne
pytania lewej oraz prawej stronie, dla
części elity medialnej od razu zapisuje
się do PiS. Ba, wystarczy potraktować
polityków z PO i PiS na równi i już jest się
jedną nogą w partii Kaczyńskiego. Jeśli
taka jest definicja „PiS-owca”, to mogę się
do tego grona zapisać. Dla nas trakto-
wanie rozmówców tą samą miarą to po-
 prostu uczciwość intelektualna. Bogdan
Rymanowski to wyjątkowy dziennikarz
i publicysta z najwyższej półki. Pracuje
mi się z nim tak, jak to sobie wyobraża-
łam, czyli bardzo dobrze. Takich ludzi
staram się ściągać do stacji, szukając
możliwie najmocniej zobiektywizowane-
go i różnorodnego przekazu informacji.

**Chciałaby pani stworzyć telewizję dla symetry-
ków? O to chodzi?**

A kim są dzisiaj symetryści? Często
słyszę ten zwrot w charakterze epitetu.

No właśnie. A czy pani tak go odbiera?

Moim zdaniem samo określenie od
początku miało służyć do szufladkowa-
nia i było pejoratywne. Stworzono je
do celu „pałowania” wszystkich inaczej
myślących w mediach, sprowadzając ich
do poziomu dziennikarzy, którzy nie po-
trafią ważyć racji ani dochodzić prawdy.
Przedstawiają tylko dwie równorzędne
opinie i od ich oceny umywają ręce. Ja
tak do dziennikarstwa nie podchodzę.
Uważam, że jeśli któraś ze stron zrobi
coś ewidentnie skandalicznego i mamy

Dowody, to trzeba to pokazywać bez niuansowania i umieć jednoznacznie ocenić. Dlatego nie będę robić telewizji symetrystów w tym znaczeniu, jakie to słowo ma potocznie, bo oznaczałoby to kapitulację z dociekania prawdy, która nie zawsze leży pośrodku. Zwłaszcza patrząc na ręce rządzącym, kimkolwiek by aktualnie byli.

Czy pani zdaniem mamy dzisiaj w Polsce problem z wolnością mediów i wolnością słowa?

Nie wiem. To jest w jakiejś mierze niekończący się problem, bo wolności w przestrzeni publicznej mamy tyle, ile sobie wywalczymy, i nigdy nie można na tym obszarze stwierdzić, że walka została wygrana.

Pytam oczywiście w kontekście listu ambasadora USA Georgette Mosbacher i zamieszania wokół stacji TVN. Wielu dziennikarzy i polityków wskazuje również na łamszenie wolności słowa choćby w przypadku reakcji Adama Glapińskiego na teksty sugerujące powiązania szefa NBP z aferą KNF, w stosunku do których zażądał wycofania z publikacji. Czujesz solidarność zawodową w przypadku podobnych spraw?

Ja mam tę przypadłość, że posiadam stosunkowo dobrą pamięć, a z takimi osobami zawsze są kłopoty. Pamiętam zatem, jak na przestrzeni ostatnich 20 lat dokonywano różnych zakusów na wolność mediów, z interwencją ABW w redakcji tygodnika „Wprost” na czele. Dzisiaj dziennikarze mieniący się obrońcami wolności słowa wtedy o potępieniach władzy za jej naruszanie nie chcieli słyszeć. Mnie natomiast nie podobały się podobne historie ani wczoraj, ani dzisiaj. Każda władza, która zaczyna naruszać swobodę mediów, prędzej czy później z nimi przegrywa. Już abstrahując od tego, jak ta wolność przez media jest wykorzystywana. Na szczęście pod tym względem mamy jeszcze w Polsce dużą różnorodność opinii i z tego się cieszę.

Władza twierdzi, że na razie nie ma mowy o wyciąganiu z szuflady ustawy repolonizującej media. Czy pani zdaniem takie działanie byłoby jednak potrzebne w celu zdźwersyfikowania kapitału właścicielskiego?

To bardzo skomplikowany temat. Gdyby w Polsce nie było takiej wojny propagandowej i politycznego napięcia, na temat repolonizacji i jej możliwych mechanizmów mogłaby się odbyć bardzo wartościowa debata. Niestety, często kończy się na tym, że rządzący, wyciąga-

jąc ten straszak, tę broń wobec mediów z obcym kapitałem, nie potrafią z niej nawet wystrzelić.

A może potrafią, tylko we własne kolano?

Czasami i tak bywa, na szczęście nie jestem od tego, żeby doradzać żadnej z władz, w jaki sposób ma reformować media.

A gdyby faktycznie została pani kiedyś szefową TVP, głębokie reformy byłyby potrzebne? Choćby w stylu prowadzenia „Wiadomości”?

Psucie mediów publicznych trwa nieustannie od początku III RP. Raz jest bardziej jawne, innym razem w białych rękawiczkach. Czy jest różnica, gdy ktoś, popełniając przestępstwo, po fakcie przyniesie poszkodowanemu różę i ona ładnie pachnie? W przypadku mediów publicznych musiałby być zawarty ponadpolityczny pakt, na który się przecież nie zanosi. Nie chcę być jednak częścią chóru, który załamuje ręce nad współczesnym dziennikarstwem.

Czy ma pani przyjaciół w mediach, na przekór barykadom i podziałom politycznym? Czy to jeszcze możliwe?

Prawdziwi dziennikarze, i generalnie wszystkie dojrzałe osoby, potrafią darzyć się szacunkiem bez względu na to, jakie mają poglądy. Osobiście jestem wdzięczna za spotkania z ludźmi, którzy postrzegają świat inaczej, bo przynajmniej mam się od czego odbić. Oczywiście spotykam się z gronem znajomych, którzy mają kompletnie inne myślenie o świecie. I w Polsce mamy takich dziennikarzy, z różnych obszarów światopoglądowego spektrum, bardzo wielu. Jedyna rzecz, której wymagam w pracy, to zostawienie swoich poglądów w szufladzie biurka, gdy wchodzimy na antenę. Tam musimy być wobec polityków tak samo dociekliwi i uczestników debaty traktować w równy sposób.

Gdy już jednak dziennikarz wychodzi z redakcji, czy pani zdaniem jest w tym zawodzie przestrzeń, aby chodzić na manifestacje polityczne, być aktywnym? Tomasz Lis z jednej strony potrafił uczestniczyć w wiecach KOD, z drugiej już jako redaktor recenzować te same wydarzenia z politykami w studiu. Czy to nie jest pomieszanie porządków?

Życie zweryfikuje takie postawy. Czytelnicy i widzowie również. Wydaje mi się, że nie ma sensu rozmawiać o konkretnych osobach, ale politycy, którzy tylko udają, że są dziennikarzami, prędzej

czy później do tej polityki trafią, dlatego nie ma sensu się nimi zajmować.

Media, nie tylko pod względem ideowym, przechodzą obecnie gwałtowną transformację. Czy jako szefowa anteny kanału newsowego nie obawia się pani, że podobnie jak prasa drukowana tradycyjna telewizja chyli się ku upadkowi?

Nie sądzę, aby było tak źle. Na pewno telewizja się zmieni i już widać, w jakim idzie to kierunku. Chodzi o fragmentaryzację treści, dostosowywanie kanałów do konkretnych tematów i formatów telewizyjnych, personalizowanie ich pod kątem oczekiwań widzów, przy uwzględnieniu współpracy z mediami społecznościowymi. Moim zdaniem Internet będzie się uzupełniać z telewizją, a ta druga nie zniknie tak szybko, jak się niektórzy spodziewają. Pamiętam, jak jeszcze 15 lat temu czytałam raporty o tym, jak bardzo skurczy się telewizja. Tymczasem liczba jej odbiorców jakoś radykalnie nie topnieje, ale po prostu się rozprasza po wielu kanałach.

Chociaż nie epatuje pani swoją religijnością, to nie jest ona w środowisku dziennikarskim tajemnicą. Czy bycie postrzeganą przez ten przyzmat może czasami w mediach przeszkadzać?

Odpowiem trochę naokoło. Staram się postępować w pracy tak, aby nie mówić o Bogu, kiedy mnie nie pytają, ale żyć tak, aby mnie o Boga pytano. Szczepie mówiąc, średnio mi się to udaje. Jeśli jednak chodzi o wartości, o których rozmawialiśmy, chciałabym zauważyć, że to nie kwestia religii, ale po prostu pewnych uniwersalnych, ogólnoludzkich wartości. Dla mnie np. zagadnienie aborcji jest sprawą ponadreligijną, wręcz humanitarną. Gdy czasami ktoś mnie pyta, co ukształtowało moje poglądy o wspieraniu zakazu aborcji, odpowiadam, że zdjęcie USG i rozwój medycyny. Podobnie przecież i prof. Zoll, i Rzepliński, głosując w Trybunale Konstytucyjnym za częściowym zakazem aborcji, prawo do życia osób nienarodzonych wywodzili nie z wiary, ale z ogólnoludzkich zasad i pryncypiów.

Nie spotyka pani czasem z powodu poglądów antyaborcyjnych środowiskowy ostracyzm?

Raczej nie, ponieważ nie narzucam swoich poglądów innym, nie zmuszam ich do uznania moich racji ani nie nawracam. Natomiast jeśli już ktoś chce ze mną rozmawiać o aborcji, to zawsze staram się taką rozmowę prowadzić, używając merytorycznych argumentów. Innej drogi

nie widzę. Jako katoliczka nie czuję się w telewizji dyskryminowana, nie będę robić z siebie ofiary. Skoro jednak pan pyta, to odpowiadam, że nigdy również nie wyprę się swojej wiary. To jest piękna sprawa i istota mojego życia.

Myśli pani, że doczekamy się kiedyś filmu Wojciecha Smarzowskiego, ale tym razem nie pod tytułem „Kler”, ale np. „Pismak”? Czy media potrzebują brutalnego, ale jednak rachunku sumienia?

Obawiam się, że taki film mógłby powstać, ale głównie dlatego, że Smarzowski w przypadku „Kleru” zastosował mechanizm, który można użyć w przypadku każdej grupy zawodowej, której haniebne zachowania jednostek uogólnia się do całej grupy. Dziennikarz to również zawód zaufania publicznego, tak jak ksiądz, i pokus też zapewne jest więcej. Z każdej, nawet najgorszej drogi można jednak zawrócić.

Jest pani kobietą, zarządzającą sektorem informacji i publicystyki największej telewizji w Polsce.

Nigdy nie postrzegałam swojej roli przez pryzmat płci. Ten temat w ogóle w moim myśleniu o pracy nie istnieje. Wi-

dzę, że często tak się dzisiaj stara postrzegać i przedstawiać ewentualne konflikty w pracy, jakby to była wojna płci, a kobiety musiały coś nieustannie udowadniać.

Antyfeministka?

W życiu. Antyfeministyczne jest właśnie podkreślanie na każdym kroku, że to, co robię, robię jako kobieta. Jakby to było dziwne. Im dłużej w ten sposób będziemy dzielić role, tym trudniej będzie walczyć ze stereotypami. Lubię pracować z kobietami, zawsze uważałam je za niezwykle silne i profesjonalne osoby. Pytało mnie ostatnio o to samo jedno z pism „dla pań” i aż się zaczynam zastanawiać, czy ja coś muszę przemyśleć na nowo (śmiech). U mnie w firmie decyduje merytoryka, a nie płeć. I tego bym się trzymała.

Da się pani życie i jego tempo połączyć z byciem matką?

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że to łatwe i że jestem święta. Czasu w tej pracy zawsze jest za mało, często po prostu sobie nie radzę. Na szczęście mój syn jest już dorosły, córka ma siedem lat i jest coraz bardziej samodzielna. Sytuacja zmusza mnie jednak do coraz

lepszej organizacji życia i dawania z siebie maksimum.

Zdarzyło się pani poświęcić czas dla rodziny kosztem zdobycia ważnego newsa?

Pyta pan, czy jestem święta? Ależ oczywiście, że nieraz mi się to zdarzało! Nie czułam się z tym dobrze, ale tak było. Przyznaję się bez bicia, ale pocieszam się, że nie dzieje się to często. Hierarchię wartości mam jednak jasną i wiem, co jest najważniejsze.

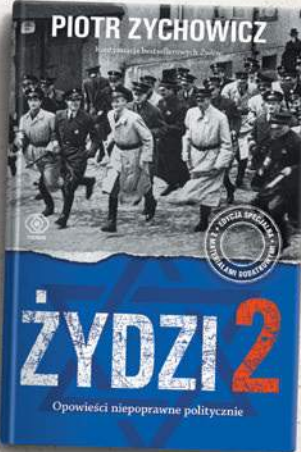
Czy przy pani świątecznym stole jest miejsce na politykę?

Oczywiście, że – tak jak chyba przy każdym w Polsce – jest miejsce na wszystkie tematy. To dla mnie jasne, że ludzie są ciekawi, chcą się czegoś od kuchni dowiedzieć, więc co mogę, to rodzinie opowiadam. Szczególnie ojciec nie daje mi spokoju, bo on żyje polityką. Jadę do domu z pakietem przygotowanych, prostych odpowiedzi, ale on jest strasznym gnębi-cielem i zawsze o każdy szczegół wywiadu czy jakiegoś newsa mnie wypyta (śmiech). Ale po to chyba jako dziennikarze jesteśmy, żeby zaspokajać ludzką ciekawość. Tego się trzymam.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA





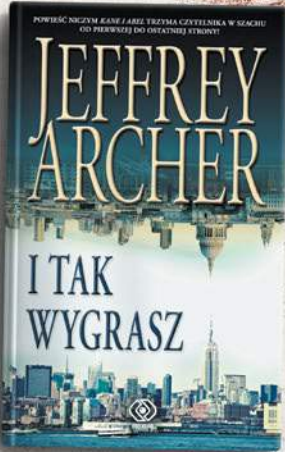
PIOTR ZYCHOWICZ
ŻYDZI 2
Opowieści niepoprawne politycznie

**NOWA KSIĄŻKA
PIOTRA ZYCHOWICZA.
KONTINUACJA
BESTSELLEROWYCH ŻYDÓW**



Robert Frost
**OKSFORDZKA
HISTORIA UNII
POLSKO-LITEWSKIEJ**
Powstanie i rozwój 1385-1569

**HISTORIA JEDNEGO
Z NAJDŁUŻEJ TRWAJĄCYCH
ZWIĄZKÓW POLITYCZNYCH
W HISTORII EUROPY**



**JEFFREY
ARCHER**
**I TAK
WYGRASZ**

**POWIEŚĆ NICZYM KANE I ABEL
TRZYMA CZYTELNIKA
W SZACHU OD PIERWSZEJ
DO OSTATNIEJ STRONY!**



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS



Małgorzata i Waldemar Gujscy w swym dworze w Gałkach zgromadzili wartościowe z punktu widzenia kultury i tożsamości elementy wnętrza

FOT. ARCHIWUM RODZINY GUJSKICH

Dwór, czyli kwintesencja polskości



Maciej Pieczyński

Waldemar i Małgorzata Gujscy odtwarzają kulturę szlachecką dawnej Rzeczypospolitej. Obcokrajowcy odwiedzający dwór w Gałkach są pod wrażeniem, goszcząc w progach XIX-wiecznego salonu

Gałki – to przykład uratowania ginącego dworu, skazanego w PRL na śmierć. To przykład wspaniałej pasji państwa Gujskich, którzy nie tylko uratowali zewnętrzną szatę

budynku, ale zgromadzili wartościowe z punktu widzenia polskiej kultury i tożsamości elementy wnętrza. Organizowane w dworze spotkania: ludzi kultury, artystów, dzieci, turystów zainteresowanych ziemiańską przeszłością, to bardzo ważne elementy promieniowania dworów tymi wartościami, które były charakterystyczne dawniej dla ich właścicieli” – ten opublikowany w Internecie komentarz Macieja Rydla, wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, jest być może najlepszą, z punktu widzenia wierności tradycji, rekomendacją tego, czego dokonali w Gałkach Waldemar i Małgorzata Gujscy.

Z kolei Wojciech Lipczyk swoje wrażenia, wyniesione z odnowionego dworu, przełożył na język poezji:

„Gdy trafisz na dwór do Gałek, w tych siedleckich stronach witany przez imię Gujskiego, zacnego patrona, o nocleg go upraszając dla konia i siebie, to »Czuj Duch« bracie w łozu, bo będąc w potrzebie, zaczniesz wytrzeszczać gałki, widząc w mroku postać ponętnej Rusałki, chcącej się wydostać z pobliskiego stawu, by wniknąć ci do łóża [...] Będziesz miał grzeszne myśli, ale niech Bóg broni, by się miało to wyśnić, bo utoniesz w toni! Tę Dziewicę-topielicę chciał mieć ongiś w mocy dziedzic, by egzekwować »Prawo Pierwszej Nocy«. A owa Dziewica (choć ją nia nie była) nie chciała dać ciała i się utopiła! I taka o niej legenda tu w Gałkach przetrwała, że chociaż Dama dziedzicowi niczego nie dała, odtąd straszy ród męski”.

Wiersz kończy się zabawną puentą: „Więc w imieniu Prawa, wzywam z całej siły, by Damy się poddawały i się nie topiły!”.

POWRÓT DO KORZENI

Waldemar Gujski został jednym z wyróżnionych w organizowanym przez tygodnik „Do Rzeczy” konkursie Strażnik Pamięci, w kategorii „Mecenas”. Wraz z żoną Małgorzatą odrestaurowali szlachecki dwór w Gałkach na pograniczu mazowiecko-podlaskim. Wieś do XVIII w. należała do rodu Gałęckich. Następnie przeszła we władanie Rudzińskich, Popieli, Klickich i Łubieńskich. W 1876 r. powstał murowany dwór, zaprojektowany przez jednego z najbardziej utalentowanych architektów tamtych czasów – Bolesława Pawła Podczaszyńskiego – dla rodziny Krzywińskich. Na początku XX w. właścicielem majątku został Władysław Kraśniewski. W latach 30. dziedzic wziął kredyt i zainwestował w hodowlę ryb. Chłopi spuścili mu wodę ze stawów. Gdy nad ranem pobiegł sprawdzić, co się stało, i zobaczył tony płynących ryb z niemal już całkiem osuszonego akwenu, zrozumiał, że jest bankrutem. Podobno zemdłał na ten widok. Posiadłość została zlicytowana za długi, rozparcelowana. Dlatego też nie ma wobec niej żadnych roszczeń reprivatyzacyjnych. Po wojnie majątek został przejęty przez PGR.

Waldemar i Małgorzata Gujscy wspominają, że gdy po raz pierwszy przyjechali do Gałek, ich oczom ukazał się obraz nędzy i rozpaczy. To była agonia polskiego dworu. Z zewnątrz prawie nie było go widać – do tego stopnia był zarośnięty drzewami. Zanim jeszcze Gujscy przekroczyli próg dworu, ze środka wytoczyło się dwóch pijanych mężczyzn i wybiegła koza. W środku okna zabite deskami, wszechobecny grzyb, na podłodze porozrzucane węgiel i drewno. W miejscu, które kiedyś służyło jako salon, gotowane były kartofle dla świń. Małgorzata Gujska była przerażona. Krzyknęła: „Wszystko, tylko nie to!”. Wiedziała jednak, że jeśli jej mąż się uprze, nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

Dzisiaj oboje są prawnikami. Ona – radcą prawnym, on – adwokatem. Jednak w czasach, gdy jeszcze robili aplikacje, mieszkali kątem u matki chrzestnej pani Małgorzaty, w kamienicy na warszawskiej Pradze. Nie było ciepłej wody, codziennie rano trzeba było palić w piecu. Już wtedy Waldemar Gujski powtarzał: „Doczekamy

lepszyc czasów, jeszcze będziemy mieszkali we dworze”. Wtedy brzmiało to jak abstrakcja. Dziś jest rzeczywistością.

Dwór był od bardzo dawna wielkim marzeniem mec. Gujskiego. – Wszystkim znajomym o tym na okrągło opowiadał – śmieje się pani Małgorzata. Skąd ta pasja? Zapewne najkrótsza, najbardziej lakoniczna odpowiedź powinna brzmieć: „z poczucia patriotyzmu”. – Nie chcę używać górnolotnych słów, ale dwór naprawdę jest kwintesencją polskości – mówi Waldemar Gujski. – To właśnie na dworze kształtowała się polska tożsamość, polskie jestestwo. Tu rodzili się i wychowali najwięksi z Polaków. Tu podczas zrywów niepodległościowych przeciwko zaborcom powstańcy znajdowali schronienie. Po insurekcji kościuszkowskiej biorący w niej udział Gałeccy musieli zmienić nazwisko na Gałka, by uniknąć prześladowań ze strony caratu. Gdy Gałki należały do rodu Klickich, babcia Teofila zapraszała do siebie okoliczne panny, które uczyła robót szydełkowych i haftów. Te piękności były sprzedawane na rynku w Krakowie. Babcia za użyte w tej sposób pieniądze kupowała amunicję, którą przekazywała do okolicznego kościoła, do wykorzystania przy okazji kolejnego powstania. W czasach zaboru rosyjskiego we dworze organizowano wieczory z poezją i prozą patriotyczną. Żeby nikt postronny nie mógł zauważyć i donieść ochranie, zasłaniano okna i pozorowano seanse spirytystyczne – opowiada z dumą właściciel dworu.

Mecenas Gujski konsekwentnie dążył do realizacji swojego oryginalnego marzenia. Gdy tylko sytuacja materialna pozwalała na wyprowadzkę z ciasnych kątów kamienicy na Pradze, wybudował swój pierwszy dom. Jak nietrudno się domyślić, była to willa stylizowana na szlachecki dwór. Następnie przyszedł czas na prawdziwe przenosiny w czasie i przestrzeni do epoki szabli i kontusza. Państwo Gujscy długo szukali dworu, który mogliby odrestaurować i w nim zamieszkać. Ciągnęło ich przede wszystkim na wschód – na pogranicze Mazowsza i Podlasia. Dla obojga to był powrót do korzeni. Oboje mają w tych stronach rodzinę. Oboje mogą się też pochwalic rodowodem, który uprawnia do zarządzania dworem. – Wywodzi się z drobnej podlaskiej szlachty – wspomina Małgorzata Gujska.

– Jeszcze w latach 60. był wyraźny podział na wieś „szlachecką” i „włościańską”, „chłopską”. W mojej rodzinie mówi-

ło się z dumą: „Może żyjemy biednie, ale jesteśmy herbowi”. Ale herb i klejnot to nie tylko majątek, to przede wszystkim wychowanie w poszanowaniu konkretnych wartości, takich jak honor, prawdomówność, gotowość do pomagania innym, szacunek do starszych i niepełnosprawnych. Jeśli ktoś umarł, cała wieś modliła się za jego duszę. Również na wesele zapraszano wszystkich mieszkańców. Szlachta trzymała się razem – dodaje pani Małgorzata. Ona sama wychowała się już w Warszawie, a swoją podlaską rodzinę odwiedzała w wakacje. Przy czym zasady szlacheckiego wychowania od dziecka wpajała jej już wspomniana matka chrzestna, która, choć żyła biednie w praskiej kamienicy, nie zapomniała, że ma szlacheckie korzenie. I starała się arystokratycznych manier nauczyć również Małgorzatę. Uczyła ją m.in. grać na pianinie, zgodnie z wymaganiami stawianymi młodym panienkom z dobrego domu.

Z kolei rodzina Gujskich otrzymała ziemię pod Kałuszynem już w XV w., z nadania księcia Konrada III Rudego. W zamian mieli bronić Mazowsza (wówczas lenna polskiego) przed najazdami Litwinów. Ich ziemię rozciągały się nad rzeką Liw, stąd też herb Doliwa. – Wiem też na pewno, że część moich przodków uciekła na Mazowsze przed prześladowaniami ze strony Krzyżaków – dodaje Waldemar Gujski. Mecenas mógłby godzinami opisywać swoje drzewo genealogiczne. W tym momencie naszej rozmowy ucina pani Małgorzata: – A co ty, całą historię rodziny chcesz opowiadać?! – strofuje męża. Właśnie w ten sposób Gujscy się uzupełniają: on snuje wielkie wizje, ona dba o to, by w odpowiednim momencie sprowadzić niepoprawnego marzyciela na ziemię. Oboje są jednak zgodni: nieuświadomiona tęsknota do szlacheckiej przeszłości odzwierciedla się w każdym, to tylko kwestia czasu.

Małgorzata i Waldemar studiowali prawo na jednym roku. Poznali się jednak, jak przystało na zapatrzonych w przeszłość konserwatystów, na pielgrzymce do Częstochowy. Reakcja rodziców była całkowicie zgodna ze szlacheckim kanonem: – Mama, bardzo delikatnie, by nie urazić, ale jednak wypytywała mnie, czy wiem, co to za człowiek, z jakiej rodziny, czy to są ludzie honorowi... – wspomina pani Małgorzata.

Dzisiaj Gujscy mają córkę Olę, syna Jędrzeja, wnuków Fryderyka i Brunona oraz wnuczkę Laurę. Zwłaszcza Fryderyk uległ szlacheckiej fascynacji dziadka. Chętnie



Gujscy do swojego dworu zapraszają znajomych, przebijają się w historyczne stroje i pod czujnym okiem gospodarza pojedynkują na szpady i szable. FOT. ARCHIWUM RODZINY GUJSKICH

■ sam oprowadza gości po dworskich komnatach. Sprowadza też kolegów – przebijają się w historyczne stroje i pod czujnym okiem gospodarza pojedynkują na zabytkowe szpady i szable. Jak zapewniają Gujscy, dzieci są tak pochłonięte tą podróżą w czasie, że zazwyczaj przez cały pobyt nie zdarza im się sięgnąć po komórkę.

Z POPIOŁÓW

Według wyliczeń Macieja Rydla z Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, odnowionych ostało się do tej pory jedynie ok. 1 proc. polskich dworów. Państwo niechętnie inwestuje w rekonstrukcję kultury szlacheckiej. Zdaniem Gujskich winę za to w dużej mierze ponosi komunistyczna propaganda, która przez dziesięciolecia obrzydzała Polakom czasy „złotej wolności”. – Mówiło się, że szlachta to tylko piła i jadła, że przez anarchię i liberum veto upadła Rzeczpospolita. Ale już nie wspominało się, że szlachcic musiał stanąć do walki w obronie ojczyzny, za co płacił często straszną cenę. Dwory były bazą powstańców – oburza się mec. Gujski. – Gdy 90-letnią mieszkankę wsi, która pamięta jeszcze przedwojennych właścicieli majątku, zapytaliśmy kiedyś, co na co dzień porabiała dziedziczka, usłyszeliśmy w odpowiedzi: „Nic, tylko cały czas odpoczywała”. Taki był odbiór społeczny, wzmocniony jeszcze przez powojenną propagandę. Ale prawda jest taka, że dziedziczka robiła bardzo wiele dla okolicznych chłopów, starała się ich edukować, czytać im książki... Dziś o tej pozytywnej roli szlachty mało kto chce pamiętać – dodaje Małgorzata Gujska.

Oboje z mężem robią wiele, by dwór w Gałkach na powrót stał się ośrodkiem szlacheckiej kultury, na wzór XIX-wiecznego salonu. Organizują liczne wystawne

wydarzenia związane z historią Polski: rocznice wybuchu powstań, setną rocznicę odzyskania niepodległości... 1050-lecie chrztu Polski gospodarze połączyli z chrztem swojej wnuczki. Dwór przypomina niewątpliwie Mickiewiczowskie Soplicowo. Często wybrzmiewają tu dźwięki poloneza czy, dostosowanych do konkretnej okazji, patriotycznych pieśni. Goszczą tu, jak przystało na szlachecki salon, artyści, biznesmeni, urzędnicy, słowem: liczne ważne osobistości, ale także zupełnie zwyczajni ludzie i osoby niepełnosprawne.

Gujscy dbają o to, by dwór w Gałkach był możliwie najwierniejszą rekonstrukcją świata dawnej Rzeczypospolitej. Sprzyja temu niewątpliwie kolekcjonerska pasja mecenasa. W prywatnym skansenie na terenie dworu zgromadził 5 tys. najróżniejszych przedmiotów kultury materialnej. Około 30 ryngrafów, w tym te należące do konfederatów barskich, powstańców styczniowych, legionistów Piłsudskiego, żołnierzy Andersa. Ostrzałka do szabli pułkowej, na wzór tej wykorzystanej na planie filmu „Lotna” Andrzeja Wajdy, XVIII-wieczna lokówka do włosów, topór katowski, szabla z Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, autentyczne strzemiona husarskie, pasy kontuszowe, barokowe tkaniny z ukraińskiego Buczacza, prawdopodobnie mebel posażny Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, kochanki Stanisława Augusta Poniatowskiego i Nikołaja Repnina – to tylko niewielka część eksponatów. Gujscy posiadają też okazałą kolekcję lamp naftowych. Można zobaczyć też kajdany, w których polscy zesłańcy pędzeni byli przez carską władzę na Syberię. Fanów motoryzacji może zainteresować wyprodukowany w 1934 r. Morris – niewielkie auto osobowe na kołach ze szprychami, sprowadzone z Anglii.

Z kolei zachwyt piękniejszej części gości wzbudza biżuteria patriotyczna. – W okresie powstań kobiety wyprzedawały swoje najdroższe kosztowności, by tak zdobyte pieniądze przeznaczyć na walkę z zaborcą. Wówczas wykonywały biżuterię z najtańszych materiałów. Nosiły ją, na znak żałoby, matki, córki i żony zesłańców – opowiada Małgorzata Gujska. – Dziewczyny są zachwycone tą biżuterią. Niejedna już mi powiedziała, że chętnie by coś takiego założyła na jakąś ważną imprezę – dodaje. Gujscy wierni dworskiej tradycji regionu są także w kuchni. Gotuje sama gospodyni. Nawet żurek przyrządza zgodnie z miejscowym, podlaskim przepisem. Oprócz tego, zgodnie z kulinarną specyfiką Podlasia, kuchnia pełna jest ziemniaczanych potraw. Jak owoce – to z własnego sadu. Jak jajka – to od własnych kur.

KUŹNIA AMBASADORÓW

Co ważne, dwór polski, jako zjawisko kulturowe i cywilizacyjne, jest czymś zupełnie nieznanym na świecie. To swoisty endemit. Szlachecki dwór, jak się okazuje, może być skutecznym narzędziem soft power. Gujskich często odwiedzają goście z zagranicy – od Chin przez Europę po Stany Zjednoczone. Włoski dziennikarz, pracowniczka Pentagonu, która miała pełnić służbę przy pierwszej w Polsce tarczy antyrakietowej, prezes sądu apelacyjnego w jednym z niemieckich landów. Szczególnym gościem był honorowy prezes The Explorers Club, kpt. Don Walsh, ten sam, który eksplorował Rów Mariański. – Niestety, obcokrajowcom często się wydaje, że przyjechali do dzikiego kraju. Są wielce zdziwieni, gdy zamiast rozpadającej się drewnianej chatki widzą okazały dwór, na którym zamiast skoczego krakowiaka tańczy się dostojnego poloneza – mówi pani Małgorzata. – Zetknięcie z przebogatą kulturą szlachecką to nieprawdopodobny szok dla Amerykanów, Chińczyków czy Niemców, którzy wcześniej kojarzyli sobie Polskę jedynie z biedą i komuną.

– Nasi goście z zagranicy przyjeżdżają tutaj pełni uprzedzeń, wyjeżdżają zaś oczarowani niespodziewanym dla nich bogactwem polskości. Wierzę, że każdy z nich staje się w pewnym sensie ambasadorem naszego kraju – mówi Waldemar Gujski. Jego zdaniem właśnie tak mało znana w świecie polska kultura ziemiańska powinna stać się elementem poprawy naszego wizerunku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Sławomir Jastrzębowski,
były redaktor naczelny „Super Expressu”

Alfabet celebrytów



ADAMCZYK PIOTR – Zagrał w tylu filmach, a wiadomo przecież, że jest papieżem Karolem. Ciekawy przypadek, bo będąc tym papieżem

(w świadomości ludzi), jest też człowiekiem imprezowym, czego oczywiście nikt nie ma mu za złe. Ba! Przez jakiś czas był zdecydowanym faworytem pracujących po nocach paparazzich, bo gwarantował sensacyjno-dynamiczne ujęcia. Po weekendach na moim biurku regularnie lądowały zdjęcia z jego stołecznych dokonań. Nie jest prawdą, że wszystkie były kompromitujące. Było o nim w kolorowej prasie głośno także z powodu wpadnięcia do rowu. Samochodem wpadł. Prowadził i wpadł. W środku była Weronika Rosati, z którą był wtedy zdecydowanie bliżej niż w momencie samego wypadku, tylko po prostu byli w związku. I wpadli. Do rowu. Pani Weronika była ranna poważnie w nogę i jakoś tak przestała być potem z panem Piotrem, ale zaczęła być z panem ortopedą zamożnym profesorem, który dbał między innymi o jej chorą nogę właśnie, ale się nie ograniczał. Z tym ortopedą też nie wyszło, ale przecież nie będę teraz pisać o pani Weronice, skoro to jest hasło o Adamczyku! Kiedyś dowiedziałem się, że Adamczyk Piotr w Wielkiej Brytanii był w teatrze angielskim po angielsku Hamletem Szekspirowskim. I wtedy, zrobiwszy z podziwu „łol”, zrozumiałem,

że żadnych zdjęć z imprez nie było. Był tylko Hamlet. Hamlet. Hamlet.



FIGURSKI MICHAŁ – Jedyną poważną wadą, którą miał Michał, był Wojewódzki. Niby-kolega, niby-przyjaciel, ale idź pan w busz

z takimi przyjaciółmi. Panowie wspólnie i w porozumieniu broili w radiu, w porannych audycjach. „Jechać po bandzie” to za słabe określenie ich twórczości. Kiedy zażartowali sobie z ukraińskich pomocy domowych w wyjątkowo paskudny sposób, Figurskiego wyrzucono z radia. Spodziewano się, że Wojewódzki w geście solidarności odejdzie razem z nim. Trele-morele. Ostatnio pan Jakub koncertowo obsmarował swojego byłego brother in arms, bez żenady publikując opowieści, jak to ponoć Michał zdradzał żonę i miał mało książek w domu (serio, Wojewódzki napisał o książkach, wiem, że to brzmi paradnie, ale napisał, więc może coś tam jednak przegląda, może komiksy?). Pan Jakub miał też Michałowi za złe, że nie potrafi znieść drugiej pozycji w duecie. Sprawa wydaje się ciekawa, podobnie jak dysy hip-hopowców, gdyż Michał odpowiedział, że on też napisze autobiografię, ale Wojewódzkiego nie będzie ani pod literą W, ani pod literą Ch. Ciekawe. Ciekawe, skąd mu przeszło do głowy to „Ch”. Michał zмага się z poważnymi kłopotami zdrowotnymi, więc z serca życzymy mu więcej zdrowia i mniej Wojewódzkiego.



KOŻUCHOWSKA MAŁGORZATA – cudowna kobieta, uwielbiam. Opublikowaliśmy w „Super Expressie” jej zdjęcia, gdy na waka-

cjach opalała się toples. Jej piękne, kształtne piersi nie były przesadnie wielkie, więc postanowiliśmy zrobić w „Super Expressie” akcję „Rośnijcie!”. Cała Polska miała w południe określić dnia ciepło myśleć o biuście pani Małgorzaty i poprzez myślowe wibracje stymulować lekkie powiększenie. Może nie był to jakiś bardzo mądry eksperyment, ale płynął z dobrego serca. Niestety, moje intencje zostały opacznie zinterpretowane i skończyło się w sądzie na pozwie o ochronę dóbr osobistych. Na korytarzu sądowym pani Małgorzata ruszyła na mnie rozsierdzona. Byłem przekonany, że za chwilę zostanie spoliczkowany. To byłoby coś – być spoliczkowanym przez samą Kożuchowską Małgorzatę! Stanęła przede mną twarzą w twarz, na odległość zaledwie 30 cm, przypatrywała mi się, ciężko dysząc ze złości, i powiedziała: „Jak pan w ogóle śmiał!”. Aż się trzęsła ze zdenerwowania. Była w tym słusznym gniewie tak zjawiskowa, że wyszeptałem: „Nieprawdopodobnie jest pani piękna”. Napięcie jakoś zelżało. Jako ludzie dobrej woli doszliśmy do porozumienia. Wyraziłem publiczne ubolewanie i zobowiązałem się, że przez dwa lata nie będę pisał o naszej wspaniałej aktorce. Niczym skazaniec

» zrywałem kartki z kalendarza. Było ciężko, ale wytrzymałem te dwa lata. Co do tego, czy nasz eksperyment przyniósł pozytywne efekty, czy nie, trwają niekończące się spory.



LIS TOMASZ – Niech dadzą państwo spokój, co tu pisać? Wszystko wiadomo.

Pani Hanna ma drobny kłopot z przeszłością rodziców, oboje zostali umieszczeni przez Stefana Kisielewskiego na niesławnej liście Kisiela



LIS HANNA – Prawdopodobnie aktualna żona powyższego. Chociaż bym się nie zakładał, bo pewne były spory między nimi niedawno – że

ona odebrała awizo, ale mu nie przekazała i on przez to przegrał proces z prof. Pawłowicz Krystyną, bo nie zareagował, bo nie wiedział. A pan Tomasz wtedy o pani profesor pisał, że ona jest psem Kaczyńskiego spuszczanym z łańcucha i inne takie niedzenteleńskie rzeczy. Wtedy pan Tomasz – to znaczy po tym wyroku – nazwał na potrzeby sądowe swoją chyba wciąż żonę „dorosłym domownikiem”. Co znalazło się w takim okrągłym zdanku: „Przesyłki sądowe nie były mu doręczane prawidłowo, gdyż dorosły domownik, który kwitował odbiór przesyłek, nie wyrażał gotowości przekazania ich adresatowi oraz faktycznie tego nie czynił”. Normalnie nazwanie żony „dorosłym domownikiem” może się skończyć odszkodowaniami patelni, ale tu chyba the endem było zwyczajowe arrivederci amore. Pani Hanna ma drobny kłopot z przeszłością rodziców, ponieważ oboje zostali umieszczeni przez Stefana Kisielewskiego na niesławnej liście Kisiela, która zawierała nazwiska dziennikarzy według Kisiela proreżimowych komunistycznych służących rosyjskiej racji stanu. I teraz

gdy ktoś to przypomni choćby nieśmiało, pani Hanna zrywa z nim stosunki dyplomatyczne i wydała go ze wszystkiego, choćby z Twittera. Dlatego ja o tym nie wspominam. No bo po co?



PAZURA CEZARY – Jedliśmy sushi w warszawskiej knajpcie i pan Cezary, uwalniając się od pewnego ciężaru, rzekł: „Ciężko jest

wygrać z tabloidem”. To był pierwszy raz, kiedy się zgodziliśmy. Przez kilka lat trwaliśmy w sporach i trochę się dąsaliśmy. Spory były rozstrzygane przez zmieniające się składy sędziowskie ze zmiennym szczęściem. Jakoś tak poczuliśmy się zmęczeni i postanowiliśmy zjeść sushi (płacił pan Cezary, chociaż ja też się wrywałem). Z dużym zainteresowaniem słuchałem o sobie płynących z jego ust rzeczy prawdziwych, choć nie do końca przyjemnych. Zaintrygował mnie kontrast: tak pięknie wypowiadane i tak kłujące słowa. To jednak wielki aktor. Było w panu Cezarym w owych dniach sporo rozgoryczenia. Przyznać trzeba, że w krytyce nie byliśmy nazbyt łagodni, aczkolwiek i on nie przebiegał w środkach. Kiedyś miał jeszcze taką przygodę, że taki jeden pan twierdził, iż ma z nim film prywatny, raczej dla dorosłych. I pan Cezary wynajął detektywa, który tego pana „rzucił na glebę” – o ile w centrach handlowych można mówić o glebie, bo tam właśnie miało dojść do przekazania pieniędzy za film. Dowiedziałem się o sprawie, bo centra handlowe były ulubionymi miejscami, w których paparazzi sączyli m.in. kawę. No więc miałem z „rzucania na glebę” zdjęcia. W tym kryzysie, w tym pomawianiu go o jakieś niecne rzeczy wsparła go żona, choć parę talerzy się potłukło. Porządni ludzie potrafią uratować związki.



RABCZEWSKA DOROTA, „DODA” – Na 25-lecie „Super Expressu” przedstawiłem ją w następujący sposób: „Chodziłem z nią trzy lata. Po

sądach”. I tu jest właśnie cała „Doda”. Jest jedną z najpragmatyczniejszych osób w naszym show-biznesie.

Pomyślałem, że będzie coś szalenie perwersyjno-ekscytującego w zaproszeniu jej na imprezę gazety, z którą była w kontaktach różnych. Regularnie wyzywała mnie od erotomana, ale z prawnikiem uznaliśmy, że to nie narusza dóbr osobistych mężczyzny. Nieważne. „Doda” natychmiast zgodziła się na występ po zagwarantowaniu jej określonych warunków. Wręczenie tortu prezydentowi Andrzejowi Dudzie przeszło już do historii. Ten tort, te posładki, te koronki. Uroczyste przyrzekam tu na paczkę miętowych dropsów, że „Doda” miała jednak na sobie wtedy bieliznę, tyle że cielistą.

Swoją drogą miałem kiedyś z nią proces o majtki – czy miała je na sobie przy pewnej kreacji, czy nie miała. Zeznawała nawet garderobiana. Ciekawe, jak ja to wszystko wnukom wytłumaczę.



RUTKOWSKI KRZYSZTOF – Od ćwierć wieku mówię Krzyskowi, że zgubi go to dobre serce. On chciałby bowiem wszystkie

nieszczęśliwe kobiety uszczęśliwić i ja mu mówię: „Krzysiek, no tak się nie da”, ale on próbuje i próbuje. Ciągłe wkłakię się w sercowe afery. Miał poważny zakręt w życiu związany z aresztem. Cóż, został wtedy prawie sam, z długami, wychłodzonym zimą domem i z marnymi perspektywami. Przegadaliśmy wtedy trochę godzin. To, że potrafił z tego wyjść, świadczy o jego przyspieszonym wewnętrznym napędzie, ciągu na bramkę, wietrze w żaglach. Zdradzę państwu tajemnicę – on z pełnym rozmysłem ociera się o błaznującego celebrytę z dziwną fryzurą i jeszcze dziwniejszymi ciuchami (ale, Sławciu, wszystko markowe). Dzięki temu jest o nim cały czas głośno, a jeśli jest głośno, to są klienci, a jeżeli są klienci, to są pieniądze. Pod tą fryzurą z sześcianu kryją się jednak intratne pomysły.



SZYC BORYS – Mieliśmy zdjęcia, jak leczył sobie chyba przeziębienie jakimś takim proszkiem. Rozsypanym na stole. Działo się to na



werandzie ostatniego piętra pewnego warszawskiego apartamentu, więc nikt nie mógł tego zobaczyć. Tylko że ten łobuz fotoreporter wlaź na dach sąsiedniego budynku i obfotografował całą leczniczą kurację. Nie mogliśmy ustalić, co to za proszek, więc zrobiliśmy głosowanie: „Co wciąga Borys Szy?”.

1. Kurz ze stołu? 2. Tabakę? 3. Coś innego? Dużo było głosów na „coś innego”, ale raczej nie precyzowano, co by to mogło być. Pewnie lekarstwo, bo się po nim lepiej poczuł. Zgodnie ze starą rzymską zasadą „audiatur et altera pars” (wysłuchaj drugiej strony), obowiązującą rzetelne sądy i dziennika-

Bardzo ciekawa jest kwestia tego, jak Michał Wiśniewski przetańczył co najmniej kilkanaście milionów

rzy, poprosiliśmy pana Borysa o komentarz. Urzekł nas swoją lapidarnością. Oto jego słowa: „Mój komentarz brzmi, pocałujcie mnie w d... i do zobaczenia w sądzie”. Przy czym „d” wcale nie kropkował. Z tego akurat sprawy nie było. Dodać muszę, że jest dla mnie absolutnie jednym z najlepszych polskich aktorów, a postać „Silnego” z „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną” to mogę sobie normalnie zapętląć z tymi tekstami Masłowskiej. Zapętląć i zapętląć.



WIŚNIEWSKI MICHAŁ
– Kłębek sprzeczności z dobrym sercem. Znałem go jeszcze w Łodzi, gdy nie miał czerwonych włosów, wtedy czerwone nie

były po prostu modne. To był prawdziwy gwiazdor, taki, że dziewczyny od patrzenia piszczwały i mdlały naprzemiennie. Tabunami piszczwały i mdlały, nie żartuję, widziałem na oczy na ul. Piotrkowskiej w mieście Łodzi. Lata temu znalazłem mu z kolegą dziennikarzem mamę, ale on nie był z tego powodu zadowolony. Mama pana Michała uprawiała wtedy wyczynową patologię łódzką i akurat w tamtych dniach bardzo chciała znać swojego syna gwiazdora, bo

był na absolutnym topie i miał mnóstwo pieniędzy. Wcześniej, gdy był dzieckiem, mama nie bardzo chciała go znać i wychowywała go w Niemczech ciocia, która udawała mamę. Jego biologiczna mama miała wtedy chyba po prostu dużo zajęć. Pojechałem do niego do hotelu w Opolu, gdzie akurat występował na festiwalu. W pokoju była dziewczyna, chyba nawet coś na sobie miała. Pan Michał był rockandrollowo wyluzowany do momentu, w którym powiedziałem mu, że znalazłem mu mamę, i pokazałem zdjęcia. Wtedy kazał dziewczynie dynamicznie sobie pójść, a mnie powiedział, że to nie żadna mama, tylko oszustka, która pewnie chce pieniędzy. Bardzo się za nią wtedy wstydził. Trudno się dziwić. Po opublikowaniu artykułu, jak żyje mama gwiazdora, pan Michał mianował mnie swoim wrogiem. Niesłusznie. Tyle że on naprawdę pomógł mamie. Wyciągnął ją z nałogu, zadbał o nią i całkowicie zmienił jej życie. Całkowicie. Przyznam, że zyskał tym mój prawdziwy szacunek. Nieprawdopodobny kłębek sprzeczności. Bardzo ciekawa jest też kwestia, jak on przetańczył co najmniej kilkanaście milionów złotych. To jednak dłuższa opowieść.



WOJEWÓDZKI JAKUB

– Przez jakiś czas pracowaliśmy w jednej firmie, w ZPR, on w Eska Rock, ja w „Super Expressie”, ale się

sobie nie kłanialiśmy. Nawet się nie uśmiechaliśmy. Kiedyś powiedział mi, że uprawia dziennikarstwo naskórkowe. Ja, niestety, mam taką przypadłość, że mi się wszystko wizualizuje. I pan Jakub wizualizował mi się jako taki wielki trzęsący się naskórek. Nie mogę się tego obrazu pozbyć. Za każdym razem, gdy go pokazują w telewizji, widzę tylko naskórek, który się trzęsie. Dostyc to smutne. Pan Jakub się trzęsie, ponieważ jest według mnie najbardziej przerażoną postacią w show-biznesie. Strach pana Jakuba może wynikać z dwóch powodów. Po pierwsze, podobno obsesyjnie boi się piosenki „Rzadko cię widuję z dziewczętami”, ponoć denerwuje go dźwięk gitar. Druga sprawa to kwestia ukrycia tzw. przepalającego się abazuru. Jemu się lekko przerzedza fryzura na czubku głowy i przed każdym występm

specjalna stylistka przez równo tydzień układa mu te pozostałości, żeby nie wystąpił ten przerażający efekt przepalania. On przez to ma bardzo mało czasu na życie osobiste, no bo tydzień na fryzowanie trzeba jednak poświęcić. Nie ma rady. Sprawiedliwie trzeba przyznać, że pan Jakub osiągnął rynkowy sukces dzięki konsekwentnie budowanej pozycji łącznika między dwiema banalnymi płaciami. Wielkie brawa dla pana Jakuba.



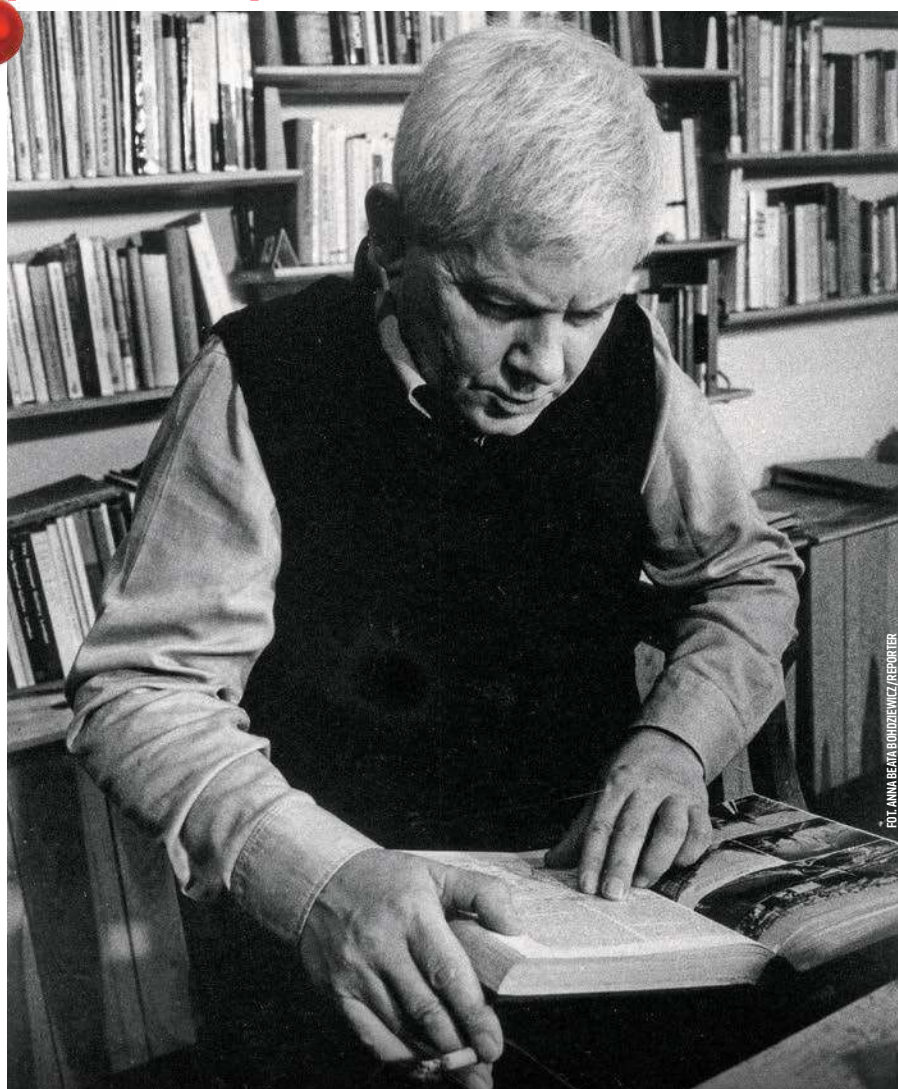
ZAMACHOWSKI

ZBIGNIEW – Zdecydowanie płaci za dużo alimentów. Dość często wspomina to jego trzecia żona.

Płaci bowiem drugiej i dzieciom w związku z tą drugą, a tych dzieci jest czworo. Tej pierwszej żonie chyba nie płaci, ale tego nie jestem pewien. To takie sprawy, że nie powinno się nawet wiedzieć. Po 4 tys. zł na jedno dziecko płaci. Niby dużo, ale taki Marcinkiewicz Kazimierz to na żonę, była Isabel, płaci np. 5 tys. Też nie mała. I to jest problem podnoszony przed sądem i przez panią Monikę Richardson publicznie, teraz już Monikę Zamachowską, trzecią żonę to znaczy. Trzecią żonę Zamachowskiego Zbigniewa, przecież nie pana Kazimierza. No bo jeśli się płaci tak dużo alimentów, to czasem komornik

Pan Jakub jest najbardziej przerażoną osobą w show-biznesie. Ponoć boi się piosenki „Rzadko cię widuję z dziewczętami”

puka. A pukanie komornika to jedno z najsmutniejszych pukań, nawet jeśli nie puka o godz. 6 rano. Rysiek zresztą też nie miał pieniędzy. No ten Rysiek, którego Zamachowski zagrał w swoim pierwszym filmie „Wielka majówka”. Rysiek uciekł z domu dziecka i u spekulanta mięsnego w łódzkiej znalazł milion złotych. I wszystko przepuścił, na bogato pożył sobie z Janem Piechocińskim, późniejszym „Och, Karolem”. I gdy już przepuścili, znowu nie mieli. Trochę jak pan Zbyszek teraz. Jak przyjemnie jest jednak przepuszczać...



FOT. ANNA BEATA BOGDANOWICZ/REPORTER



Z Joanną Siedlecką, pisarką, autorką biografii rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Zbigniewa Herberta życie na podsłuchu

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZAPERT: „Pomniki lubią tylko gołębie” – tak zatytułowany był wywiad, który przeprowadziłem z panią 16 lat temu po wydaniu po raz pierwszy „Pana od poezji”, książki o Zbigniewie Herbercie, która, ujawniając liczne nieznane fakty z jego życia, wywołała prawdziwą burzę. Czy dziś sytuacja się zmieniła i nie ma już pola minowego wokół osoby twórcy „Pana Cogito”?

JOANNA SIEDECKA: Jest inaczej, nasza wiedza o nim – także za sprawą, po- wiem nieskromnie może, mojej książki – wzbogaciła się, ale wciąż istnieją znaki zapytania, kwestie, które warto i trzeba wyjaśnić, a moja rola jest ta sama, niezmienna. Ja nie jestem od stawiania wielkiej poezji Herberta ołtarzyków, deklamacji wierszy na akademiach ani urządzania licznych Herbertiad... – to mnie nie interesuje. A ukazując prawdę o życiu poety, buduję mu inny pomnik, trwalszy i bardziej wartościowy, bo prawdziwy.

Drugie wydanie „Pana od poezji”, które właśnie się ukazało, jest poszerzone aż o sześć rozdziałów.

Od premiery mej książki natrafiłam na kilka wątków istotnie rzutujących na biografię Zbigniewa Herberta. Choćby na kwestię dyskredytacji jego szans noblowskich przez Służbę Bezpieczeństwa. Wielokrotnie był bowiem nominowany przez Zachód, a lobbować należało na rzecz twórców pokornych wobec PRL, takich jak Jarosław Iwaszkiewicz. Odkrył tę sprawę historyk Instytutu Pamięci Narodowej Rafał Sierchuła, wspominając o szkodzącym poecie agencie posługującym się pseudonimem Kurier. Ustaliłam, że był nim Henryk Malinowski, kierownik działu zagranicznego w Związku Literatów Polskich, zaczynający swą komunistyczną karierę w Urzędzie Bezpieczeństwa, osoba ważna i wpływowa, mająca za zadanie torpedować kandydaturę autora do prestiżowych laurów przyznawanych w Sztokholmie. Choćby poprzez rozpowszechnianie informacji o chorobie umysłowej poety.

Nie wiemy, na ile to zadecydowało o tym, że nie został noblistą, wiadomo za to, iż w mieszkaniu twórcy „Pana Cogito” zainstalowano pluskwy.

Po opuszczeniu rodzinnego Lwowa Herbert prowadził tryb życia nomady: Kraków, Sopot, Toruń, w końcu Warszawa, gdzie – dzięki Jerzemu Zawieyskiemu – otrzymał mikroskopijną kawaler-



kę, do której powracał niechętnie, gdyż była niewygodna, położona w coraz bardziej hałaśliwym śródmieściu. Kiedy zarobił pieniądze – dzięki wykładom w Ameryce – pomyślał wreszcie o godziwej przystani.

Pochodził przecież z lwowskiej starożytnej rodziny, dla której dom zawsze był bardzo istotny. Nie mając głowy do prozy życia, powierzył decyzję wyboru i kupna lokum małżonce. I tu popełnił błąd. Po kilku nieudanych próbach zakupu mieszkania na wolnym rynku zwróciła się ona w tej sprawie do... towarzysza Jerzego Łukaszewicza, kierownika pionu propagandy w KC PZPR. Dygnitarz życzliwie ustosunkował się do jej prośby, proponując kilka lokalizacji. Pomoc okazała się jednak pułapką, pocałunkiem Almanzora. O sprawie poinformowano Służbę Bezpieczeństwa, a ta już zadbała o to, by wewnątrz przestronnego mieszkania w przedwojennej willi, niegdyś własności prof. Bogdana Suchodolskiego, na które zdecydował się poeta, nafaszerować aparaturą podsłuchową.

Od połowy lat 70. Herbert widział życie na podsłuchu.

Stenogramy jego rozmów z odwiedzającymi go tam osobami są niezmiernie obszerne, czytałam je w archiwum IPN. Rzuciła mi się w oczy łatwość, z jaką Służba Bezpieczeństwa rozszyfrowywała gości poety, którzy przecież się nie przedstawiali. Owszem, niejedną głębię brzmień znajomo, ale musiał istnieć ktoś, kto najzwyczajniej znał odwiedzających.

Zdumiewało też, że stenogramy z podsłuchu pisane były, co się nie zdarza, w pierwszej osobie, niczym donosy TW. Nazywano w nich przybyszów poufale, po imieniu. Niewątpliwie donosił ktoś z bliskiego otoczenia Herberta, znający jego gości.

Czy rzeczywiście, jak sugerują materiały, był to sąsiad, zdemaskowany przed kilkoma laty jako TW „Krost”, znany reżyser filmowy Marek Piwowski?

Rozstrzygnięcie tej zagadkowej kwestii pozostawiam historykom IPN, ale poszlaki wskazują na niego. Zajmował on lokal nad Herbertem, formalnie łączyły ich stosunki dobrosąsiedzkie. Ale np. daje do myślenia, że gdy Piwowski przebywał za granicą, nagle ubywało podsłuchów dotyczących tego, co działo się w mieszkaniu twórcy „Struny

świata”. Podsłuch u Herberta wyraźnie tracił węgę, stenogramy stawały się ogólnikowe i krótkie. Znamienne też, że u progu III RP reżyser dostał pozwolenie na nadbudowę piętra na dachu willi, chociaż właścicielom bliźniaczych budynków usytuowanych w pobliżu tego odmawiano – sprzeciwiał się konserwator zabytków. Tymczasem Piwowski wkrótce przeprowadził się do nadbudowanego apartamentu, a swój sprzedał. I tu przykra niespodzianka, ponieważ nabywcą – za zaskakująco małe pieniądze – został Grzegorz Walczak, mój, przynajmniej formalnie, kolega ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek władz oddziału warszawskiego. Ten poeta, prozaik, przede wszystkim

tacie zbiór pozostał w kraju, zakupiony w roku 2007 z funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Te sprawy zakończyły się dla Katarzyny Herbertowej fiaskiem, natomiast dopięła swego w innej: wierszy i listów pisanych przez poetę dla – jak wynika z „Pana od poezji” – miłości jego życia.

W pewnym sensie pani Katarzyna zachowała się niczym Danuśka z „Krzyżaków”, krzycząc o Zbyszku: „Mój ci jest!” – a nie żadnej innej. O Halinie Misiółce, muzie poety, pisałam już w pierwszym wydaniu swej książki, teraz tę historię rozszerzam. Długo nie wiedzieliśmy, że Herbert tworzył także wiersze miłosne; nie był to jeszcze styl

Stenogramy z podsłuchu pisane były, co się nie zdarza, w pierwszej osobie, niczym donosy TW. Nazywano w nich przybyszów poufale

tekściarz, też okazał się tajnym współpracownikiem SB. Czyżby to było więc mieszkanie resortowe?

Obraz wdowy po Zbigniewie Herbercie wyłaniający się z książki pozwala określić ją jednoznacznie: femme fatale.

Nie do końca. Za życia troskliwie się nim opiekowała, chociaż nierazdo traktowała ją szorstko, i to nawet przy osobach trzecich. Może więc jej zachowania po śmierci męża mają wymiar rewanżu? Tak czy inaczej wiele jej posunąć budziło protesty. Na przykład zabiegi o zakaz emisji filmu dokumentalnego Jerzego Zalewskiego „Obywatel poeta”. Albo chęć sprzedaży archiwum Herberta, skądinąd gigantycznego – zastanawia, jak i gdzie, wiodąc tak ruchliwy tryb życia, je zgromadził – które zamierzała oddać w niebyt, bo taki de facto los spotkałby je po trafieniu do USA. Kiedy wdowa ogłosiła, że negocjuje warunki sprzedaży archiwum do biblioteki Beinecke, rozgorzała wielka debata. Tu trzeba oddać zasługi dyrektorowi Muzeum Literatury w Warszawie. Janusz Odrowąż-Pieniążek, muzealnik, co się zowie, przyjaciel Herberta jeszcze z czasów młodości, dowodził, że archiwalia poety stanowią nasz skarb narodowy. Z jego inicjatywy protestowano przeciwko ich wywózce za granicę, a petycje sygnowali ludzie różnych generacji, zawodów i światopoglądów. W rezul-

Pana Cogito, lecz te juvenilia wzruszają, dowodząc głębokiego zaangażowania uczuciowego autora. Ich adresatka, starsza o dekadę mężatka z Sopotu wychowująca dwie córki, rozwiodła się dla Herberta. Młody poeta znakomicie ułożył uczucie. Halina Misiółka była nie tylko wybranką serca. Jako kobieta praktyczna, córka zamożnego ogrodnika z Poznania, pomagała mu w utrzymaniu, również finansowo. Ich związek budził sensację, ale zarazem podziw, stanowili pięknie uzupełniającą się parę. On nie był gotowy na ojcostwo, więc przerwała ciążę, co najlepiej pokazuje siłę jej uczucia. Do końca utrzymywali kontakt, nawet gdy się rozstali – o czym przekonuje korespondencja. Kiedy ją porzucił, nękały go wyrzuty sumienia. Listy od ukochanego pani Halina pieczołowicie przechowywała, nie wyrzucała nawet kopert. Po pierwszym zawale postanowiła opublikować pisane dla niej erotyki, których nigdy od adresatki nie odebrał. Tomik wydała niszowa oficyna, wywołał rozgłos. Wzburzyło to Katarzynę Herbertową. Twierdziła, że mąż nie chciał tego upublicznić – na co zresztą dowodów brak.

Wytoczyła proces. Nie kochance – to skutkowało ośmieszeniem – lecz wydawcy. I go wygrała. Formalnie miała rację; wraz z siostrą poety, Haliną Żebrowską, dysponowały, zgodnie z testamentem Herberta, prawami

■ autorskimi. Drakoński wyrok doprowadził jednak do upadku wydawnictwo, nakład tomiku wycofano z rynku, a nieliczne ocalałe egzemplarze (mam jeden!) zyskały status białych kruków. Ten ciąg przykrości zapewne przyczynił się do drugiego zawału pani Misiółkowej, niestety śmiertelnego.

A wdowa wyraziła zgodę na zamieszczenie erotyków w wyborze wierszy małżonka, opracowanym przez Ryszarda Krynickiego. Ułożył je po swojemu, i co najważniejsze, pominął informację, dla kogo te wiersze powstały. Czyżby dla żony? – zastanawiać się może niejeden czytelnik.

Wokół Herberta krążyło wiele pań. Jak pani odkryła, także siostra jego żony.

Teresa Dzieduszycka była przeciwieństwem swej młodszej siostry. Wykształcona, elokwentna, znająca języki obce, ceniona tłumaczka – znana pod nazwiskiem Douchy – wyjechała z PRL do Francji w latach wczesnego Gomułki. I podczas pobytu Herberta w Paryżu stosunki rodzinne między nią a poetą przekształciły się w damsko-męskie. Czy Katarzyna – wówczas jeszcze nie żona, lecz tylko jedna z wielu pań orbitujących wokół Herberta – o tym wiedziała? Osoby bliskie twórcy, takie jak Zygmunt Hertz, nazywający poetę z powodu afektu do kotów Kicią, nie mieli wątpliwości. Teresę nazywali Kiciową Drugą, numer pierwszy przyporządkowując Katarzynie.

Herbert nie był szczęśliwy w małżeństwie?

Kobiety do niego Ignęły, co wykorzystywał, wikłając się w romanse, nawet tuż przed ślubem, do którego doszło po 12 (!) latach znajomości z Katarzyną. Był wrogiem małżeństwa, zdecydował się na nie dopiero w obliczu pogarszającego się zdrowia. Szukał opiekunki – nie partnerki – wspierającej go w zmaganiach z chorobą i prozą życia. Nawet na łożu śmierci nie przestał myśleć o kobietach. Zamawiał bilety do Wenecji dla siebie i dogladającej go młodej pielęgniarki.

Oddzielny rozdział poświęciła pani głośnemu wywiadowi Jacka Trznadla z Herbertem, który znalazł się w „Hańbie domowej”. Czego nie wiedzieliśmy dotąd na ten temat?

Chciałam pokazać konsekwencje, które go za ten wywiad dotknęły. Bardzo surowo, ale zgodnie z prawdą

oceniał w nim udział polskich pisarzy w komunizmie. Nie wierzył w żadne wysublimowane usprawiedliwianie się, „heglowskie ukąszenia”, ale w strach, cynizm, oportunizm, pobudki materialne. Zbulwersowane jego szczerością „środowno”, jak mawiał, oczywiście mu tego nie darowało. Wywiad zapoczątkował coraz większą izolację Herberta oraz ostracyzm wobec niego. I co najważniejsze – tłumaczenie, unieważnianie i kasowanie jego także wielu późniejszych niewygodnych sądów jego rzekomym nadużywaniem alkoholu i chorobą. Wybrykami kogoś nieodpowiedzialnego i chorego. Co więcej, „Hańba domowa” poróżniła go jeszcze bardziej z Miłoszem, który usprawiedliwiał nie tylko swoją, Bierutowskiego dyplomata, współpracę z komunistami, ale też innych kolegów po piórze, co wyraził m.in. w „Zaraz po wojnie”, jego korespondencji z pisarzami. Od „Hańby domowej” zaczął się też wielki spór Herberta z Michnikiem, który zarzucił mu wtedy zdradę wysokich ideałów poezji i olimpijskiego dystansu do komunizmu na rzecz trywialnej jednoznaczności.

Odnalazła pani ważny dokument stawiający w nowym świetle sławny zatarg Herberta z Miłoszem.

Zdarzył się on przed 60 laty w Kalifornii, podczas kolacji w Berkeley w domu Bogdany i Johna Carpenterów. Dotarłam do relacji jeszcze jednego uczestnika tamtego wieczoru – prof. Aleksandra Gelli – przygotowanej dla Jerzego Giedroycia. Pozostaje sekretem, dlaczego redaktor jej nie wydrukował. Andrzej Franaszek w monumentalnej biografii Herberta przytacza ją tylko wybiórczo. A wynika z niej, że powodem gwałtownego starcia dwóch literatów będących pod wpływem alkoholu – jak to się podczas biesiady zdarza – nie była jedynie, jak głosi legenda, insynuacja żagarysty dotycząca przyłączenia Polski do Związku Sowieckiego w charakterze 17. republiki. Tytady autora „Zdobycia władzy” – krytykującego Armię Krajową, powstanie warszawskie, żołnierzy wyklętych, wybory ideowe Tadeusza Gajcego i jego przyjaciół ze „Sztuki i Narodu” oraz piętnującego polski antysemityzm – wyprowadziły Herberta



JOANNA SIEDLECKA
„PAN OD POEZJI”
WYDANIE ROZSZERZONE,
FRONDA 2018

z równowagi. Zbeształ Miłosza, zarzucając mu brak patriotyzmu, wypominając dekowanie się podczas okupacji z litewskim paszportem za pazuchą, służbę dyplomatyczną dla Polski Ludowej oraz wyłącznie językowy związek z polskością. Te kardynalne różnice w postrzeganiu narodowych pryncypiów poróżniły poetów.

Świetnie, że rozprawiła się pani z jeszcze jednym dalekim od prawdy, a mocno już zakorzenionym przekonaniem, jakoby to Herbert w latach 50. cierpiał niewyobrażalną

wręcz biedę. Wzięło się to właściwie od Leopolda Tyrmanda, który we fragmencie późniejszego „Dziennika 1954”, opublikowanego w „Tygodniku Powszechnym”, uzalał się nad głodującym poetą, który nie może, a bardzo chciałby pomagać schorowanym rodzicom.

„Głodujący” poeta otrzymywał od „schorowanych” rodziców paczki żywnościowe i pomoc finansową. Nie żyło im się łatwo, ale i pan Bolesław ze swojej skromnej emerytury, i pani Maria dorabiająca chałupnictwem znajdowali pieniądze, by wspomóc swego utalentowanego syna, któremu przyszło „cierpieć” na etacie w „strasznym” warszawskim Torfprojekcie. To prawda, że zarabiał tam niewiele, ale zawsze prawie 1000 zł. A poza tym, a może przede wszystkim, nie chciał pracować ani w wyuczonym zawodzie prawnika czy ekonomisty, ani tym bardziej w jakimś komunistycznym wydawnictwie czy redakcji. To był jego wybór. A jeśli chodzi o paczki i przekazy, które przychodziły na jego warszawski adres znad morza, to przecież stała je również Halina Misiółkowa. Ci wszyscy, którzy go kochali, nie dopuściliby do tego, by chodził głodny.

Dziękujemy pani za nowe informacje o Zbigniewie Herbercie. Z pewnością miał rację Andrzej Horubała, pisząc: „Kapitałnie wścibska Joanna Siedlecka wpuściła swoim »Panem od poezji« tyle życia do herbertologii”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Joanna Siedlecka – reporterka, pisarka, członkini Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, autorka m.in. biografii polskich literatów.

Głos samodzielnosci



Jacek Sroka, „Strajk w manierze francuskiej”, akwaforta, akwatinta 2016

Z Markiem Kornatem o stuleciu odzyskania przez Polskę niepodległości rozmawia Marek Zieliński

MAREK ZIELIŃSKI: Obchodzimy stulecie odzyskania niepodległości, ale przedtem była utrata niepodległości – upadek I Rzeczypospolitej, prawdziwa katastrofa geopolityczna dla tej części Europy. Jak mogło dojść do tego, że w środku kontynentu doszło do rozbioru dużego, ważnego geopolitycznie i osadzonego w historii i kulturze regionu państwa?

MAREK KORNAT: Zarówno zniknięcie Polski z mapy Europy, jak i jej odbudowa były rodzajem geopolitycznej rewolucji w naszym regionie. I ta geopolityczna rewolucja była czymś absolutnie osobliwym, wyjątkowym. Wbrew pozo-

rom to nie jest tak, że da się porównać rozbiór Polski, która była jednak wielkim organizmem politycznym, z rozbiorem na przykład Wenecji. W pewnym skrócie: epoka oświecenia kojarzy nam się dzisiaj wyłącznie z czymś, co jest dobre, prawda? Mówimy o prawach człowieka jako dziedzictwie tej epoki, mówimy o tym, że jest to epoka, która dała fundamenty współczesnej Europie, ale w rzeczywistości było trochę inaczej. Było tak, że to właśnie wówczas dogmat równowagi sił i tak zwanej kompensacji terytorialnej stał się regulatorem

stosunków międzynarodowych. Jeżeli jakieś państwo stało na przeszkodzie rządowi mocarstw, padało jego ofiarą. I tak się stało w przypadku Polski.

Rozbiory były zbrodnią, co nie ulega najmniejszej wątpliwości. I nawet jeśli historiografia państw zaborczych próbowała je wytłumaczyć, to przecież ani wtedy, ani dzisiaj nie sposób przyjąć tej argumentacji. Wyrok na Polskę został wydany po wojnie siedmioletniej, która zakończyła się pokojem w Hubertusburgu w 1763 roku, kiedy Austria straciła Śląsk. Państwo Habsburgów pragnęło nowych zdobyczy terytorialnych, państwo pruskie wymagało konsolidacji, zmierzało do zdobycia Pomorza i Gdańska. Testament polityczny Fryderyka II, pisany jeszcze na długo przed jego śmiercią, wskazuje jednoznacznie, że Polskę należało rozszarpać po kawałku.

Oczywiście pozostaje stara kwestia, do której wielokrotnie już nawiązywali historycy, pytanie o słusność czy niesłusność tej drogi, którą wybrał Sejm Czteroletni, uchwalając Konstytucję 3 maja. Czy nie lepsze byłoby przeczekanie złej koniunktury? I czy doczekanie Polski do czasów napoleońskich było możliwe? Na to pytanie oczywiście żaden poważny historyk nie może odpowiedzieć, niemniej możemy sobie inaczej wyobrazić dzieje Europy, przyjąć, że Polska, chociaż bardzo nawet mało czynna na arenie międzynarodowej, ale konsolidująca się wewnętrznie, doczekała do czasów, kiedy Napoleon Bonaparte walczył przeciw Prusom, Rosji i Austrii już jako przywódca Francji. Kwestia, co by to mogło dać, jest jednak poza horyzontem badawczym.

Maksimum to autonomia kulturalna?

Absolutnie tak. Nikt nie przewidywał, zresztą pisałem o tym wielokrotnie, że dojdzie do tak ogromnej katastrofy, która wstrząśnie całą Europą i zapoczątkuje nowy ład na świecie. I dlatego historyk polski nie powinien, moim zdaniem, zgadzać się na narrację o katastrofie Europy. Bo oczywiście z jednej strony była to katastrofa Europy – jako całości – w tym sensie, że ona utraciła wiodącą rolę w świecie, tę preponderancję w świecie. Z drugiej strony wiele narodów uzyskało prawo do stanowienia o sobie i z tego prawa skorzystało, a posiadanie własnego państwa jest wielkim dobrodziejstwem, którego nie da się z niczym porównać.

Pełna wersja rozmowy dostępna w kwartalniku „Napis”

Marek Kornat (ur. 1971) – historyk, sowietolog, eseista, profesor nadzwyczajny, kierownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie oraz na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Specjalizuje się w historii najnowszej, od 2008 roku członek Rady Naukowej Instytutu Historii PAN. Ostatnio wydał *Wachaw Grzybowski. Ambasador w Moskwie (1936-1939). Biografia polityczna*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2016. Oraz *II wojna światowa: historia, która nie chce przeminąć. Dyskusje o polskim doświadczeniu w wieku XX i polityce pamięci, Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego*, Warszawa 2017.

Paweł Kaczmarski

**Jerzy Jarniewicz,
„Tłumacz między innymi”
„Tłumacz między innymi”**

Jerzego Jarniewicza to, w największym skrócie, książka o tłumaczeniu jako czynności twórczej – o tym, dlaczego przekład (zwłaszcza literacki) stanowi autonomiczną pisarską czy artystyczną działalność, jak w związku z tym możemy i powinniśmy go czytać oraz co z tej obserwacji wynika dla samych pisarzy i tłumaczy.

W punkcie wyjścia Jarniewicz chce więc osłabić to, co domyślnie – odruchowo, bezrefleksyjnie – uznajemy zwykle za najważniejszą relację, w jaką wchodzi przekład: więź między dziełem oryginalnym a jego tłumaczeniem, między tekstem obcojęzycznym a znajdującym się na końcu translatorskiego przedsięwzięcia tekstem języka docelowego czy rodzimego. Nie chodzi o to, by zupełnie wyzwolić tłumaczy od tłumaczonych tekstów, zdejmując z nich jakąkolwiek odpowiedzialność, ale by radykalnie przewartościować rolę, którą przypisujemy im tak podczas osobistej lektury, jak i w sieci kulturowo-społecznych relacji. Jarniewicz proponuje więc: spoglądajmy w pierwszej kolejności na to, co przekład „robi” z językiem rodzimym, docelowym, jak zmienia go i z jakimi tekstami wchodzi w dialog – nie „fiksujemy” się na potocznie rozumianej „wierności”.

Autor zaczyna więc od zerwania i rekonfiguracji, a potem jest tylko ciekawie: jako jeden z najbardziej wszechstronnych i uznanych twórców współczesnej polskiej literatury (wpływowy krytyk i anglista, doświadczony i uznany tłumacz, wielokrotnie nagradzany poeta), oferuje czytelnikom i czytelnikom książkę wielopozio-

O przekładzie, o przekład

nową, wieloperspektywną, zamaszystą – po mistrzowsku skomponowaną i bardzo spójną, ale nierzeczywiście z szerokich kategorii, obserwacji i gestów. To pozycja jednocześnie eseistyczna, krytycznoliteracka, polemiczna, teoretyczna; wnikliwe interpretacje i formalne, poetologiczne analizy znajdują dopełnienie w anegdociarskim zacięciu Jarniewicza, podpowiedzi i instrukcje dla czytelników przekładu harmonijnie sąsiadują z pogłębioną teoretycznoliteracką refleksją. Jarniewicz czerpie ze wszystkich obszarów czytelniczego doświadczenia – czasem wypowiada się „bardziej” jako tłumacz czy krytyk przykładu, czasem „bardziej” jako poeta (to przede wszystkim w ostatnim rozdziale książki), ale ostatecznie w jakimś stopniu wszystkie owe perspektywy pozostają cały czas obecne.

Jarniewicz zręcznie unika przy tym pretensjonalnych tonów. Pierwszy rozdział „Tłumacza...” na przykład, bodaj najbardziej „literacki” w formie, ujęty zostaje w ramy opowieści o tym, w jakich warunkach lubi przekładać literaturę sam autor – a znaczy to: w nocy, przy jazzie i „szklance whisky”. Nie oszukujmy się – w wypadku dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu twórców

takie otwarcie książki byłoby stylistycznym strzałem w stopę, rekonstrukcją strasznych klisz i stereotypów, a do tego momentem trudnego do odkupienia snobizmu. Ale nie u Jarniewicza; ten, jeśli pozwala sobie na momenty biograficznego obnażenia, robi to z przekonania, że w przekładzie (i literaturze w ogóle) jest coś nieuchronnie intymnego. Pomaga oczywiście językowa sprawność autora, niepodważalna elegancja i charyzma stylu, ale owe na poły biograficzne fragmenty czy zabiegi bronią się przede wszystkim siłą samej czytelniczej pasji: Jarniewicz wie, że problemy literackiego przekładu dotyczą podstaw naszego bycia w języku, wie, że to sprawy naraz głęboko osobiste i podstawowe dla nas wszystkich, i potrafi dowieść tego na konkretnych przykładach.

Nie znaczy to, zaznaczmy od razu, że Tłumacz między innymi napędzany jest głównie entuzjazmem, który na drugi plan spycha kwestie analitycznej wnikliwości czy krytycznoliterackiej rzetelności. Przeciwnie, udzielająca się czytelnikowi Jarniewiczowska pasja – poczucie, że w debacie o literaturze i o przekładzie stawki są nadal wysokie, że od kwestii rymu, rytmu czy lingwistycznej niejednoznacz-

ności przejść można wprost do najważniejszych problemów międzyludzkiej komunikacji i współczesnej kultury – objawia się właśnie w przywiązaniu do detalu, w długich, kilku- i kilkunastostrońcowych przebiegach, w których autor „wgrzyza się” w bardzo konkretny interpretacyjny czy lingwistyczny problem, odtwarza strategię tłumaczy, porównuje ich podejścia, ocenia skuteczność poszczególnych zabiegów. Tłumacz między innymi to bowiem książka skupiona nie na wyrażeniu „osobistego doświadczenia”, a na inicjowaniu dyskusji. Każda istotna poczyniona w niej obserwacja, każda prowokacyjna teza, wszystko to, co ważne dla zasadniczej myśli o przekładzie jako czynności twórczej i autorskiej, uzasadnione jest obszernym wyborem kluczowych cytatów, zwiększonym podsumowaniem historycznoliterackiego tła i kulturowych kontekstów i tak dalej.

Można więc, i należy, z Jarniewiczem dyskutować – są w jego książce punkty w oczywisty sposób sporne, momenty, kiedy w wątpliwość podać można konsekwencje czy spójność argumentacji. Jest to jednak tom w bardzo ścisłym sensie otwarty na rozmowę; nie manipuluje czytelnikiem, nie ukrywa problemów, pokazuje własny warsztat –



dostarcza nam wszystkiego, czego potrzebujemy, żeby dyskusję podjąć, nie chowa się za autorytetem „wiedzy eksperckiej” (translatologicznej czy historycznoliterackiej). Gra z nami, można powiedzieć, w otwarte karty.

Jarniewicz pisze dużo o „nieprzekładalności”, ale specyficznie rozumianej; moglibyśmy nazwać ją może „miękką” – chodzi nie o taką nieprzekładalność, która faktycznie blokowałaby próby tłumaczenia i paraliżowała tłumaczy, ale o rodzaj nieadekwatności, konieczną utratę niektórych znaczeń i możliwości, odbywającą się przy „przeniesieniu” ze struktur jednego języka w drugi. Najciekawszym bodajże przykładem tego, jak owa „miękką” nieprzekładalność działa, są powracające w kilku miejscach tomu rozważania Jarniewicza o spieszzeniach – o tym, w jak wyjątkowy i ciekawy sposób polszczyzna wykorzystuje zdrobnienia dla wyrażenia całej gamy emocji i afektywnych stosunków: czułości, kiczu, groteski, poczucia odrealnienia i tak dalej. Język angielski nie pozwala oddać owych spieszczeń jeden do jednego, co nie znaczy, że próby przekładu czyni bezsensownymi.

W pewnym uproszczeniu można by powiedzieć, że Jarniewicz etos tłumacza opiera na dwóch podstawowych zasadach. Po pierwsze, tłumacz bierze odpowiedzialność za to, co jego przekład, traktowany już jako autorski, twórczy, nowy tekst, „robi” z językiem docelowym. Po drugie, nie powinien ukrywać tego, że jego przekład jest działaniem twórczym i z konieczności „niewiernym” – nie może pozorować przejrzystości własnego języka. Moglibyśmy wrócić na moment do używanych przez Jarniewicza kategorii „błądu” i „kłamstwa”, by powiedzieć, że tłumacz musi kłamać – nie wolno mu tylko kłamać, że nie kłamie.

Tłumacz między innymi

Szkice o przekładach, językach i literaturze



Jerzy Jarniewicz

Ossolineum

Paweł Kaczmarski – krytyk literacki. Píše głównie o poezji współczesnej. Redaktor „Praktyki Teoretycznej”, „8. Arkusza” (dodatku młodopoezyjnego do miesięcznika „Odra”) oraz „Widm/Spectres” (czasopisma przekładowego poświęconego najmłodszej poezji polskiej i amerykańskiej). Stały współpracownik „Arterii”. (Współ)redagował „Zebrało się śliny”, antologię nowej polskiej poezji zaangażowanej, oraz kilka wyborów wierszy (Dariusza Sośnickiego, Szczepana Kopyta, Jerzego Jarniewicza). Okazjonalnie tłumaczy z angielskiego.

Edward Pasewicz

Knajpa, późny wieczór. Zabieganie o uwagę nie ma już sensu. Kanaliki chlorkowe u większości osób już nie pracują prawidłowo. Informacje zamazują się, gdzieś z okolic hipokampu, a może nawet pnia mózgu wyłaniają się zwierzęce cienie. A może nie cienie? Być może, w tych niepoliczalnych strukturach neuronowych powoli wykluwa się wiersz? Jest wszak niczym innym niż jakąś egzotyczną melodią, która w początkowym momencie zaskakuje, a kiedy pojawia się jej kontynuacja, przynosi czasami radość, choć częściej zdumienie. Oczywiście, żeby pojawił się wiersz, musi być poeta, żeby zaś tenże się pojawił na świecie, musi nastąpić cały szereg zdarzeń. Czy to mogłyby być hormony opływające mózg płodu, rzeźbiące go jak morze klify? To jest ten moment, kiedy zapadam się w sobie. Dwa piwa stabilizują organizm i jeszcze nie zakłócają działania tworu siatkowatego, tej nieomal pończochy, która odpowiedzialna jest za świadomość. To dość groteskowy obraz i można się spokojnie uśmiechnąć, podsłuchując rozmowę przy sąsiednim stoliku, podczas której ona przekonuje jego do kupna nowego mieszkania. Niezbyt to poetyckie, ale ciąg skojarzeń – pończocha, twór siatkowaty, ocean, klify – zaczyna brzmieć jakoś niepokojąco. Mieszkanie to muszla, twierdza nie do zdobycia, równie tajemnicza jak świadomość, która próbuje zbadać samą siebie. Przypomina to trochę wyciąganie się z bagna za włosy jedną ręką. On nie kupi jej tego mieszkania. Całą mową swego ciała na to wskazuje. Jej przymilanie się, dziecięcy ton głosu nic tu nie dadzą, bowiem widać, że już postanowił. Bramy się zamykają. Komu potrzebna



Jacek Sroka, „Nam i im”,
akwaforta, akwatinta 1990

Zabieganie o uwagę

jest w takim razie praca, którą wykonujesz? „Literat” brzmi doprawdy egzotycznie, a już „poeta” w szczególności. Kilka kropli niewłaściwych hormonów (albo właściwych) i rodzisz się ze skazą nadwrażliwca, który z największą rozkoszą zjadłby świat i po przetrwaniu zostawił literaturę. Sploty okoliczności. Okropny termin. Podchodzę do niego nieufnie, bo zakłada przypadek, a odkąd rozglądam się po świecie, jakoś przypadkowości nie widzę. Na pytanie, czym jest poezja, a zwłaszcza poezja dzisiaj, odpowiada każdy poeta same-

mu sobie. No skoro jest, skoro nie zakatrupiły jej okropności wojen XX wieku, to najwyraźniej jest jakaś konieczność jej istnienia. Słowo „konieczność” też mnie niepokoi. Jestem trochę jak królik w drodze nad ocean, którego co chwila paraliżują widoki. Ja to wiem, ale on tego jeszcze nie wie, że kiedy zawędruje nad ocean, jego paraliż i strach będą ostateczne. A jednak się tam wybiera.

To od razu przypomina mi o poezji. Jest ona w swej istocie jak najbardziej cudzożywna. Ileż zdań ukradłem, podsłuchując w setkach

odwiedzanych knajp. Gdyby wiedzieli, gdyby tylko wiedzieli, już siedziałbym za kratkami z paragrafem o „własności intelektualnej” na karku. Ale nie wiedzą. Po co komu mózg? Po co system nerwowy, skoro można się bez niego obejść? Tylko że te organizmy, które w pracowanie poruszały się szybciej, zdobywały więcej pożywienia. Mózg jest dobry dla przetrwania. Początkowo prymitywne układy nerwowe rozrastały się, aż w końcu dotarliśmy do tego miejsca: siedzę nad piwem i rozmyślam nad neuronalnymi strukturami w moim mózgu.

Czy język także powstał z powodu ruchu? Poza tym – jaki język? Czy można nazwać zwierzęce odgłosy językiem? Pewnie tak. Podobno najbardziej skomplikowaną strukturę, jak mawiają naukowcy, ma język kaszalotów. Środowisko wodne i kształt ciała nie sprzyjają temu, żeby u kaszalotów wykształciła się proza i książki w naszym rozumieniu, ale poezja już tak. Poezja jest bardziej skompresowana. Poezję da się zapamiętać, bowiem jej podstawową funkcją w zamierzczłej przeszłości była funkcja mnemotechniczna. Języka kaszalotów raczej nigdy nie pojmujemy, jakkolwiek w jego przypadku mówi się nawet o dialektach poszczególnych populacji. Czy byłyby to języki obce? Istnienie poezji zęboców jest tylko gdybaniem. Tak samo jak gdybaniem jest to, czy altanniki, budujące swoje gniazda i ozdabiające je w przemyślny sposób, tworzą kulturę. Coś je do tego skłania. Jakiś mechanizm.

Informacja, pamięć, obraz, rytm, metryka. Same składowe wiersza. Wiersz jest w pewnym sensie upakowany. Poszczególnym słowom, rytmom nadano znaczenie daleko wykraczające poza ich pierwotne funkcje. W wierszu



każde słowo, zwrot, metafora, zdanie czy zwrotka mają swoje coraz bardziej poszerzające się pola semantyczne. Wrażliwy czytelnik jest w stanie to wszystko ogarnąć i błąkać się po jednym wierszu całymi latami. Za tą sytuacją znowu, jak sadzę, czai się mechanizm. Ale jaki? Kulturowy? Biologiczny? Bezsilność w tym temacie jest obezwładniająca. Kolejny dowód dziwaczności sytuacji. Ciągłe w procesie tworzenia. Jestem poetą, a więc mój mózg cały czas pracuje na najwyższych obrotach. Tak, jest coś zwierzęcego w tej sytuacji, ta pierwotna czujność,

aby nie dać się zjeść i uciec przed niebezpieczeństwem, zdobyć pokarm wszelkimi sposobami. A potem powstaje „to coś” złożone z wersów, utrwalając w jednym błysku jakąś chwilę. Upakowany w kilka wersów wszechświat. Jak w wierszach Benna, Larkina, Rilkego, O'Hary i wielu innych.

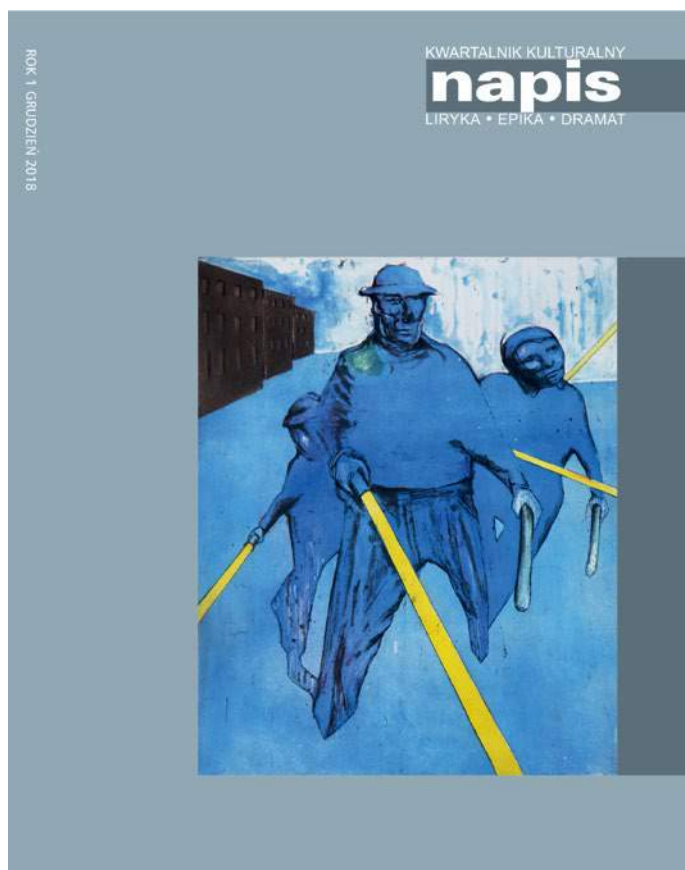
Czy wiersz jest kodem? Jak najbardziej. Ale, w takim układzie, co jest zakodowane w wierszu? Pamięć i czas. Niektóre wiersze sprzed tysięcy lat, odczytane dzisiaj, nieomal przenoszą nas do „tamtego” czasu. Trwaj chwilo, jesteś piękna. Larkin, jak

dla mnie, wciąż trwa w błasku wysokich okien. Dlaczego poezji i literatury nic nie jest w stanie zniszczyć? W najbardziej nawet, jak mawiał Witkacy, zbydlęconych społeczeństwach i tak znajdzie się grupka wariatów, którzy będą kultywować pisanie wierszy. Może właśnie dlatego, że wiersz jest ukoronowaniem języka?

Edward Pasewicz
Nocą jest trochę łatwiej

*Kiedy leżę obok ciebie i widzę
jak w najdrobniejszych komórkach
z lepkich nici powstają litery
i przechodzą na mnie,
mieszają się ze mną i z zarysu
opowieści rodzi się coś naszego:
jest trochę łatwiej łapać powietrze
i łatwiej jest leżeć obok ciebie.
Wtuleni jesteśmy w to zapisywanie.*

Edward Pasewicz (1971) – poeta, pisarz, dramaturg i kompozytor. Autor licznych tomów poetyckich, dramatów i prozy. Jego najnowszy tom poetycki, *Miejsce*, ukazał się w 2017 roku. Laureat między innymi Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Biereżina, zdobywca Medalu Młodej Sztuki i Nagrody Specjalnej Ministra Kultury. Nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia, Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” oraz Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej.



**Projekt finansowany
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego.
Wydawca: Polskie
Wydawnictwo Muzyczne.**

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

W grudniu 2018 roku ukaże się „Kwartalnik kulturalny Napis. Liryka. Epika. Dramat”, zawierający również wkładkę tematyczną, poświęconą grafice Jacka Sroki. Publikacja ukaże się wraz z trzema książkami – są to monografie wraz z antologiami tekstów – Andrzej Sulikowski „Rynek i coraz dalsze okolice. O twórczości Janusza Szubera”, Adrian Gleń „Języki rzeczywistości. O twórczości Juliana Kornhausera” oraz Maciej Woźniak „Podróż przez rzeczywistość. O twórczości Marka Nowakowskiego”. Darmowy pakiet tych czterech pozycji otrzymają wszystkie biblioteki uniwersyteckie i szkół średnich, a w sprzedaży ukażą się w styczniu przyszłego roku.



Joanna Lichocka

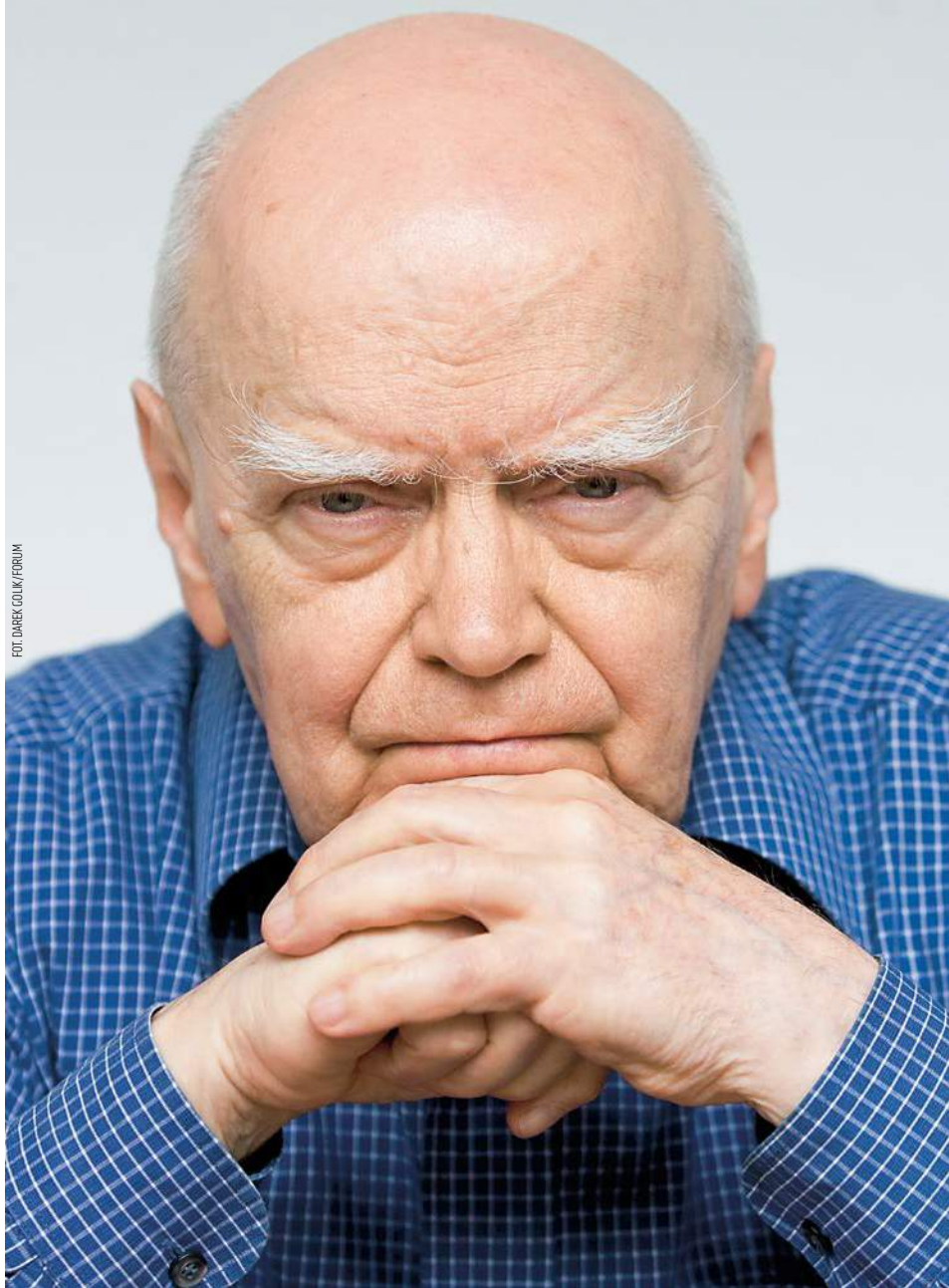
Ile w psychice dziecka zostawia wojna? Czy dorosły człowiek może się od niej uwolnić?

Dla mnie wojna była przeżyciem zupełnie dziecięcym, a zarazem tak szczęśliwie się złożyło, że moja rodzina nie poniosła prawie żadnych istotnych strat, nie została dotknięta ani śmiercią kogoś z najbliższych, ani wywózką do obozu koncentracyjnego. Więc nieszczęście osobiste jakby nie dotarło do mnie, a jednocześnie byłem chowany pod kloszem. Z wojny wyniosłem jakieś dziecięce lęki, nie przeżyłem jej jako faktu historycznego” – to fragment rozmowy z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem w „Hańbie domowej” Jacka Trznadla.

Pisarz miał – gdy mówił te słowa 23 marca 1985 r. – niespełna 50 lat. Opo-
wiedział wtedy Jackowi Trznadlowi o prze-
życiach wojennych niemal lekko. Jeszcze
nie pada to, co powie po latach: „Myślę
tak, jak chciała i nadal chce wojna”. Nie
wiem, dlaczego pisarz wtedy tak mówił
i tak myślał. Po wydaniu „Kinderszenen”
i wielu wywiadach, które ukazały się
w czasie publikacji książki i później, wie-
my, że nie warto w tę lekkość w sprawie
przeżyć wojennych pisarzowi wierzyć.
Wiemy też jednak dzięki temu, co napisał
wcześniej.

„[...] Niemcy – ubrani w długie, szaro-
rozzielone płaszcze i hełmy, na których
połyskują wielkie, czarne okulary, takie,
jakie w czasie wojny nosili motocykliści,
i uzbrojeni w pistolety automatyczne –
zaczynają gonić pana Mareczka, który
ucieka długim betonowym korytarzem,
skręcającym to w prawo, to w lewo,
i będącym, jak mówi sen, częścią jakie-
goś ogromnego labiryntu, z którego nie
ma wyjścia [...] Pan Mareczek wie, że
w końcu korytarza będzie betonowa
ściana i że pod tą ścianą zostanie roz-
strzelany [...]. – Ale już widać betonową
ścianę zamykającą betonowy korytarz,
łapy w ogromnych skórzanych rękaw-
icach chwytają pana Mareczka, zaraz
będą go torturować, i budzi się z krzy-
kiem. Ten krzyk budzi także panią Ma-
reczkową. – Musisz tak wrzeszczeć? –
pyta. – Co się z tobą dzieje? – Śnili mi się

Pieśń życia



FOT. DAREK GOLIŃSKI/FORUM

Niemcy – mówi pan Mareczek. – Chcieli
mnie rozstrzelać. – Śpij – mówi pani
Mareczkowa. – [...] Każdemu śnią się
Niemcy”. To scena z „Rozmów polskich
latem 1983 roku”.

Mówili mi to oboje, Ewa i Jarosław
Rymkiewiczowie, że od najwcześniej-
szych lat poeta budził się w nocy prze-

rażony śmiercią. Tak jak pan Mareczek
w „Rozmowach” czasem z krzykiem. Że
towarzyszyło im to – w snach śmierć
ubrana w niemieckie mundury – przez
dekady. „Każdemu śnią się Niemcy” –
Mistrzowi z Milanówka śnili się regu-
larnie. Teraz – w drugiej dekadzie lat
dwutysięcznych – pojawiają się rzadziej.



– Śnią się ruiny, idę ulicami pełnymi ruin, chodzę niemal po parapetach domów, schodzę do jakichś piwnic, jadę windą gdzieś na górę zburzonego domu i patrzę na zburzone miasto. Ale już nie śnią mi się Niemcy – powiedział mi poeta w listopadzie 2018 r.

„Wreszcie przyszła taka chwila, kiedy zrozumiałem, że to jest fundament mojej osobowości, że mam to za plecami i o to się opieram” – w 2008 r. po ukazaniu się „Kinderszenen” mówił w rozmowie z Krzysztofem Maśloniem.

Co właściwie o tym fundamencie wiemy?

DZIECKO I WOJNA

Rodzina poety wróciła ze Świerczyna, majątku babci, do Warszawy wiosną 1940 r. Od tej pory przez cztery lata mieszkali w kamienicy przy ulicy Koszykowej 38. Było to mieszkanie dziadka Szulca, który zmarł w 1941 r. Od tego czasu rodzice poety zajmowali całe mieszkanie wraz z dziećmi i tu też prowadził swoją kancelarię prawną ojciec Władysław. Jeden z pokoi był przeznaczony na poczekalnię dla jego klientów. „Mama prowadziła praktykę lekarską i nieźle zarabiała, ojciec jako cywilista też pracował. Powodziło nam się dobrze, zawsze była gospośia. No i Genia, nasza opiekunka. Skończyła freblówkę, nosiła specjalne nakrycie głowy, które wskazywało na to, że ma odpowiednie kwalifikacje” – wspominała w wywiadzie pt. „Kinderszenen starszej siostry” Alina Sawicka.

Okruchy wspomnień chłopca zebrane są w „Kinderszenen”, ich ślady odnaleźć można także w „Umschlagplatze”, w „Rozmowach polskich”, no i w wywiadach. Najwięcej, co oczywiste, dowiadujemy się z „Kinderszenen”, w którym opowieść o powstaniu warszawskim przeplata się z wątkami autobiograficznymi.

I tak – po rozdziale o umieraniu kotów w Gnojnie na przełomie lat 1939 i 1940 – pojawia się chronologicznie kolejny autobiograficzny fragment – rozdział pt. „Dziura”. Zawiera opis jazdy z Gnojna do szosy ostrołęckiej. „Prawdopodobnie jak teraz się domyślam, wyjechaliśmy z Gnojna, ponieważ wracaliśmy do Warszawy, [...] przez Kleszewo i Pułtusk, to było to wiosną 1940 roku. Wiosna raczej późna niż wczesna”. Mijali – pięcioletni chłopiec dobrze to zapamiętał, woźnica przyspieszył jazdę, poganiając konie – leżące nad rowem zwłoki kobiety z ogromną raną na plecach.

Niemcy – mówi w „Kinderszenen” narrator – „zniszczyli moje dzieciństwo i zrujnowali moją ośmioletnią wyobraźnię. Została kupa gruzów, kupa trupów, wielkie szambo, wielka dziura wypełniona czarną krwią”.

Rozdziałem o charakterze autobiograficznym jest też „Mój zeszyt”. To wspomnienie o szkole. Tajne komplety w mieszkaniu na Koszykowej, śliczna koleżanka, córka dozorczy z ulicy Śniadeckich, zajęcia w szkole pielęgniarskiej przy ulicy Piusa i udawanie przedszkółków, by ukryć, że są uczniami, gdy Niemcy przyszli do szkoły na kontrolę. No i ów tytułowy zeszyt, cały, strona po stronie, wypełniony bazgrołami i kleksami. „Dlaczego, zamiast przepisywać i zapisywać litery, słowa, zdania i słupki rachunków – bazgrałem i mazałem, i stawiałem kleksy? Dlaczego to, co rozmazałem i nabazgrałem, zamazywałem jeszcze raz, następnego dnia? W kółko, najlepiej w kółko – to mi się najlepiej udawało [...] nie wiem, dlaczego to robiłem”. Był to zeszyt – tak kończy ten rozdział autor – w „którym był zapisany (przedstawiony wizualnie) ówczesny wojenny projekt całego mojego przyszłego życia”.

Nie miejsce tu na psychoanalizę i podjęcie próby oceny stopnia traumy wojennej, która dotknęła poety. Bez wątplenia jego generacja, ale i następne po niej ciągle śnią wojnę. Jednak następne dzieło motywowów śmierci, gnicia, toczących się czaszek, mordowania, rozkładu, krwi i wielu, bardzo wielu innych – powtarzających się w twórczości poety, „w kółko, najlepiej w kółko” – także jako świadectwa pokolenia właśnie w kontekście badań nad wojennymi traumami – jest wyzwaniem dla badaczy. Upieczony podmuchem wybuchającej bomby kanarek w klatce pozostawiony przez zapomnienie podczas bombardowania w mieszkaniu – jaki to ślad zostawia w umyśle sześciolatka? I czy ma coś wspólnego z przyszłymi strofami?

„Już tam jestem a tu jeszcze bywam / już się śmierci imieniem nazywam”.

Siostra Alina, która w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” po wydaniu „Kinderszenen” dystansowała się od wymowy wspomnień brata („Bracie, czy ty nie przesadzasz?” – miała zanotować na marginesie książki), sama jednak dawała znać między zdaniem o „normalnym” dzieciństwie, o istnieniu tej traumy: „Wspomnienia z dzieciństwa... Oczywiście obejmują i strach, i niepokój, i przerażenie”. Choćby wtedy, gdy płone-

ło getto – dzieci wiedziały, co się dzieje. „Nasze dzieciństwo było obciążone świadomością, że grozi nam niebezpieczeństwo. Obciążone bezsilną rozpaczą rodziców, że ich przyjaciele Żydzi są w getcie i że nie można im pomóc. Powstanie w getcie wspominam jako czas wielkiego przygnębienia i grozy. Była piękna pogoda, szliśmy do znajomych, na spotkanie przed Wielkanocą, a nad gettem unosił się straszny słup dymu...” – wspominała. Jesienią 2018 r. Jarosław Marek Rymkiewicz opowiadał mi o tym wizycie w kwietniu 1942 r. z rodzicami u znajomych, którzy mieszkali w kamienicy przy ulicy Jaworzyńskiej: „Nad gettem stały dymy, które zasłaniały niebo i były świetnie widoczne z centrum Warszawy. Pamiętam, że w pewnej chwili moja siostra wybuchła płaczem, płacz był bez bezpośredniego powodu, jedyne, co zdołała powiedzieć, to to, że my tu pijemy herbatę, a tam zabijają. Miałem siedem lat. To zapamiętałem”. Także z tego płaczu siostry, z dymów oglądanych z okna znajomych rodziców wziął się „Umschlagplatz”.

POMOC ŻYDOM

W ocalałym (tym wykopanym z piwnicy kamienicy na Koszykowej) albumie w szarych okładkach jest wiele zdjęć czasu okupacji. Mama poety bardzo lubiła robić zdjęcia, starannie się nimi zajmowała, wklejała, opatrywała podpisami, kiedy, gdzie, kto. Fotografie są z Warszawy i z wakacji. Bo co roku, mniej więcej od czerwca do września lub nawet października, rodzina wyprowadzała się z miasta do podwarszawskich letnisk. Są zatem zdjęcia z Otwocka, z Celestynowa, z Piaseczna.

Zatrzymajmy się nad tymi z Celestynowa i Otwocka, z lata, z sierpnia 1942 r. Są zrobione na kilka tygodni przed straszną likwidacją getta w Otwocku – siedmioletni Jarek stoi uśmiechnięty na wysokim peronie – a także kilka dni po, kiedy wciąż trwało wyłapywanie i mordowanie otwockich Żydów. Stół w ogrodzie, ustawiony między drzewami, ojciec poety stoi, wuj Bohdan Baranowski (brat mamy poety) i ktoś jeszcze siedzą na krzesłach. Stół przykryty jakimś papierem. Poważne twarze patrzą w obiektyw, nie wyrażają niczego. Dalej fotografia Aliny z małą dziewczynką o kalekiej rączce stojących w ogrodzie. Opisana w „Umschlagplatze”: „Zdjęcie zrobiono w Świdrze, prawdopodobnie

■ gdzieś w pobliżu tej drewnianej willi, w której spędzaliśmy wtedy wakacje. Obok mojej siostry stoi małe, znacznie mniejsze od niej dziecko, które ubrane jest w długą, sięgającą niemal do ziemi sukienkę [...]. Włosy tego dziecka, tej dziewczynki są krótko, tuż przy skórze ostrzyżone. Jedno jest pewne: te włosy są czarne, bardzo czarne, niepokojąco czarne [...] patrzy w obiektyw jakby z nieufnością, jakby trochę lub może nawet bardzo przestraszone”.

To było najprawdopodobniej dziecko żydowskie, bo babka Alina ukrywała Żydów. Po tym, jak musiała uciekać ze Świerczyna, który znalazł się w utworzonej przez Niemców tzw. rejencji ciechanowskiej wcielonej do Rzeszy, wynajęła mieszkanie w Warszawie. Także przy Koszykowej, niedaleko rodziny poety, ale po drugiej stronie Marszałkowskiej, nieopodal gmachu biblioteki publicznej. Tam i pod Otwockiem, w Celestynowie, gdzie próbowała prowadzić pensjonat w wydzierzawionej willi, ukrywała Żydów.

Latem 2017 r. oglądaliśmy albumy ze zdjęciami wspólnie z Ewą i Jarosławem Rymkiewiczami w Milanówku. Kusi, żeby przywołać jeszcze jeden cytat z „Umschlagplatz”:

„Kiedy na początku roku 1945 matka zeszła do piwnicy, tych jej posagowych sreber już tam oczywiście nie było i trudno – zważywszy na to, co się wtedy działo – uznać to za dotkliwą stratę, choć jednak chciałbym wiedzieć, gdzie, w jakim niemieckim domu, w Hamburgu czy w Bremie, używane są dzisiaj noże i widelce z panińskim monogramem mojej matki H.B.”. Bo z cennych zakopanych rzeczy nie zostało nic – tylko albumy. „Zapewniam dzieci tego esesmana, który ukradł nasze widelce, że to mi wystarczy i na więcej nigdy nie liczyłem” – kończy ten wątek narrator. Ilu z nas ma tę samą myśl o zrabowanych przez Niemców rzeczach?

PIEŚŃ WUJA TOMKA

Rodzice poety, zwłaszcza mama, byli pryncypialni. Nie chodziło się do kina, bo „tylko świnię siedzą w kinie”. Nie utrzymywało się kontaktów ze znajomymi, którzy łamali zasady ustanowionego przez Polskie Państwo Podziemne bojkotu. Dzieci uczyły się na tajnym nauczaniu, komplety odbywały się także w mieszkaniu na Koszykowej. Ilekroć wyjeżdżano całą rodziną na letnisko pod Warszawę, tylekroć rodzice poety klucze zostawiali ludziom z AK. „Pamiętam, gdy

przychodzili po nie, ubrani w prochowe długie płaszcze przewiązane ciemnym paskiem, w wysokich butach oficerkach – wszystko według warszawskiej konspiracyjnej mody” – opowiadał mi autor „Ulicy Mandelsztama”. Było wiadomo, że brat mamy, wuj Bohdan Baranowski, był w Armii Krajowej. Babka Alina, która zdaniem poety miała głowę do interesów, otworzyła firmę transportową. Za inwestowała w wozy – rolwagi – płaskie drewniane platformy na kołach ciągnięte przez konie. Takich firm było w okupacyjnej Warszawie wiele.

Jeździł takimi rolwagami także wuj Bohdan. Mały Jarek zapamiętał, że wujek – wtedy już po doktoracie zrobionym tuż przed wojną na podstawie pracy pt. „Stosunki polsko-tatarskie w latach 1632–1648” – chodził w wysokich oficerkach i woził ze sobą futerał od skrzypiec.

Babka Alina ukrywała Żydów w Warszawie, pod Otwockiem i w Celestynowie, gdzie próbowała prowadzić pensjonat

W tym pudle – i zdaniem poety każdy musiał to wiedzieć – woził broń. Późniejszy profesor na Uniwersytecie Łódzkim, historyk i orientalista, konspirował, brał udział w tajnym nauczaniu i oczywiście w powstaniu warszawskim. Miał ogromne szczęście – dwukrotnie prowadzony na egzekucję dwukrotnie wykupił się zegarkiem.

Mama Hanna pracowała jako lekarz internista w dwóch miejscach – w szpitalu Dzieciątka Jezus przy ulicy Lindleya i w przychodni działającej pod patronatem Rady Głównej Opiekuńczej.

Czym była rada? Jedyną oficjalnie działającą polską organizacją na okupowanych terenach. Swoją nazwą i celem działania przypominała radę utworzoną podczas I wojny światowej, którą Polacy zorganizowali po to, aby nieść pomoc humanitarną rodakom podczas wojny na terenie wszystkich trzech zaborów. Ta działająca podczas II wojny światowej powstała dzięki pomocy finansowej i naciskowi rządu Stanów Zjednoczonych, nieoficjalnie była finansowana także przez polski rząd na uchodźstwie. Rada niosła pomoc więźniom, dostarczając jedzenie, ubrania, leki. Organizowała

kuchnie dożywające dzieci i dorosłych, wakacje dla dzieci z najuboższych rodzin, a także pomoc lekarską. Niosła pomoc wysiedlanym do Generalnej Guberni z terenów przyłączanych do Rzeszy. W jej strukturach było wielu członków Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego. I w jednej z przychodni pod patronatem RGO pracowała mama poety. Latem 1944 r. rodzina spędzała wakacje w Piasecznie, doktor Hanna Szulc dojeżdżała kilka razy w tygodniu do Warszawy, by przyjmować pacjentów. 1 sierpnia, krótko przed Godziną „W”, do przychodni przyszli chłopcy z AK. Powie dzieli mniej więcej tak: – Jeśli nie chce się pani na dłużej rozstać z rodziną, niech pani wyjedzie zaraz z miasta.

Słychać już było strzały, gdy ostatnią kolejką albo jedną z ostatnich mama poety wyruszyła do Piaseczna.

Niedaleko dworca, z którego odjeżdżała kolejka do Grójca lub Góry Kalwarii (przez Piaseczno), był dom dziadka Szulca. Mieszkała w nim siostra ojca poety, ciocia Lilka wraz z mężem, wujem Tomkiem. Dom na ulicy Wołodyjowskiego na warszawskim Służewcu oczywiście – tak jak wszystkie warszawskie adresy Jarosława Marka Rymkiewicza z tamtego czasu – nie istnieje. Stoi na miejscu domu dziadka parking wielopoziomowy – systemu „Parkuj i Jedź”. W domu, który tam kiedyś stał, mały Jarek spędzał także wakacje. Niekiedy słyszał pieśń wuja Tomka, który lubił od czasu do czasu zabawić się gdzieś na mieście. Słowa pieśni brzmiały tak – cytuję za „Kinderszenen”: „Barbara umarła / Bartek ją wioził / Przyjechał do grobu: / Barbara złaż / Barbara zlażła / Do grobu wlażła / Nawrzucał kamieni: / Barbara gryż”. Poeta pisze, że uwielbiał tę pieśń, którą śpiewał mu wuj Tomek: „To była wielka pieśń mojego dzieciństwa. A ponieważ kochałem wuja Tomka, którego zabili podli Niemcy (zabili, trzeba to powiedzieć wyraźnie, za nic – nie zrobił im przecież nic złego), więc powiem więcej – to jest wielka pieśń mojego życia”. Żartobliwa pieśń ludowa z Roztocza – możesz ją, drogi czytelniku, usłyszeć w nagraniach zespołów ludowych, fragmenty są w Internecie, poznasz, jak lekka jest i kpiarska – dla poety niesie pamięć godziny policyjnej, powstania, łapanek i Stutthofu, gdzie zginął wuj Tomek. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem powstającej książki o Jarosławie Marku Rymkiewicz.



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 17
GRUDNIA
2018

DWUDZIESTY ODCINEK SERII

**Niepokonani. Jak pokonaliśmy
największe państwo Europy.**

Ofensywa po bitwie warszawskiej.

ZWYCIĘZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIĘZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna



Co się zdarzyło z Mary Poppins


FOU. DISNEY ENTERPRISES, INC.


Piotr Gociek

Nowy film o tajemniczej niani to przebojowy musical stanowiący jednocześnie ciąg dalszy i remake słynnego hitu Disneya z 1964 r.

Dzień przed prasowym pokazem przypominałem sobie film „Mary Poppins” Roberta Stevensona z 1964 r. Zestarzał się poważnie i w dodatku brzydko. Jego mocną stroną wciąż są znakomite piosenki, Julie Andrews w roli Mary Poppins nadal błyszczący, pojedyncze dialogi czy nawet czasem sceny budzą uśmiech, ale patrząc szerzej, to dzieło uznawane przez lata i dekady za perłę w koronie imperatora

rozrywki Walta Disneya jest dziś po prostu ramotą.

Od razu przyznam: tak, mogę być uznany za stronniczego, bo musicale nigdy nie były moją wielką miłością, a i z zakochaniem się w literackim oryginalnym Pameli L. Travers miałem kłopoty. Kiedy poznałem Mary Poppins, nazywała się jeszcze Agnieszka, bo nie tylko przedwojenne edycje przekładu Ireny Tuwim zawierały tę właśnie wersję jej imienia. Czytałem więc wydania z lat 60. XX w. opatrzone tytułami takimi jak „Agnieszka otwiera drzwi” czy „Agnieszka w parku”, opatrzone uroczymi ilustracjami Marii Orłowskiej-Gabrys.

W odróżnieniu od innych dzieł klasyki dziecięcej książki Travers przebiegały się do mnie z trudem. Podobały mi się szalone przygody, które wraz z Mary Poppins (przepraszam, Agnieszką) przeżywały dzieci państwa Banksów, natomiast

miałem kłopot z pojęciem podstawowego konceptu. W moim życiu wszyscy dookoła mieli rodziny, w których nianie nie były potrzebne (pomijając drobny fakt, że nikogo nie byłoby na takie stać). O manieri i atmosferę w domu dbali mama z tatą, a jeśli ktoś podawał im pomocną dłoń, to babcie – osoby, bez których dzieciństwa nie sposób sobie wyobrazić. Gdzie tu miejsce dla niani? Widać, jestem nieodrodnym dziećciem PRL.

DOBRA ZABAWA

Podsumowując te doświadczenia (z książką i filmem „Mary Poppins”, wyróżnionym w roku 1964 pięcioma Oscarami – przy czym pamiętajmy, że nominacji było aż 13), stanowiąc dla Disneya zdecydowanie trudną publiczność. Z tym większym zdumieniem przyznaję, że wyszedłem z pokazu „Mary Poppins powraca” oczarowany i uśmiechnięty

od ucha do ucha. Od razu śpieszę zapewnić, że wcale nie ogłupiony, bo doskonale zdawałem sobie sprawę, jak zręcznej manipulacji jestem poddawany. Jednak była to emocjonalna manipulacja na takim poziomie, że czapki z głów.

„Mary Poppins powraca” w reżyserii Roba Marshalla (tego samego, który stworzył obsypaną nagrodami kinową adaptację musicalu „Chicago”) to jednocześnie remake i sequel. Ciąg dalszy, bo opowiada o tym, co przydarzyło się już dorosłemu rodzeństwu Banksów i wykorzystuje wątki ominięte w poprzednim filmie, a zaczerpnięte z prozy Travers. Mary Poppins zostaje ściągnięta na ziemię wraz z latawcem, tak jak na początku drugiej powieści o niezwyklej niani. Obiecuje pozostać „póki nie otworzą się drzwi”, tak jak w trzeciej części cyklu. Nie mamy jednak do czynienia z klasyczną adaptacją, scenarzyści sięgają po pojedyncze pomysły pisarki i przetwarzają je oraz układają po swojemu.

Akcja rozgrywa się w czasach wielkiego kryzysu, Janeczka i Michaś mają własne, całkiem dorosłe kłopoty. Janeczka (Emily Mortimer), podobnie jak kiedyś pani Banks, zajmuje się pomaganiem innym, tyle że zamiast walczyć o prawa kobiet, broni praw do zakładania związków pracowniczych. Michaś (Ben Whishaw) rok wcześniej pochował żonę. Wciąż mieszka w domu przy Czereśniowej 17 w Londynie, próbując dzielić czas między wychowywanie trojga dzieci a pracę w banku. Wychodzi mu żałośnie, nic więc dziwnego, że w życiu rodziny musi znów pojawić się Mary Poppins – Banksowie desperacko jej potrzebują, choć nie zdają sobie z tego sprawy. Do roli magicznej niani tym razem wybrano Emily Blunt i był to strzał w dziesiątkę. Jest jednocześnie ujmująca i sroga, nieco arogancka i nieco sentymentalna. Na pewno bliżej jej do powieściowej Mary Poppins, choć nie aż tak, jak chcieliby puryści uważający, że Disney niemal pół wieku temu wypaczył jej książkowy charakter całkowicie.

Mamy zatem zmiany w stosunku do filmu z roku 1964, ale ważniejsze jest to, że wprowadzoną w życie złotą hollywoodzką zasadę „to samo, tylko trochę inaczej”. I film z roku 2018 tak właśnie jest omyślony. Spójrzmy na relacje łączące postaci: młody pan Banks zatracił radość życia i jest nieczuły dla swych dzieci, tak jak stary pan Banks sprzed lat. Sympatycznym pomocnikiem

Mary Poppins w starym musicalu był kominiarz Bert, który żadnej pracy się nie boi, teraz dostajemy równie sympatycznego latarnika Jacka (Lin-Manuel Miranda). Najważniejsze dla przyszłości i dobrobytu rodziny Banksów sceny rozgrywają się w banku, gdzie pojawiło się nowe pokolenie urzędników (Colin Firth), ale wszystko okaże się bezpośrednio powiązane z wypadkami z poprzedniego filmu.

Teraz popatrzmy na podobieństwo kluczowych scen. Zamiast magicznej wycieczki do rysunku na chodniku i wejścia w świat animowany tutaj dostajemy wyprawę do rysunku na cennej wazie Royal Doulton. Julie Andrews jako Mary Poppins zabrała dzieci z wizytą do cierpiącego na niezwykle zaraźliwy śmiech szalonego wuja Alberta unoszącego się pod sufitem, Emily Blunt zabierze małe Banksiátka do szalonej ciotki Topsy (świetna jak zwykle Meryl Streep), której cały apartament stanie do góry nogami. Czternastominutowa sekwencja musicalowa w udziale kominiarza była główną atrakcją taneczną oryginału z roku 1964, tu dostaniemy zaaranżowaną z jeszcze większym rozmachem sekwencję z latarnikami. I tak dalej.

ŚWIETNA MUZYKA

Remake, ciąg dalszy, idealna podróbka, lecz z użyciem najnowszych osiągnięć techniki filmowej – film Roba Marshalla jest tym wszystkim naraz. „Mary Poppins powraca” to także wielki hołd złożony poprzedniemu filmowi, poczynając od utrzymanego w podobnych barwach Londynu, a kończąc na sprytnym nawiązaniu muzycznym – gdy niania po raz pierwszy po latach wchodzi do domu przy Czereśniowej 17, słyszymy wplecioną w muzykę melodię hitu z 1964 r., czyli „A Spoonful of Sugar”.

Ano właśnie – muzyka. Kolejny sukces. Żaden z przebojów napisanych przez Marca Shaimana nie jest wprawdzie tak chwytliwy jak słynny „Chim Chim Cher-ee” braci Shermanów z roku 1964, ale wesoły „Can You Imagine That?” zbliża się do tego, a i inne kompozycje, takie jak „A Cover Is Not The Book” czy nostalgiczny

„The Place Where Lost Things Go”, staną się bez wątpienia nowymi disneyowskimi klasykami.

Wcale nie dziwi mnie więc, że film „Mary Poppins powraca” jeszcze przed swą oficjalną premierą został nominowany do Złotych Globów w pięciu kategoriach. Myślę, że oscarowych nominacji będzie jeszcze więcej. Część z nich zamieni się w statuetki, bo trudno wyobrazić sobie, by za najlepszą piosenkę uznano jakiegokolwiek utwór spoza soundtracku do nowych przygód tajemniczej niani.

W filmie dokumentalnym „Prawdziwa Mary Poppins” przyjaciele i rodzina Pameli Travers opowiadają, że w odróżnieniu od wersji sprzedanej publice w filmie „Ratując pana Banksa” przez koncern Disneya autorka książek serdecznie nie nawiadziła ekranizacji, a największą pretensję miała o nadmierne wyeksponowanie kominiarza Berta. „Dick van Dyke zrujnował film” – mówiła. Nie dlatego, że miała go za słabego aktora, ale dlatego, że ukraść najważniejszą partię opowieści staremu panu Banksowi. Przesłanie Travers było następujące: Mary Poppins była tajemniczą siłą, za której sprawą pan Banks zbliża się do swoich dzieci, a rodzina staje się bardziej kompletna i szczęśliwa. W filmie z 1964 r. ta rola zostaje przejęta przez Berta, który w dodatku przedstawiony jest nie jako znajomy, lecz ukochany Mary Poppins. Rob Marshall naprawił ów błąd, w nowym filmie akcenty rozłożone są właściwie. Czy Pameli Travers podobałaby się ta nowa wersja? Pewnie też nie, ale to temat na całkiem inną opowieść.

Spodoba się natomiast na pewno wszystkim oczekującym radosnej, sympatycznej i kolorowej (a czasem wzruszającej) zabawy na najwyższym disneyowskim poziomie, to znaczy takim, jaki wyznaczono jeszcze w czasach klasycznych animowanych hitów, od „Królowej Śnieżki” do „Króla Lwa”. Ja wiem, że to wszystko już było, wiem, że to powtórka z rozrywki. A mimo to kręcę głową z podziwem: proszę państwa! Stare recepty sprawdzają się nadal! Tylko aluzje do prezydenta Trumpa disneyowscy scenarzyści mogliby sobie darować (słuchajcie uważnie tekstu „A Cover Is Not The Book”).



★★★★★

REŻ. ROB MARSHALL
„MARY POPPINS POWRACA”
(„MARY POPPINS RETURNS”)
USA 2018

wyst. Emily Blunt,
 Lin-Manuel
 Miranda, Emily
 Mortimer, Meryl
 Streep, premiera
 polska 19.12



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMIANIK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Diabelska alternatywa



★★★★★

REŻ. GIANNI ZANASI
„NADMIAR ŁASKI”
 („TROPPA GRAZIA”)
WŁOCHY 2018

wyst. Alba
 Rohrwacher, Elio
 Germano, Hadas
 Yaron

Gdzie scenarzystów czterech, tam nie ma co liczyć na dobre kino. Polecam „Nadmiar łaski” kadrze pedagogicznej filmowych uczelni jako nader wdzięczny materiał do analizowania skutków stylistycznego i narracyjnego rozchwiania.

Jedno się twórcom udało: bohaterka budzi odruchową sympatię. Jest charakterna, skrupulatna oraz prawdopodobna aż do przesady i dlatego życie jej nie rozpieszcza. Lucia, z zawodu geodeta, jednego dnia traci robotę i faceta. Zostaje sama z córką, nękaną przez demony okresu dojrzewania. Nowe zlecenie okazuje się pułapką. Mierząc teren wybrany pod prestiżową inwestycję, Lucia odkrywa, że mapy kłamią. Zaalarmowany klient dobrotliwie radzi, by skupiła się na małych błędach, a te duże zostawiła w spokoju.

Za to właśnie kochamy europejską kinematografię. W sformułowanych produkcjach amerykańskich słowa nie mają znaczenia. W filmie Zanasiego w jednym jedynym zdaniu zdradzono zasadę, na której funkcjonuje państwo włoskie. A może nie tylko włoskie. Złotousty inwestor twierdzi, że jedyną alternatywą dla korupcji jest siedzieć na tyłku i nic nie robić. Ne ekran przeniknęły też najważniejsze problemy egzystencjalne mieszkańców słonecznej Italii: cudzoziemcy odbierają im pracę, espresso straciło zaś smak i aromat, od kiedy Chińczycy zaczęli wykupywać kawiarnie.

Lucia zauważyła na polu młodą kobietę w niebieskiej chustce. Domniemana uchodźczyni oświadcza, że jest matką Boga, i domaga się zbudowania kościoła zamiast

kosmicznego osiedla. Lucia odmawia współpracy, bo nie chce być brana za wariatkę. Zjawia zaczyna ją nękać, dochodzi nawet do rękoczynów. Koncept, by Madonna wybrała na pośrednika osobę niewierzącą, ma pewien potencjał komediowy, lecz „Nadmiar łaski” trudno nazwać komedią. Dramatem zresztą też, albowiem bukoliczne krajobrazy Lacjum i uroda uliczek Viterbo łagodzą obyczaje, bohaterowie są co do jednego dobrodusznicy, więc z góry wiadomo, że wszystko się jakoś ułoży.

Brak ikry najmocniej objawia się w warstwie ideowej. Z jednej strony religijność jest tu objawem nonkonformizmu, z drugiej – twórcy bardzo boją się posądzenia o chrześcijański zelotyzm. Zamiast do egzorcysty wolą więc wysłać Lucię do psychologa, sugerując, że Matka Boska pojawiła się jedynie po to, by postawić udręczoną kobietę do pionu. Nie wierzysz w Boga? To żaden problem, gorzej, że przestałeś wierzyć w siebie. Ojciec Lucii, muzyk jazzowy w stanie spoczynku, padł ofiarą innego paradoksu. W czasach świetności grywał dla 50 osób. Po tym, jak ogłosił na Facebooku, że kończy z muzyką, jego profil zaczęło obserwować ponad 70 tys. fanów. ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MARY POPPINS POWRACA”

W cieniu ataku kolejnych komiksowych bohaterów (zapewne „Aquaman” zdominuje multipleksy na kilka tygodni) na ekrany wchodzi odświeżona klasyka Disneya. Akcja nowej opowieści inspirowanej książkami P.L. Travers rozgrywa się w Londynie lat 30. XX stulecia, a Mary Poppins znów spotyka się z małymi (teraz już dużymi) bohaterami

musicalu z roku 1964. W roli głównej Emily Blunt, muzykę i nowe piosenki napisał Marc Shaiman. ©©

Piotr Gociek

• „Mary Poppins powraca”,
 reż. Rob Marshall, wyst. Emily Blunt,
 Emily Mortimer, Meryl Streep,
 USA 2018 (nasza recenzja na str. 62)

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Aquaman”, reż. James Wan, USA 2018
- „Spider-Man Uniwersum”, reż. Bob Persichetti, USA 2018
- „Królowa Śniegu: Po drugiej stronie lustra”, reż. Robert Lence, Aleksey Tsitsilin Rosja 2018
- „Pech to nie grzech”, Polska 2018



Dziewczyna z blizną

Dobra wiadomość: wojna światowa będzie trwać tylko 60 minut. Zła wiadomość: wygubi znaczną część ludzkości i cofnie ją w rozwoju o 200 lat z okładem. Zachód stoczy się na moralne dno, cywilizacja szanująca piękno, dobro i prawdę utrzyma się jedynie na wschodzie (skąd my to znamy?).

W postapokaliptycznej scenerii teorii Darwina zrealizują w praktyce ruchome miasta twierdze, pożerające się nawzajem. Jak zwykle jedyna nadzieja w nastolatkach. Co dorośli zepsuli, oni mogą naprawić.

Ekranizacji pierwszej części steampunkowego cyklu Philipa Reeve'a wypatrywano z nadzieją, bo nadzorował ją sam Peter Jackson. Książki nie czytałem, lecz chętnie

wierzę, że „Zabójcze maszyny” są zgrabną przygodówką, żerującą na sentymencie, jaki Brytyjczycy mają do epoki wiktoriańskiej. Tytuł został wzięty z szekspirowskiego „Otella”. Film sprawia jednak wrażenie hybrydy, zmontowanej naprędce ze ścinków „Mad Maxa”, „Igrzysk śmierci”, „Terminatora” i „Gwiezdných wojen” (choć czarny charakter, czyli Hugo Weaving, akurat przywędrował z „Matrixa”).

Najbardziej udało się scenografia i efekty specjalne. Wszystko w rękach nieleptego targetu: jeśli polubi gładkolicego archeologa Toma i nożowniczkę Hester z pokiereszowaną facjatą, to ciąg dalszy nastąpi. Nie postawiłbym jednak na to zużytego tosteru. ©©

Wiesław Chętniak



★★★★★

REŻ. CHRISTIAN RIVERS
„ZABÓJCZE MASZYNY”
USA/NOWA ZELANDIA 2018

wyst. Hera Hilmar, Robert Sheenan, Hugo Weaving



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „HITMAN 2”

Łysy zabójca, z kodem kreskowym wytatuowanym z tyłu głowy. Bezwzględnie skuteczny, wyszkolony do wyzbycia się emocji i wykonywania rozkazów. Krok po kroku odkrywający sekret swojego pochodzenia. Tak w skrócie wygląda fabuła każdej z części cyklu „Hitman”. Co zaskakuje tym

razem? W stosunku do poprzednika z 2016 r. rewolucji nie ma. „Dwójka” to – niczym w serialu – kolejny sezon gry i nowe misje, które zabiorą nas od Miami przez kolumbijskie lasy tropikalne do indyjskiego Mumbaiu. Ponownie cała inwencja w sposobie realizacji misji zależy od gracza. Grafika



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jest przyjemna dla oka. Fani serii nie powinni narzekać. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** TPP/Akcja
- **Platforma:** PS4, XONE, PC
- **Producent, dystrybutor:** Warner Bros. Interactive Entertainment
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

EWANGELIA WEDŁUG OSIOŁKA

Uroczy film animowany wytwórni Sony, w którym historię niepokalanego poczęcia, życie Marii i Józefa, podróż Trzech Króli i narodziny Jezusa oglądamy z perspektywy sympatycznych zwierzątek. Główny bohater to osiołek Bo, który przypadkiem trafia do gospodarstwa Marii, a potem walnie przyczyni się do jej ocalenia przed siepacami króla Heroda. Najlepszym kumplem Bo jest bezczelny gołąb Dave, a w drodze do Betlejem poznamy jeszcze większą kompanię. Zachowując wierność ewangelicznemu przekazowi, twórcy filmu stworzyli zabawną opowieść dla całej rodziny, której dodatkową ozdobą są fantastyczne wersje świątecznych klasyków w wykonaniu artystów gospel oraz country, a także premierowa piosenka Mariah Carey „The Star” (nominacja do Złotego Globu). Wśród mnóstwa filmów złych, głupich, pustych i nijakich oraz często po prostu antychrześcijańskich „Pierwsza gwiazdka” jest zjawiskiem wyjątkowym. Nie może więc jej zabraknąć w tym roku pod choinką.



★★★★★

REŻ. TIMOTHY RECKART
„PIERWSZA GWIAZDKA”
(„THE STAR”)
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Steven Yeun, Keegan-Michael Key, Gina Rodriguez

MAMA, TATA I KŁOPOTY

Co zrobić, by ludzie znów polubili superbohaterów? Pokazać, jak wiele dobrego mogą zrobić. Stąd plan wielkiego medialnego magnata: kamery będą transmitować wyczyny pani Iniemamocnej, a sympatia tłumu wnet powróci. Oznacza to, że pan Iniemamocny zostanie w domu i zajmie się dziećmi, co jest o tyle trudne, że najstarsze ma już problemy sercowe, a najmłodsze dopiero odkrywa swoje supermoce. Film Brada Birda jest drugą najbardziej kasową animacją wszech czasów i zarobił dwa razy więcej od pierwszych „Iniemamocnych” z 2004 r. Powtórka z rozrywki najlepsza jest w scenach domowych, najmądrzejsza tam, gdzie przestrzega przed manipulacjami, które grożą nam we współczesnym świecie. Są też nowe pomysły (scena z kandydatami na współpracowników pani Iniemamocnej jest przeźabawna). To film równie zabawny i ciepły jak „Jedynka”. Rzadka rzecz w świecie sequeli. ©©



★★★★★

REŻ. BRAD BIRD
„INIEMAMOCNI 2”
(„INCREDIBLES 2”)
USA 2018, GALAPAGOS

wyst. Craig T. Nelson, Holly Hunter, Sarah Vowell

recenzuje Piotr Gocięk

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Był jazz!

To wydawnictwo, bo to za jednym zamachem i książka, i album, i materiał filmowy, a przede wszystkim muzyka, przypomina, czym – w sprzyjających warunkach – może być edytorstwo. Według projektu i opracowania graficznego Macieja Buszewicza powstało dzieło nadzwyczajne, uderzające wysmakowaniem, elegancją, tajemniczością czarno-białych fotografii przywołujących dawny, a przecież wciąż pociągający czas, kiedy to w zniewolonym kraju święciła triumfy muzyka do niedawna zakazana – jazz. I niosła ze sobą powiew wolności.

Twórcą tej, jak głosi tytuł, „biografii wielogłosowej” jest Andrzej Wasylewski. To on opatrzył ją zdjęciami i filmami (do książki dołączone są „Jazzowe dzieje Polski”, 10-odcinkowy serial dokumentalny, „A Story of Polish Jazz – Jarek Śmietana”, zapis koncertu z 2005 r. i „Trzaskowski – Better Luck Next Time – Następny razem będzie lepiej”, biograficzny film dokumentalny z koncertem w Piwnicy pod Baranami z 2013 r.). On też do druku przysporzył rozmowy nagrywane przez lata z bohaterami jego filmów i programów telewizyjnych. „Przeczytane na nowo – powiada Wasylewski – najsmaczniejsze, nieco uduchawiane, ułożone w ciągu historycznym, tylko nieliczne – później uzupełnione, już bez moich pytań i komentarzy jawią się jak monolog jednego wzorcowego polskiego człowieka jazzu. Dziś opatrzyłem je niezbędnymi przypisami i biogramami”.

Ten model wzorcowego jazzmana znad Wisły tworzą, w kolejności alfabetycznej: Józef Balcerak i Jan Byrczek, Andrzej Dąbrowski i Roman Dyląg, Tadeusz Fedorowski i Jan Jarczyk, Wojciech Kamiński i Wojciech Karolak, Janusz Kozłowski i Andrzej



FOT. CZESŁAW MIECHOWSKI/PAF

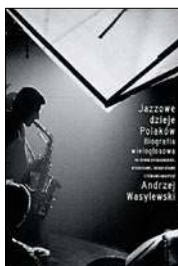
Kurylewicz, Adam Makowicz i Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz, Henryk Miśkiewicz i Janusz Muniak, Włodzimierz Nahorny i Zbigniew Namysłowski, Krzysztof Sadowski i Władysław „Adzik” Sendek, Tomasz Stańko i Tomasz Szukałski, Jarosław Śmietana i Jerzy Tatarak, Andrzej Trzaskowski i Michał Urbaniak, Jan Walasek i Jan „Ptaszyn” Wróblewski. Postaci legendarne, wielu z nich nie ma już wśród nas.

A opowiadali Wasylewskiemu rzeczy ciekawe, historie barwne, zadziwiające, zaskakujące. Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz wspominał np.: „Pamiętam w 1946 r. polemikę na łamach »Ruchu Muzycznego«, co to jest muzyka jazzowa, i Stefan Kisielewski pisał, że jazz to faceci w smokingach dmuchający w trąbki, a Leopold Tyrmand – że to muzyka Murzynów w podartych swetrach. Więc to był czas, gdy ludzie nie bardzo orientowali się, co jest muzyką jazzową, każda muzyka rozrywko-

wała była dla nich jazzem i dlatego naszym zadaniem – przez uświadamianie – było podniesienie rangi muzyki jazzowej do muzyki wyższego gatunku”.

Andrzej Kurylewicz z kolei w 1950 r., gdy zdawał maturę, od czasu do czasu chodził do ambasady amerykańskiej, by oglądać filmy jazzowe z orkiestrami Ellingtona czy Goodmana. Kiedyś po wyjściu został zatrzymany „przez dwóch cywilnych funkcjonariuszy, którzy zaprowadzili mnie do komisariatu przy Pięknej. Miałem teczkę z podręcznikami. Zrewidowali mnie, wysypując wszystko z teczek. Byli wściekli. Gdy jednak zauważyli, że wśród książek jest »Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)«, co było w szkole lekturą obowiązkową, nieco zmiekleli, stanowczo jednak zaznaczyli, że jeśli chcę zdać maturę, to nigdy w życiu moja noga nie może stanąć w ambasadzie amerykańskiej. Takie to były czasy”.

Ateksty te mają swoją niepowtarzalną poetykę. Wojciech Karolak stanowiące ozdobę albumu fotografie autora, skądinąd wykonane na jam session podczas Piętych Zaduszek Jazzowych w 1956 r. w Krakowie, komentuje słowami: „Každy normalny człowiek wspomina z największym sentymentem lata, kiedy miał lat dwadzieścia czy dwadzieścia parę. Są też pewne niezmiennie upodobania, można mieć takie. Jestem jednym z tych upartych ludzi, którzy uwielbiają sytuacje z tamtej epoki, np. kocham sposób ubierania się z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nic tego nie przebijie. Kobiety były wtedy piękniejsze, bo chodziły w szpilkach, w spódnicach na sztywnych halkach, były najbardziej kobiece. Do tych czasów tęsknię”. ©©



★★★★★
**ANDRZEJ
WASYLEWSKI**
„JAZZOWE DZIEJE
POLAKÓW.
BIOGRAFIA
WIELOGŁOSOWA”
IPN 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Święty Mikołaj na ławie oskarżonych

Trzeci zbiór rozproszonych wcześniej, drobnych utworów Pratchetta jest wybo-rem tematycznym, w sam raz pod choinkę (z kronikarskiego obowiązku odnotuję, że poprzednie zbiory to „Odkurzacz czarownicy” oraz „Smoki na zamku Ukruszon”).

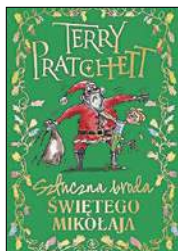
W tomie „Sztuczna broda Świętego Mikołaja” wszystkie opowieści dotyczą świąt, ich symbolu w czerwonej czapie (ho, ho, ho!) albo przynajmniej zimy (raz nawet jest to zima w postaci wyjątkowo krótkiej epoki lodowcowej). Powstawały na przestrzeni wielu lat, najwcześniejsze w czasach, gdy o talencie brytyjskiego humorysty mało kto słyszał. A o tym, że był to talent wielki, świadczy fakt, że właściwie trudno wskazać, które z tych historyjek to juvenalia, a które reprezentują „dojrzałego” Pratchetta (słowo „dojrzały” w kontekście pisarza i tak może występować jedynie w cudzysłowie, tak więc je zapisuję).

To humor bardzo brytyjski i bardzo pratchettowy jednocześnie, a zarazem mniej sardoniczny i szyderczy niż w powieściach o Świecie Dysku. Jest tu historia o Świętym Mikołaju zatrudniającym się w domu towarowym w dziele zabawek, jest i o tym, jak musiał stawić się przed

obliczem sprawiedliwości. Ta ostatnia chyba rozbawiła mnie najbardziej, zwłaszcza konstatacja sędziego, który odnotowuje, że „zdecydowanie przybyło mu pracy, odkąd dyrektywa Unii Europejskiej nakazała w świetle prawa traktować osoby pseudonadprzyrodzonego pochodzenia jak zwykłych obywateli” w imię „zasady równości” (Czyżby oburzenie na tę dyrektywę było jedną z przyczyn brexitu?).

Akcja kilku opowiadań rozgrywa się w miasteczku Blackbury, miejscu zdecydowanie niezwykłym, bo jeśli nie pieką tam największego świątecznego placaka na świecie, to tropią Niesamowitego Śniegoluda lub odkrywają, że błazny kurek na wieży może znieść jajo. Fantazja miesza się z absurdem, absurd z tkiłością, bo są to satyry bardzo łagodne, pogodne i zdecydowanie poprawiające humor. Ciekawa rzecz – w czasach, gdy w Polsce

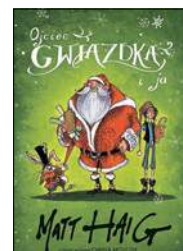
Związek Nauczycielstwa Polskiego wyrywa się, by zamiast świąt organizować dzieciom „przerwę zimową”, ateusz Pratchett pamięta, że właściwa nazwa tego czasu to Boże Narodzenie, a i msza odprawiana przez biskupa dla mieszkańców Blackbury jest rzeczą całkiem oczywistą. Są na tym świecie ateści, ale są i zwyczajni idioci. ©©



★★★★★
TERRY PRATCHETT
„SZTUCZNA BRODA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA”
REBIS 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejny świąteczny bestseller autora „Chłopca zwanego Gwiazdką” w tej samej, uroczej oprawie graficznej. Elfi Jar, elfia szkoła i dorastanie pod opieką Ojca Gwiazdki. Dużo fantazji i humoru oraz cel ten, co zawsze – uratować święta!



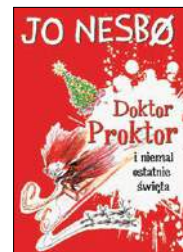
MATT HAIG
„OJCIEC GWIAZDKA I JA”
ZYSK I S-KA

Wznowienie książki znanej jako „Święta z kardynałem”. Ciepła opowieść idąca pod prąd współczesnych mód: mamy tu uroczy obraz prowincji, zwyczajnych bohaterów i cud Bożego Narodzenia. Plus świetne przepisy kulinarne!



FANNIE FLAGG
„BOŻE NARODZENIE W LOST RIVER”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Twardziele też przejmują się świątami. Autor serii kryminałów o komisarzu Harrym Hole tym razem w innym cyklu (ten o dr. Proktorze liczy już pięć tomów) i o zgubnych skutkach sprzedaży licencji na Boże Narodzenie.



JO NESBØ
„DOKTOR PROKTOR I NIEMAL OSTATNIE ŚWIĘTA”
WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Dziewiętnastowieczna amerykańska pisarka, autorka „Małych kobietek”, uwielbiała pisać także opowieści świąteczne. Pierwszego pełnego ich wydania doczekała się dopiero w roku 2002, zbiór teraz ma premierę w języku polskim. ©©



LOUISA MAY ALCOTT
„CUDOWNE BOŻE NARODZENIE”
ZYSK I S-KA

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Wojciech Sumliński „Niebezpieczne związki Donalda Tuska” (WS Reporter)** – powieść z kluczem – pamflet na byłego premiera i szefa PO.
- Andrzej Fedorowicz „Słynne ucieczki Polaków” (Frona)** – od Beniowskiego do ucieczki z obozów, nie ma bariery, która byłaby zdolna powstrzymać Polaka.
- Andrzej Nowak, Martyna Deszczyńska „Kościół na straży polskiej niepodległości” (Białe Kruk)** – o zaborach i roku 1918, rzecz bogato ilustrowana.
- Marcin Wojciech Salarz „Geograficzno-polityczny atlas Polski” (Trzecia Strona)** – najbardziej użyteczna pomoc dydaktyczna, jaką może sobie wyobrazić polski nauczyciel.
- Magdalena Ogórek „Lista Wächtera” (Zona Zero)** – o generale SS, który ograł Kraków z bezcennych dzieł, i o międzynarodowych paserach, do dziś nieukaranych.

(Najchętniej kupowane nowości w księgarni internetowej Xlm.pl)

Oj, dogadało się trzech włoskich tenorów z polską publicznością na koncercie Il Volo w Łodzi. – Mówicie po włosku czy angielsku? – spytali na początku salę. A że nie zabrakło tych, którzy odpowiedzieli: „Italiano!”, jeden z tenorów przekładał na włoski nawet wypowiedzi po angielsku i kilka zwrotów po polsku pozostałych członków tria. Wzbudzał tym dużą wesołość sali, wiedząc oczywiście, że większość publiczności włoskiego nie zna. Zabawy językowe były jednym z elementów stanowiących o tym, że występ Il Volo to nie tylko niezła muzyka, lecz także duża dawka wesołości.

I dobrze, bo tym włoskim humorem, otwartością, temperamentem Piero Barone, Ignazio Boschetto i Gianluca Ginoble szybko poprawili mi humor skutecznie popsuty otoczką koncertu w Atlas Arenie w Łodzi. Przy wieżdzie



Włoski humor w smutnej Łodzi

od gości koncertu, którzy za jeden bilet musieli zapłacić kilkaset złotych, ściągano jeszcze myto za parking w wysokości 30 zł. Tańszy w cenniku tego obiektu jest tygodniowy karnet za parkowanie. I nie o te trzy dyszki tu chodzi, ale o poczucie bycia „ostrzyżonym”.

Jednak nie to było najgorsze, bo na wejściu niektóre panie, mające przy sobie większe torebki, musiały na „prośbę” ochrony swoje torebki otwierać. Zachodzi-

łem w głowę – co to szybkie zerknięcie do wnętrza miało ochrone dać, skoro np. moja partnerka dłużej wygrzebuje z torebki kluczyki do auta, niż ja czyszczę szyby z lodu. W przekonaniu, że chodzi o dalsze „strzyżenie”, utwierdził mnie szybki rzut oka na Facebooka obiektu, gdzie ludzie opisują sytuacje, w których ochrona obiektu każe rodzicom przed wejściem wyrzucać do śmieci soczki dla zabieranych na wydarzenia w Atlas Arenie

dzieci! Wiem, że Il Volo to tylko pop opera, ale czy naprawdę po odbiorcach takiej muzyki należy się spodziewać, że wniosą na salę kanapki i napoje, a np. sprzedawane wewnątrz popcorn czy piwo w plastikowych kubkach nie będą miały brania?

Złe emocje prysnęły po pierwszych minutach występu. Choć chłopki z Il Volo nie są najlepszymi operowymi głosami świata, a i między pieśniarzami z tria widać różnice w tym, co dał im Bóg, to ani oni nie pozują, ani od nich tej pozy publika nie wymaga – wszyscy wiedzą, że to nie opera, to pop. Włochom towarzyszyła – kolejny raz w Polsce – orkiestra Teatru Muzycznego w Poznaniu. Chłopcy obiecali, że wrócą nad Wisłę za rok podczas jubileuszowej – na 10-lecie istnienia zespołu – trasy. Może tym razem nie do Łodzi? ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Współczesna forma tradycji flamenco

Odkąd Rosalía Vila Tobella, 25-letnia Katalonka, przeniosła się do Los Angeles, oczarowuje świat swoim niesamowitym nuevo flamenco.

Jej dramatyczny, kąśliwy alt nie ustępuje mocą głosom mistrzów gatunku. Jednocześnie dzięki otwartości na nowinki jej piosenki otwierają nową przestrzeń dla flamenco. Rosalía wplata do utworów stylistykę trapu (syntezatorowe pajęczyny, ostre smyczki, automat perkusyjny) i karaibskiego reggaetonu (hiphopowe reggae).

Album „Wola zła” mimo że trwa tylko pół godziny, zachwyca pasją i kreatywnością. Otwiera go wielki przebój „Malamente”

(nominowany aż w pięciu kategoriach do latynoskiej nagrody Grammy), w którym słyszymy kastaniety połączone z elektroniką. W drugiej piosence rozbrzmiewają tradycyjna gitara akustyczna i typowe męskie chórki, jednak całość zostaje złamana przez uliczny harmider i zmiany tempa. Dalej mamy już tylko fascynujące zderzenie się tradycji z brzmieniowymi eksperymentami. Słychać fortepian Wurlitzer, rozmowy, szepty, ale też warkot motocykli. I wszystko to współbrzmi fenomenalnie, bo głos Rosalii łączy w sobie ludową duszę flamenco z mnogością stylistyk współczesnej muzyki tanecznej. ©©



★★★★★
ROSALÍA
„EL MAL QUERER”
SONY MUSIC



★★★★★
SONS OF KEMET
„YOUR QUEEN IS A REPTILE”
IMPULSE

Shabaka Hutchings jest liderem brytyjskiego spiritual jazzu uznanego za muzyczne wydarzenie roku. Jego saksofon wspomagany przez dwie perkusje i tubę zabiera nas w duchową podróż przez afrokubańskie rytmy, jamajski dub czy arabskie klimaty.



★★★★★
CANTORES MINORES
„KOLĘDY”

Archikatedralny Chór Męski nagrał 13 pieśni bożonarodzeniowych powstałych od średniowiecza do współczesności. Paradoksalnie właśnie dzięki klasycznemu wykonaniu (dyrygent Franciszek Kubicki) kolędy brzmią nowatorsko. Obowiązkowo. ©©

Koniec użytkowania wieczystego

Co się zmieni po Nowym Roku dla osób, które każdego roku otrzymywały wezwanie do zapłaty za użytkowanie wieczyste gruntów, na których stoi ich dom lub mieszkanie?

1 stycznia 2019 roku 2,5 mln użytkowników wieczystych w Polsce stanie się właścicielami tego gruntu. Dotyczy to nie tylko tych, którzy już są właścicielami mieszkań czy budynków jednorodzinnych na gruncie użytkowanym wieczysto, ale także tych, którzy kupili mieszkanie budowane aktualnie na tzw. użytkowaniu wieczystym, ale odbiorą je dopiero po Nowym Roku. Dzięki ustawie z 20 lipca 2018 roku o przekształceniu prawa użytkowania wieczystego gruntów zabudowanych na cele mieszkaniowe w prawo własności tych gruntów, przypisany do mieszkania grunt będzie już ich współwłasnością. To przełomowa ustawa, bo takiej operacji jeszcze w naszym kraju nie było.

Ale będą płacić dalej?

Ustawa zapewniła proporcjonalną w stosunku do uzyskiwanych dochodów odpłatność za użytkowanie wieczyste właścicielom tych gruntów, czyli samorządom i Skarbowi Państwa. Zaproponowaliśmy kwotę odpłatności analogiczną do dochodów, jakie już dziś z tytułu użytkowania wieczystego uzyskują samorządy, biorąc pod uwagę udzielane bonifikaty na mocy ustawy z 2005 roku, która jest wyrazem oczekiwań samorządów w zakresie tych dochodów. Odpłatność tą obliczyliśmy na 20 rocznych opłat.

Możemy zapłacić jednorazowo?

Tak. Jeśli to zrobimy, powinniśmy otrzymać bonifikatę. Na gruntach Skarbu Państwa



Program Mieszkanie Plus to nie tylko nowe inwestycje mieszkaniowe, ale cały pakiet, którego elementem jest likwidacja użytkowania wieczystego – mówi Artur Soboń, Sekretarz Stanu w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju

wynosi ona 60 proc. Trzeba jednak pamiętać, że z tych 2,5 mln użytkowników gruntów wieczystych, ponad dwa miliony mieszka na gruntach samorządowych. Np. w Warszawie radni uchwalili aż 98-proc. zniżkę od należności za 20 lat. Trzeba się więc interesować uchwałą samorządu w tym zakresie, w jaki sposób są zdefiniowane te bonifikaty, ile wynoszą i czy warto z nich skorzystać. Z kolei osoby, które nie zechcą skorzystać z żadnej bonifikaty, tylko będą ponosić co roku opłatę przekształcenia przez kolejnych 20 lat, mogą być spokojni, że samorząd nie podniesie wysokości tej opłaty. Nie ma takiej możliwości. A gdy opłaty te zostaną spłacone, pójdą do notariusza i wpiszą własność gruntu do księgi wieczystej.

Czy te zmiany mają związek z programem Mieszkanie Plus?

To część całego pakietu mieszkaniowego, który nazywamy Programem Mieszkanie Plus. Bo jeśli ten program jest pakietem różnych rozwiązań dla różnych grup osób, to jednym z odbiorców tego pakietu są ci, którzy dostaną grunty z użytkowaniem wieczystym na własność. I w tym sensie polityka mieszkaniowa państwa to nie tylko nowe inwestycje mieszkaniowe, ale także wsparcie dla samorządów na budownictwo komunalne, to rewitalizacja, wsparcie tych najsłabszych przez dopłaty do czynszów, to dodatki mieszkaniowe, i oczywiście koniec użytkowania wieczystego. Zresztą nieprzypadkowo zaczynamy likwidację tego reliktu PRL-u od budownictwa mieszkaniowego, traktując to jako pierwszy etap, ale też jako priorytet rządu Mateusza Morawieckiego.



Rafał A. Ziemkiewicz

**Kto z psem zadziera, prędzej
czy później jego kły poczuje
na łydce albo w zadku**

Raz do roku, jak głosi znana każdemu świąteczna narracja, właśnie w Boże Narodzenie, zwierzęta mogą przemówić ludzkim głosem. Od dawna żałuję, że nie działa to w drugą stronę. To znaczy, chciałbym, żeby człowiek – dajmy na to, publicysta, zmuszony przez cały rok do ważenia słów i starannego ich układania, mógł przemówić głosem „braci mniejszych”. Ryknąć jak rozjuszony nosorożec, zawarczeć, wgryziony w gardziel wroga, jak buldog, na tego zaś, któremu wydaje się, że jest poza zasięgiem publicysty, zasyczeć jak kobra – obietnicą, że jeszcze kiedyś ani się obejrzy, jak jego poczucie bezpieczeństwa okaże się złudne. Od dawna podoba mi się rozmaitość głosów wydawanych przez drapieżniki, różne rodzaje ich poryków i pohukiwań, odmienne w chwili ataku, inne nad rozwlekłym trupem pokonanego przeciwnika – i szczerze żałuję, że człowiekowi, publicyście, taka ekspresja nie przystoi, i musi być powściągliwy.

Ale może raz do roku nie musi?

Tym bardziej że – jak wielokrotnie powtarzałem w wywiadach – robię u swoich czytelników za psa łańcuchowego. Taki właśnie zawód sobie wybrałem. Kiedy zwęszę zbliżającego się złodzieja albo podejrzanego domokrażcę, albo jakiegokolwiek inne zagrożenie, mam wyskakiwać z budy, robić hałas i ostrzegać. Za to mnie ludzie karmią. I to, przyznaję, dobrze. Nie do mnie, tylko do czytelników należy ocena, czy na tę karmę godnie sobie zapracowałem – mogę tylko zapewnić, że ze swej strony dokładałem starań, by we wskazywanie zagrażających naszemu domostwu zbrojów wkładać wszystkie siły.

Tylko że jest ich naprawdę wielu i przychodzących z różnych kierunków. Osoba publiczna powinna dbać o zbudowanie sobie spójnego publicznego wizerunku, tymczasem ja, jako pies łańcuchowy, szarpie się raz w tę, raz we w tę, i wizerunek mi się rozjeżdża. Antypisowcy ubliżają mi od pisowców, pisowcy – od „rozkraczonych”, Żydzi ogłaszają antysemitę, antysemita demaskują jako Żyda.



RYŚ: MIROSŁAW DWIZAREK

Psie serce, czyli świąteczne porachunki



Jeden mocniejszy tweet potrafi sprawić, że moją ciężko zapracowaną sławę anty-feministy mizogina zaczyna przysłaniać sława homofoba albo dajmy na to wroga „uchodźców”.

@

Mawia się w sferach społecznych, z których się wywodzę, że kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie. Owszem, ale każdy kij ma dwa końce. Wszelkiego rodzaju łajdactwo, które chce nam dom podpalić, splądrować albo w nim napaskudzić, i w związku z tym najpierw kieruje swą nienawiść do ostrzegającego przed nim psa, może na mnie różne kije i znajduje, ale ponieważ żaden nie okazał się jak dotąd skuteczny, sięga raz po to, raz po tamto, i w ten sposób przeszkadza sobie nawzajem.

Zenitu sięgnęła nagonka na mnie, gdy odważyłem się nazwać adekwatnie dwóch łachudrów z Izraela, którzy dla pokłasku tamtejszej głoszącej ludożery zaczęli licytować się w nienawiści do Polski, szkodząc w ten sposób obu naszym krajom i rujnując wieloletnią pracę nad ich zbliżeniem – po czym, w szczycie kreowania mnie na pierwszego antysemitnika kraju, nagle okazałem się islamofobem. Przy czym do szkodenia mi pod pretekstem owej „islamofobii” podjudoło lewactwo brytyjską deputowaną rodem z Pakistanu, która zasłynęła niegdyś żądaniem od władz Zjednoczonego Królestwa, by wydały strzelisty akt przeprosin wobec wszystkich muzułmanów za to, że Wielka Brytania stworzyła państwo Izrael. Nic im się jedno z drugim nie kłóci.

Gdzieś w tym wszystkim zanikło już zupełnie wiodące niegdyś w antyzimkiewiczowym dyskursie oskarżenie, że „czepił się Michnika” i w ogóle, nienawidzi salonów, elit, „lepszych od siebie”. Tutaj oczywiście za kij służyło a to oskarżenie o zawiść, a to o zemstę, że jakoby Michnik mnie kiedyś wyrzucił z (względnie „nie wpuścił do”) „Gazety Wyborczej”, a w końcu – że jakoby mam kompleks Michnika, bo kiedy on siedział w więzieniu i walczył, to ja „nic nie robiłem”.

Niejaki Cezary Michalski, który w światku publicystów jest tym, kim Michał Kamiński w polityce – rekordzistą w liczbie przebytych wolt i ideologicznych zygzaków – na gościnnych dla każdego paszkwilanta łamach Tomasza Lisa rozwinął ten ostatni dyskurs do rozmiarów legendy. Miałem jakoby w latach PRL nie tylko „nic nie robić”, lecz także wręcz pu-

blicznie wyszydzać działaczy podziemia jako „frajerów”, zachwalać komunistyczne władze i głosić cyniczne pochwały karierowiczostwa.

To – jeśli ktoś nie zna panów Lisa i Michalskiego – całkowicie wyssane z palca oszczerstwa, które zmusiły mnie do wytoczenia „Newsweekowi” procesu (jak na razie dowiódł, że nie znalazł Michalski jednej osoby, która by je potwierdzała; wezwał natomiast jako świadka pana Ordyńskiego, w czasach PRL pracownika oficjalnych mediów, który zeznał, że wprowadzie nigdy mnie bliżej nie znał i co robiłem czy też mówiłem w młodości nie wie, ale za to bardzo źle ocenia moją obecną działalność). Cóż, prawda jest taka, że wystarczy zajrzeć do Wikipedii, która w tym punkcie odsyła do książki „Gry więzienne” Marka Kamińskiego, szefa podziemnej oficyny wydawniczej „Stop”, dziś profesora matematyki w USA i specjalisty od tzw. teorii gier oraz od ordynacji wyborczych. Marek w latach 80. przesiedział za bibułę dziesięć miesięcy

W ogóle to szermowanie przez naganiaczy salonów oskarżeniami o „zawiść” czy „zazdrość”, insynuowanie „frustracji”, więcej chyba mówi o nich samych. Jestem, „niechwalący”, jednym z najbardziej zrealizowanych i zadowolonych ze swych osiągnięć ludzi, którzy żyją w Polsce. Zarówno jeśli chodzi o życie prywatne, jak i zawodowe. Czego miałbym komukolwiek zazdrościć? Pieniędzy? Mam ich dość na swoje potrzeby, gdybym kiedykolwiek marzył o milionach, zakładałbym spółki, banki albo hurtownie, a nie pisał jedną książkę po drugiej (a już ze trzydzieści się nazbierało). Zaszczytów? Brylowania na salonach? Orderów i tytułów? Równie sensowne byłoby oskarżenie, że zazdroścę Kim Kardashian, bo chciałbym mieć takie jak ona pośladki.

Nie dość, że dorobiłem się wystarczających jak na moje potrzeby pieniędzy, to dorobiłem się ich w większości w czasach, gdy jedna po drugiej rządziły formacje służące Polsce postnomenklaturowych elit, w której podobnych do mnie chciano

Szermowanie przez naganiaczy salonów oskarżeniami o „zawiść” czy „zazdrość” więcej mówi chyba o nich samych

bez wyroku, i w końcu go wypuścili, bo nikogo z wciągniętych do współpracy, w tym niżej podpisanego, nie sygnął. Zrobił to dopiero we wspomnianej książce. Nigdy się tym nie chwaliłem, bo nie ma czym, ale są granice bezczelnego kłamstwa.

Nie muszę chyba dodawać, że i rozprowadzana w kręgach Agory plotka, jakoby kiedykolwiek ubiegał się tam o pracę czy nawet ją rozpoczął, jest także „kontrfaktyczna”. Wszystko, co napisałem o michnikowszczyźnie, wolne jest od jakichkolwiek osobistych zaszłości czy emocji, choć przecież, tak jak wielu moich rówieśników, miałbym do nich pełne prawo, jako jeden z ludzi, których Michnik cynicznie oszukał, pozując na radykalnego i pryncypialnego antykomunistę, a potem maskując niskie, polityczne pobudki swych działań moralistycznym pajacowaniem. Powody, dla których napisałem książkę o szkodach wyrządzonych przez niego Polsce i o zdeprawowanej przez jego środowisko „transformacji ustrojowej”, zostały wyłożone w samej książce. Innych nie ma.

„dorzynać” albo kazano im „wymierać jak dinozaury”. Jakże żałosne są dziś te w kółko powtarzane przez dobierających się do naszego domu rabusiów oskarżenia wobec publicystów związanych z prawicą, jakoby „sprzedali się” PiS, „brali kasę od partii” i tak dalej! Większość z nas przeszła w czasach przed „przejechaniem zakonnic” niezły egzamin z ideowości, w przeciwieństwie do gówniarzy, którzy podlizywali się dysponentom kasy u Michnika czy w tefalenach. Cokolwiek kto uważa np. o Tomku Sakiewicz, żeby wydawać antyrządową gazetę, zastawił on odziedziczone po rodzicach mieszkanie – w tym samym czasie, kiedy Tomasz Lis za wychwalanie jedynie słusznych rządów zbudował sobie pod Warszawą mały pałacyk – którego teraz nie może ani utrzymać, ani, w czasach zatrzymania karuzel VAT i wszędobylstwa CBA, znaleźć chętnych do jego kupna. Co zapewne ma związek z paniczną i agresywną krzątaniem tuskowego pluszaka.

Nic osobistego nie mam także do żadnego Żyda, nawet do tych, których nieżyjący już Antoni Marianowicz vel



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Kto ma rację, stawia kolację

Poniższy dialog dość dobrze opisuje swego rodzaju impas, w jakim znalazła się nasza rodzina:

- Mamo, zupełnie się z tobą nie zgadzam!
- Ale z czym konkretnie?
- A co powiedziałaś?

Dziewięcioletnie dzieci mają naturalną potrzebę, by stawiać na swoim. Zwłaszcza opór wobec dotychczas najważniejszych autorytetów, czyli rodziców, buduje ich pewność siebie i osobowość. Brzmi dobrze, ale na dłuższą metę to nie do zniesienia. Zwłaszcza jeśli dysponuje się egzemplarzem ponadprzeciętnie upartym oraz – co tu dużo gadać – przemądrzałym.

Już od dość długiego czasu każda stawiana przez nas teza napotyka antytezę naszego syna. Przy czym antyteza rodzi się często a priori (skoro już trzymamy się trudnych słówek), bez dogłębnej analizy tego, co powiedzieliśmy. Trochę przypomina to konflikt między PO a PiS, acz na obronę młodego trzeba powiedzieć, że obie te partie nie mają ćwierci jego uroku. No i nie wspinają się po drzewach jak małpy.

Z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że obcowanie z dziewięciolatkiem, użeranie się z jego uporem i przeświadczeniem, że zjadł wszystkie rozumy, bardzo procentuje w dorosłym świecie. Tymon (młody, znaczy się) nauczył mnie bowiem strategii przetrwania, którą wobec niego stosuję, by nie zwariować. To znaczy wchodzę z nim w dyskusję tylko wtedy, gdy to naprawdę waż-

ne – np. grozi mu skrócenie karku albo kompromitacja przed rówieśnikami. W innych przypadkach przyznaję mu rację przy pierwszym zetknięciu się z niewzruszonym murem absolutnego przekonania o własnej nieomyślności.

Dopiero po jakimś czasie załapałem, że metoda ta sprawdza się także wobec istot pełnoletnich, a nawet tych jeszcze bardziej zaawansowanych wiekowo. Ilekroć rozmawiam z kimś, kto wie wszystko – a to zadziwiająco liczna grupa, nie tylko wśród prawicowych publicystów – tylekroć przekonuję się, że osoba taka jest absolutnie zamknięta na argumenty (lub po prostu nie rozumie, co się do niej mówi), natychmiast przyznaję jej rację.

To fantastyczna sprawa! Jak sobie pomyślę, ile energii zmarnowałem na niedorzeczne dyskusje... Ile nerwów straciłem w kłótniach z ludźmi, którzy zupełnie nie są zainteresowani słuchaniem... Ile alkoholu wypilem po frustrujących sporach z osobnikami o mentalności dziewięciolatka... Tymczasem wystarczy po prostu przyznać im rację i pójść własną drogą.

Niestety, strategia – tak jak każda – ma też swoje minusy. Niedawno opowiedziałem o niej żonie, a jakiś czas później mieliśmy poważną sprawę do omówienia. Ledwo przedstawiła swoje zdanie, a ja natychmiast przyznałem jej rację. Całkowicie szczerze, bo mnie przekonała! Niestety, obraziła się. Twierdzi, że nie traktuję jej poważnie. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Z życia ptaków

Wmałym zwierzyńcu w La Vanille, na południu wyspy Mauritius, można podziwiać jeden z niewielu zachowanych szkieletów dodo – wielkiego gołębia rozmiarów indyka, który wyginął w XVII w. Oczywiście określenie „wyginął” nie jest precyzyjne.

Jego jaja niszczyły przywiezione przez Europejczyków świnię, młode zagryzały zawleczone na statkach szczury, a dorosłe osobniki koloniści masowo zabijali pałkami, oszczędzając amunicję. Nie sprawiało to trudności – dodo był ptakiem łatwowiernym i bezbronnym. Nie potrafił latać, nie umiał pływać, nie miał mocnych nóg ani dzioba jak struś, przydających się w walce. Matka natura pozwoliła mu rosnąć i rozwijać się w przyjaznym środowisku, w którym nie zagrażał mu żaden wróg... Do czasu!

Oczywiście przybycie obcych nie zawsze skutkuje zagładą. Na tej samej półkuli południowej, w Nowej Zelandii, żyje wielka papuga kea, która od milionów lat

W Nowej Zelandii żyje wielka papuga kea, która od milionów lat była pocciwym roślinożercą

była pocciwym roślinożercą. Skądinąd nie miała wyboru, na dwóch sporych wyspach nie było żadnych ssaków, ku którym mogłaby skierować swój potężny dziób. Aż pojawili się ludzie i owce. I po pewnym czasie czworonożny inwentarz zaczął im padać, na ciałach jagniąt znajdowano krwawe rany. Nieprędko odkryto, że ową morderczą pasję znalazły w sobie papugi.

Dwa przykłady, które można przenieść do dziejów cywilizacji ludzkich. Jedne, przekonane o własnym bezpieczeństwie i dobrobycie, ewoluują, zmieniając się w bezbronne dronty, inne przeciwnie – obudzone z uśpienia i wyposażone w nowe możliwości okazują się niebezpiecznie drapieżne i zabójczo groźne. W królestwie ptaków nigdy się nie zetknęły, ale w świecie ludzi owszem. Wynik starcia może okazać się nieciekawym. Skądinąd to europejscy kolonizatorzy sami wymyślili powiedzonko: „Wyrzucić jak dodo”. ©©



Ogień jest niszczycielskim żywiołem, który w ciągu kilku minut może zamienić w pył cały życiowy dobytek. Statystyki pokazują, że najczęściej pożarów zdarza się jesienią i zimą. Jest to czas dogrzewania mieszkań na własną rękę różnego rodzaju piecykami, falkami i grzejnikami. Czasami zagrożenie pożarowe stwarza niesprawna instalacja elektryczna. Państwowa Straż Pożarna przyznaje, że najczęstszą przyczyną pożarów domów jest nieprawidłowe korzystanie z pieców i grzejników. Mowa tutaj przede wszystkim o pozostawianiu urządzeń bez nadzoru oraz urządzeniach nieprzystosowanych do ciągłej pracy np. kuchenek, ogrzewaczy pokojowych. Według statystyk urzędnicy elektryczni każdego roku stanowią przyczynę ok 22% pożarów. Do samozapalenia prowadzi także tworzenie nieodpowiednich izolacji np. przykrywanie piecyków ubraniami, ręcznikami. Należy także pamiętać, aby lampki, którymi przyszykujemy naszą choinkę posiadały certyfikaty CE. Jest to bardzo

istotne, ponieważ certyfikat ten potwierdza, że produkt przeszedł pozytywną procedurę zgodności z normami Unii Europejskiej. Niesprawne lampki są przyczyną wielu pożarów.

A przede wszystkim pomyślmy o ubezpieczeniu mieszkania / domu. Polisa DOM obejmuje m.in. ubezpieczenie od zdarzeń losowych. W wariancie podstawowym ubezpieczenie chroni w razie wystąpienia 23 zdarzeń m. in. pożaru, uderzenia pioruna, przepięcia, eksplozji, silnego wiatru, pęknięcia mroźowego,

dymu, sadzy i wandalizmu. Możemy rozszerzyć zakres również o ubezpieczenie mienia od kradzieży z włamaniem lub rabunku. Ubezpieczenie jest także dostępne w formule all risk (czyli od wszystkich ryzyk).

Każdy może ubezpieczyć swój dom lub mieszkanie wraz z rzeczami, które się w nim znajdują (np. sprzęt RTV i AGD, biżuterię, sprzęt fotograficzny, ubrania, meble, dywany). Standardowa polisa obejmuje ochroną również stałe elementy takie jak okładziny podłóg

i schodów, stolarkę drzwiową i okienną.

Ubezpieczeniem możemy objąć również rzeczy osobiste ubezpieczającego i domowników od rabunku poza miejscem zamieszkania: teczki, torby, portfele, dokumenty tożsamości, gotówkę, klucze do mieszkania, kosmetyki, okulary do kwoty 1 000 zł na terenie całego kraju.

Dodajmy, że razem z polisą mieszkaniową, która chroni nasze mienie, warto wykupić ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej w życiu prywatnym. W wariancie podstawowym chroni ona domownika, gdy wyrządzi komuś szkodę np. zaleje mieszkanie sąsiadowi. W wariancie rozszerzonym ochrona działa również w razie szkód wyrządzonych osobom trzecim w związku np. z jazdą na nartach. Wysokość odszkodowania jest pochodną sumy ubezpieczenia, która w OC wynosi od 15 do 500 tysięcy zł. Warto podkreślić, że ochrona ubezpieczeniowa obejmuje odpowiedzialność cywilną Klienta za szkody powstałe na terytorium całej Europy.

Przykładowa składka (186 zł za rok) za ubezpieczenie obejmujące ochroną mienie od zdarzeń losowych, kradzieży z a włamaniem oraz OC w życiu prywatnym

Składka została wyliczona:

Dla mieszkania własnościowego o powierzchni 45 m kw., rok budowy 2006, położone na II piętrze (blok 4 piętrowy) w Lublinie, brak szkód w ciągu trzech ostatnich lat. W mieszkaniu są drzwi antywłamaniowe.

- suma ubezpieczenia mieszkania od zdarzeń losowych – **180 tys. zł**
- suma ubezpieczenia dla mienia ruchomego od zdarzeń losowych i kradzieży z włamaniem – **10 tys. zł**
- suma gwarancyjna dla OC w życiu prywatnym – **100 tys. zł**

**Też przechodzę
do LINK4 !**
wcześniej przeszły renifery :)



Wesołych i bezpiecznych Świąt
oraz pomyślności w Nowym Roku
życzy Zespół LINK4

LINK4 |



Łukasz Warzecha

Radykalna część opozycji w ogóle nie zastanawia się nad tym, ile suwerenności oddajemy lub ile chce się jej nam zabrać

Suwerenny, czyli jaki?



FOT. ANDRZEJ ZUBANIECKI/EAST NEWS

Państwa powinny być gotowe na zrzeczenie się znacznej części swojej suwerenności – oznajmiła kilka tygodni temu Angela Merkel. Cytat do dziś obiega te media, którym zależy na wzbudzeniu emocji zamiast pobudzeniu myślenia. Wszystko ładnie się układa: zła Merkel w niemieckim interesie żąda zrzeczenia się suwerenności, a Niemcom klaszcze polska opozycja, która Polski nie kocha i suwerenności nie ceni. Czy faktycznie?

Kancelarz wygłosiła swoje słowa w Fundacji Adenauera w konkretnym kontekście politycznym. Komentowała sprawę nowego porozumienia Narodów Zjednoczonych w sprawie migrantów, a nawiązywała do brexitu. – Należy się albo do tych, którzy sądzą, że wszystko mogą rozwiązać same, i wystarczy, jeśli będą myśleć o sobie. To nacjonalizm w najczystszej formie. To nie patriotyzm. Patriotyzmem jest, jeśli włączy się innych w niemiecki interes i zaakceptuje, że istnieją sytuacje, gdy obie strony wygrywają – wywodziła Merkel. Nie było to więc tak, że niemiecka kanclerz zażądała brutalnie od innych, aby rzekli się swojej suwerenności. Chodziło raczej

o to, żeby wyrzucić presję na Brytyjczyków w momencie, gdy decyduje się kwestia umowy brexitowej.

Tymczasem polska dyskusja o suwerenności ma postać równie zwulgaryzowaną co relacje z wystąpienia pani Merkel. W uproszczeniu: PiS opowiada się „za suwerennością”, opozycja „za Europą”. Absurd takiego stawiania sprawy bije po oczach.

INFANTYLIZM A RZECZYWISTOŚĆ

Suwerenność, dziś bardziej niż kiedykolwiek, nie jest bowiem zero-jedynkowa. Całkowicie suwerenne nie są nawet dyktatorskie autarkie w rodzaju Korei Północnej. Ba, w stu procentach suwerenne nie są nawet Stany Zjednoczone, choć jako najsilniejszy kraj świata mają zapewne najpełniejszą suwerenność. Ogranicza ją jednak choćby amerykańskie zadłużenie w Chinach (poprzez obligacje) wynoszące blisko 1,2 bln dol. Każda emisja obligacji na międzynarodowym rynku jest zgodą na ograniczenie suwerenności, do której zresztą nikt państwa nie zmusza. Nie chcesz, żeby twoja suwerenność była w ten sposób zmniejszana – nie zadłużaj się i unikaj

deficytu. Na takie podejście mało które państwo jednak stać.

Ograniczenie suwerenności wynika również z przystąpienia do jakiegokolwiek organizacji międzynarodowej, coś dopiero do tak rozbudowanej, gdy chodzi o instytucje i kompetencje jak Unia Europejska. Suwerenność jest ograniczana każdym międzynarodowym paktem czy umową, które się ratyfikuje; każdym traktatem i każdym porozumieniem. Wszystko to są świadome decyzje.

Wizja państwa suwerennego jako nie-słuchającego nikogo i niczego, kierującego się wyłącznie własnym niczym nieograniczonym interesem, jest zwyczajnie infantylna. Nie była zresztą prawdziwa nigdy, a już na pewno w czasach współczesnych, co najmniej od kongresu wiedeńskiego w roku 1815, a może i wcześniej – od pokoju westfalskiego, kończącego wojnę trzydziestoletnią w roku 1648. Ograniczanie suwerenności I Rzeczypospolitej następowało stopniowo co najmniej od chwili, gdy na tronie zasiadli Wettinowie, a może i wcześniej, już w okresie dynastii Wazów.

Zatem w polskim sporze o suwerenność nie może chodzić o jakiś zero-jedynkowy



wyбір. A przynajmniej nie o to chodzi faktycznie, bo czym innym jest spór rzeczywisty, a czym innym to, co sprzedaje się widzom. Ci dostają prostą, by nie rzec: prostacką opowieść.

Faktycznie rzecz w tym, jak wiele suwerenności gotowi jesteśmy oddać w poszczególnych przypadkach oraz czy jesteśmy wyczuleni na skryte odkrawanie kolejnych jej porcji. Tak się bowiem dzieje zwłaszcza w UE. Już po naszym przystąpieniu do wspólnoty trwał bój o przyjęcie traktatu lizbońskiego, który przecież znacząco naszą suwerenność osłabił, przekazując znaczny pakiet zagadnień do sfery głosowania większościowego. Tymczasem to weto jest najskuteczniejszym instrumentem obrony suwerenności w międzynarodowych organizacjach. Na to ograniczenie suwerenności godził się jednak jeszcze Lech Kaczyński, podczas gdy kwestionowała je część jego doradców. Dzisiaj PiS woli o tym nie pamiętać.

Od tego czasu proces trwa. Rozpycha nie się Komisji Europejskiej czy Trybunału Sprawiedliwości UE, z czym mamy do czynienia w przypadku problemów z Polską albo Węgrami, to pozatraktatowe przesuwanie granicy suwerenności. Na to się w żadnej formie nie godziliśmy – ani przystępując do UE, ani potem, w ramach zmian unijnego prawa.

Tymczasem opozycja w postaci PO wydaje się nie dostrzegać problemu. To zresztą nic nowego – podejście polityków Platformy Obywatelskiej do oddawania suwerenności było zawsze luźne. Kiedyś główne tego przyczyny były dwie. Pierwszą był infantylny wręcz idealizm w postrzeganiu struktur międzynarodowych, w tym UE. Typowym przedstawicielem tego nurtu jest europosłanka PO Róża Thun, która wyznała niegdyś, że w Parlamencie Europejskim czuje się jak w raj. Thun i jej podobni nie przyjmują do wiadomości, że w UE trwa jakakolwiek gra interesów i że w tej grze nasz interes niekoniecznie jest uwzględniany.

Bujający w obłokach europejskiej ułudzie idealisci nie rozumieją, jak łatwo przychodzi pani Merkel mówienie o oddawaniu suwerenności na rzecz UE – wszak Niemcy mają w jej strukturach wpływy tak znaczne, że w ich przypadku byłoby to poniekąd jedynie przekładanie suwerenności z kieszeni do kieszeni.

Drugą przyczyną było przekonanie, że Polska jest za słaba, aby budować własną pozycję, dlatego musi pogodzić się z większym ograniczeniem własnej suwerenności

w zamian za bezpieczne i względnie spokojne miejsce w międzynarodowej strukturze. Mało kto pamięta dziś tekst Radosława Sikorskiego z końca sierpnia 2009 r., w którym ówczesny szef MSZ przeciwstawił politykę „jagiellońską” (której zwolennikiem miał być PiS) polityce „piastowskiej” (wyznawanej przez Sikorskiego). Artykuł ukazał się w „Gazecie Wyborczej” nie przypadkiem tuż przed okrągłą rocznicą rozpoczęcia II wojny światowej i był bodaj ostatnią tak poważną programową deklaracją obozu dzisiejszej totalnej opozycji. Potem był Smoleńsk i wszelkie debaty utonęły w skrajnych emocjach.

Sikorski postawił wówczas tezę, którą można uznać za w pełni uprawnioną propozycję kształtowania polskiej strategii międzynarodowej. W uproszczeniu – stwierdził, że w Europie nic nie może się wydarzyć bez udziału i zgody Niemiec, a wchodzenie z tym krajem w zwarcie może nam przynieść tylko szkody. Jagiellońską wizję polityki zagranicznej, opartą na budowaniu własnego obozu w naszej części kontynentu – którą wspierał zwłaszcza Lech Kaczyński – uważał za złudną i prowadzącą do izolacji oraz osłabienia Polski, a nie jej wzmocnienia. Kluczem do pomyślności w UE miało być zajęcie miejsca u boku Niemiec.

Dzisiaj Sikorski nie stara się już prowadzić żadnej dyskusji, ale wali po prostu cepem, tak jak jego partyjni koledzy. Odpowiedzi z przeciwnej strony barykady mają porównywalną subtelność, nie ma więc mowy o normalnej rozmowie o strategii.

ZAŚLEPIENIE BRUTALNOŚCIĄ

I tu pojawia się trzeci powód, dla którego radykalna część opozycji w ogóle nie zastanawia się nad tym, ile suwerenności oddajemy lub ile chce się nam jej zabrać: to brutalność wewnętrznego konfliktu. Tutaj już nie ma miejsca na zastanawianie się, czy roszczenia TSUE, żeby poszerzać swoje kompetencje ponad to, co zapisane w traktatach, mogą być w dłuższym okresie szkodliwe nie tylko dla Polski, lecz także innych krajów UE. Ważne jest tylko, aby dokopać władzy, a tu wszystkie metody są dobre. Czas argumentowania i dyskusji o koncepcjach minęły, w ruch poszły kłonicy. Jedną z nich, bardzo chętnie przez opozycję używaną, jest dorabianie PiS gęby polexitowców.

Warto było uważnie posłuchać wystąpienia Donalda Tuska – bez wątpienia intelektualnego, ale też politycznego patrona opozycji – na Igrzyskach Wolności w Łodzi

na początku października. Temat suwerenności nie pojawiał się często w jego wypowiedziach ani nie pojawił się wprost i tym razem, podobnie jak nieobecna była refleksja o źródłach problemów europejskiego establishmentu i kryzysu zaufania do UE. A jednak pobrzmiwały dalekie echa też Sikorskiego: tylko w UE, z której być może nieświadomie wyprowadza nas PiS, Polska może się ostać. Nie martwmy się o naszą suwerenność, bo prawdziwym zmartwieniem jest nie jej ograniczanie, ale widmo polexitu. I to jest sprawa ważniejsza niż godnościowo-suwerennościowy dyskurs partii Kaczyńskiego.

Druga strona tego sporu także zrezygnowała z sensownej argumentacji, skoro uczynił to przeciwnik. PiS fałszywie przedstawia suwerenność jako wartość jednolitą, której nie da się zbyć częściowo, siebie zaś jako jedynego gwaranta jej zachowania. Nie ma więc rozważań o tym, czego możemy się bezpiecznie wyzbyć, a co zachować.

Przynajmniej oficjalnie, bo oto na niedawnym spotkaniu eksperckim organizowanym przez środowisko partii Jarosława Gowina jako o rzeczy całkowicie oczywistej dyskutowano o przyjęciu euro. Nie traktując wspólnej waluty ideologicznie, jako płomiennej deklaracji jedności europejskiej, jak robi to opozycja, ale czysto pragmatycznie. Przyjęcie euro zostało przez uczestników dyskusji uznane za opcję, którą należy poważnie wziąć pod uwagę, gdy z zimnej kalkulacji wyniknie, że jest to dla nas względnie bezpieczne ekonomicznie, a politycznie będziemy więcej tracić na pozostawaniu na zewnątrz, niż moglibyśmy zyskać, dołączając do euro. A przecież posiadanie własnej waluty było przez dziesiątki lat – i przez wielu jest nadal – uznawane za jeden ze składników suwerenności.

Tymczasem zaledwie kilka dni później w Jachrance Jarosław Kaczyński jako rzecz niewymagającą uzasadnienia, aksjomat, wymienił zachowanie własnej waluty.

To zderzenie dwóch podejść do suwerenności pokazuje, że traktując ją zero-jedynkowo, nie będziemy w stanie dokonywać rozsądnych i pragmatycznych wyborów w naszym własnym interesie. Czasem świadectwem bycia suwerennym jest paradoksalnie zdolność do świadomej rezygnacji z jakiejś części suwerenności. Jednak też żeby takiej świadomej i mądrej rezygnacji dokonać, trzeba rozumieć wartość suwerenności i wiedzieć, po co jest nam ona potrzebna. © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Machina piekielna” kontra Bonaparte

[NAJKRWAWSZA WIGILIA
NOWOŻYTNEJ EUROPY]

PARYŻ – 24 GRUDNIA 1800



PARYŻ – 24 GRUDNIA 1800

Eksplozja w uliczce Saint-Nicaise (sztych z epoki)

„Nieprzyjaciel, pragnąc interweniować wewnątrz kraju, stara się znaleźć tam żywioły wrogie rządowi i skłonić je do zawiązania spisku. Wszelako tych spiskowców, sądzących, że mordując księcia uczynią ludowi przysługę, osłabia strach przed karą, jaka będzie im grozić jeśli zamach się nie uda, książe bowiem wykorzysta wówczas majestat prawa i siłę władzy. Gdy do tego książe cieszy się miłością narodu – staje się potęgą i spiski mu niestraszne”.

[Niccolò Machiavelli, „Książe”]



Waldemar
Łysiak

Paryska wigilijna hekatomba roku 1800 wciąż pozostaje — ze względu na liczbę ofiar — największym europejskim zamachem bombowym. Współczesne uśmierzanie dżihadystów (Bruksela, Madryt, Londyn, itd.) jeszcze nie zdołały jej dorównać.

SPOTKANIE NA SZCZYCIE

29 marca 1800 roku. Pogodne przedpołudnie. Pawilon Flory rządowego pałacu Tuileries pełen adiutantów, niespieszących się oficerów i zamyślonych cywilów. Wszystkie schody, wejścia i wyjścia, okna, galerie, korytarze, zakamarki i narożniki murów są tak obstawione, że mysz nie mogłaby się prześlizgnąć. Gdyby próbowała — trafiłaby ją przynajmniej jedna ze stu kul wystrzelonych równocześnie ze stu pistoletów.

Przez okna wdziera się do wnętrza rześwe wiosenne powietrze. Lecz we wnętrzu jest duszno tą duchotą, którą rodzi napięcie oczekiwania na niewiadome i groźne.

Wreszcie w świetle drzwi ukazuje się sylwetka kolosa. Georges Cadoudal (pseudo „Gédeon”), szef band szuańskich z Morbihan, najzacieklejszy wróg państwa. Stukillkudziesięciokilogramowa bryła kości, mięsa i przede wszystkim stalowych mięśni rozsada mu szwy ubrania. Boją się go — jednym uderzeniem pięści mógłby strącić czaszkę z karku. Dlatego jest ich tyłu.

Jeszcze bardziej lękają się o swego „boga wojny”, Pierwszego Konsula Republiki. Wystarczy, że to morbihański bydlę położy mu dłoń na szyi i ściśnie!... Nie mogą zrozumieć, dlaczego Napoleon, chcąc spotkać się ze swoim wrogiem, zagwarantował mu uprzednio swobodę wejścia i wyjścia bez względu na wynik dialogu. I dlaczego, do pioruna, pragnie, by rozmowa odbyła się w cztery oczy?! Kiedy zostaną sam na sam, Cadoudal jednym ruchem ręki będzie mógł osiągnąć cel, o który walczył już tyle czasu!

Naprzeciw szuanowi wychodzi adiutant Konsula, Rapp, po bokach kroczą oficerowie straży, idzie też „pies Bonaparte”,

mameluk Roustam, z fosforyzującymi białkami oczu i z dłonią na rękojeści kindżału. Rapp odbiera od Georgesa list polecający wydany szuanowi przez generała Brune’a i wskazuje dłonią kierunek. Dochodzą do drzwi salonu, Rapp puszcza gościa przodem, wchodzi jako drugi i zamyka drzwi za sobą. Przez cały czas inni będą sterczeć pod tymi drzwiami mając odbezpieczoną broń, gotowi rozewrzeć kopniakiem i skoczyć kiedy zabrzmi pierwszy krzyk.

Tymczasem w dużym salonie Bonaparte wita Cadoudala i daje adiutantowi znak głową: wynoś się! Rapp wychodzi do gabinetu sąsiadującego z salonem pośrednio (dzieli je mała sypialnia), przy czym „zamyka” każde drzwi, ale tak, że między skrzydłami zostają szpary dające penetrować wnętrzu salonu wzrokiem. Będą to czynić on i osobisty sekretarz Konsula, Bourrienne.

Rozmowa jest długa i gwałtowna, i kończy się fiaskiem. Nie doszło do porozumienia. Morbihańczyk wychodzi wściekły, zostawiając Korsykańczyka w nie najlepszym usposobieniu. Do swoich ludzi Napoleon warknie krótko:

— Trzeba z nim skończyć!

A Cadoudal ustali w Londynie z Brytyjczykami wspierającymi rebelię szuańską, że trzeba wreszcie skończyć z Bonaparte-

tem. I deklaruje, że zrobi to speckomando szuanów.

Szuania była antyrepublikańskim (czyli rojalistowskim) ruchem insurekcyjnym, który się zrodził na terenie Wandei w szczytowym momencie jakobińskiego Terroru (1793) i walczył o przywrócenie monarchii (konkretnie: dynastii burbońskiej). Dojście Bonaparte do władzy (czyli obalenie władz rewolucyjnych przez Napoleona A. D. 1799) niczego nie zmieniło — finansowani i motywowani z Londynu szuanie nie złożyli broni, dalej pragnąc osadzić na francuskim tronie Burbona. Tego właśnie tyczyła opisana wyżej rozmowa Pierwszego Konsula i wodza szuanów w pałacu Tuileries. Obaj rozmówcy sądzili, że może da się adwersarza przekabacić. Cadoudalowi się marzyło, iż zrobi z Korsykańczyka francuskiego Monka (angielskiego generała, który w XVII wieku, po rewolucji Cromwella, przywrócił tron Stuartom), zaś Bonaparte chciał zwerbować rebelianta, wziąć go na swoją smycz daniem mu wysokiego stanowiska w administracji prowincjonalnej lub w wojsku. Obustronne mrzonki, obustronna odmowa, obustronna wściekłość, obustronna śmiertelna wrogość. Rozpoczął się pojedynek nie do pierwszej krwi, tylko do krwi ostatniej, funeralnej tout court.



Wódz szuanów, Georges Cadoudal (litografia z epoki, autorstwa J.-M. Belliarda) i Pierwszy Konsul Republiki, Napoleon Bonaparte (portret pędzla A.-J. Grosa)

Akwarela R. Augera



OCZY KSIĘCIA

Liczba zamachów na Bonapartego w ciągu 16 lat jego panowania (1799–1815) jest rekordowa gdy idzie o zamachy na europejskich władców ery nowożytnej. Bomby, trucizny, szpilety i kule snajperskie — wrogowie (jakobini, rojaliści, „służby” wrogich państw) próbowali rozmaitych metod, aby przenieść „boga wojny” do krainy bogów. Najbliżej osiągnięcia tego celu byli szuanie.

Grupa operacyjna, jaką Cadoudal wysłał (z Wandei i z Londynu) dla zamordowania Napoleona, liczyła sześciu „risque-tout” (gotowych na wszystko fanatyków), którzy przenikali pojedynczo do Paryża między 4 a 29 listopada roku 1800. Szefem został Hyde de Neuville, towarzyszyli mu Saint-Victor (adiutant Cadoudala), Saint-Hilaire (pseu-

do „Raoul”), Saint-Réjant (pseudo „Pierrot”), Joyau (pseudo „Assas” czyli „Zabójca”) i Limoëlan (pseudo „Beaumont” vel „Dla króla”), który miał pokierować akcją zamachową. Człowiekiem, który miał ten zamach uniemożliwić, był osławiony szef napoleońskiej policji politycznej (przez kilkanaście lat), minister Joseph Fouché, geniusz w swoim fachu, lecz w swoim duchu figura perfekcyjnie nikczemna (stąd Napoleon mawiał: „— Ci, którzy chcą mnie zgładzić, to durnie, ci zaś, którzy mnie od tego ratują, to szubrawcy”).

Specjalnością Fouchégo były „wtyki” umiejscawiane nie tylko pośród rozmaitych kręgów spiskowców, lecz we wszelkich środowiskach. Na dworze Konstantyna Wielkiego takich agentów zwano „oczami księcia”, zaś Fouchégo nie bez powodu tytułowano „księciem policji”. Gdy pewien generał pragnący wyprawić huczne przyjęcie dowiedział się, że konieczna będzie dyskretna asysta policjantów, pobiegł rozgniewany do Fouchégo krzycząc, iż nie życzy sobie obecności „glin” na swych salonach. Minister współczuł mu, lecz nie ustąpił. Generał wpadł w szal, a wówczas Fouchému błysnęła myśl mogąca rozwiązać sytuację:

— Czy mógłby pan, generale, pokazać mi listę zaproszonych gości?

Gdy ją otrzymał, rzucił okiem na kilka pierwszych nazwisk i mruknął:

— Zgoda, obecność moich funkcjonariuszy potrzebna nie będzie.

Zamachowe komando Cadoudala też nie uniknęło policyjnej penetracji. Pierwszym agentem Fouchégo w paryskiej siatce rojalistów był przekupiony szuan o pseudonimie „Maciej”, współpracownik

Minister Joseph Fouché (sztych z epoki)



Limoëlana. Spiskowcy mieli wszelako swój wewnętrzny kontrwywiad, który zdemaskował zdrajcę. „Macieja” zaproszono na spacer po okolicach Wersalu, i później już nikt nie zobaczył go wśród żywych. Minister momentalnie wkręcił do siatki innego swego agenta, Desgréesa, tym samym zachowując kontrolę nad sytuacją.

2 grudnia 1800 roku rojaliści zebrani w kryjówce Saint-Réjanta postanowili, iż „obywatel Buonaparte” zostanie zastrzelony w teatrze z wiatrówek kupionych u świetnego rusznikarza Boivina, i rozpoczęli ćwiczenia strzeleckie na terenie Lasku Bulońskiego. Fouché wiedział o tym, lecz cztery dni później nastąpiło wydarzenie zupełnie zmieniające sytuację. Desgrées, lekceważąc kardynalne zasady konspiracji, w biały dzień wkroczył beztropko do gmachu ministerstwa policji.

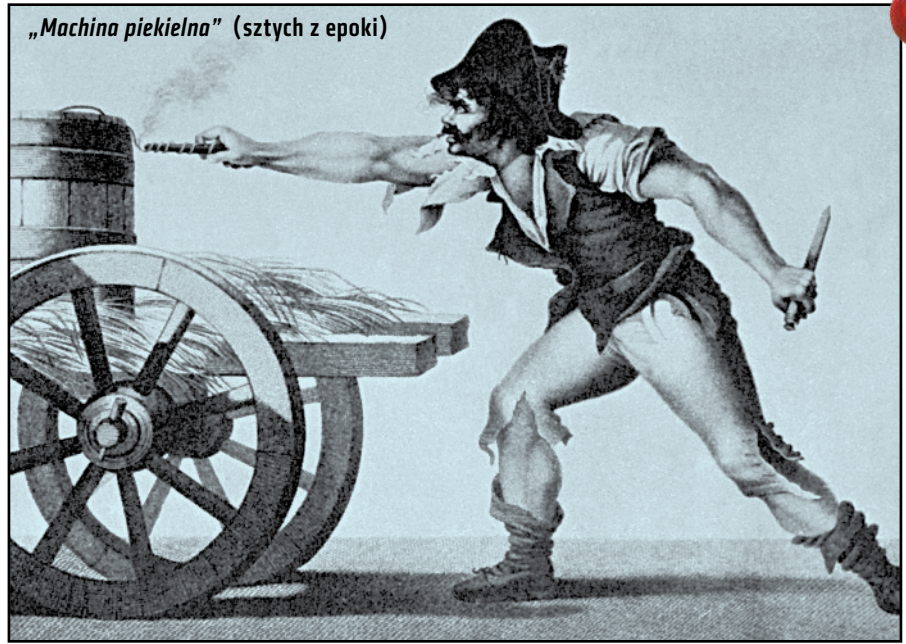


Georges Cadoudal (portret pędzla A. – P. Coutana) oraz Joseph de Limoëlan, Hyde de Neuville i Coster de Saint-Victor (sztychy z epoki)

Budynek był od dawna obserwowany przez szuanów, którzy widząc „swojego” człowieka zorientowali się, że jest on policyjnym szpiclem i że cała siatka była długi czas kontrolowana przez Fouchégo. Desgréesa bezzwłocznie po jego powrocie zamordowano i zaczęto gorączkowo likwidować punkty kontaktowe tudzież lokale konspiracyjne. Minęło kilka godzin nim „książę policji” zorientował się, że wyłupiono mu drugie „oko” i że inicjatywa wymyka mu się spod palców. Dał rozkaz, by z ulic Saints-Pères (ministerium policji) i Jérusalem (prefektura) zastępy agentów uderzyły na centra spiskowców. Zbyt późno. Ciosy policji trafiły w próżnię i nic między ministrem a siatką szuanów urwała się bezpowrotnie. Nad głową Pierwszego Konsula Republiki zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

BOMBA ZAMIAST KULI

Uderzenia i penetracje szpiegowskie Fouchégo wystraszyły część spiskowców; 6 grudnia sam Hyde de Neuville wycofał się z gry. Wówczas ster operacji przejęli dwaj najniebezpieczniejsi rojalści w Paryżu: 34-letni oficer marynarki Pierre Robinault de Saint-Réjant i 32-letni elegant o arystokratycznych manierach, kawaler Joseph Picot de Limoëlan. Do tej dwójki przyłączył się marynarz Jean-François Carbon, z ramienia Cadoudala zbrojmistrz spiskowców. To on zaproponował, by strzelby snajperskie zastąpić dużo bardziej wydajną „*machina piekielną*”. Tak wówczas zwano naładowaną prochem plus siekańcami (kawałkami żelaza) i opatrzoną lontem beczkę, której eksplozja



zmiatała wszystko w dużym promieniu. Wynalazł tę śmiertelność bombę jakobin Chevalier, chcąc „rozpylić” Pierwszego Konsula, lecz Fouché aresztował zbira niemal „za pięć dwunasta”, nocą 7/8 listopada 1800 roku.

17 grudnia przebrani za wędrownych kramarzy spiskowcy udali się na ulicę Meslée, gdzie płacąc 200 franków kupili u handlarza zbożem Lambelle’a mały wózek i nędzną gniadą szkapę. 20 grudnia kował Legros podkuł konia, a dwa dni później bednarz Barroux zainstalował na wehikule drewnianą beczkę okutą dziesięcioma żelaznymi obręczami.

Zamach wyznaczono na 24 grudnia 1800 roku. Była to środa. Wieczorem tego dnia w Operze, zwanej wówczas Teatrem Republiki, odbyć się miała galowa premiera oratorium Haydna „*Stworzenie świata*”, z 250-osobową orkiestrą i znakomitymi solistami: Garatem i panią Barbier-Walbonne. Cały Paryż dosłownie oszalał na punkcie tego spektaklu: bilety, mimo herrendalnych cen, wyrivano sobie z rąk. Żywe zainteresowanie Bonaparte’go muzyką i sztuką teatralną poniekąd gwarantowało spiskowcom, że Konsul zaszczyli tego wieczora gmach Opery. Droga z pałacu Tuileries do Opery wiodła przez wąską i słabo oświetloną uliczkę Saint-Nicaise.

W środę rano Carbon zaprzągnął konia do wózka i trójka spiskowców udała się ku bramie Saint-Denis. Tam dwóch umówionych ludzi (nigdy ich nie zidentyfikowano) nafaszerowało beczkę prochem, kulami i siekańcami, tworząc klasyczną „*machine piekielną*”, którą od podobnej konstrukcji

Chevaliera różniło tylko to, że wybuch miała zainicjować iskra z siarkowego lontu włożonego w masę eksplodującą, a nie wystrzał karabinowy. Zdecydowano się na lont bardzo krótki, zwiększając tym szansę powodzenia zamachu, lecz jednocześnie ekstremalnie minimalizując szansę wyniesienia głowy cało przez egzekutora podpalającego lont.

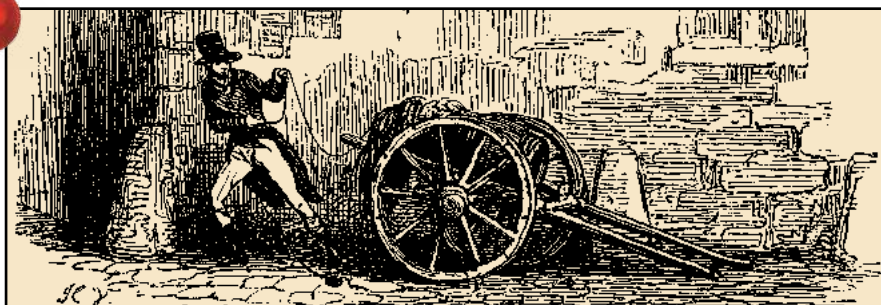
Późnym popołudniem spiskowcy przewieźli ładunek przez ulice Neuve-Egalité, Croix-des-Petits-Champs, Honoré i Malte, i około godziny 18⁰⁰ zainstalowali go w uliczce Saint-Nicaise, dwadzieścia kilka metrów od placu Carrousel. Carbon zniknął wówczas (najprawdopodobniej odesłano go do domu), Limoëlan zaś sta-



Pierre de Saint-Réjant (sztych z epoki)



Wylot uliczki Saint-Nicaise w erze zamachu



Saint-Réjant instaluje lont w „machinie piekielnej”
(sztych F. Gowlanda według rysunku H. Verneta)

■ nął przy wylocie uliczki na plac, by dać towarzyszkowi sygnał, że zbliża się pojazd Konsula. W trakcie prób treningowych „Pierrot” obliczył, że eksplozja nastąpi po 5–6 sekundach od chwili zapalenia lontu. Dokładnie tyle samo czasu potrzebowała karetka, by przemierzyć dystans między narożnikiem ulicy a miejscem gdzie znajdowała się „machina piekielna”. O 18¹⁵ byli już gotowi i wszystko, co im pozostało do zrobienia, to czekać na pogłębiającym się mroku uliczki, której mieszkańcy nie przypuszczali jak okrutny los szykuje im ten zmierzch.

ZAMACH

Saint-Réjant nie czekał sam. Miał kłopot, bo wóz został ustawiony w poprzek uliczki, częściowo ją tarasując, a lont znajdował się z tyłu, trudno zatem było pilnować jednocześnie lontu i wierzącego się konia. Widząc to Limoëlan podszedł do jednej z dwóch małych dziewczynek handlujących bułkami przy ulicy Bac i zaproponował jej 12 sous za potrzymanie przez pewien czas szkapę. Czternastoletnia Marianna Peusol wyraziła zgodę. Saint-Réjant dał jej bat i kazał trzymać drugą ręką uzdę konia.

Coraz bardziej gęstniały ciemności. Mżyło. W niedalekim Hôtel de Longueville odbywała się jakaś feta, uliczką przemylali spóźnieni Paryżanie, spoglądając ze zdziwieniem na kulącą się od zimna dziewczynkę, która trzymała konia i zabiwała się batem. Tymczasem w Tuileries Bonaparte wahał się czy opuszczać pałac tego wieczoru.

Było ustalone z góry, iż rodzina Bonaparte-Beauharnais zaszczyci przedstawienie, lecz zmęczony całodzienną pracą Napoleon rozmyślił się i oświadczył, że woli wypocząć. Dopiero po długich namowach i dąsach udało się Józefinie (dzięki wsparciu córki z pierwszego małżeństwa, ukochanej pasierbicy Konsula, Hortensji Beauharnais) przekonać męża i ruszo-

no do powozów. Bonaparte miał jechać pierwszym, drugim Józefina. Wsiadając Konsul zaczął krytykować szal małżonki, ta natychmiast zdecydowała się go zmienić, więc adiutant Napoleona, Rapp, pobiegł do pałacu po świeżo przywieziony z Konstantynopola szal kaszmirowy. Kiedy powóz z Bonapartem i jego przybocznymi oficerami już odjechał, Józefina wciąż czekała na szal, co opóźniło jej odjazd i w rezultacie uratowało od śmierci.

Blisko godziny 20³⁰ Saint-Réjant, patrolujący niecierpliwie znak od Limoëla, ujrzał nagle samotnego jeźdźcę wjeżdżającego w uliczkę od strony placu. Widok ten zaskoczył go. Na podstawie obserwacji dokonanych w fazie przygotowań spiskowcy stwierdzili, iż karetę Konsula ubezpieczają dwa plutony konnych grenadierów Gwardii — jeden z przodu, drugi z tyłu. Tak rzeczywiście było, lecz przypadkowo tego właśnie wieczoru grenadierów rozstawiono inaczej — oba plu-

tony znajdowały się za powozem, a przed nim galopował samotny grenadier mający oczyszczać drogę. Był to pierwszy z całej serii zdumiewających przypadków, które szczęśliwie dla Bonapartego sprzegły się tego wieczoru w jeden łańcuch losowy.

Zaskoczenie Saint-Réjanta wzmógł kolejny pech — zawiódł Limoëlan, nie dając umówionego sygnału. Lecz nawet te dwa pierwsze przypadki nie zmieniły jeszcze sytuacji radykalnie na korzyść Bonapartego; Saint-Réjant domyślił się, że „wymiatacz” jest forpocztą orszaku i zapalił lont w momencie, kiedy powóz Konsula dosięgał wylotu ulicy, ergo: zapalił z opóźnieniem najwyższej pięciosekundowym, a więc zbyt małym, by mogło to ocalić życie Napoleona, gdyby reszta wydarzeń potoczyła się zgodnie z przewidywaniami spiskowców. Przewidywania te jednak wzięły w łeb od dalszych dziwnych zbiegów okoliczności.

Dłuższy czas po zamachu lansowano wersję, że Saint-Réjant, odepchnięty na bok przez grenadiera-„wymiatacza”, podpalił lont zbyt późno, dopiero wtedy, gdy pojazd Konsula mijał „machinę piekielną”. Tak jednak nie było. Rzeczywiście — jeździec, spostrzegłszy wóz tarasujący przejazd, nadjechał kłusem, odrzucił spiskowca pod mur, splazował konia szabłą, zmusił wehikuł do cofnięcia się i pojechał dalej. Lecz, jak wynika ze znalezionej później przez policję w mieszkaniu Saint-Réjanta jego listu do „Gédeona” — listu, którym zamachowiec opisywał przebieg wydarzeń i tłumaczył



Wigilijna eksplozja w uliczce Saint-Nicaise (sztych z epoki)

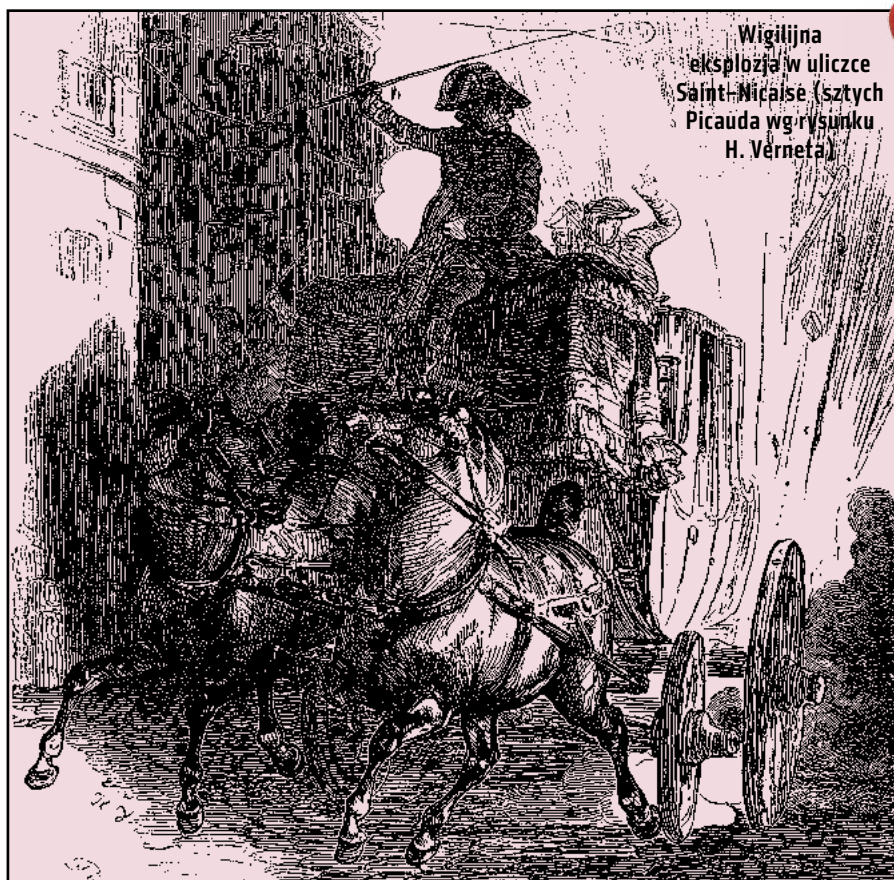
się — lont został podpalony nim grenadier zepchnął „*machine pielną*” na bok.

Tak więc Saint-Réjant nie spóźnił się i kiedy pojazd Konsula wjeżdżał w uliczkę Saint-Nicaise — iskra rozpoczęła wędrówkę do masy eksplodującej. Po pokonaniu trzydziestu metrów karetą minęła „*machine pielną*”, a wybuch wciąż nie następował. Dopiero po następnych kilkunastu sekundach z małej uliczki wystrzelił straszliwy gejzer ognia. Zbyt późno.

Pisząc list do Cadoudala „*Pierrot*” przypuszczał, że niepowodzenie zamachu było następstwem złej jakości prochu. W rzeczywistości było ono następstwem kolejnych zbiegów okoliczności. Przez dwie godziny wyczekiwania siąpiący deszcz zawilgocił lont i dlatego iskra dotarła do prochu nie po sześciu, lecz po około dwudziestu sekundach. Nadto sławny woźnica Bonapartego, César Germain, spił się tego dnia i powoził mocno podchmielony. Ciasną uliczką Saint-Nicaise chciał sforsować wyścigowo. Podciął więc konie i karetę przeleciała obok „*machiny piekielnej*” dużo szybciej niż można było przewidzieć, podwajając tym błąd obliczeniowy spiskowców (nie długo po zamachu paryski cech woźniców wyprawił dla uczczenia Césara wspaniałą biesiadę, na której pito jego zdrowie za to, że spił się w czasie pełnienia obowiązków przy boku władcy). Wszystko to sprawiło, że gdy uliczka zapłonęła niczym wulkan, pojazd Napoleona z większą częścią eskorty skręcił już w przecznice. Inaczej mówiąc — wszystko to sprawiło, że historia Europy potoczyła się tak, jak to znamy z podręczników.

ZBRODNIĄ I KARA

Skutki wybuchu były koszmarnie. Niezszczęsną Mariannę rozerwało na strzępy; z całego ciała zostały tylko nogi, jedną rękę znaleziono między kominami dachu pobliskiej kamienicy, a dopiero kilka dni później drugą, leżącą trzydzieści metrów od miejsca eksplozji. Wyglądało to tak przerażająco, że nie pokazano zwłok matce dziecka, wdowie Peusol. „*Le Moniteur*” z 4 stycznia 1801 roku pisał, iż zginęło 10 osób, a 30 zostało rannych. Były to liczby prawie czterokrotnie zaniżone; zresztą wielu ciężiej rannych zmarło nieco później. Blisko 50 domów uliczki Saint-Nicaise i jej okolic miało tak popękane mury, że nie nadawało się do zamieszkania. W promieniu kilkuset metrów od miejsca eksplozji walały się kończyny ludzkie. W całej dzielnicy wyleciały szyby; m.in. w leżącym trzysta metrów dalej pałacu Tuileries nie



ostała się ani jedna szyba w fasadach od strony wybuchu. Mimo tak straszliwego bilansu — cel ataku, Bonaparte, nie został nawet draśnięty; tylko ostatni gwardzista eskorty został wyrzucony z siodła przez ranionego konia.

Napoleon w czasie jazdy drzemał, śniąc (relacjonował to później na Świętej Helenie) o forsowaniu rzeki Tagliamento podczas „*kampanii włoskiej*”. Zbudził go gwałtowny wstrząs i huk eksplozji. Rozległ się krzyk: „ — Wysadzono nas!”. Część



■ eskorty przypuszczała, że strzelono do nich kartaczami. Powóz stał kilkadziesiąt sekund, by Napoleon mógł się upewnić, że nikt z jego otoczenia nie zginął. Później Konsul zakomenderował: „— *Do Opery!*” i pogрузzył się w milczeniu.

Kareta Józefiny, jadącej z Rappem, Hortensją i ciężarną panią Murat (siostrą Napoleona), też uległa wstrząsowi, wskutek czego popękały szyby, lecz spóźnienie wywołane szukaniem szala sprawiło, że była zbyt daleko jeszcze od miejsca eksplozji, by ulec zniszczeniu.

Huk eksplozji usłyszano w całym mieście i sądzono, że nastąpiło trzęsienie ziemi. W Operze, gdzie przed kilkoma minutami rozpoczęło się oratorium, grzmot zagłuszył orkiestrę i wywołał głośne komentarze publiczności. Zdenerwowany komendant placu Paryża, generał Junot, poderwał się mówiąc:

— Co to ma znaczyć?!... Dziwne, kto o tej porze strzela z dział?

Minutę później drzwi łoża rządowej gwałtownie się otwarły i wkroczył do niej Konsul ze świtą. Na pytanie Junota wycedził bez śladu emocji:

— Te lotry chciały mnie wysadzić w powietrze. Proszę mi podać libretto.

Wieść rozeszła się po sali lotem błyskawicy. Ludzie przestali interesować się spektaklem, wszystkie twarze odwróciły

się ku łożu Konsula. Gdy wbiegła do niej Józefina, publiczność wstała i zgottała Napoleonowi burzliwą owację. Wśród rozgorączkowanego tłumu tylko jeden człowiek imponował kamiennym obliczem — był nim Bonaparte. Wiwaty nie obchodziły go nigdy („— *Gdyby mnie wieziono na szafot, ci ludzie manifestowaliby równie radośnie, tłum jest zawsze sobą*” — mawiał). Łzami Józefiny również się nie przejął („— *Łzy doskonale jej robią*” — zwykł być żartować).

Zamachowców schwytano w ciągu miesiąca (wyjąwszy Limoëłana) — do 29 stycznia 1801 roku. W marcu rozpoczął się ich proces, a w kwietniu zostali straceni. Gdy ich wieziono na miejsce kaźni (plac de Grève) kordony żandarmerii z trudnością hamowały złorzeczący tłum. Prowadzony ku gilotynie Carbon skamlał:

— Dobrzy ludzie, zrobiłem to dla króla!

„Dobrzy ludzie” najchętniej zlincowaliby go, nie zapomniano jeszcze małej Marianny.

Trzy lata później (1804) na tym samym placu dał głowę Cadoudal (ścięto wówczas dwunastu szuanów, w tym cały sztab

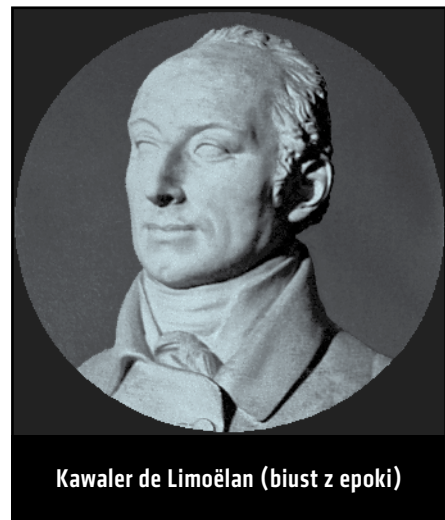
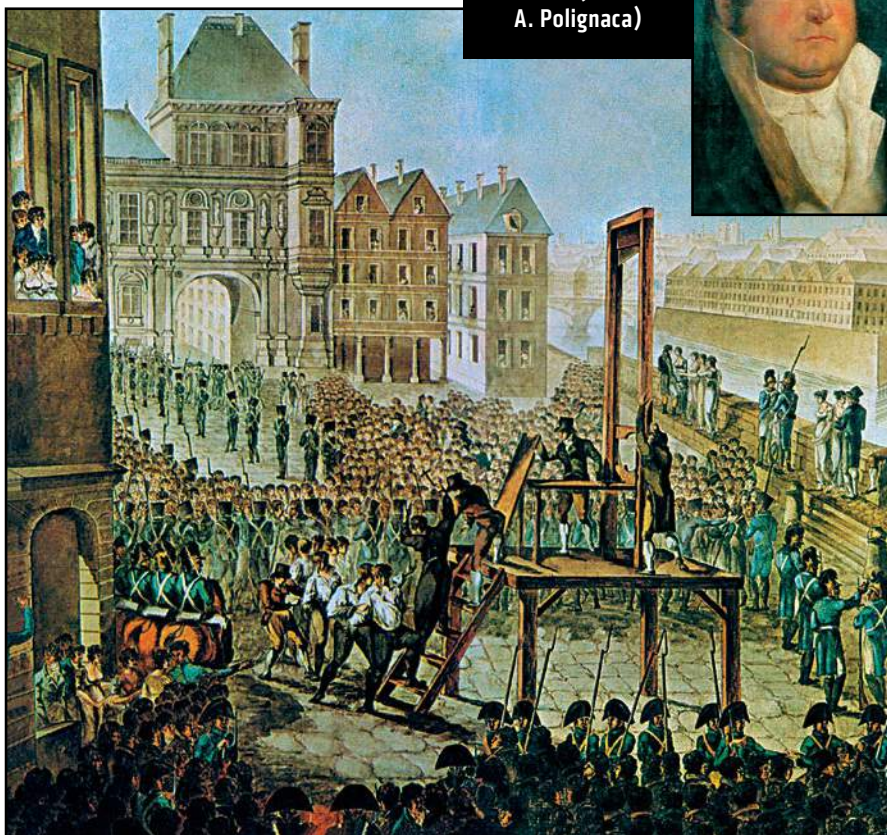
„Gédeona”). Oba śledztwa i oba polowania stały się chwalebłą wizytówką profesjonalizmu służb specjalnych Bonaparte’go.

* * * * *

28 września 1826 roku w Charleston (USA, Południowa Karolina) zmarł tamtejszy proboszcz, ksiądz Closrivière. Wierni opłakiwali go, bo chociaż miał zawsze ponurą twarz, jakby wykrzywioną bólem, był duchownym o anielskim sercu, który niestrudzenie pomagał biedakom i ludziom dotkniętym chorobami. Mniszki klasztoru Nawiedzenia w Georgetown, których kapłanem został mianowany roku 1814, uważały go za świętego męczennika, skrywającego jakąś straszną tajemnicę. Nie miały wątpliwości, że to przez nią ksiądz Closrivière każdego 24 grudnia kładł się wieczorem na pawimencie wybudowanej przez siebie kaplicy (dla tej budowy sprzedał swoje francuskie posiadłości) i leżał aż po świt krzyżem, żarliwie się modląc. W krypcie tej kaplicy złożono go do grobowca, który uprzednio sam ozdobił portretami Ludwika XVIII i Karola X.

Jankescy turyści, którzy dzisiaj odwiedzają grób „ojca Closrivière”, nie wiedzą kto leży wewnątrz tego grobu, tak jak ich przodkowie w pierwszym ćwierćwieczu XIX stulecia nie wiedzieli, że opiekujący się nimi, posępny, skromnie odziany i świecący tonsurą duszpasterz nosił niegdyś najmodniejszą fryzurę „à la Titus”, nazywał się Józef Picot de Limoëlan i był ścigany przez całą policję Francji jako morderca kilkunastu osób. I że leżąc krzyżem w każdą noc wigilijną na pawimencie swej kaplicy błagał Boga o przebaczenie za śmierć 14-letniej dziewczynki, której odebrał życie płacąc w zamian 12 sous. ©©

Cadoudal i jego kompani wstępują na szafot (akwarela A. Polignaca)



Kawaler de Limoëlan (biust z epoki)



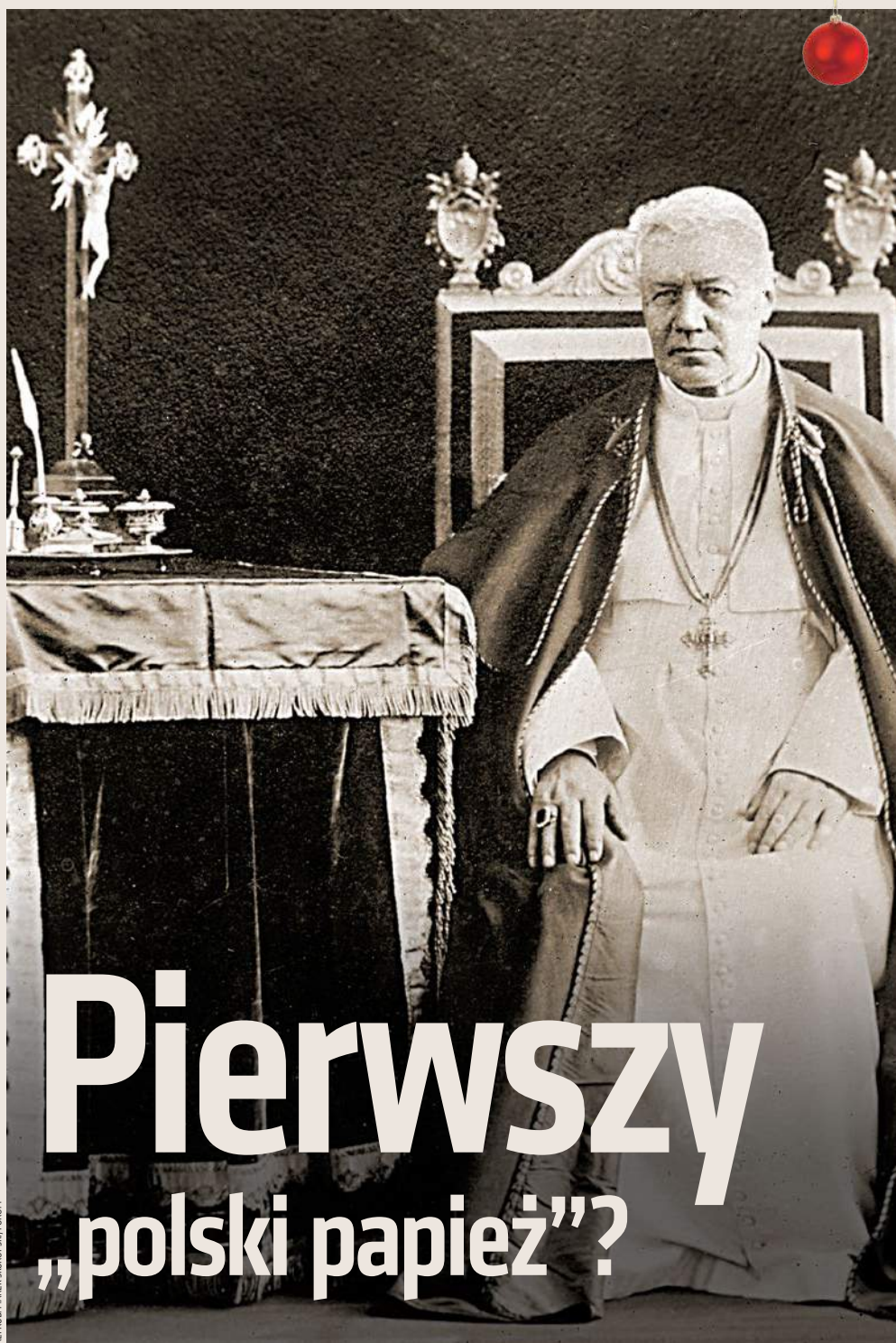
Ewa Polak-Pańkiewicz

„Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza / W ogromny dzwon, / Dla słowiańskiego oto Papieża / Otwarty tron”. Czyje pojawienie się wieszczył Juliusz Słowacki w 1848 r.? Karola Wojtyły? A może kogoś innego, jego poprzednika sprzed ponad 70 lat, św. Piusa X?

W 1903 r., gdy go wybierano, ani świat – ani chyba nawet Kościół – nie był jednak gotów na papieża, który pochodził z kraju, którego nie ma na mapach. Jego prawdziwe pochodzenie zostało starannie zatuszowane. Pius X (1835–1914) nie był kimś, kto przemknął przez dzieje Kościoła ledwie zauważony; przeszedł on do historii jako ten, który wydał bezwzględna walkę najbardziej niebezpiecznej ze wszystkich herezji – modernizmowi religijnemu.

Modernizm, który wcisnął się do Kościoła w drugiej połowie XIX w., czyni niemożliwym samo istnienie wiary. Udowodnił to Pius X w swojej słynnej, choć dziś prawie nieznannej encyklice „Pascendi Dominici gregis” z 1907 r. Jego cały pontyfikat był przeznaczony próbą zwalczania modernizmu. Heroiczną, choć nie do końca skuteczną.

Encyklika „Pascendi...” wywołała w Kościele wstrząs, a w niektórych kręgach wręcz popłoch. Tak jak niegdyś donośny dźwięk wszystkich dzwonów Wenecji wiał nowego patriarchę tego miasta, którym był Giuseppe Sarto, przyszedł Pius X, tak teraz on sam jako papież uderzył w potężny dzwon. Dzwon bijący na alarm. Wskazani zostali sprawcy zagrożenia, siewcy zamętu, a zarazem bez wątpienia ludzie popularni, znani, cieszący się najlepszą opinią w ówczesnym świecie intelektualnym, mający poparcie wpływowych liberalnych ośrodków: teologowie, duszpasterze, uczeni. Na skutek ich działalności zagrożona była jednak, jak wykazywał Pius X, nie instytucja Kościoła, nie jakiś szczególnie dogmat, ale sama cnota wiary. Papież udowodnił, że jeśli ten „ściek wszystkich herezji” nie zostanie przewyciężony, następnym etapem pograżania się katolicyzmu będzie ateizm. Pokazywał, dogłębnie i analitycz-



Pierwszy „polski papież”?

REPROD. MAREK SKOPIŃSKI/FORUM

nie, jak modernizm sący subiektywną, uczuciową, niezakorzoną w zasadach nadprzyrodzonej religii bez Boga. Ten pierwszy kanonizowany papież po Piusie V (1504–1572) stwierdzał z całą powagą swojego autorytetu, że modernizm w Kościele nie jest przemijającą modą intelektualną, ale świadomym działaniem „nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego”. Hasłem jego pontyfikatu były słowa: „Omnia

instaurare in Christo” – „Wszystko odnowić w Chrystusie”.

PRZECIW KULTOWI LUDZKOŚCI

U progu XX w. widział wyraźnie, że w świecie chrześcijańskim „zaczyna się umacniać i rozprzestrzeniać pewne przekonanie, istniejące od dawna, choć jedynie w wąskich kręgach, które zaczyna być teraz prawie powszechnym sposobem



■ myślenia, stając się niemal »historią« i »kulturą«; jest idea głosząca, że »postęp« musi być równoznaczny z odrzuceniem Kościoła, jego tradycji i wiary, że »postęp« oznacza przywrócenie człowiekowi »jakości« przypisywanej wcześniej tylko Bogu i Chrystusowi. Nowe credo głosi, że to właśnie ludzkość powinna być prawdziwym, zasługującym na kult bożyszczem, przede wszystkim zaś, że to sam człowiek jest panem swojego losu» (Antonio Sicari).

Pius X zwracał uwagę na wyjątkowo zręczne posługiwanie się przez modernistów kamuflażem. Na wielu przykładach wyjaśniał zagadkę rozprzestrzenienia się „doktryny tak złożonej i sprzecznej z naturalną strukturą ludzkiej inteligencji”. Jako głowa Kościoła podejmował środki bezpieczeństwa, dziś uznane za drastyczne, jak przysięga antymodernistyczna, ściślejsza kontrola seminariów, wydawnictw, surowość w karach kościelnych. Ich stosowanie dowodzi, jak realistycznie oceniał naturę ludzką i nie idealizował duchowieństwa.

Dzisiaj postać św. Piusa X jest mocno kłopotliwa dla apologetów nadszarpniętej „cywilizacji miłości” i „wiosny Kościoła”. Nie czyta się jego encyklik i adhortacji. Nie pamięta się o jego dokonaniach. Nie zna się jego życiorysu. A historia jego życia jest z tych nieprawdopodobnych. Do godności głowy Kościoła po śmierci Leona XIII pretendowali potomkowie historycznych włoskich rodów. Kto mógł być zatem mniej „godny” tego wyboru niż syn emigranta z kraju, którego nie było na mapach? Człowieka, który znalazł siły, by uciec do Włoch przed przymusowym wcieleniem do pruskiej armii, walczącej z Napoleonem. Potomek kogoś takiego mógł się urodzić na włoskiej ziemi tylko w największym ubóstwie. Nie wiadomo, jakim cudem miałby też zdobyć odpowiednie wykształcenie. Kto by go utrzymywał w seminarium? A jednak ten cud się zdarzył. Wszystko bowiem wskazuje na to, że Pius X, uznany za jednego z najwybitniejszych papieży w historii Kościoła, był synem Giovanniego Sarto – po polsku: Jana Krawca – Polaka, uciekiniera ze Śląska, ze wsi Boguszyce pod Toszkiem w powiecie gliwickim. Świętość tego papieża była tak niekwestionowana, że 40 lat po śmierci, w 1954 r. (szybkość zawrotna jak na czasy przed soborem), został przez Piusa XII kanonizowany.

Oficjalna biografia Piusa X jest inna: miał być rodowitym Włochem, a jego ojciec właścicielem ziemskim. Dlaczego jednak nigdzie nie ma jego metryki urodzenia, a nawet jego grobu (jak ustalili polscy ba-

dacze)? I dlaczego właściciel ziemski żeni się z kimś z najniższej warstwy społecznej, z wiejską szwaczką (była nią Margherita Sanson, matka Piusa X)? Dlaczego rodziców nie stać było na opłacenia nauki wybitnie zdolnego syna (seminarium ukończył dzięki stypendium biskupa Wenecji, co było ewenementem)? Znaków zapytania jest więcej.

WĘDRÓWKA JANA KRAWCA

W 1957 r. w czasopiśmie „Katolik” ukazał się tekst znanego historyka Kościoła, ks. prof. Józefa Umińskiego, który rozważa hipotezę polskiego pochodzenia Piusa X. Przychyła się do niej, choć zarazem przyznaje, że nie udało mu się zebrać wystarczającej liczby dokumentów, by postawić kropkę nad i. Powołuje się jednak na list biskupa polowego Józefa Gawliny do kard. Hlonda, w którym biskup prosi o pomoc w odnalezieniu brakujących dokumentów o ojcu Piusa X. Biskup Gawlina prosi w nim, by kard. Hlond zwrócił się do proboszcza w Riese o przeprowadzenie poszukiwań metrykalnych oraz do monsignora Ettore Bressana w Wenecji. Biskup wskazuje na kontakty wybitnego duszpasterza polskich emigrantów w USA, ks. Leopolda Moczygemby, franciszkanina, ze swoim „wujem, kanonikiem czy biskupem w Mantui” w latach 80. XIX w. W tym czasie biskupem Mantui był Giuseppe Sarto. Nie wiemy, jaki był efekt tych starań.

Matka ks. Moczygemby pochodziła ze śląskiej rodziny Krawców. W czasach wojen napoleońskich emigracja Polaków ze Śląska do północnych Włoch, by uniknąć przymusowego wcielenia do armii pruskiej (także i za chlebem), była zjawiskiem częstym. Młody Jan Krawiec, brat Ewy Moczygemby z d. Krawiec z Boguszyc (w podgliwickim powiecie Toszek), znalazł się w pobliżu Treviso, w wiosce Riese ok. 1812 r. Znalazł tam pracę jako wiejski listonosz, dorywczo pracował też jako woźny. Po 20 latach, gdy był już w pełni na obcej ziemi zaaklimatyzowany, założył rodzinę. Miał z Margheritą z d. Sanson ośmioro dzieci. Drugim z kolei jego potomkiem był Giuseppe, któremu na drugie imię dano Melchior, urodzony w 1835 r. Dlaczego Melchior? Na Śląsku wśród ludności katolickiej trwał od XVII w. kult Melchiora Grodzieckiego SJ, męczennika za wiarę, który zginął w niebывалых męczarniach, podobnie jak św. Andrzej Bobola, z rąk protestantów (był to bardzo żywy kult lokalny, oficjalnie był aż do lat 60. XIX w. zakazany).

O polskim pochodzeniu Piusa X miałyby też świadczyć tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie, historia mówiona. Na Śląsku, w okolicach Gliwic i Opola, w latach 30. ubiegłego wieku, a później także w latach 50., pogłoski o polskich korzeniach papieża były mocno rozpowszechnione. Mówiono o jego pokrewieństwie z urodzonym w tych stronach ks. Leopoldem Moczygembą; uznawano go za siostrzeńca papieża (w rzeczywistości byłby jego bratem ciotecznym); mówiono, że Moczygemba odwdzięczał krewnego we Włoszech, gdy ten był jeszcze biskupem Mantui. Matka ks. Moczygemby, Ewa z d. Krawiec, była przez mieszkańców swojej wsi uważana za ciotkę papieża.

Także oficjalna biografia Piusa X zawiera fakty wielce wymowne: oprócz tego, że bronił wiary przed zagrożeniami świata, potępił modernizm, ateizm, agnostycyzm, obniżył wiek przystępowania dzieci do komunii św., w 1905 r. uczynił szambelanem papieskim ks. Adama Sapiehę, młodego wówczas, energicznego księdza o dość porywczym usposobieniu (co prawie zawsze uniemożliwiało w Kościele awans). Beatyfikował śląskiego jezuitę Melchiora Grodzieckiego. W 1906 r. wyniósł do godności bazyliki świątynię jasnogórską, ustanawiając dzień 26 sierpnia uroczystością Matki Boskiej Częstochowskiej. W 1910 r., po makabrycznej zbrodni na Jasnej Górze popełnionej przez Damazego Macocha, przesłał do Częstochowy drogocenną koronę, którą 22 maja zawieszono na cudownym obrazie Matki Boskiej.

Kwestię polskiego pochodzenia Piusa X poruszał też na wykładach w seminarium kard. Edmund Dalbor (1869–1926), prymas Polski. Ani on, ani urodzony na Śląsku biskup polowy Józef Gawlina, także mocno w tę sprawę zaangażowany, to nie były takie sobie tuzinkowe postacie Kościoła. Działali niezależnie od siebie, starając się udokumentować polskie pochodzenie Piusa X; wszystko wskazuje na to, że nie udało im się przedrzeć przez mur niezrozumienia.

DRAMATYCZNE KONKLAWY

Wybór Piusa X, uznanego później za jednego z największych papieży w historii, Kościół zawdzięcza inicjatywie jednego polskiego uczestnika konklawe, kard. Jana Puzyny, biskupa Krakowa, który uzyskał od cesarza Franciszka Józefa weto w wypadku dość oczywistego wyboru faworyta tych wyborów, kard. Rampolli, sekretarza stanu przy poprzednim papie-



zu, Leonie XIII. Kardynał Puzyna uczynił to na prośbę polskich biskupów z Wilna, stających wobec niewesołej perspektywy układania się Rampolli z Francją, a co za tym idzie – z Rosją. Ceną za stepienie ostrza wrogiej polityki Francji wobec Watykanu miało być m.in. wprowadzenie języka rosyjskiego do kościołów na terenie zaboru rosyjskiego. Kardynał Puzyna bez trudu uzyskał weto od nieceniącego Rampolli cesarza, za pośrednictwem polskiego arystokraty hr. Agenora Gołuchowskiego, który był ministrem spraw zagranicznych Austro-Węgier.

W Rzymie, ku osłupieniu zebranych na konklawe dostojników, gdy Rampolla wybijał się na pierwszą pozycję, polski kardynał wyciągnął z kieszeni list i oświadczył z niewzruszonym spokojem: „Mam zaszczyt podać do wiadomości w imieniu oraz na podstawie autorytetu jego Apostolskiego Majestatu Franciszka Józefa [...], że Jego Majestat, zamierzając skorzystać ze starożytnego prawa i przywileju, oznajmia wykluczające weto przeciwko najdoslejniejszemu mojemu panu kardynałowi Marianowi Rampolli del Tindaro”. (Wcześniej jednak w poufnej rozmowie wyjawiał kard. Rampolli, że jest zobowiązany do przedstawienia sprzeciwu cesarza). Weto wywołało zmianę preferencji kardynałów na korzyść kard. Sarto, który już wcześniej był jednym z mocniejszych kandydatów.

Kardynała Puzynę przyjęto w Krakowie kampanią oszczerstw, zarzucano mu wysługiwanie się zaborcy; nazywano go pruskim lokajem. To, że wykazał się wielką odwagą cywilną, podejmując się nietypowej misji dla ratowania wiary i polskości rodaków na ziemiach zagarniętych przez Rosję, musiało pozostać jego najgłębszą tajemnicą.

Tymczasem polskość nowego papieża stała się w Rzymie czymś nad wyraz kłopotliwym. „Zaraz po wyborze Sarto na papieża urzędnicy watykańscy zaczęli odkrywać z rosnącym przerażaniem, że jego ojciec nie jest rodowitym Włochem. Miał on nazywać się pierwotnie Jan (Giovanni) Krawiec (po włosku Sarto) i przywędrować »skądś z Polski«,” piszą komentujący sprawę wyboru Piusa X dziennikarze z tygodnika „Strzelec Opolski” – numer wydania: 547 – (obejmującego swym zasięgiem gminy Jemielnica i Toszek na Śląsku, skąd wywodzi się rodzina Krawców i Moczygembów).

„Dlaczego ta informacja była tak wstrząsająca? Na Stolicy Piotrowej od czasu śmierci pochodzącego z terenów

dzisiejszej Holandii papieża Hadriana VI (od 1523 r.) nie zasiadł dotąd żaden nie-Włoch. Oficjalnie pierwszym papieżem, który złamał tę niepisaną zasadę, był dopiero Polak – Jan Paweł II. Na początku XX wieku »włoskość« papieża oznaczała, że nie pochodził on z żadnych z walczących o hegemonię mocarstw Europy, a kontynent stał na granicy wielkiego konfliktu. Mocarstwa patrzyły na siebie z coraz większą podejrzliwością i niewiele brakowało, by I wojna światowa wybuchła już w 1905 roku podczas kryzysu marokańskiego. Tym bardziej nie do pomyślenia było, by papieżem został Polak. Wiś, że papieżem wybrana została osoba powiązana z Polską, spowodowałaby... euforię całego narodu. Najprawdopodobniej byłoby to załóżkiem nowego powstania. Sytuacja polityczna Watykanu była więc wyjątkowo trudna i nic dziwnego, że zatuszowanie prawdziwego pochodzenia Piusa X było sprawą najwyższej wagi. Specjalne grupy urzędników watykańskich pojawiły się zarówno w Riese, gdzie próbowano odnaleźć jak najwięcej dowodów na powiązania Piusa X z miejscowymi rodami, jak i na Śląsku Opolskim – gdzie z kolei tuszowano jego rodowód. Udało się tego dokonać,

samemu Ojcu Świętemu. Dla niego samego konieczność ukrywania swojej tożsamości musiała być dodatkowym dotkliwym ciężarem, wielkim cierpieniem.

„Gdy do Watykanu przybyła grupa 50 unitów, którzy w wyniku prześladowań politycznych przedarli się nielegalnie przez granicę, papież, ku zdziwieniu uczestników audyencji, ucałował ranę jednego z nich i powiedział: »Powtórzcie braciom waszym, że Ojciec Święty pamięta o was, modli się za was i pragnie gorąco spotkać się z wami w niebie...«”, przypomniano w przytaczanym już artykule ze „Strzelca Opolskiego”. Grzegorz Wierchołowski w tekście zamieszczonym w 2008 r. w „Gazecie Polskiej” dodaje: „[Jeśli] przodkowie papieża z rodziny Sarto to »oficjalnie« z dziada pradziada Włosi – trudno zrozumieć, dlaczego na najstarszych zachowanych zdjęciach Giuseppe widziemy blondwłosego młodzieńca o jasnej cerze i zupełnie nieromańskich rysach. Na późniejszych fotografiach Piusa X zwraca z kolei uwagę wyraźne podobieństwo papieża do niektórych Górnolazaków, których twarze utrwalono na zdjęciach dokumentujących życie polskich emigrantów w Teksasie (obejrzyć je można w książce

Polskość nowego papieża stała się w Rzymie czymś nad wyraz kłopotliwym. Od czasu śmierci pochodzącego z terenów dzisiejszej Holandii papieża Hadriana VI (od 1523 r.) na Stolicy Piotrowej nie zasiadł dotąd żaden nie-Włoch

lecz oficjalnej historii rodu Sarto przeczy kilka faktów. W rodzinnym Riese brak jego metryki w księgach parafialnych. Nie ma też żadnego dowodu na pokrewieństwo z »oficjalnym« dziadkiem Piusa X – Giuseppe Sarto, który miał być zamożnym ziemianinem (pamiętajmy, że ojciec papieża żył w biedzie). Ba – brak nawet samego grobu Giovanni Sarto w Riese. Natomiast na Śląsku pamiątkami po odwiedzinach watykańskiej delegacji były brakujące strony w kronikach parafialnych”.

Inny z komentatorów zauważa, że sam Pius X miał wystarczająco wiele powodów, by nie podawać do publicznej wiadomości swojego pochodzenia, milcząc zgodzić się na „wersję włoską”. Był to czas, gdy ani Kościół, ani Watykan, ani Włochy nie były przygotowane na papieża innej narodowości i ujawnienie prawdy o ojcu Polaku mogłoby być wykorzystane przeciwko

»Śląscy Tekszańcy«, Opole 2004)”. Te wyraźnie niewłoskie cechy powierzchowności Piusa X zauważył też ks. Umiński, który dwukrotnie widział go z bliska.

Pius X zmarł, gdy I wojna światowa była już rozpoczęta. „Papież, nieuznawany król parowótkowego państewka, nie miał żadnej możliwości, aby wstrzymać prawosławną Rosję, protestanckie Prusy czy nawet katolicką Austrię od rozpoczęcia krwawego starcia, było ono nieledwie mechanicznym skutkiem kongresu wiedeńskiego, klęsk powstaniowych, konwencji Alvenslebena, Sedanu i Sadowy”, przypomina ks. Walerian Meysztowicz, przedwojenny radca prawny ambasady RP w Watykanie. „Ostatnie dni Piusa X to był właściwy koniec XIX wieku. Papież wiedział, że świat się wali. Jak święci o delikatnym sumieniu męczył się tym bardzo. Umarł w opinii świętości...”.



Tomasz Lenczewski

Syn wielkopolskiego dzierżawcy ziemskiego i potomkini kresowego rodu Skirmuntów wiódł bujne życie oparte na fałszerstwach. Do końca umiejętnie manipulował ludźmi

Hochsztapler od zaszczytów

Juliusz Nowina-Sokolnicki urodził się w Pińsku. We wszystkich poświęconych mu publikacjach jako jego oficjalna data urodzin figuruje 16 grudnia 1920 r. W istocie według akt stanu cywilnego parafii pińskiej przechowywanych w Mińsku na Białorusi urodził się tego dnia i miesiąca, ale pięć lat później (w roku 1925). Datę urodzin zmienił w czasie okupacji niemieckiej, bynajmniej nie ze względów konspiracyjnych. Dzięki temu po rozpoczęciu działalności politycznej na emigracji mógł twierdzić, że zrobił przed wojną maturę, zapisał się na studia i wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 r. W istocie nie miał nigdy nic wspólnego

z żadnymi działaniami wojennymi, a jego okupacyjne losy naznaczone zostały dość niejasnymi historiami.

Zdaniem jego kuzyna, Jerzego Sokolnickiego, w tym okresie szantażował własnego stryja zarządzającego znacznymi sumami dolarów należących do Polskiego Państwa Podziemnego i żądał od niego pieniędzy. Według Edwarda de Virion i jego siostry Anny Starowieyskiej Nowina-Sokolnicki odegrał dwuznaczną rolę w aresztowaniu przez gestapo rodziny Staszewiczów z Pińska, u których mieszkał w okupacyjnej Warszawie.

Poza krótkim pobytem na robotach w Alzacji spędził czas okupacji na

provincji. Zajmował się gastronomią, pracował w niemieckim urzędzie i romansował ze starszymi kobietami. Z początkiem 1946 r. opuścił kraj wraz z matką i ciotką. Wyjechał najpierw do Włoch dzięki „białemu kapitanowi” Stefanowi Rybickiemu. Bynajmniej nie wstąpił do żadnych jednostek II Korpusu Polskiego, co później nieudolnie usiłował dokumentować za pomocą spreparowanych dokumentów. Dzięki rodzinnej koneksji zdołał przenieść się do Wielkiej Brytanii. Rozpoczął niełatwy żywot emigranta, często zmieniającego pracę (m.in. był kontrolerem gazomierzy oraz sprzedawcą w sklepie). Wikał się w skomplikowane



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI / AGENCJA GAZETA

powołany przez uchodźczą Radę Rzeczypospolitej Polskiej. Wyrok w jego sprawie, choć łagodny, uznawał go za winnego działań nielicujących z honorem i godnością członka tej rady. A w związku z nadużywaniem funkcji ministerialnej do celów prywatnych został zdymisjonowany.

W 1972 r. po śmierci Augusta Zaleskiego, prezydenta RP na uchodźstwie, wystąpił jako jego następca wobec wyznaczonego wcześniej Stanisława Ostrowskiego, przedwojennego prezydenta miasta Lwowa. Jego nominacja, od której ekspertyzy grafologicznej całe życie się uchylał, nosiła bowiem datę późniejszą. Kilka dni po zgłoszeniu swoich pretensji do prezydentury wycofał się z nich wobec braku poparcia i zwolenników.

Po przeszło pół roku doszedł jednak do wniosku, że kontynuowanie całej akcji może być całkiem opłacalnym procedurą. Znając dość dobrze emigracyjne środowiska na świecie i korzystając z wierności niektórych stronników dawnego prezydenta, wykorzystał ich niechęć do jego następców. To dało mu pierwszą grupę popleczników, może o niezbyt znanych nazwiskach, ale reprezentujących ludzi z określoną rangą, dzięki którym sformował pierwszy własny rząd. Wkrótce dołączyli do nich inni rodacy emigranci spragnieni zaszczytów, którzy od tego czasu byli mu wierni. Skład tej grupy zmieniał się jednak często.

Nowina-Sokolnicki rozwinął swoją działalność na całym świecie – od obu Ameryk do Australii. Prezydentura stała się dodatkowym źródłem dochodów. Zarabiał nie tyle na składkach do własnego Skarbu Narodowego, ile na handlu honorami. Dołączył bowiem do grona międzynarodówki handlarzy odznaczeniami i fałszywymi tytułami. W grupie tej działała cała plejada niby-zakonów rycerskich różnej maści. Był wśród nich wielki mistrz reaktwowanego zakonu templariuszy, płk Antoni Zdrojewski, jeden z przywódców organizacji polskiego ruchu oporu we Francji. Poświadczył on Sokolnickiemu rzekomy udział w walce z Niemcami, stopień pułkownika, a nawet Virtuti Militari. Później Sokolnicki mianował go kolejno generałem broni i marszałkiem Polski. Chętnych na wysokie polskie odznaczenia, tytuł honorowego ministra czy konsula, a nawet polski paszport dyplomatyczny „prezydentowi” nigdy

nie brakowało. Prawdziwym majstersztykiem okazało się jednak wskrzeszenie w 1979 r. Orderu św. Stanisława i tytułu Wielkiego Mistrza tego orderu po ostatnim carze Mikołaju II. Order ten jeszcze przed złożeniem prezydentury w 1990 r. podporządkował sobie jako prywatny. Stworzył rodzaj międzynarodowego przedsiębiorstwa kupującego tym zaszczytem, które do końca życia przynosiło mu profity. Order ten nadawany jest po dziś dzień przez różne prywatne kapituły krajowe i międzynarodowe, nadal cieszy się powodzeniem, a pamięć Sokolnickiego wśród jego posiadaczy jest wciąż kultywowana.

WSPÓŁCZEŚNI ADMIRATORZY

W latach 80. XX w. Sokolnickiemu przybyło zwolenników w ojczyźnie. Ich poczet jest dość długi. Od księdza „kontradmirała” Jankowskiego, obdarowanego wieloma najwyższymi odznaczeniami, do wielu kombatanów skuszonych otrzymaniem Orderu Krzyża Virtuti Militari bądź wyższej rangi. Do grona tego dał się także wmanewrować Lech Wałęsa. Lawinowo nadawane awanse i ordery pozwoliły Sokolnickiemu na występowanie w imieniu rzesz kombatanów domagających się później zweryfikowania w III Rzeczypospolitej. Nierzadko różnorodne ich środowiska,

Do grona zwolenników Sokolnickiego dali się wmanewrować Lech Wałęsa czy ksiądz „kontradmirał” Jankowski

sytuacje rodzinne (miał kolejno kilka żon i liczne potomstwo).

EMIGRACYJNA KARIERA

We wczesnych latach 50. XX w. Nowina-Sokolnicki rozpoczął działalność w polskich ugrupowaniach politycznych w Wielkiej Brytanii związanych z tzw. obozem zamkowym. Zasiadał w „emigracyjnym parlamencie” i piastował funkcje ministerialne w dwóch rządach. Na przełomie lat 1955 i 1956 kontaktował się z agentem PRL-owskiego wywiadu i nawiązał w tej sprawie kontakt ze Scotland Yardem. Stało się to przedmiotem dochodzenia prowadzonego przez Sąd Honorowy

szczodrze obdarowane, składały mu rozmaite laurki dziękczynne, występując również czynnie w jego obronie. Wśród zwolenników znaleźli się m.in. niektórzy paulini z Jasnej Góry mianowani pułkownikami i dekorowani, a nawet generał broni Tadeusz Wilecki.

Jeszcze przed 1989 r. nawiązała współpracę z „prezydentem” Sokolnickim działaczka Solidarności Walczącej – Robert Majka, Zbigniew Rutkowski, założyciel Wydawnictwa Wers oraz mieniący się księciem Bogdan Światopełk-Zawadzki. Ci dawni podziemni bojownicy są mu wierni do dziś, czego dowodzą niedawne wypowiedzi Roberta



COUNT JULIUSZ NOWINA SOKOLNICKI,
KT., C.O.C.J., O.S.J., O.C.S.O., O.C.S.S.
Hereditary Prince of Cornet
Brigadier General MC, USA
Hon. Grand Master Knights Templar (France)
Ambassador at large of the Sovereign Military
and Hospitaller Order Of Saint John of Jerusalem,
Knights of Malta – Ecumenical
Members of International Parliament for Safety and Peace
Vice-President British Festival Committee
35 KENILWORTH ROAD, LONDON, W5 5PA
01-567-9107

Wizytówka z fikcyjnymi tytułami
Sokolnickiego oraz jego oficjalna ulotka
jako „prezydenta” FOT. ARCHIWUM AUTORA



JULIUSZ NOWINA-SOKOLNICKI
PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

■ Majki, piastującego godność sędziego Trybunału Stanu. Wydano wiele publikacji o panegirycznym charakterze referujących bez cienia krytycyzmu biografię Sokolnickiego (pisali o nim m.in. wspomniany Majka oraz obecny ambasador RP w Kazachstanie prof. Selim Chazbijewicz). Nawet historyk z IPN dr Norbert Wójtowicz, starający się zachować w swoich publikacjach dystans, nie ukrywał swojej sympatii dla Sokolnickiego i opracował jego biografię w której nie stronił od patetycznych frazesów.

Sokolnicki sfalszował datę swoich urodzin podczas okupacji wskutek związków, w które wchodził z kobietami starszymi od siebie o kilkanaście lat. Jedną z nich, którą porzucił, wyjeżdża-

jąc z Polski, tuż po wyzwoleniu została jego żoną. Osobowość Sokolnickiego została ukształtowana w dzieciństwie poprzez wychowanie w domu rodzinnym jedynie przez kobiety (matkę i jej siostrę). Ojciec nie miał na niego wpływu, ponieważ rodzice byli w separacji. Matce zawdzięczał domowe wykształcenie (nie ma dowodów, że uczęszczał do gimnazjum w Pińsku) oraz ogładę towarzyską, która w połączeniu z wrodzoną inteligencją pozwoliła mu w przyszłości dobrze funkcjonować społecznie.

Ze względu na walory fizyczne odziedziczył po ojcu powodzenie u płci pięknej, choć, jak pokazało życie, nie cieszył się powodzeniem u kobiet „dobrze urodzonych”. Jak wspominała Anna z de Virionów Starowieyska, młody Julek sprawiał w czasie okupacji wrażenie bawidamka szukającego kontaktów z kobietami z różnych sfer. Jeszcze przed dojściem do pełnoletności spłodził córkę, którą po urodzeniu adoptowała inna rodzina.

KLUCZ DO SOKOLNICKIEGO

Od młodości cechował go egocentryzm. Nie był w stanie stworzyć normalnych związków małżeńskich ani zadbać o wychowanie własnych dzieci. Jadwiga Tańska, która wychowywała jego nieślubną córkę, określiła go mianem lekkoducha, prześlizgującego się przez życie. Był typem megalomana i mitomana, obciążonego syndromem posiadacza arystokratycznego tytułu. Taka postawa występuje często u niektórych jednostek noszących nazwiska kojarzone z tytułami szlacheckimi, których przodkowie w przeszłości takowych nie otrzymali, a oni sami nie osiagnęli. Łasy na zaszczyty i wyróżnienia Sokolnicki przez całe życie bawił się w ich kolekcjonowanie. Był nie tylko „prezydentem RP”, lecz także księciem z łaski pretendenta do niemieckiego tronu oraz biskupem Apostolskiego Episkopalnego Kościoła.

Udzielał chętnie wywiadów obcojęzycznej prasie, w której prezentował fantastyczne informacje o swoim pochodzeniu i majątkach. Pozował do fotografii z licznymi odznaczeniami, nadanymi przez samego siebie lub jemu podobnych. Jednocześnie przyciągał do siebie wielu mitomanów, choćby przywódcę Wolnej Polski Konstantego „barona” Hanffa czy „generała broni” Władysława Stanilewicza.

W odróżnieniu od wielu podobnych uzurpatorów Sokolnicki był człowiekiem mającym dużą wiedzę, potrafiącym po mistrzowsku wykorzystywać ludzkie słabości i przywary. Nieodłączną cechą jego działania stała się metoda faktów dokonanych. Niektóre osoby, które znalazły się na listach członków jego rządów czy obdarowanych odznaczeniami, dowiadywały się o tym „wyróżnieniu” nierzadko od osób trzecich. Było to świadome działanie na drodze do budowania własnej legendy i popularności. W tym celu wykupywał płatne biogramy w najważniejszych światowych almanachach towarzyskich oraz dekorował orderami osoby „ze świecznika”, od najwyższych dostojników kościelnych aż do działaczy Sojuszu Lewicy Demokratycznej (beneficjentką była np. Krystyna Łybacka).

Swoją nieznajomością rzeczy ośmieszył się prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, który w wykładzie na Zjeździe Bractwa Orderu św. Stanisława w 1999 r. uznał Sokolnickiego za ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie, za co otrzymał od niego najwyższą klasę tego orderu.

Tuż przed śmiercią Sokolnicki wyznaczył przedsiębiorcę i rzekomego „kuzyna” Jana Zbigniewa Potockiego (podającego się bezprawnie za hrabiego i Pilawitę) na IX (!) wielkiego mistrza Prywatnego Orderu Świętego Stanisława oraz prezydenta (!) Rzeczypospolitej Polskiej na Wychodźstwie. Ten ostatni, kandydat na prezydenta Warszawy w ostatnich wyborach, okazał się godnym następcą Juliusza Sokolnickiego.

Sokolnicki stworzył fikcyjny świat pustych zaszczytów oraz tytułów i przykre jest, że dali się do niego wciągnąć ludzie, których postrzega się zazwyczaj jako doświadczonych polityków. Jeszcze bardziej deprymujące jest to, że wielu z nich nie potrafił pogodzić się z tym, iż legitymizowali zwykłą hucpę: nie widzą śmieszności tej sytuacji ani nie potrafili przyznać się do tego, że byli pionkami w grze zręcznego manipulantu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD SRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
**SENSACYJNE RELACJE
POLSKICH SPADOCHRONIARZY**

Wojciech Markert – **Jak Anglicy zrzucili winę za klęskę na Polaków**

Mikołaj Iwanow – **Ochrona i zamach w Sarajewie**

Ilan Pappé – **Jak Izrael wypędził Arabów**

Sławomir Koper – **Kochanek cesarza Hadriana**

Jochen Böhrer – **1920: nowe spojrzenie**

Marcin Bartnicki – **Szokujące wyznania sekretarki Goebbelsa**

Laurence Rees – **Dlaczego Amerykanie nie zbombardowali Auschwitz**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



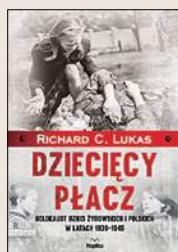
PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zakazana książka

Komory gazowe w Auschwitz były zaprojektowane tak, aby nikt nie mógł z nich wyjść żywy. Pewnego dnia stał się jednak cud. Więźniowie Sonderkommando, których zadaniem było opróżnianie komór z ciał zagazowanych Żydów, znaleźli w środku oddychającą dziewczynkę. Mogła mieć 14 lat, była zmarznięta, przerażona, ledwo oddychała. Więźniowie okryli ją ubraniami, a lekarz Miklós Nyiszli kazał jej podać dożylnie zastrzyki. Niepisane prawo mówi, że skazańcowi, który zerwał się ze stryczki, darowuje się życie. W Auschwitz panowały jednak inne zasady. Jeden z esesmanów przybył na miejsce i beznamietnie przystawił dziecku lufę pistoletu do głowy. Drugi cud już się nie wydarzył. To jedna z setek historii opisanych we wstrząsającej książce prof. Richarda C. Lukasa „Dziecięcy płacz. Holokaust dzieci żydowskich i polskich w latach 1939–1945”. Amerykański historyk opisuje w niej najstraszniejszy wymiar niemieckich zbrodni na terenie okupowanej Polski. Mordowanie istot najbardziej bezbronnych – polskich i żydowskich dzieci.

Już we wstępie książki Richard C. Lukas zapewnia: „Nie podaję w wątpliwość wyjątkowego miejsca dzieci żydowskich na szali cierpienia, jedynie wskazuję na równie tragiczny los ich polskich rówieśników”. Deklaracja ta nie uchroniła profesora przed gniewem radykalnych środowisk żydowskich. Uznały one, że zestawienie cierpienia żydowskich dzieci z cierpieniem polskich dzieci jest wysoce nieestosowne, bo może sprawiać wrażenie, że Holokaust Żydów nie był wyjątkowy. Nowojorska Liga przeciwko Zniesławieniu (ADL) uznała „Dziecięcy płacz” za książkę „problematyczną”. A jedna z czołowych badaczek Holokaustu – Eva Fogelman – ogłosiła, że dzieło „ociera się o antysemityzm”. Co ciekawe, książka została nagrodzona prestiżową nagrodą Janusz Korczak Literary Award przyznaną pod auspicjami ADL. Zirykowane tym kierownictwo Ligi próbowało skłonić jury do zmiany decyzji. Liga ustąpiła dopiero, gdy oburzony profesor zagroził jej pozwem. Uroczystą ceremonię wręczenia odwołano, a historyk nagrodę otrzymał pocztą... ©©



★★★★★
RICHARD C. LUKAS
„DZIECIĘCY PŁACZ. HOLOKAUST DZIECI ŻYDOWSKICH I POLSKICH W LATACH 1939–1945”
 REPLIKA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Azyl prezydenta

Dzień po pogrzebie Gabriela Narutowicza, 20 grudnia 1922 r., Zgromadzenie Narodowe wybrało na prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego. Nowy prezydent wydawał się idealną osobą na najwyższe stanowisko w kraju, szanował konstytucję i jej postanowienia, a obowiązki

obyć bez uroczystego obiadu. Jednak ugiął się przed wymogami reprezentacji i robił dobrą minę do złej gry.

„Oficjalne obiady odbywały się wieczorem – wspominał adiutant prezydenta, Henryk Comte – mniej więcej między godziną dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Przed obiadem, w sali na pierwszym piętrze pałacu, podawano przekąski i po kieliszku koniaku. Podczas obiadu nalewano do pucharów wino czerwone i białe – w zależności od dań rybnych lub mięsnych. Po skończonym obiedzie wszyscy udawali się do salonu na czarną kawę i likiery”.

Wojciechowski z rodziną przyjeżdżali do Spały niemal w każdą niedzielę

(głównie reprezentacyjne) traktował z całą powagą. Jednak nie przepadał za nimi, co szczególnie było widać podczas pobytów głowy państwa w Spale nad Pilicą, gdzie znajdowała się letnia rezydencja prezydentów Polski. Podczas wyjazdów z rodziną i przyjaciółmi Wojciechowski rzeczywiście wypoczywał, cieszył się, gdy z dala od Belwederu nie zachowywano sztywnych form etykiety. Prezydent lubił spacerować brzegiem Pilicy, uwielbiał też polować w miejscowych lasach. Niestety, nawet tam dościsgały go oficjalne obowiązki, w Spale urządzano bowiem imprezy dla oficjalnych gości odwiedzających Polskę i korpusu dyplomatycznego. Wojciechowski szczerze tego nie znosił, tym bardziej że musiały się one odbywać według ściśle zaplanowanego ceremoniału i nie mogło się

Prezydent brał w tym „udział bez przekonania i robił wrażenie widza, który się źle bawi na przedstawieniu”, dlatego z trudem maskował radość, gdy następowała najprzyjemniejsza dla niego chwila – odjazd gości. Wojciechowski z „uszcześliwionym obliczem żegnał odjeżdżających”, a następnie „odetchnąwszy z ulgą [...], wkładał maciejówkę i szedł do lasu na swoje samotne polowanie”.

Prezydent Wojciechowski z rodziną przyjeżdżali do Spały niemal w każdą niedzielę, spędzali również tutaj urlop. I nawet realne zagrożenie przewrotem Piłsudskiego w maju 1926 r. nie odwołało prezydenta od wyjazdu w swoje ulubione strony. W Spale zdążył jeszcze wyjść na polowanie, kiedy rozdzwoniły się telefony. Prezydent powrócił do stolicy po kilku godzinach, kiedy wojska wierne Komendantowi obsadziły już Pragę. ©©

OFERTA SPECJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

**Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY” + MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE KSIĄŻKA: B. Sławińska,
wywiad z płk. W. Skorupką
"Ja Orzeł. Z kedywu do celi śmierci"

Cena: 279 zł

Oszczędność: 721 zł



**+
e-wydanie**



**+
e-wydanie**



Cena: 143 zł

Oszczędność: 232 zł

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W PREZENCIE KSIĄŻKI:
Rafał A. Ziemkiewicz
„Sanacja czy demokracja”,
„A więc wojna!”
Sz. Weiss „Moja Polska”
+ e-wydanie

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 1486b6eccc



Marek Jan Chodakiewicz
z Waszyngtonu

W narracji lewicowej Donald Trump to zdrajca, wręcz rosyjski agent. Rosja bowiem rzekomo załatwiła mu wybór na prezydenta. Stąd zdradę Trumpa trzeba obnażyć i pociągnąć go do odpowiedzialności. Był to jeden z postulatów wyborczych Partii Demokratycznej. Ponieważ demokraci właśnie przejęli kontrolę nad Izbą Reprezentantów, obiecują wcielić ten postulat w życie

W Ameryce definicja zdrajcy jest prosta. „Osoba, której lojalność należy się Stanom Zjednoczonym, a zwalcza USA albo wspiera jej wrogów pomocą i pocieszeniem w państwie tym albo poza nim, jest winny zdrady, za co zostanie ukarany śmiercią albo więzieniem na nie mniej niż 5 lat oraz grzywną na tej podstawie w kwocie nie mniejszej niż 10 tys. dol.; osoba taka nie będzie też mogła sprawować żadnych urzędów w USA”. Aby skazać za zdradę, trzeba dwóch świadków albo publicznego przyznania się do winy przed sądem.

Czy amerykański prezydent podpada pod tę definicję? Z tego, co wiemy – nie. Naturalnie w życiu wszystko jest możliwe, chociaż akurat teoria, że Trump to zdrajca, jest najmniej prawdopodobna. Użyteczny idiota – za głupie i ignoranckie odzywki na temat Moskwy, to można jeszcze jakoś ogarnąć. Jednak świadomy agent?

RUSKI AGENT

Najdalej w insynuacjach na ten temat posunął się Jonathan Chait. Sklecił w lewicowym „The New York Magazine” (8 lipca 2018 r.) portret rosyjskiego agenta Donalda Trumpa. Czyta się to jak paranoiczne scenariusze oparte na fundamentach teorii spiskowej. Pełne odautorskich zastrzeżeń, gdybań i innych sztuczek retorycznych, aby uniknąć konsekwencji potencjalnego procesu o zniesławienie.

Według wyobraźni Chaita wszystko zaczęło się od włamania rosyjskich hackerów do bazy danych Demokratycznego Komitetu Narodowego. Wiadomo – żeby

FOT. BRENDAN SMALOWSKI/AP/EAST NEWS

Trump zdrajca?

pomóc kandydatowi republikanów. Nastąpiło to po tajnym spotkaniu prezydenckiego syna Donalda Trumpa juniora oraz zięcia, Jareda Kushnera, z prawniczką rosyjską o kremlowskich koneksjach. Spotkanie zaaranżował ponury Paul Manafort. Zbieg okoliczności? Oczywiście nie – twierdzi Chait. Chodziło o to, że Rosjanie mieli dostarczyć kompromitujące materiały na kandydatkę Hillary Clinton. A Trump senior i Kushner byli zaufanymi ludźmi Rosjan, bo prowadzi w ich krajach „podejrzane inwestycje”. W związku z tym od dawna są związani z post-Sowietami. Najpewniej agenturalnie. To, że kontakty są, potwierdzają rzekomo raporty wywiadu brytyjskiego jeszcze w 2015 r., a potem

estońskiego w 2016 r. Według Estończyków Rosjanie mieli zainwestować poważne sumy w kampanię prezydenta Trumpa i pozostawać z nim w stałym kontakcie – jak twierdzili Brytyjczycy, ponownie latem 2016 r. CIA przyjęła te informacje za dobrą monetę.

Chait uważa, że należy cofnąć się w czasie o trzy dekady, kiedy to Trump pierwszy raz publicznie zainteresował się polityką. W 1986 r. zaatakował Japonię jako zagrożenie gospodarcze dla USA. Najpierw jednak sowiecki ambasador Jurij Dubinin spotkał się z Trumpem w Nowym Jorku, aby zachęcić go do inwestycji w Sowdeprii. W związku z tym w 1987 r. biznesmen poleciał na wizytę do Moskwy. Sowietci

zaprosili go, aby wybudował im hotel. Nic z tego nie wyszło. Ale kto wie, może właśnie wtedy został współpracownikiem rosyjskich służb? A może KGB nagrało go wtedy w kompromitującej sytuacji z prostytutkami? W każdym razie nowojorski przedsiębiorca zdobył kontakty na przyszłość – podkreśla Chait.

Zaraz po powrocie z Moskwy Trump opublikował odpłatnie w prasie swój izolacjonistyczny manifest polityczny. Ameryka nie powinna płacić za obronę innych krajów. Przecież to atak na NATO i innych sojuszników. – Zbieg okoliczności? – pyta Chait. To aluzja do tego, że Trump musiał być przez KGB „zadaniowany”. Jego działania były zbieżne z celami sowieckiej

REKLAMA

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE

„STARE I NOWE KOŁĘDY”

zaśpiewają:

**Beata Rybotycka, Edyta Krzemiń,
Joanna Pocica, Maciej Balcar,
Zbigniew Preisner,
Zespół Jana Karpiela Bułecki**

10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
17 stycznia 2019 – CKK Jordanki Toruń
19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige 10^{lat}
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

15
Classic

wprost

Multikino

RZECZY

empik

T3

pap

WP

STRÖER

trojmiasto.pl

VIXON

cgm.pl

PRESS SERVICE

polityki zagranicznej – zauważa autor tekstu.

Jednocześnie Trump bawił z ludźmi z półświatka, w tym z rosyjską mafią. Te kontakty zaczęły się jeszcze w latach 80., ale ich największe natężenie przyszło w XXI w. „Między 2003 a 2017 osoby z byłego Związku Sowieckiego kupiły w 86 przypadkach za gotówkę nieruchomości Trumpa – w sumie za 109 mln dol. W 2010 r. Deutsche Bank pożyczył mu setki milionów dolarów w czasie, gdy prał miliardy rosyjskich pieniędzy”. A firma Trumpa polegała przede wszystkim na finansowaniu przez rosyjskie banki. Czyli – puszcza do nas oczko Chait – Trump był kupiony przez Kreml.

Gdy Donald poleciał znów do Moskwy w 2013 r., agenci FSB zdobyli na niego nowy kompromat. Nagrany na wideo. Ponoć wchodził w grę znów seks w moskiewskim hotelu, a w tym „złoty deszcz”. Takie rewelacje wynikają ze wspomnień byłego dyrektora FBI Jamesa Comey’a oraz z dossier przygotowanego dla demokratów przez byłego oficera brytyjskiego wywiadu, Christophera Steele’a.

Ludzie wokół Trumpa też są podejrzani. Wśród nich jest Page Carter, którego SVR ugłaskiwała i przygotowywała do rekrutacji. Prawnik Trumpa Michael Cohen „spotykał się często z cudzoziemcami”, którzy byli jakoś związani z próbami sabotowania wyborów w 2016 r. Podobnie prorosyjscy byli bliscy współpracownicy Trumpa: Michael Flynn, George Papadopoulos i Felix Sater. A jeszcze bardziej umoczone jest Paul Manafort, który został menedżerem kampanii prezydenckiej republikanina.

Najbardziej podejrzany jest jednak sam Trump. Jego prorosyjska retoryka spowodowała, że Putin wyciągnął kompromaty, wyłożył pieniądze na kampanię, rozpoczął cyberatak przeciwko demokratom i pomógł w zwycięstwie kandydata republikanów. W takim kontekście szczyt między Trumpem a Putinem to nie „negocjacje między dwiema głowami państw, ale spotkanie między rosyjskim agentem wywiadu a jego oficerem prowadzącym” – grzmi Chait.

Ta paranoiczna wizja opiera się na zupełnym niezrozumieniu charakteru działań Kremla. Te wcale nie służą republikanom. Mają wprowadzić chaos w Ameryce poprzez jednoczesne pomaganie i przeszkadzanie każdej ze stron. Chodzi o skłócenie Amerykanów, co bardzo dobrze się Rosjanom udało. Obserwujemy w USA prawie zupełny brak solidarności narodo-

wej i straszliwą polaryzację zarówno elit, jak i reszty społeczeństwa.

DOCHODZENIE

Oficjalne dochodzenie Departamentu Sprawiedliwości, które prowadzi specjalny radca Robert Mueller, na razie nie przyniosło żadnych rewelacji na temat Trumpa i Putina. Przypomnijmy, że celem dochodzenia jest ustalenie istnienia „nielegalnego mieszanina się w wybory przez obcą potęgę” w ramach spisku z obecnym prezydentem. Mueller drecze w tym samym miejscu, gdzie utknęło FBI za rządów Baracka Obamy. A „sukcesy” w „odkrywaniu prawdy” o rzekomej agenturalności Trumpa są na razie mierne. Postawiono oficjalne zarzuty gen. Mike’owi Flynnowi, byłemu doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa. Dotyczą one kłamstwa. Flynn niestety nie przyznał się, że kontaktował się po wyborach prezydenckich 2016 r. z ambasadorem Rosji. A dlaczego niby nie miał się kontaktować, skoro przygotowywał się do przejęcia sterów państwa w ramach ekipy Trumpa? Co to ma wspólnego z agenturą, która rzekomo ustawiła wybory prezydenckie na rzecz republikanina?

Inny doradca prezydencki, Paul Manafort, siedzi w areszcie ze względu na złamanie prawa dotyczącego konieczności ujawniania w USA kontaktów z cudzoziemcami, szczególnie gdy pracuje się dla nich jako lobbysta. Nie ujawnił też zarobków z zagranicznych źródeł. Dotyczy to szczególnie związków z ówczesnym prezydentem Ukrainy, Wiktoorem Janukowyczem, jego Partią Regionów oraz rozmaitymi oligarchami.

Ani Flynn, ani Manafort nie usłyszeeli zarzutów agenturalnych związków z Kremlen w czasie kampanii Trumpa. Sprawy przeciw nim nie mają nic wspólnego z „nielegalnym mieszaninami się w wybory”. To samo dotyczy Michaela Cohena, byłego prawnika Trumpa. Cohen gada o wszystkim, ale bynajmniej o Putinie nie ma za wiele do powiedzenia. Ujawnił za to sprawy obyczajowe, czyli m.in. bezpośredni udział Trumpa w dawaniu łapówek gwiazdzie porno i innej rozbieranej modelce, aby kupić ich dyskrecję.

Oficerom FBI i współpracownikom Muellera nie udało się ustalić jeszcze nic konkretnego w sprawie rzekomego spisku wyborczego. Wiemy za to o rozmaitych przeciekach i aktach nieojalności wśród ludzi najbliższych prezydentowi. Nic nie wynika jednak z tego w sprawie rzekomej agenturalnej współpracy z Moskwą.

Okazuje się jednak, że zdrada to hobby niektórych wysokich urzędników.

Na przykład, według „The New York Times”, zastępca prokuratora generalnego USA Rod Rosenstein w desperacji zgłosił się do FBI po sprzęt podsłuchujący, aby nagrać Trumpa in flagranti w Białym Domu. Liczył na to, że usłyszy intymne wyznania gadatliwego przywódcy amerykańskiego o swym rzekomym rosyjskim mocodawcy. Miało to służyć jako podstawa do przywołania 25. poprawki do Konstytucji USA, która pozwala usunąć prezydenta z urzędu. W spisku mieli brać udział właśnie zwolniony szef Departamentu Sprawiedliwości Jeff Sessions oraz szef Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego gen. John Kelly, obecny szef sztabu Białego Domu, którego dni na służbie mają być policzone. Intryga jednak spełza na niczym. Rosenstein najpierw zaprzeczał, że coś takiego miało się wydarzyć, a potem twierdził, że żartował.

HISTERIA

Tymczasem wielu prominentnych demokratów opanowała histeria na punkcie Trumpa. Chyba najbardziej nawiedzona jest posłanka Maxine Waters z Kalifornii. „Dorwę go, dorwę go” – powtarza. Opowiada publicznie, że nawet śni o zniszczeniu Trumpa. Nie tylko bez przerwy atakuje prezydenta, lecz także straszy jego zwolenników. Obiecuje, że gdy zorganizuje impeachment Donalda Trumpa, zaraz zajmie się też impeachmentem wiceprezydenta Mike’a Pence’a. To tylko jeden przykład wścieklej lewaczki, ale takich są całe chmary. Liberalna prasa obsesyjnie przywołuje każde potknięcie Trumpa, uwypukla każdy błąd, stale atakuje. Narracja o zdradzie też ma naturalnie swoje prominentne miejsce. I mobilizuje powszechną nienawiść do prezydenta.

Czy demokraci otworzą własne dochodzenie w Kongresie? Na pewno tak. Czy uda im się usunąć Trumpa z urzędu? Wątpliwe. Czy się uspokoją? Na pewno nie. Gdy się bowiem okaże, że nie można udowodnić, iż prezydent USA to ruski szpieg, okaże się, że jest on Hitlerem.

Chociaż liberalny „The Washington Post” niedawno zauważył, że porównywanie Trumpa do Hitlera „pomniejsza” tego drugiego. Podczas gdy wódz III Rzeszy był psychopatą, amerykański prezydent jest „tylko” oszustem. I chociaż oszust brzmi lepiej od zdrajcy, to też nie ma dla niego przebaczenia w szeregach szermierzy liberalnej tolerancji. © Wszelkie prawa zastrzeżone



STRACIŁ PRACĘ PRZESZ MIKOŁAJA

W małym amerykańskim miasteczku Montville na zajęcia z dziećmi w Cedar Hill School przyszedł nauczyciel na zastępstwo. I – jak wynika z późniejszej afery – powiedział pierwszoklasistom brutalną prawdę: Święty Mikołaj nie istnieje. Ba, powiedział nawet więcej – że nie istnieją też zębowa wróżka ani wielkanocny zajączek. To nie spodobało się nie tylko rodzicom, lecz także miejscowemu komisarzowi ds. szkół. Nauczyciel stracił pracę. Może teraz uwierzy w moc Świętego Mikołaja?

FOT. ADAM STOK

EGIPSKI STRACH KAMIZELKOWY

Dziennikarz brytyjskiej gazety „Guardian” odwiedził w Egipcie kilka sklepów budowlanych i próbował kupić żółte kamizelki odblaskowe – takie, które stały się symbolem protestu społecznego we Francji. Sprzedawcy informowali go, że takich nie mogą już sprzedawać prywatnym klientom. Podobno policja informowała sklepikarzy, że od tej pory taki towar mogą sprzedawać tylko firmom, i to po uprzednim uzyskaniu pozwolenia służb specjalnych.

SPOKOJNIE, TO NIE JEST WOJNA

Przedstawiciel rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa skomentował sprawę przejęcia ukraińskich statków wojennych w rejonie Cieśniny Kerczeńskiej pod koniec listopada (Rosjanie ostrzelali wówczas Ukraińców i trzech marynarzy zostało rannych, a 24 zatrzymanych). Aleksiej Wolski oświadczył, że zatrzymani ukraińscy marynarze nie mogą być uważani za jeńców wojennych „ponieważ Federacja Rosyjska i Ukraina nie znajdowały się w stanie konfliktu wojennego bądź wojny”.

NIEUDANY RZUT POD KOŁA

55-letni Polak, który od wielu lat przebywa we włoskim Lecco niedaleko Mediolanu, próbował wymusić odszkodowanie za potrącenie samochodem. Wybrał moment i rzucił się pod koła nadjeżdżającego samochodu. Miał jednak ogromnego pecha. Okazało się, że był to nieoznakowany radiowóz, którym do pracy jechało dwóch funkcjonariuszy policji. Zamiast zainkasować sumę od przerażonego kierowcy, został zabrany na posterunek i osadzony w areszcie.

NAJMŁODSZY NA PARKIECIE

Według dziennikarzy z Bałkanów w Bośni i Hercegowinie w meczu zawodowej koszykówki wystąpił najmłodszy na świecie zawodnik. 11-latek jako zawodnik zespołu Iskra Bugojno został wpuszczony na 37 sekund w meczu rozgrywanym z drużyną Čelik Zenica. Trener Iskra Bugojno tłumaczył, że obiecał w każdym meczu dać szansę jakiemuś juniorowi. – A dzieci nie wolno oszukiwać – zaznaczył. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Francja – arogancja

Z przerażeniem, ale i ponurą satysfakcją przyglądam się francuskiej wojnie domowej. Emmanuel Macron, doskonały produkt francuskiej hodowli elit, a więc arogant z nieuleczalnym kompleksem wyższości, poniósł spektakularną polityczną klęskę. Znowu ośmieszyły się postępowe europejskie elity, które okrzyknęły młokosa zbawcą Francji i Europy. Niestety Emmanuel w swą boskość uwierzył, nadął się i nuże pouczać inne narody, szczególnie Włochów, u których zdiagnozował galopujący faszyzm. Dzisiaj walczy z protestami w Paryżu w sposób, którego nie powstydziliby się Duce.

Rozwój wypadków układu się w farsę godną Moliera: zadufany młodzian przyszanowania innym i ogłasza „plan dla Europy”. Postępowe elity ogłaszają Macrona prorokiem i zapewniają, że to jedyna droga ku zbawieniu Unii. Niebawem jednak okazuje się, że o wiele skromniejszy zbawczy plan proroka, bo nakreślony jedynie dla Francji, po zderzeniu z rzeczywistością wyprowadził zdesperowany naród na ulice. Lud, śpiewając „Marsyliankę”, rusza na Pałac Elizejski. Kurtyna.

We Włoszech ci, którzy zachwycali się wszystkim, co Macronowi wypadło z ust, schowali się w mysiej dziurze, skąd cichutko

popiskują, że idee miał świetne, ale naród się nie poznał. Powiadają, że wszystko przez tę nieszczęsną arogancję, z którą każdy elitarny Francuz ponoć się rodzi i umiera.

A protesty to nic innego jak tylko konsekwencja katastrofalnej polityki prowadzonej przez europejskich jaśnie oświeconych. Jednym z jej skutków jest totalne rozbastwienie mieszkańców Francji, którzy żyją w kokonie opiekuńczego państwa dobrobytu, ale nie mają problemów z podpalaniem domów i samochodów, gdy tylko coś nie idzie po ich myśli. Nazywają to demokracją. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Tomasz P. Terlikowski
z Japonii

Katolicy w Polsce mogą się od nich uczyć trudnej wierności. Nigdy nie było, i nadal nie jest, łatwo być chrześcijaninem w Kraju Kwitnącej Wiśni

Maleńkie, ubogie kościółki, często o statusie katedry mogą być znakiem rozpoznawczym japońskiego katolicyzmu. Nie jest łatwo je znaleźć w wielkich metropoliach, często są ukryte, a nawet jeśli obok nich – tak jak w Tokio – znajdują się wielkie katolickie zakonne uczelnie, to same świątynie też są ubogie. Nagie ściany, nieliczne obrazy i wierni, którzy po cichutku głęboko kłaniają się Najświętszemu Sakramentowi. Nic zwalającego z nóg, nic, co by zostało – po tym pierwszym rzucie oka – w głębokiej pamięci. Nic, co można by uwiecznić na pięknych pocztówkach. Wyjątkiem jest katedra w Nagasaki, ale i ona głównie z powodu niesamowitej historii oraz podniesienia się z ruin.

Ten pierwszy rzut oka jednak myli. Kościół w Kraju Kwitnącej Wiśni, choć należy do niego zaledwie pół procent Japończyków, to duchowa potęga, od której wierności mogą się uczyć chrześcijanie w wielu krajach. I widać to po losach kolejnych pokoleń chrześcijan w tym kraju.

ZAPOMNIANI CHŁOPCY

Nie sposób nie zacząć od historii pierwszych męczenników. Nie tych najbardziej znanych, ale tych, którzy ukrywają się pod prostymi słowami „towarzysze”. Jedyni japońscy święci, których wspominamy w Polsce, to św. Paweł Miki i jego 25 towarzyszy. Jeden wymieniony z imienia i nazwiska, a reszta spowita mrokiem milczenia. A przecież, gdy pojedzie się do Nagasaki i stanie w miejscu, gdzie zostali w okrutny sposób ukrzyżowani, po torturach i długim, bo prawie 1000-kilometrowym marszu, na pomniku ich upamiętniającym widać 26 postaci. W tym trójkę nieletnich. Najmłodszy z nich, św. Ludwik Ibaraki, miał 12 lat. I już wtedy zadziwiał nie tylko innych pędzonych z nim z Kioto do Nagasaki na mękę, lecz także przeciwników chrześcijan. Dlaczego? Ponieważ, jak wspomina towarzysza owej drogi św. Franciszek Blanco, „był on tak pełen odwagi



i ducha, że zadziwiał wszystkich”. Gdy zobaczył, że brakuje dla niego krzyża, zapytał urzędnika: „A gdzie jest mój krzyż?”. Urzędnicy cesarscy, widząc jego odwagę i determinację, chcieli go uwolnić, pozwolić mu zrobić karierę, wysłać go na dwór, a prosili tylko o jedno – żeby wyrzekł się Jezusa. Chłopiec odmówił, jasno wskazując, że nie wybierze doczesnych honorów zamiast nieba. Ostatnie jego słowa przed śmiercią wskazywały na niebo. „Raju, raj” – wzdychał chłopiec. Gdy stałem przed owym pomnikiem i spoglądałem w jego twarz, uświadomiłem sobie z całą mocą, że był on w wieku mojej drugiej córki. Był dzieckiem, a myślał i działał jak dorosły.

Drugim z owej grupy japońskich dzieci, które poniosły śmierć na krzyżu w Nagasaki, był mój imiennik Tomasz Kozaki, syn Michała, który także poniósł śmierć na krzyżu. Chłopiec, gdy umierał, miał 13 lat. On także mógł uratować życie, wystarczyło, by wyrzekł się wiary. Nie zrobił tego, a dzień przed śmiercią napisał wstrząsający list do matki. „Droga mamo! Tata i ja idziemy do nieba. Tam będziemy czekać na Ciebie. Nie poddawaj się, nawet gdyby wszyscy księża zostali zabici. Ofiaruj cały swój smutek naszemu Panu i nie zapomnij, że jesteśmy na prawdziwej drodze do nieba. Nie oddawaj moich młodszych braci na naukę do rodzin pogańskich. Sama ich ucz. To są nasze ostatnie życzenia. Do zobaczenia Mamo” – pisał.

I jeszcze trzeci – o nim wiemy najmniej – to św. Antoni z Nagasaki, także 12-latek,

syn Chińczyka i Japonki (to także bardzo typowe, bo w japońskich świątyniach pełno jest ludzi z innych krajów), który odmówił wyrzeczenia się Chrystusa, a wisząc już na krzyżu, odmawiał psalm „Laudate, pueri, Dominum”.

Tych trzech chłopców, odważnych do bólu, wyznaczyło standard kolejnym pokoleniom japońskich chrześcijan. Kapłanów, braci zakonnych, a później – jak to przewidział jakby w prorockiej wizji św. Tomasz Kazaki – już tylko świeckich, którzy umierali na krzyżu, w kłatkach, które zanurzano w morzu, gotowani w gorących źródłach. Miejsce, w którym się to działo, Unzen, niewiele się zmieniło. Nadal są tam źródła, nadal unosi się zapach siarki i nadal piękny widok kontrastuje ze straszliwą męką, której doświadczyli tam inni męczennicy.

Kara śmierci za wyznawanie chrześcijaństwa obowiązywała w Japonii przez 250 lat i dopiero w drugiej połowie XIX w. mogli przybyć do tego kraju pierwsi misjonarze. Ich praca, tak jak pierwsze świątynki wzniesione w Nagasaki, miała być przeznaczona dla cudzoziemców. Japończycy nadal karani byli śmiercią. Boleśnie przekonali się o tym mieszkańcy Urakami, którzy przybyli do jednego z pierwszych misjonarzy wpuszczonych do Japonii o. Bernarda Petitjeana, żeby wyznać mu, że są potomkami ukrywających się od dwóch wieków chrześcijan.

Zakonnik, którego statua stoi obecnie przed najstarszym japońskim kościołem w Oura, po odprawieniu mszy świętej



Msza w katedrze
w Nagasaki

FOT. KYODO NEWS/GETTY IMAGES

zobaczył grupkę Japończyków. Wyszedł do nich i wtedy starsza kobieta zapytała go, czy wierzy w Matkę Bożą, czy ma żonę i czy jest w jedności z Białym Ojcem. Gdy odpowiedział na te pytania tak, jak trzeba (a dokładnie zgodnie z tym, co przekazywali sobie przez wieki „ukryci chrześcijanie”, jak znak rozpoznawczy prawdziwej wiary), kobieta powiedziała: „Ty i my jesteśmy tego samego serca”. I zadała fundamentalne dla niej pytanie: „Gdzie jest figura Matki Bożej?”. W krótkim czasie z podziemia wyszło ponad 60 tys. chrześcijan.

Happy end? Nic bardziej błędnego. Gdy tylko pierwsi chrześcijanie ujawnili się, buddyjskie świątynie, w których przymusowo zarejestrowani byli potomkowie chrześcijan, natychmiast zgłosiły sprawę do władz miejskich Nagasaki. A te zareagowały niezwykle mocno. Już 4 czerwca 1867 r. aresztowano 67 mieszkańców Urakami i próbowano torturami wymusić na nich odrzucenie Chrystusa. Protesty zachodnich konsulatów na moment przerwały prześladowania. Jednak tylko na moment. Krótko później Sawa Nobuyoshi, mianowany przez prozachodni już rząd epoki Meiji, rozpoczął przygotowania do wygnania całej chrześcijańskiej wioski. Ostatecznie wypędzono z miejsca pochodzenia 3414 chrześcijańskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Około 680 z nich zostało zamordowanych lub zmarło w wyniku prześladowań na wygnaniu. Możliwość powrotu do swojej rodzinnej miejscowości uzyskali dopiero w 1873 r.

W tym samym roku zdjęte zostały oficjalnie dekrety prześladowujące chrześcijan, ale wcale nie oznaczało to końca problemów. Nowe, modernizujące kraj władze czyniły to w imię motywowanego szintoizmem kultu cesarza, a to oznaczało, że były zasadniczo wrogie chrześcijaństwu. Mimo to, za sprawą nie tylko misjonarzy katolickich, lecz także protestanckich chrześcijaństwo zaczęło zdobywać nowych wyznawców, co ciekawe – głównie wśród tych samurajów, którzy w czasie rewolucji Meiji (czyli przejścia władzy przez zwolenników modernizacji) opowiedzieli się po stronie Tokugawów (czyli szogunów przez ponad 200 lat rządzących Japonią). Ich drogi awansu były za nowej władzy zablokowane, więc często decydowali się oni na studia na Zachodzie i w ich trakcie przyjmowali chrześcijaństwo.

Taka była historia Uchimury, który przyjął chrzest podczas studiów w Stanach Zjednoczonych, a po powrocie do rodzinnego kraju odmówił – choć miał jako nauczyciel Pierwszego Tokijskiego Liceum taki obowiązek – pokłonenia się przed kopią „Reskryptu cesarskiego o wychowaniu”, bo uważał to za akt kultu boskiego, czyli bałwochwalstwa. W efekcie zmuszono go do odejścia ze szkoły i z pracy jako korepetytora. Powodem było uznanie przez większość opinii publicznej, że nie da się pogodzić japońskości i chrześcijaństwa. Sam Uchimura był innego zdania i głosił miłość do „dwóch J”: czyli Japonii i Jezusa. „Nie wiem, kogo bardziej kocham: Jezusa czy Japonię. Moi rodacy nienawidzą mnie z powodu Jezusa, czyli jako yaso (chrześcijanina), a zagraniczni misjonarze nie lubią mnie z powodu Japonii jako ograniczonego nacjonalisty. To bez znaczenia – mogę stracić wszystkich przyjaciół, ale nie mogę stracić Japonii i Jezusa” – pisał Uchimura.

JAPOŃSKIE BAGNO?

Inna rzecz, że jego wizja chrześcijaństwa była dość odległa od tego, co można uznać za ortodoksję. Uchimura chciał zerwać z wszelkimi instytucjami i zbudować chrześcijaństwo bez Kościoła, które w całości otwarte byłoby na japońskość. Czy jednak jest to w ogóle możliwe? Jeden z najlepiej ostatnio znanych japońskich chrześcijan, pisarz Shūsaku Endō, w zekranizowanym przez Martina Scorsese „Milczeniu” przekonywał, że nie. Japońskość ma być swoistym bagnem, które wciąga idee zachodnie, wciąga chrześcijaństwo i niszczy je, przetwarza w coś, co jest w istocie czymś innym, co niewiele ma

wspólnego z pierwowzorem. Sam Endō jest zresztą smutnym przykładem tego, jak trudno jest być chrześcijaninem w Japonii.

Został nim, gdy jego matka zdecydowała się przyjąć katolicyzm. W latach 30. XX w., w coraz silniej zmilitaryzowanej i oddanej kultowi cesarza Japonii, było to potężne wyzwanie. Endō nie był akceptowany przez swoich rówieśników, odrzucano go jako zdraycę. Gdy jednak wyjechał do ukochanej Francji, także nie był jako Azjata akceptowany, a jego chrześcijaństwo było kwestionowane. Nie odnalazł się zatem w tradycyjnym chrześcijaństwie i rozpoczęła próbę tworzenia własnej, japońskiej jego wersji, w której Bóg ojciec zostaje zastąpiony matczynym obliczem Boga objawionym w Jezusie, a Kościół ponadkonfesyjną rzeczywistością.

ZAMKNIĘCI NA JEZUSA

Japońskie parafie liczą po kilkanaście, kilkadziesiąt osób, ludzie, których się tam spotyka, są zazwyczaj w starszym wieku. – Wie pan, u nas w tym roku było 15 pogrzebów, trzy chrzty i zero małżeństw – opowiedział mi sympatyczny filipiński werbista, na stałe pracujący w Akicie. – Mszy mamy pięć w niedzielę. Na pierwszej siedem osób, na drugiej 15, na trzeciej 17, na czwartej pięć i na piątek dwadzieścia kilka, ale to msza filipińska – dodaje. Jego oczy śmieją się, ale gdy zaczyna opowiadać o zamierającej parafii, blask w nich gaśnie. Nie inaczej o codzienności chrześcijan w Japonii opowiada salezjanin ks. Tadeusz Soboń, który od kilkunastu lat mieszka i pracuje w Kraju Kwitnącej Wiśni. On także opowiada o tym, że bardzo trudno nawrócić jest Japończyka, że wielu z nich chętnie rozmawia o chrześcijaństwie, a nawet czyta Ewangelię, ale gdy ma dojść do chrztu, wówczas uciekają od takiej decyzji. – Dlatego wielu misjonarzy w Japonii nie ochrzciło nikogo, choć pracuje tu od wielu lat – zaznacza zakonnik.

A te obserwacje potwierdzają sami Japończycy, którzy – owszem – chętnie o chrześcijaństwie rozmawiają, ale gdy pytać ich o konwersję, odpowiadają ze śmiechem, jak jeden z moich rozmówców w Tokio. – A po co miałbym to robić? Żeby co tydzień być w kościele? Jako szintoista jestem tam, kiedy chcę, a jako katolik miałbym masę obowiązkową. Po co mi to? – mówił. I taka postawa jest naprawdę częsta w Japonii. Dlatego mimo pięknej historii, świadectwa heroicznej wierności Bogu i Kościołowi chrześcijaństwo w tym kraju powoli umiera.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdyby ktoś miał ambicję stworzenia gabinetu strachów dla współczesnych Rosjan, mógłby w placówce takiej umieścić na głównych miejscach Napoleona Bonaparte, Myszkę Miki i patriarchę Konstantynopola Bartłomieja I. Jeśli bowiem przyjrzeć się najnowszej fali krytyki wszystkiego, co zachodnie, która coraz szerzej rozlewa się po rosyjskich mediach, to właśnie te postaci najsilniej rosyjskiemu duchowi zagrażają (patriarcha Wschodu niedawno zdradził i przeszedł na stronę Zachodu, o czym za chwilę). Stan uczuć Rosji wobec zagranicy zaczyna niebezpiecznie przypominać emocje znane dotąd bodaj tylko w Korei Północnej.

– Dlaczego oni wszyscy nas tak nienawidzą? – pyta retorycznie Rosjanin. I dopisuje do listy wrogów swojej nacji kolejne imiona.

ZDRAJCA PRAWOSŁAWIA

Na początku spróbujmy obejrzeć, co w rosyjskim dyskursie znaczy Zachód. Jest zatem prawdziwa Europa, do której Rosja nie tylko należy, lecz także ją – według poglądów ostrożnych – współtworzy, a według tych odważniejszych po prostu stworzyła jako spadkobierczyni Rzymu i zostawiła innym narodom, a one ją zniszczyły. I jest też efekt setek lat niszczycielskiej działalności Zachodu: współczesna Europa schodząca na manowce, żydobanderowska gejropa w spisku z ukrofaszystami. Do niedawna za twierdząc tę prawdziwej mogło uchodzić zakorzenione w tradycji bizantyjskiej prawosławie.

Jednak od kiedy we wrześniu ekumeniczny patriarchat Konstantynopola rozpoczął procedurę przyznania autokefalii Cerkwi ukraińskiej (czyli wysuniętemu przyczółkowi Zachodu), nic została zerwana, a sam patriarcha Bartłomiej I zyskał sobie epitet – w najlepszym wypadku – niemądrego tetryka i niszczyciela Kościoła. Nie masz już Europy nawet w Istambule! Ze swoją wizją kontynentu Rosja pozostała sama.

Jednak sędziwy patriarcha rezydujący w Turcji, strojny infulą z ducha i złotogłowiu, nie jest najbardziej egzotyczną postacią na liście nowych wrogów Rosji. Od dziesięcioleci na noworoczny bal z Dziadkiem Mrozem (na razie jeszcze ciągle należącym do grona przyjaciół Rosji) dzieci z przedszkoli w Briańsku przychodziły w kostiumach bohaterów popularnych bajek. W tym roku już zawczasu, miesiąc przed balem, przyszłe kostiumy poddano prewencyjnej cenzurze patriotycznej.



Gabriel Michalik

Od namacalnego Zachodu groźniejszy może być tylko ten bezcielesny Zachód, który zapuścił swe jadowite korzenie w sercach Rosjan. Trwa więc sercepielenie

W okopach

– Dzieci powinny rosnać w atmosferze zorientowanej wokół wartości narodowych – podkreśla Witalij Milonow, prominentny deputowany do Dumy, sytuujący się w masowej wyobraźni jako młot na zachodnią popkulturę. Atmosferę zorientowaną wokół wspomnianych wartości stworzy w przedszkolach okólnik zakazujący rodzicom przebierania dzieci na bal noworoczny w kostiumy Spidermana, Supermana, Batmana i Myszkę Miki. W ślad za decyzjami briańskich pedagogów posypały się okólniki w innych miastach Federacji.

KANT NA SOŁOWKI!

Kilka pięter nad programem wychowawczym prowincjonalnych przedszkoli znajduje się oferta edukacyjna wyższych uczelni, a wśród nich także instytucji nie-

odpowiedzialnych, takich jak Uniwersytet im. Immanuela Kanta w Kaliningradzie, krzewiących już samą osobą patrona poglądy co najmniej ryzykowne.

„Studentci!

Dość już zdrady Ojczyzny! Uczycie się w murach noszących imię wroga. Odżegnajcie się krzyżem prawosławnym od tego wraźnego imienia, od Niemca, którego naród przyniósł nam tyle nieszczęść.

Kant zdradził Ruską Ziemię, która go przyjęła. I wy odrzućcie to nieczyste imię, żądajcie od przełożonych, aby i oni imię to odrzucili!

Zrywajcie szyldy i tabliczki, wymażcie to imię ze swoich dokumentów.

Pokażcie, że jesteście Ludźmi Rosyjskimi, a nie wyrodkami, które zapomniały o swojej Ojczyźnie.



Zmarły przeszło 200 lat temu Immanuel Kant został uznany w Rosji za wroga. Na zdjęciu: oblany farbą pomnik filozofa w Kaliningradzie

FOT. VITALY NEVAR/TASS/GETTY IMAGES

Świętej Rusi

Hańba zdrajcom! Hańba Kantowi! Chwała Rusi!”

Oto treść ulotek, które w setkach kopii zasypały przed kilkunastoma dniami kaliningradzką uczelnię.

W obliczu tej kampanii miejscowy student o nazwisku Szypilow, powołując się na pogląd o gwiazdach i prawie moralnym, starał się z pomocą sieci społecznościowych zorganizować pikietę w obronie Kanta. Skończyło się to policyjnym przesłuchaniem pod zarzutem ekstremizmu, implicite włączającym zmarłego przed przeszło 200 laty filozofa z Królewca do grona takich idoli ekstremizmu jak Osama bin Laden. Debata nad odebraniem Kantowi przywileju patronowania rosyjskiej uczelni przeniosła się do moskiewskich mediów. W tych niszo-

wych, opozycyjnych podawano, że usunięcie imienia Kanta to hańba porównywalna tylko z wysadzeniem w powietrze na osobisty rozkaz Breżniewa jednego ocalałego z brytyjskich nalotów zabytku miasta, krzyżackiego zamku. Oficjalne media zakrzyzczały ten głos poglądem o doniosłości właśnie zburzenia zamku jako aktu starcia z powierzchnią ruską ziemi śladu teutońskiej pseudokultury. Wypędzenie Kanta powinno się stać przypieczętowaniem tamtego świętego dzieła zniszczenia.

Dyskusja o zmianie patrona uczelni trwa, ale rezultat wydaje się przesądzony. Kant ma przeciwko sobie prawdziwych patriotów, którzy namnożyli się w Kaliningradzie, od kiedy zawieszono mały ruch przygraniczny z Polską i tym

samym pozbawiono mieszkańców miasta okazji do codziennego przekonywania się, że świat wygląda nieco inaczej, niż to pokazuje moskiewska telewizja. Przeciwna Kantowi jest też część samej społeczności akademickiej uczelni. Zostawić Kanta w spokoju chcą tylko jakieś podejrzané figury dysydentów-humanistów, siedzących – jak podała prasa – w kieszeni Niemców. Od starszaka Immanuela dystansują się nawet komuniści, którzy niegdyś widzieli w nim prekursora myśli Hegla, a w konsekwencji niemalże prekursora marksizmu.

W tle sporu uszkodzono pomnik filozofa przed uczelnią i nagrobek, w którym, któż wie, czy nie przewraca się sam zainteresowany.

Nowego sensu nabiera w tym kontekście słynny dialog między poetą Iwanem Bezdolnym a Szatanem.

– Ja bym tego Kanta wysłał na Sołowki!

– Zesłanie na Sołowki zupełnie nie wchodzi w grę. Kant już od stu z górą lat przebywa w miejscowościach znacznie bardziej odległych niż Sołowki i wydobyć go stamtąd jest zupełnie niemożliwe.

Jak się okazuje, w obecnej Rosji i taka sztuczka niemożliwa nie jest.

PIĘCSET LAT RUSOFOBII

Pomiędzy Kantem a Myszką Miki znalazło się na rosyjskiej liście wrogów miejsce dla cesarza Francuzów. Szerokim echem od Smoleńska do Władywostoku odbijają się wystąpienia pisarza i publicysty Nikołaja Starikowa, wnoszące do publicznego dyskursu problem nierozliczonych po dziś dzień reparacji wojennych za wojny napoleońskie.

„Jeśli wziąć pod uwagę, że armia Napoleona składała się z przedstawicieli wielu narodów zachodniej Europy, Rosja mogłaby z łatwością skierować roszczenia nie tylko wobec Francji, lecz także wobec innych państw Unii Europejskiej. Dlaczego to my mamy ciągle się usprawiedliwiać?! Potrzebna jest stanowczość!” – podkreśla Starikow.

Kształtowaniu tej postawy mają służyć powołany pod przywództwem pisarza ruch Patrioci Wielkiej Ojczyzny, a także najnowsza książka Starikowa, nosząca znamienity tytuł „Nienawiść. Kroniki rusofobii”. Przedstawiono w niej w nowym świetle dzieje Europy ostatnich pięciu wieków, poczynając od szkód wyrządzonych przez Polaków i Litwinów podczas „stuletniej okupacji Smoleńska”,

„ludobójczych planów Margaret Thatcher”, a kończąc na współczesnej antyrosyjskiej kampanii Hollywood, która Rosjan ukazuje w filmach „krzywdząco, jako osoby nietrzeźwe”.

W oblężonej twierdzy jest mieszkań wiele. Jeśli ktoś już wyrósł z przedszkola, na uniwersytet (na razie) imienia Kanta się nie dostał, to może np. skorzystać z oferty fundacji Wspólnota Bezprizornych, sprawującej pieczę nad młodzieżą wykluczoną społecznie. Fundacja organizuje w Jekaterynburgu kurs strzelecki. Celować należy w tarczę, na której umieszczono fotografię amerykań-

sunku do wieku – w grupie od 18. do 24. roku życia niemal co trzeci Rosjanin jest zdecydowany na emigrację czy – jak się coraz częściej mówi – na ewakuację.

Fakt, że wśród tych najbardziej zeterminowanych do pozostawienia Rosji i Putina raz na zawsze za sobą jest tak wiele osób młodych, sprawia, że zachodzi nieprzerwany drenaż elektoratu antyputinowskiego. Pokolenie ówczesnych 20- i 30-latków, którzy protestowali w 2012 r. przeciwko inauguracji kolejnej kadencji prezydenckiej przez Putina, dziś już w znacznej części w Rosji nie mieszka. Rosjanie emigrują z obawy

tywni bohaterowie „Kingsajzu” Juliusza Machulskiego odbębiają roboczo-godziny, chwając Putina, a życie jako takie prowadzą z dala od bankrutującej służby zdrowia, smogu i sklepów zaopatrzonych w „antysankcyjne” imitacje sera czy owoców. Po ujawnieniu włoskiej daczki jednego z najważniejszych telewizyjnych publicystów, Władimira Sołowiowa, i po pokazaniu na YouTube, paryskich posiadłości jego kolegi Arama Gabrielanowa, Nawalny wziął na cel samego Bryliewa, znanego nie tylko za sprawą kierowniczej funkcji w kanale, lecz także jako celebryta i współtwórca cotygodniowego sobotniego show o wielkości Putina i zgniliźnie Europy. I cóż odkrył Nawalny? Ano to, że Bryliew zaopatrzył się nie tylko w apartament w Londynie, lecz także w paszport poddanego Jej Królewskiej Mości, co – w ocenie Nawalnego – dowodzi hipokryzji propagandysty, któremu z ust nie schodzą pochwały Putina i przygany pod adresem całego Zachodu, i stanowi naruszenie prawa. Bryliew zasiada bowiem w organach państwowych, choć przepisy nie pozwalają na to osobom posiadającym obce obywatelstwo.

Kremlowi przetrawienie tego ostatniego skandalu zajęło nieco czasu. Nawalny ujawnił dokumenty poświadczające brytyjskie obywatelstwo Bryliewa 22 listopada, a dopiero 3 grudnia rzecznik prasowy Kremla, Dmitrij Pieskow, wygłosił oświadczenie prezentujące właściwy sposób myślenia o incydencie: – Czy Bryliew złamał prawo, czy nie złamał, to sprawa odpowiednich ministrów, ale przykład Bryliewa pokazuje nam wszystkim jedno. Można być obywatelem brytyjskim, będąc przy tym patriotą Rosji.

* * *

Na antypodach tych skandali i prób wyrugowania śladów Zachodu z Rosji pozostaje opinia jednego z intelektualnych liderów rosyjskiej diaspory, pisarza i malarza Maxima Kantora: – Europa rzeczywiście gnije. A gnije, bo od początku lat 90. wpuściła miliony Rosjan – niewolników i ich panów. Zamiast zarazić Rosję ideałami wolności, Europa połaszczyła się na pieniądze oligarchów.

Czy z tymi słowami nie współbrzmia ostatnie zdania „Idioty” Fiodora Dostojewskiego, włożone przez pisarza w usta Lizawiey Prokofiewny Jępanczyny: – Wszystko to razem wzięte, ta cała wasza Europa, to tylko bzdura. I my wszyscy za granicą – też bzdura. © Wszelkie prawa zastrzeżone

W grupie od 18. do 24. roku życia niemal co trzeci Rosjanin jest zdecydowany na emigrację czy – jak się coraz częściej mówi – na ewakuację

skiego generała i analityka wojskowego Robert H. Scalesa, opatrzoną inskrypcją: „Wróg narodu rosyjskiego”. Szef Wspólnoty, Aszurbek Manasow, nie kryje zalet rekwizytu: – Chcemy, by dzieci wiedziały, że Rosja ma nie tylko przyjaciół, lecz także bardzo wielu wrogów. Trzeba być gotowym, aby jej bronić.

KINGSAJZ DLA KAŻDEGO

Badania przeprowadzone pod koniec listopada przez cieszącą się międzynarodową renomą Centrum Lewada wykazały, że aż 42 proc. Rosjan uważa, iż sprawy w ich kraju idą w złym kierunku, przeciwnego zdania jest 47 proc., a zarazem z polityką prezydenta Putina nie zgadza się jedynie co trzeci ankietowany (dla porównania: aż dwie trzecie krytycznie oceniają działalność premiera Miedwiediewa). Zawarty jest w wynikach tych badań swego rodzaju patriotyczny paradoks. Wydawałoby się bowiem, że za sznurki państwowego życia pociąga Putin. Jak zatem z tym założeniem pogodzić to, że dwie trzecie Rosjan z polityką Putina się zgadza, a tylko mniej niż połowa jest z niej zadowolona? W ślad za spadającym zadowoleniem z sytuacji w kraju, a może w ślad za poparciem dla polityki Putina, rośnie z roku na rok margines tych, którzy obu zjawiskom woleliby przyglądać się z szerszej perspektywy. Jak wykazały badania moskiewskiego ośrodka Romir, opuścić Rosję na stałe chce co ósmy dorosły obywatel. Odsetek rośnie odwrotnie proporcjonalnie w sto-

przed represjami (czasem – w wyniku represji, wprost zza bramy więzienia, w którym odbywali wyrok za udział w akcjach antyreżimowych) albo z tęsknoty za lepszym życiem i za przejrzystymi, uczciwymi relacjami państwa z obywatelem. Inni z kolei emigrują, bo mają za co, mają dokąd i nie chce im się dłużej patrzeć na obmierzły motłoch, coraz gorzej ubrany, źle odżywiony i brzydko pachnący. Są też tacy, którzy emigrują połowicznie, stosując się do mądrości zawartej w rosyjskim przysłowiu, że nie należy trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku. W Moskwie otóż nabijają sobie kabzy, zajmując wysokie urzędy na prezydenckim dworze i w jego okolicach, a na Zachodzie cichaczem przygotowują już sobie wszystko, co może posłużyć jako zapasowe lądowisko na wypadek, gdyby wielbionemu przez nich prezydentowi powinęła się noga.

Reżim uważa, że ucieczka szczurów z jakże dzielnie płynącego statku może sprzyjać krzewieniu w narodzie postaw defetystycznych, toteż raz po raz grozi swoim sługom karami już za samo posiadanie za granicą nieruchomości czy konta. Są jednak także tutaj równi i równiejsi, co pokazał niedawny przypadek wicedyrektora kanału telewizyjnego Rossiya, Sergieja Bryliewa.

Otóż zajmujący się przede wszystkim obywatelskimi śledztwami w sprawach korupcji Aleksiej Nawalny dorobił się dodatkowej specjalizacji: demaskuje piewców reżimu, którzy niczym nega-



Klucz do bezpieczeństwa energetycznego

Zamierzamy zainwestować w infrastrukturę ponad 2,6 mld zł. – mówi Igor Wasilewski, prezes PERN

GRZEGORZ SADOWSKI: Mówi się wiele o dywersyfikacji na rynku gazu, o budowie gazociągu Baltic Pipe. Tymczasem na rynku ropy też zaszło sporo zmian.

IGOR WASILEWSKI: Kluczem do bezpieczeństwa energetycznego w obszarze naftowym, ale i gazowym jest dywersyfikacja dostaw. Leży ona w strategicznym interesie Polski, bo oznacza niezależność i bezpieczeństwo energetyczne kraju.

I tu rzeczywiście mamy wiele dobrych wiadomości. Polski rynek otwiera się na dostawy z różnych kierunków. W 2017 r. pojawiła się w Polsce ropa z USA. W ubiegłym roku dostawy te stanowiły ok. 5 proc. surowca sprowadzonego drogą morską innego niż rosyjski. Na koniec października 2018 r. wskaźnik ten był prawie trzykrotnie wyższy.

Polskie rafinerie przedstawiają się na przerób innych niż rosyjski gatunków ropy. Dziś polskie rafinerie przerabiają

surowiec nie tylko z Rosji, lecz także z Morza Północnego, Arabii Saudyjskiej czy USA. Dla PERN oznacza to jedno – konieczność zapewnienia elastycznego transportu ropy do rafinerii i zachowanie jej pełnej jakości. Dlatego inwestujemy w infrastrukturę.

Aby móc efektywnie odbierać ropę z tankowców, potrzebny jest port mający odpowiednią przepustowość. Naftoport spełnia te warunki?

Naftoport jest jedynym w Polsce morskim terminalem przeładunku ropy naftowej. Jest przy tym jednym z największych naftowych terminali przeładunkowych na Bałtyku. Posiada 66,67 proc. udziałów w Naftoporcie, który dziś zaopatruje w ropę rafinerie.

Za pośrednictwem Naftoportu realizowana jest też większość eksportu produktów naftowych z Polski. I odpowiadając na to pytanie, Naftoport umożliwia przeładunek ponad 36 mln ton ropy oraz 4 mln ton produktów naftowych w skali roku, zapewniając możliwość pokrycia potrzeb rafinerii podłączonych do systemu rurociągów „Przyjaźń”. Jeśli spojrzymy na możliwości produkcyjne polskich rafinerii, to

jest tu jeszcze duży margines na ewentualny wzrost zapotrzebowania.

Wąskim gardłem jest jednak rurociąg z Gdańska do Płocka.

Wprowadzona w listopadzie 2017 r. „Polityka Rządu RP dla infrastruktury logistycznej w sektorze naftowym” poza zwiększaniem pojemności magazynowych, stawia przed PERN m.in. zadanie wybudowania drugiej nitki ropociągu pomorskiego. Jest on niezbędny z uwagi właśnie na oczekiwania naszych klientów, sprowadzających coraz więcej ropy drogą morską. Dlatego trwają prace także nad rozbudową tego odcinka.

Poza rozbudową mocy przesyłowych będziemy rozbudowywali także swoją bazę magazynową – zarówno w obszarze ropy naftowej, jak i paliw. W związku z tym wybudujemy siedem nowych zbiorników na ropę w gdańskim Terminale Naftowym oraz w Bazie w Gdańsku. W sumie pojemność magazynowa na ropę naftową zwiększy się o prawie 600 tys. m sześć. Budowa nowych zbiorników na ropę naftową w Bazie Gdańsk już się rozpoczęła. Rozpoczął się także przetarg na II etap rozbudowy Terminała Naftowego w Gdańsku.

A docelowo ile będzie nowych przestrzeni magazynowych?

W segmencie paliwowym PERN planuje wybudować nowe zbiorniki o łącznej pojemności 700 tys. m sześć. (I i II etap 350 tys. m sześć.; III etap 350 tys. m sześć.). III etap zależeć będzie od wzrostu konsumpcji w kraju i zapotrzebowania na magazynowanie oraz obrót baz paliw. Wybudujemy także rurociąg paliwowy z bazy PERN w Boronowie do bazy PKN Orlen w Trzebini (długość ok. 100 km) oraz zwiększamy przepustowość rurociągów paliwowych dla zaopatrzenia aglomeracji warszawskiej.

Obecnie, w ramach I etapu rozbudowy pojemności paliwowych, w Bazie Paliw nr 1 w Koluszkach kończymy inwestycję, która obejmuje budowę dwóch zbiorników magazynowych o pojemności 32 tys. m sześć. każdy wraz z infrastrukturą towarzyszącą. W grudniu 2018 r. oba zbiorniki trafią do eksploatacji. Analogiczny projekt jest realizowany w Bazie Paliw nr 2 w Nowej Wsi Wielkiej. Ma się zakończyć do połowy 2019 r.

Wszystkie nasze inwestycje do 2022 r. wyniosą ok. 2,6 mld zł.

rozmawiał Grzegorz Sadowski

To była największa katastrofa lotnicza w historii Wielkiej Brytanii. Mimo to 30 lat później nadal nie wiemy, kto jest odpowiedzialny za śmierć ludzi, którzy zginęli nad małym szkockim miasteczkiem. I to zakrawa na skandal – tak na łamach dziennika „Daily Mail” pisał ostatnio Douglas Boyd. W swej opublikowanej jesienią książce, pod lakonicznym tytułem „Lockerbie: The Truth” (Prawda), szczegółowo rekonstruuje wydarzenia w wersji, która z oficjalną nie ma nic wspólnego.

Nie są to wcale zaskakujące odkrycia, nic, o czym świat by wcześniej nie słyszał. Wprost przeciwnie. Wszystkie elementy układanki: postacie, wydarzenia, motywy są doskonale znane, bo przewijały się w śledztwie i w informacjach, które od dawna przedstawiały się do wiadomości publicznej. Autor jedynie zebrał je i opisał, by – zgodnie z tytułem artykułu w „Daily Mail” – pokazać, „jak sprzedano światu monstrualne kłamstwo o Lockerbie”.

Tak samo jak Boyd myśli i mówi wielu, zwłaszcza ci, którzy na własną rękę próbują dociec prawdy. – To chyba ostatni moment, by przedrzeć się przez całe to bagno – uważa Iain McKie, były superintendent szkockiej policji, który w katastrofie stracił córkę. McKie działa w kilkudziesięcioosobowej grupie Justice for Megrahi (Sprawiedliwość dla Megrahi), do której należy część rodzin ofiar, a także znane osobistości, w tym Desmond Tutu, laureat Pokojowej Nagrody Nobla. Z odtajnionych parę dni temu brytyjskich dokumentów (nie najważniejszych, bo te spoczywają głęboko w archiwach) wynika, że najbardziej aktywni członkowie grupy byli na polecenie władz obserwowani i podsłuchiwani. Czy nie dlatego, że chciano wiedzieć, jak daleko zaszli na drodze do prawdy?

W MAGNETOFONIE

Abdelbaset al-Megrahi, szef ds. bezpieczeństwa w Libyan Arab Airlines, to jedyny człowiek skazany za zamach nad Lockerbie. Czy była to pomyłka sądowa? Członkowie JFM uważają, że tak. Zawiązali komitet, by bronić niewinnego, ich zdaniem, człowieka. Chodzi jednak o coś więcej: skazanie Megrahi, pozornie zamykające sprawę, oznacza, że prawdziwi sprawcy uniknęli kary. Trzeba więc doprowadzić ich przed sąd, a przynajmniej sprawić, że świat dowie się, kim byli. Tego wymaga szacunek dla ofiar.



Teresa Stylińska

21 grudnia 1988 r. w boeingu 747 linii Pan Am, lot nr 103, wybuchła bomba. Maszyna spadła na Lockerbie. Zginęło 270 osób, w tym 11 mieszkańców miasteczka. Do dziś za zamach skazano tylko jednego człowieka



Przypomnijmy: 21 grudnia 1988 r. w boeingu 747 amerykańskich linii Pan Am, lot nr 103 z Londynu do Nowego Jorku, wybuchła bomba. Maszyna spadła na Lockerbie w południowej Szkocji. Zginęło 270 osób, 11 mieszkańców miasteczka. Skrupulatne, mimo trudności (samolot został rozerwany na wysokości prawie 10 tys. metrów, dlatego szczątki były rozrzucone na obszarze ponad 2000 km kw.), dochodzenie wykazało, że bomba – 450 gramów semtexu – znajdowała się w brązowej walizce marki Samsonite, w radiomagnetofonie Toshiba, zawiniętym w ubranie kupione, jak stwierdzono, na Malcie. Walizka, według śledczych, odbyła długą drogę, załadowana na Malcie i dwukrotnie przepakowana, we Frankfurcie i w Londynie.

Trzy lata później o zorganizowanie zamachu oskarżono Libię. Ta ociągała się wprawdzie, ale ostatecznie w 1999 r. dwaj agenci libijskiego wywiadu zostali wydani Wielkiej Brytanii. Proces odbył się w Holandii, na neutralnym gruncie, w dawnej amerykańskiej bazie wojskowej Camp Zeist, ale według prawa szkockiego. Ta

kompromisowa formuła, dzięki której Libia ustąpiła, była dziełem Roberta Blacka, profesora prawa z Edynburga. Megrahi został skazany na 27 lat więzienia, jego towarzysz Al-Amin Chalifa Fhimah – uniewinniony. Apelację Megrahi odrzucono.

W 2007 r., za zgodą szkockiej komisji, która dopatrzyła się uchybień w postępowaniu sądowym, Megrahi złożył kolejne odwołanie. Zanim jednak sprawa trafiła do sądu, z uwagi na stan zdrowia (cierpiał na raka prostaty) otrzymał zgodę na wyjście z więzienia i, co więcej, powrót do Trypolisu. Zmarł w maju 2012 r. W międzyczasie Libia przyznała się do zorganizowania zamachu i wypłaciła rodzinom ofiar ponad 2 mld dol. odszkodowania.

WROGOWIE AMERYKI

Skoro Libia płk. Kaddafiego uznała swą winę, czy można tu cokolwiek kwestionować? A jednak od początku pojawiały się wątpliwości. W trafność wyroku wątpi choćby Robert Black, który dziś wspiera działania grupy JFM. Jest przekonany o niewinności Megrahi i żałuje, że namawiał władze libijskie do



FOTOM STODARY/CETTY IMAGES

Agency wydała oświadczenie, iż mózgiem całej operacji był Ali Akbar Mohtasami, były minister spraw wewnętrznych Iranu. Wykonanie zlecono Ahmadowi Dżibrilowi, przywódcy Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny – Dowództwa Generalnego – pisze Boyd. Dżibril podobno sam zaoferował Teheranowi swe usługi, za które jego organizacja miała otrzymać 7,7 mln funtów. O udziale Iranu w specjalnym raporcie mówiła także Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

DWA OSTRZEŻENIA

Front miał w swych szeregach doświadczonego specjalistę od konstruowania bomb, Jordańczyka Marwana Khreesata, i to jemu Dżibril powierzył zadanie. Khreesat udał się w tym celu do Niemiec Zachodnich, gdzie odnowił kontakty z tzw. uśpionymi komórkami LFWP-DG. Z zadania wywiązał się z nawiązką. Gdy późną jesienią niemieckie służby przeszukały kryjówki organizacji, którą przez cały czas miały pod obserwacją, znalazły pięć radiomagnetofonów Toshiba wypełnionych materiałem wybuchowym i wyposażonych w zapalniki reagujące na zmianę ciśnienia. Prawdopodobnie do eksplozji miało dojść, gdy samolot znajdzie się nad morzem. To utrudniłoby czy wręcz uniemożliwiło wykrycie sprawców.

Od służb niemieckich właśnie pochodzi jedno z ostrzeżeń, jakie w dniach poprzedzających Lockerbie otrzymali Amerykanie. Drugie otrzymała ambasada USA w Helsinkach, poinformowana telefonicznie, że w ciągu dwóch tygodni amerykański samolot stanie się celem zamachu. Potraktowano je poważnie, przekazując wiadomość placówkom USA w Europie, w następstwie czego wielu dyplomatów anulowało przedsięwzięte rezerwacje lotnicze. Nie na tyle poważnie jednak, by zaostrzyć kontrolę na wszystkich etapach przygotowań do lotu.

Walizka z bombą – pisze Douglas Boyd, i nie jest to opinia odosobniona – trafiła do samolotu nie na Malcie, lecz w Londynie, przemycona do hali bagażowej linii Pan Am. Tak we wspomnianym raporcie podała OWP i to samo zeznał jeden z pracowników obsługi bagażowej z Heathrow, co jednak sąd w Camp Zeist całkowicie zlekceważył. Takich wątpliwych punktów, dotyczących między innymi zakupu ubrań w maltańskim sklepie, jest o wiele więcej.

W relacjach dotyczących zamachu pojawiają się jeszcze dwie ważne osoby, które zresztą wzajemnie się wykluczają:

Abu Talb i Abu Elias. Pierwszy, Egipcjanin korzystający z azylu w Szwecji, uczestniczył podobno w przygotowaniach na Malcie. Drugi miał włamać się do hali Pan Am w Londynie i tam podrzucić walizkę. Boyd twierdzi, że Abu Elias – postać tajemnicza, jak pisze – mieszka dziś w Waszyngtonie pod fałszywym nazwiskiem Basel Bushnaq, pracuje w oświacie i korzysta z programu ochrony świadków. Dlaczego?

SPRAWIEDLIWOŚĆ NIE UMIERA

Zagadkę Lockerbie rozwikłać jest tym trudniej, że składa się na nią niewiarygodnie wprost zagmatwany splot powiązań, motywów i interesów. Jeżeli Libia, wbrew faktom, przyznała się do dokonania zamachu i poniosła finansowe tego konsekwencje, to stało się tak dlatego, że dzięki temu uzyskała zniesienie sankcji i wyszła z izolacji. Jeżeli USA i Wielka Brytania świadomie przystały na obarczenie jej winą, to dlatego, że u progu lat 90., w okresie konfliktu z Irakiem, nie mogły pozwolić sobie na oskarżenie ani Syrii (na której także ciążyły pewne podejrzenia), ani Iranu. Ich pomoc i współpraca były po prostu potrzebne. W dodatku w rękach Hezbollahu, któremu oba te kraje patronują, znajdowali się porwani w Libanie Brytyjczycy i Amerykanie. Oskarżenie Iranu i Syrii oznaczałoby dla nich wyrok śmierci.

Nie inaczej było, gdy decydował się los Megrahi, odbywającego karę w szkockim więzieniu. Jego zwolnienie oficjalnie było podyktowane względami humanitarnymi. Nieoficjalnie mówiono o interesach brytyjskich w Libii. Chodziło nie tylko o ropę, lecz także – a w danej chwili może nawet przede wszystkim – o kontrakty zbrojeniowe.

Każda okrągła rocznica tragedii nad Lockerbie to okazja do rozważań, co można zrobić, by sprawiedliwość stało się zadość. Pięć lat temu, w 25. rocznicę, żywo domagano się wznowienia śledztwa – ale bez skutku. Coś się jednak w tej sprawie dzieje. Szkocka komisja badająca sprawy kryminalne parę miesięcy temu zapowiedziała przeanalizowanie raz jeszcze sprawy Lockerbie, co może oznaczać, że rodzina Megrahi otrzyma zgodę na ponowną apelację. Czy w nowym procesie wyjdą na jaw nowe fakty? Tego nie wiadomo. Jak jednak zauważył kiedyś Aamer Anwar, szkocki adwokat pakistańskiego pochodzenia, reprezentujący zarazem krewnych i obrońców Megrahi, „sprawiedliwość nie umiera wraz ze skazanym”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

wydania podejrzanych. Podobnie Hans Köchler, ONZ-owski obserwator procesu, śledzony i podsłuchiwany tak jak obrońcy Megrahi. Nie tylko oni oceniają, że wyrok oparto na dowodach tak słabych, iż trudno nie mówić o naruszeniu prawa.

Jeśli nie Libia, to kto? Trypolis miał motyw: odwet za bombardowanie miast Libii wiosną 1986 r. przeprowadzone przez USA, też zresztą w odwecie za organizowane przez Libię akty terroru wymierzone w Amerykanów. Państw wrogich Ameryce było jednak wiele. Iran, Irak czy Syria też miały z nią porachunki i powody, by chcieć Amerykanów boleśnie ugodzić.

Iran od początku był w najściślejszym gronie podejrzanych. Miał motyw, i to ważki: na początku lipca 1988 r. w Zatoce Perskiej amerykański krążownik „Vincennes” przez pomyłkę zestrzelił irański samolot pasażerski, który dowódca okrętu uznał za nadlatującą rakietę. Zginęło 290 osób. W odpowiedzi ajatollah Chomeini nakazał zniszczenie samolotu amerykańskiego.

„Dowody winy Iranu jeszcze we wrześniu 1989 r. wydawały się tak oczywiste, że amerykańska Defence Intelligence



Jak uszczelniliśmy

W drugiej połowie XVIII w. gospodarki Wielkiej Brytanii i Francji były mniej więcej równych rozmiarów pod względem realnego PKB, ale Wielka Brytania uzyskiwała niemal dwa razy większe dochody podatkowe od Francji. Te dane mogą szokować i pomimo rozbieżności na temat konkretnych liczb pomiędzy autorami (podstawowe opracowania to Bairoch i Maddison) panuje konsensus co do tego, że system zbierania danin w liberalnej Anglii był znacznie wydajniejszy niż w etatystycznej Francji. Powód był podstawowy: na Wyspach powstała jedna z pierwszych profesjonalnych, nowoczesnych administracji podatkowych Excise Office, we Francji utrzymywano wiele postfeudalnych instytucji, wyłączeń od podatków dla szlachty oraz najgorszy z możliwych wynalazków: dzierżawców podatkowych.



*Paweł Szalamacha,
minister finansów w latach 2015–2016*

Jednolity plik kontrolny uchwalony przez PO był bezużyteczny dla kontroli, a zmiany prawa otwierały bramy dla oszustów. Otrzymywali sygnał: państwo w środku Europy jest bezbronne. To trzeba było naprawić

Efekt: Anglia była w stanie sfinansować długotrwałe wojny napoleońskie z dochodów podatkowych i długu, tam narodziła się rewolucja przemysłowa.

Powyżej opisałem tylko jeden z paradoksów historii gospodarczej. Inny obserwowaliśmy w naszym kraju. Jak to się stało, że partia rządząca w latach 2008–2015 posługująca się retoryką wolnościową stworzyła niewydolny system poboru podatków, odbierany dość powszechnie jako opresyjny i nieprzyjazny? Luka podatkowa

VAT, oszacowana dla MFW lub UE według jednolitej metodologii stosowanej dla wielu krajów, wynosiła 35–40 mld zł rocznie pod koniec rządów liberalno-ludowych.

CHAOS

Narastającemu chaosowi przyglądałem się przez lata – od 2008 do 2015 r. – w różnych rolach, najpierw w Instytucie Sobieskiego, think tanku, który tworzył wiele opracowań, oraz na zamówienie opozycyjnego wówczas Prawa i Sprawiedliwości,



zwiększenie legalnej sprzedaży paliw raportowane przez spółki giełdowe o kilkanaście procent.

WADLIWA ORGANIZACJA

Po pierwsze: instytucje. Przez lata mieliśmy wadliwą organizację „skarbowki”, polegającą na tym, że część VAT-owskiego obrotu towarowego podlegała urzędom skarbowym, a część celnym. Otóż po wejściu do UE w 2004 r. zniknęła granica celna na dwóch trzecich granicy geograficznej kraju. Dlatego należało przeprowadzić reformę, łącząc funkcjonalnie te dwie organizacje. Taką reformę przygotował pierwszy rząd PiS, a wiceminister Marian Banaś już po wyborach 2007 r. przedłożył projekt nowemu szefowi resortu finansów, który odłożył go na półkę. Zaprosiłem Mariana Banasia do powrotu do ministerstwa w 2015 r. i w maju 2016 r. ustawa powołująca Krajową Administrację Skarbową była już w Sejmie. Uchwalona (nie bez protestów części celników) weszła w życie w 2017 r.

Jaki jest przepis na sprawną instytucję? Jasno zdefiniować jej cele, rekrutować możliwie najlepszy personel, poprawnie określić zasady awansu, przyzwoicie wynagradzać i błyskawicznie eliminować czarne owce we własnych szeregach. Taką chciałem widzieć KAS i wiele udało się osiągnąć, choć wiele nadal można poprawić. Zaczynaliśmy z niskiego poziomu, po latach zamrożenia plac aparat skarbowy stracił atrakcyjność jako pracodawca, wystąpiło osłabienie kwalifikacji i motywacji pracowników urzędów skarbowych, którzy przez lata obserwowali, jakie są priorytety rządzących.

INTELENTNIEJ OD OSZUSTÓW

Po drugie: informatyka. Dlaczego stawiam informatykę przed uchwaleniem ustaw? Nie ze względu na moje zainteresowania, ale dlatego, że łatwiej jest uchwalić ustawy, niż zapewnić realne możliwości ich wykonywania. Szybko uruchomiliśmy zmiany w tej dziedzinie. Uważam, że był to podstawowy, jeżeli nie krytyczny, element sukcesu – stworzenie przekonania u profesjonalnych oszustów, że tym razem skarbowka jest inteligentniejsza od nich. To odwrócenie tendencji poprzednich lat, czyli pogłębiającego się (względem możliwości sektora prywatnego) zacofania informatycznego aparatu skarbowego. Gdy fakturę na ten sam towar można wystawić i przesłać e-mailem w łańcuszku firm-wydmuszek kilka razy

VAT

a potem od 2011 r. jako poseł w Komisji Finansów. Dlatego, gdy zostałem ministrem, to natychmiast po skompletowaniu zespołu wiceministrów w listopadzie 2015 r. i równolegle z pracami nad budżetem na 2016 r., który zapewnił finansowanie programu „Rodzina 500+”, przystąpiliśmy do pracy.

Trzeba było odtworzyć system, czyli zbiór elementów, w którym każdy z nich ma swoją dobrze zdefiniowaną funkcję oraz wzmacnia działanie pozostałych. System stworzony w 2016 r. składał się z instytucji, narzędzi informatycznych oraz regulacji prawnych.

Pracowaliśmy, kierując się kilkoma zasadami, takimi jak interdyscyplinarność, otwartość intelektualna na różne rozwiązania, proporcjonalność – czyli dostosowanie metod fiskusa do skali zjawiska i działania podatnika. Powołaliśmy w resorcie finansów zespoły pro-

blemowe składające się z pracowników różnych departamentów oraz urzędów „frontowych” mających na co dzień styczność z praktyką. Zespoły analizowały cały „cykl produkcyjny” oszustw krok po kroku od pierwszej do ostatniej czynności. Zachęcałem pracowników do zgłaszania pomysłów oraz uwag krytycznych, analizowaliśmy rozwiązania innych krajów oraz te, o których już myśłano w Ministerstwie Finansów. Poszczególni urzędnicy resortu wiedzieli bowiem o luce VAT i jej przyczynach. Ta wiedza nie była wykorzystana ze względu na brak woli działania kierownictwa (tzw. woli politycznej). Trzecia zasada – proporcjonalność oznacza, że inne metody stosujemy wobec firm, które działają realnie, wytwarzają jakąś wartość, ale popełniają błędy, a inne wobec podmiotów, które produkują puste faktury lub których cała działalność odbywa się w czarnej strefie. Idealnym przykładem zastosowania tej metody był pakiet paliwowy, czyli kompleksowa nowelizacja przepisów celnych, akcyzowych, VAT-owskich i prawa energetycznego powstała pod kierownictwem wiceministra Wiesława Jasińskiego. Pakiet zaczął obowiązywać 1 sierpnia 2016 r. i już w pierwszym miesiącu przyniósł

W ciągu dnia, to takie zacofanie kosztowało miliardy. Przejawem tego stanu było wdrażanie przez MF systemu e-podatki bez modułu analitycznego VAT!

Konieczne były działania nadzwyczajne, dlatego wszczepiliśmy bypass, czyli Aplikacje Krytyczne, spółkę celową Ministerstwa Finansów powołaną do dostarczania zlecanego oprogramowania. Koncepcję zaakceptowałem w lutym 2016 r., ale potem należało przekonać do niej rząd i przejść cały proces legislacyjny.

krzyżowo weryfikowane pod kątem zgodności faktur i sprzedającego, i kupującego. Fiskus może nakierować kontrole na podmioty prowadzące oszukańczą działalność, a nie zarzucać się na oślep na wszystkich podatników. Obowiązek ten wprowadziliśmy etapami, od 1 lipca 2016 r. podlegali mu duzi podatnicy, potem średni i mali od 1 stycznia 2017 r., pozostali od 1 stycznia 2018 r. Jednocześnie bowiem zaczynały działać Aplikacje Krytyczne, które przygotowały oprogramowanie

wania prawnego, a jako że takie zmiany są uważnie śledzone przez profesjonalne grupy oszustów i ich doradców, uznali je za jasny komunikat ze strony RP: duża gospodarka w sercu Europy jest bezbronna.

Rozbrojenia dokonali także prawnicy. Wprowadzono wiele rozwiązań pod wpływem lobbystów, co nie wyklucza tego, że wielu posłów mogło mieć autentyczne dobre intencje. Rozszerzono np. możliwość składania deklaracji VAT raz na kwartał, obejmując nią dużych podatników. Ułatwienie pomyślane początkowo jako pomoc dla małych firm zmieniło tym samym charakter. Oszuści składali pierwszą deklarację VAT dopiero po czterech miesiącach, w międzyczasie puszczali w obieg faktury i występowali o zwrot przez firmy-wydmuszki działające w łańcuchu. Czynili to bezkarnie i bezczelnie, wiedząc, że skarbowka ich po prostu nie widzi.

We wrześniu 2016 r. skierowałem projekt głębokiej nowelizacji VAT pilotowany przez wiceministra Leszka Skibę do prac parlamentarnych. Powstał zgodnie z metodologią opisaną powyżej, po analizie zachowania podatników i ważeniu racji fiskusa i przedsiębiorcy, w tym koniecznych sankcji. Zawierał on takie rozwiązania jak przywrócenie 30 proc. sankcji za zaniżenie VAT, ułatwienie wykreślenia „słupów” z rejestru czynnych podatników, powrót do deklaracji miesięcznych. Nowelę uchwalono już po moim odejściu z ministerstwa. Zadziałało, elementy puzzli weszły na przygotowane dla nich miejsce.

Od 2015 r. Polska osiągnęła ewidentny, mierzalny sukces. Następuje stały wzrost dochodów wynikający z uszczelnienia, ale także, co oczywiste, dobrej koniunktury gospodarczej. Stajemy się krajem pierwszej ligi, zyskujemy pole manewru gospodarczego. To bardzo ważne, gdyż nasza pamięć nie zawiera zbyt wielu sukcesów na tym polu: obracamy się pomiędzy I Rzeczpospolitą, czyli rajem libertarian o znikomym opodatkowaniu, państwem, które nie mogło opłacić obrony narodowej ani wybudować stałego kamiennego mostu na Wiśle w Warszawie, a zbyt mocnym fiskalizmem II RP. Co więcej, efektywny pobór i jego odbicie: sumienne płacenie podatków, jest warunkiem sensownej dyskusji o wysokości podatków w ogóle. Ta dyskusja nie miała sensu, gdy podnoszono daniny, ale jednocześnie rząd był bezradny wobec zmotywowanych oszustów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Zaskakiwało pobłażliwe orzecznictwo sądów, np. obniżenie odpowiedzialności za wystawianie fałszywych faktur niemal do zera

W czerwcu 2016 r. spółka została zawiązana i natychmiast przystąpiła do działania, dostarczając m.in. oprogramowanie JPK Klient oraz najistotniejszy JPK-Analizator; służący do analizy danych dostarczanych w jednolitych plikach kontrolnych. I to jest dobry moment, aby napisać o JPK.

Argumentacja naszych poprzedników co do luki VAT się zmieniała. Najpierw twierdzili, że jej ograniczenie jest niemożliwe, że jest zjawiskiem naturalnym, z którym trzeba żyć. Następnie, gdy pojawiły się efekty naszej pracy, twierdzili, że oni wszystko przygotowali, a PiS przyszedł na gotowe. A ostatnio, 10 grudnia, minister Rostowski stwierdził w Sejmie, że w zasadzie luki nie było. Argumentem z drugiego etapu był jednolity plik kontrolny, rzekomo wprowadzony przez rząd PO-PSL.

Prace nad JPK trwały w resorcie całe lata, od 2010/2011 r. JPK to po prostu format sprawozdawczy w formie elektronicznej, znany na świecie od kilkunastu lat, ale uchwalony przez PO był w zasadzie bezużyteczny. Był ćwiczeniem, jak zrobić JPK, który nie spełnia swojej funkcji. Dlaczego? Firmy miały przygotowywać plik i trzymać go sobie na komputerze i udostępniać na wniosek US. Co więcej, nie określono sensownie struktur, czyli zawartości pliku. Nie miał on np. zawierać podstawowej informacji, czyli NIP. Zatem administracja musiała wcześniej pozyskać informację o problemie w tradycyjny, nazwijmy go, papierowy sposób, przyjąć i poprosić o pokazanie pliku, potem oglądać go sobie na ekranie.

Na wiosnę 2016 r. dokonaliśmy zasadniczej zmiany, nowelą do VAT z 13 maja wprowadziliśmy obowiązek składania JPK automatycznie, bez wezwania. Różnica polega na tym, że takie pliki mogą być

do analizy plików. W maju w momencie uchwalania ustawy nie mieliśmy jeszcze takich narzędzi. Software powstawał w ścisłej współpracy z pracownikami UKS i na podstawie doświadczenia holenderskiego (podczas ECOFIN ustaliłem z Holendrami, że złożymy im wizytę studyjną). Uczyliśmy się zarówno my, jak i podatnicy, pierwsze składane pliki były kiepskiej jakości. Transformowaliśmy dane z JPK do pożądanej postaci w fundamencie danych, żeby kwerendami zapisanymi w SQL, stosując NIP jako kryterium łączenia pozycji, wychwytywać nieprawidłowości: big data w praktyce.

POBŁAŻLIWE SĄDY

Po trzecie: prawo. Jestem przywiązany do jednej z definicji prawa, według której jest nim to, co słyszymy z ust sędziego. Oczywiście sędzia powinien działać na podstawie Dziennika Ustaw, nie własnego widzimisię. Jakość pracy pogarszała się w obydwu obszarach. Przez wiele lat zaskakiwało pobłażliwe orzecznictwo sądów, np. obniżenie niemal do zera odpowiedzialności za wystawianie fikcyjnych faktur na drodze wykładni przepisów sprzyjającej oszustom. Swoje dołożył Trybunał Konstytucyjny, kasując w 2004 r. klauzulę ogólną obejścia prawa podatkowego w brzmieniu, w którym z powodzeniem funkcjonowała w wielu krajach OECD. W uproszczeniu – klauzula mówi, że jeżeli skutkiem transakcji jest jedynie obniżenie podatku, to dla fiskusa takiej operacji nie ma. TK uchylił także przepis o opodatkowaniu dochodów ze źródeł nieujawnionych (RP musiała zwracać miliony złotych kwot już zasądzonych we wszystkich instancjach). Państwo zostało pozbawione podstawowego oprogramo-



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM**Władimir czy Władimirek?**

To oczywiście nie jest tak, że nie można się rozwijać wolniej niż Federacja Rosyjska za ostatniej dekady rządów Putina – ba, nawet sama Rosja notowała w tej mierze, w swej nie aż tak krótkiej przecież historii, większe „osiągnięcia”. Wszelako byłoby zwykłą niesprawiedliwością nie uznać wkładu Putina w to historyczne dzieło, którego jesteśmy świadkami, i nie przyznać, że to właśnie on od lat pogrąża Rosję w otchłani gospodarczej beznadziei w takim tempie, jakby był piątą kolumną USA, Chin, Polski i państw nadbałtyckich razem wziętych.

O ile bowiem w pierwszych latach panowania reżimu Putina (2000–2008) PKB Rosji, zyskując dzięki szybko rosnącemu cenom gazu i ropy, powiększył się o niebagatelne 83 proc., a więc co roku przybierał średnio o ok. 7 proc., o tyle w latach 2009–2017 ten sam PKB Rosji podźwignął się ledwie o 5,5 proc., czyli o mikre 0,7 proc. rocznie. Nagromadzone na początku stulecia rezerwy dewizowe, pomnożone z 28 mld dol. w 2000 r. do 426 mld dol. w 2008 r., znacznie się skurczyły, a sytuacja Rosji zmusiła Putina do podniesienia wieku emerytalnego, co zaowocowało protestami na niespotykaną od lat skalę. W tym czasie Rosjanom nadal nie udało się wymyślić ani wyprodukować ani jednej rzeczy, o której posiadaniu ktokolwiek by marzył, jeśli pominąć ustrojstwa do zabijania. Jednym zdaniem, jak to określił Andriej Iljarionow,

były doradca Putina, „dziesięciolecie 2008–2018 może być postrzegane jako najgorszy okres w historii gospodarczej Rosji w ostatnich 130 latach”.

Konsekwentna polityka Putina zaczęła więc wreszcie przynosić to, o czym jeszcze kilka lat temu konkurenci Moskwy w Waszyngtonie, Pekinie i Warszawie mogli tylko marzyć. A przed czym sprzymierzeńcy Kremla w Berlinie i Paryżu musieli drzeć. Oto bowiem wzrost cen ropy i gazu nie pociąga już za sobą w gospodarce Rosji impulsów rozwojowych, mimo napychania skarbca Kremla miliardami euro przez Niemców i Francuzów oraz mimo wspierania go w budowie Nord Stream 1 i 2. Natomiast sankcje przynoszą rezultaty. Dzięki temu wszystkiemu pod rządami Putina Rosja – w stosunku do innych krajów – się kurczy. Pod względem PKB jest już mniejsza od Korei Południowej, Kanady, Włoch, Brazylii, o innych – większych – państwach nie wspominając, bo to nigdy nie była liga zafanej Rosji.

A przecież Władimir Władimirowicz Putin z pewnością nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. I oby tylko, w drodze do uporządkowanego sprowadzania Rosji do miniaturowej skali, a co za tym idzie – do ostatecznego przeobrażenia siebie z Władimira Putina we Władimirkę, nie postanowił użyć na większą skalę swych „fajerwerków”, jak to miewa w zwyczaju. Tym bardziej że akurat w tej dziedzinie – „fajerwerków” – o zapóźnieniu Rosji mówić trudno. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM**Raport większości**

Policja w Wielkiej Brytanii stworzyła system komputerowy wspierany przez sztuczną inteligencję pod nazwą NDAS. Zebrano dane ponad 5 mln osób, informacje o popełnionych przestępstwach i na podstawie ponad 1,4 tys. wskaźników system nauczy się wskazywać przyszłych przestępców. To nie żart, policja nie będzie szukać wyłącznie osób, które już popełniły przestępstwa, lecz także tych, którzy z wysokim prawdopodobieństwem popełnią przestępstwa w przyszłości. Motyw znany z filmu „Raport mniejszości”, gdy trzy blade, humanoidealne istoty prognozowały przyszłe przestępstwa. Tym razem to się dzieje w rzeczywistości, prognozy zaś tworzą modele sztucznej inteligencji.

Jak to działa? Każdy w bazie otrzyma ocenę, która będzie mówiła o tym, jak bardzo prawdopodobne jest popełnienie przestępstwa w przyszłości. System nauczy się oceniać ludzi np. przez obserwację, jakie cechy i zachowania występowały u przestępców, zanim popełnili przestępstwo. W dużym uproszczeniu, jeżeli okaże się, że bardzo wiele osób popełniających dany rodzaj przestępstwa ma wspólny zestaw cech, np. podstawowe wykształcenie, nadużywanie alkoholu i narkotyków, brak stałej pracy, wśród ich znajomych na Facebooku są osoby karane, noszą fioletowe skarpetki, wówczas system będzie szukał osób o takich cechach i prawdopodobień-

stwo popełnienia przez nie przestępstwa oceni jako wysokie. O ile oczywiście takie dane są pośród 1,4 tys. analizowanych wskaźników.

Natychmiast pojawia się wiele pytań. Czy parametry stosowanych modeli uczenia maszynowego będą podane do publicznej wiadomości? Z jednej strony to zwiększa przejrzystość systemu, z drugiej strony przyszli przestępcy będą mogli ograć system, np. zmieniając skarpetki na żółte lub usuwając niektórych znajomych z Facebooka, chociaż wielu cech się nie pozbędą (np. miejsca urodzenia czy wykształcenia). Wtedy jednak firmy mogą zacząć stosować te same kryteria i osoby o wysokim prawdopodobieństwie wygenerowanym przez system nie znajdą nigdzie pracy, co ich popchnie na drogę przestępstwa, i będziemy mieli samospełniającą się prognozę.

Czy oceny będą komunikowane osobom, które zbadał system? Czy wobec osób z wysokim prawdopodobieństwem będą podejmowane jakieś działania, np. wizyta policji w domu, czy może będą kierowane na terapię do psychologa albo będą objęte stałym monitoringiem policji? A co z tzw. false positives, czyli mylnymi wskazaniami modelu? Czy będą musiały zapłacić cenę pozbawienia pewnych praw lub wolności w imię mniejszej przestępczości? Te dylematy będziemy musieli w przyszłości rozstrzygnąć, także w Polsce. ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Polski design zmienia świat



Jacek Przybylski

Tworzą niemieckie limuzyny, włoskie wyścigówki i auta dla Jamesa Bonda. Wielu również dla polskich firm wykonuje produkty na najwyższym światowym poziomie

Piękne, klasyczne, czyste, minimalistyczne. Dobry design sprzedaje. To hasło jak mantrę powtarzają projektanci. A ci producenci – np. Apple – którzy ich posłuchali, mogą liczyć na ogromne zyski. Żeby projekt się sprzedał, musi jednak łączyć innowacje, emocje i funkcjonalność. Świetnie rozumieją to polscy specjaliści od wzornictwa przemysłowego, którzy znów święcą triumfy na światowych salonach.

Wśród ośmiu finalistów prestiżowego konkursu DesignEuropa Awards, organizowanego przez Urząd Unii Europejskiej ds. Własności Intelktualnej (EUIPO), znalazły się aż dwa polskie produkty. Do ścisłej czołówki konkursu zakwalifikował się system do samodzielnego badania piersi polskiej firmy Braster, który pozwala w domowym zaciszu w prosty sposób wykryć zmiany o złośliwym charakterze. To właśnie polscy naukowcy opracowali pierwsze na świecie urządzenie do samo-

dzielnej diagnostyki raka piersi, przeznaczone dla kobiet w wieku od 30 do 50 lat. Skuteczność metody szacuje się na 80 proc.

Drugim wyróżnionym polskim wzorem był zaprojektowany przez Macieja Fiedlera inteligentny wideodomofon firmy Fibaro, który doskonale widzi i słyszy to, co się dzieje dookoła niego. Urządzenie uczy się też rozpoznawać głos właściciela i automatycznie otwiera mu drzwi do strzeżonych pomieszczeń. W inteligentnym wideodomofonie można również zostawić wiadomość pod nieobecność gospodarza, a jeśli urządzenie wykryje w otoczeniu podejrzaną aktywność, to automatycznie skontaktuje się z właścicielem i na smartfonie wyświetli nagrany filmik.

I chociaż Polacy statuetek ostatecznie nie zdobyli, to o wysokim poziomie polskiego designu świadczyć może choćby to, że gala finałowa DesignEuropa

Auto dla 007, Aston Martin DB10,
zaprojektował Marek Reichman

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Awards pod koniec listopada odbyła się właśnie w Warszawie (nagrody we wcześniejszej edycji wręczano w Mediolanie).

OSCARY DLA POLAKÓW

Polacy regularnie otrzymują za to Red Dot Design Award, czyli prestiżowe nagrody przyznawane od połowy XX w. przez niemieckie Design Zentrum, które nazywane są „Oscarami designu”. W 2018 r. międzynarodowe jury oceniało rekordową liczbę aż 6,3 tys. produktów z 59 krajów. Nagrody i wyróżnienia otrzymało 69 z nich, w tym 12 z Polski.

Jedną z nagrodzonych firm była pracownia Hola Design, założona przez Monikę i Adama Bronikowskich. Międzynarodowych jurorów ujął projekt architektury oraz wykończenia wnętrza „Pasterskiej Chaty” – nowoczesnego domu letniskowego w Kluszkowcach

nad Jeziorem Czorszyńskim w Małopolsce.

Czerwoną kropką może pochwalić się firma ES System, która została nagrodzona za przypominającą ekran smartfona... lodę chłodniczą INSÛ. Ekspertsi docenili nie tylko jej wygląd, lecz także funkcjonalność: poszczególne smaki lodów umieszczone są w wypełnionych glikolem szufladach, co ułatwia przechowywanie mrozonek. Minimalistyczny, a jednocześnie futurystyczny wygląd mebla chłodniczego sprawia

Inteligentny wideodomofon
dotarł do finału konkursu
DesignEuropa Awards

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



zaś, że lada może sprawdzić się w różnego rodzaju obiektach.

Dobrze wyciszyć wnętrza pomagają z kolei – również wyróżnione przez międzynarodowe jury prestiżową nagrodą – panele akustyczne EHØ oraz Cone, które nie tylko redukują hałas, lecz także pełnią funkcję dekoracyjną. EHØ to produkt firmy DeDe Furniture i studia To-Do Product Design, Cone zaś to dzieło firmy HUSH – the art of silence i Jakuba Sobiepanka.

SAMOCHODOWA „MAFIA”

Brak polskiej marki samochodów nie oznacza wcale, że po drogach nie jeżdżą auta, których linia nadwozia oraz najdrobniejsze detale wnętrza, takie jak lusterka, klamki czy dźwignie zmiany biegów, zaprojektowane zostały przez Polaków. Przeciwnie – wielu naszych designerów pracuje dla największych koncernów zagranicznych i odgrywa coraz większą rolę w samochodowym świecie.

Jednym z najbardziej znanych rodaków w branży jest Tomasz Jara, który przez ponad 30 lat współpracy z Fordem zaprojektował m.in. Fiestę II, pracował też przy Mondeo, Cougarze i Focusie. Swoje marzenia o projektowaniu aut spełnił również pochodzący z Giżycka Tadeusz Jelec. Pod koniec lat 70. zaczął studia na Politechnice Gdańskiej. Tych co prawda nie ukończył, ale jego pasja zawiodła go do Wielkiej Brytanii, gdzie zarabiał na studia w Chelsea School of Art, m.in. sprząając i malując mieszkania. Opór się opłacił. Od ponad dwóch dekad projektuje kolejne wcielenia jaguarów – odmieniał zarówno wygląd nadwozi, jak i wnętrza.

Znaną postacią wśród projektantów przemysłowych w Wielkiej Brytanii jest też 52-letni Marek Reichman. Reichman projektował dla Rolls-Royce’a i dla Astona Martina, był też współtwórcą modeli DBS oraz DB10, którymi James Bond jeździł w filmach „Casino Royale” oraz „Spectre”.

Z kolei nadwozia BMW serii 5, 6, 7 oraz X swój wygląd zawdzięczają innemu Polakowi: 52-letniemu Jackowi Fröhlichowi. Udały projekty dla BMW ma również na swoim koncie Tomasz Sycha (dla Bawarczyków zaprojektował m.in. Z4 coupé). Zarówno Fröhlich, jak i Sycha to dawni studenci Politechniki Śląskiej.



„Pasterska Chata” zdobyła prestiżową nagrodę Red Dot Design Award

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wychowankami gliwickiej uczelni są także Wojciech Sokołowski (projektujący m.in. dla włoskiej marki Spada) oraz Zbigniew Maurer, który po czterech semestrach spędzonych na tej uczelni w latach 80. wyjechał za granicę i ukończył architekturę w Toronto. W latach 90. dołączył do zespołu stylistów Alfa Romeo. Dla włoskiej marki narysował m.in. linię nadwozia modelu 156. Brał też udział w pracach nad pięknym sportowym 8C Competizione. Młodym talentom z Polski szlaki w koncernach motoryzacyjnych przecierali tacy styliści jak zmarły trzy lata temu Janusz Kaniewski, znany wykładowca w Istituto Europeo di Design w Turynie oraz na Royal College of Art w Londynie, który współprojektował m.in. modele Ferrari, Lancia, Alfa Romeo, Suzuki i Citroën. Na indywidualne zlecenia zaprojektował również ekskluzywną naczepę z 60-metrowym mobilnym apartamentem i dwupoziomowym garażem na trzy samochody wyścigowe, a także kampera dla gwiazdy skoków narciarskich Adama Małysza oraz stacje benzynowe Orlenu.

Rewelacyjnie w świecie nowoczesnej motoryzacji radzi sobie też młode pokolenie polskich twórców. Elektryczne e-tron quattro, napędzane wodorem h-tron quattro concept z kamerami zamiast bocznych lusterek, oraz seryjnie produkowane S3 – projekty każdego z tych modeli Audi łączy jedna postać: urodzony w 1981 r. Kamil Łabanowicz. Polski artysta po tym, jak wygrał jeden z konkursów na nowoczesną interpretację samochodu Warszawa, poszedł za ciosem i zaczął wygrywać konkursy zagraniczne. Prawdziwego projektowania aut nauczył się na studiach w Mediolanie, po których zaczął praktyki, a następnie zawodową karierę w Audi. Łabanowicz był najmłodszym projektantem w historii całego koncernu Volkswagen. Polak zdobył nie tylko uznanie swych niemieckich pracodawców, lecz także między-



Twórcą Aicona, samochodu koncepcyjnego Audi, jest Bogusław Paruch

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Lada chłodnicza INSŮ przypomina ekran smartfona

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

narodowych jurorów. Zaprojektowany przez niego model S3 zdobył bowiem w 2013 r. najwyższe wyróżnienie w konkursie „Red Dot Award: Product Design”.

O tym, jak będą wyglądały samochody produkowane w Ingolstadt, decydują również dwaj inni Polacy: Parys Cybulski oraz Bogusław Paruch. Pierwszy z nich jest twórcą nadwozia nowego A6, które w tym roku wyjechało na polskie drogi. Drugi to autor Aicona, jednego z najbardziej interesujących modeli koncepcyjnych niemieckiej marki. Paruch do Audi trafił z Forda, dla którego projektował po ukończeniu studiów w Mediolanie. Trzej Polacy pracujący w międzynarodowym zespole niemieckiego projektanta są czasem przezywani „polską mafią”.

A to nie koniec listy polskich stylistów cenionych we wzornictwie samochodowym. Do światowej elity należy również

44-letni Adam Bazydło – pochodzący ze Świebodzic na Dolnym Śląsku stylista Forda, który był odpowiedzialny m.in. za projekt superwozu Forda GT, który w roku 2015 zdobył w Detroit nagrodę „2015 Best Designed Production Vehicle”. Wcześniej brał też udział m.in. w projektowaniu Peugeot. Pracujący dla amerykańskiej marki Polacy również się wyróżniają, a współpracownicy nazywają ich „Polish Club”.

Wyjątkowo dobrze znanym w różnych częściach świata polskim stylistą jest też krakowianin Justyn Norek, który przez ponad dwie dekady projektował zarówno dla takich marek jak Jaguar, Ferrari, jak i Alfa Romeo, Lancia czy Fiat. Współpracował też z Volvo czy indyjskim koncernem Tata Motors. Norek znany jest jednak nie tylko z projektów samochodów, lecz także aparatów fotograficznych, telewizorów, a nawet gogli narciarskich.

Międzynarodowi eksperci docenili też polski projekt pociągu. Dart, zaprojektowany przez Bartosza Piotrowskiego, a produkowany przez bydgoską Pesę. Na konkursie iF Design Award polski pociąg pokonał 5295 produktów i projektów z 53 krajów.

BUTY, MEBLE I PANELE

W 2018 r. nagrodę iF Design Award otrzymał zaś polski producent mebli DeDe Furniture za wspomniane już panele akustyczne EHØ. Rok wcześniej na 5575 zgłoszeń z 59 krajów nagrodę zdobyło 12 produktów z Polski. Mac Stopa i warszawskie studio Massive Design otrzymało nagrodę za fotel Riverside zaprojektowany dla włoskiej marki Tonon.

Prestiżowe wyróżnienie iF Design Award otrzymali także m.in. Renata Piórkowska i Jakub Jakubowski, twórcy nietypowego grzejnika Hex firmy Terma. Nietypowego, bo jego heksagonalne moduły dają duże możliwości modyfikacji całości kształtu i rozmiaru grzejnika, który świetnie nadaje się też do wieszania na nim łazienkowych ręczników.

Młodzi polscy designerzy – tacy jak Andrzej Bikowski „Bartie”, Maja Ganszyniec czy Tomek Rygalik – są też niezwykle cenieni wśród światowych gigantów, takich jak ECCO, IKEA, Kodak czy Siemens. Projektowanie staje się jednak pasją coraz większej liczby Polaków. Lista młodych, zdolnych twórców, którzy zdążyli osiągnąć międzynarodowy sukces, z roku na rok robi się więc coraz dłuższa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PZL-Świdnik jest dziś elementem światowego łańcucha dostaw Grupy Leonardo. Jak bardzo istotnym dla grupy?

Firma PZL-Świdnik jest częścią Grupy Leonardo od 2010 r., ale wcześniej była dostawcą podzespołów dla grupy śmigłowcowej dywizji (dawnej AgustaWestland, dziś Leonardo Helicopters), choć skala tych zamówień była wtedy nieporównywalnie mniejsza. Dzisiaj to najpoważniejsza część przychodów PZL-Świdnik, a sprzedaż podzespołów kompozytowych, czyli m.in. kadłubów do śmigłowców produkowanych przez Leonardo, w ub.r. przekroczyła 800 mln zł. To powoduje, że PZL-Świdnik jest obecnie jednym z największych eksporterów w sektorze obronno-lotniczym w Polsce, który pełni dziś ważną rolę Centrum Doskonałości w zakresie produkcji kompozytowych technologii lotniczych.

Bierzecie udział w przetargu MON na zakup nowych śmigłowców do zwalczania okrętów podwodnych. Na jakim jest on etapie?

Mamy nadzieję, że przetarg zostanie rozstrzygnięty w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Złożyliśmy ofertę bazującą na śmigłowcu AW101, który przez wielu ekspertów i wojskowych uważany jest za najlepszy na świecie śmigłowiec do zwalczania okrętów podwodnych. Nasza konkurencja nie zdecydowała się na udział w przetargu, więc czekamy na dalsze kroki Ministerstwa Obrony Narodowej.

Bierzecie też udział w postępowaniu zmierzającym do modernizacji śmigłowców z rodziny Sokół, zresztą produkcji PZL-Świdnik, którymi dysponuje polska armia.

Zgłosiliśmy się do tzw. dialogu technicznego wspólnie z Polską Grupą Zbrojeniową oraz Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych, aby ewentualna modernizacja tych śmi-



– PZL-Świdnik jest obecnie jednym z największych eksporterów w sektorze obronno-lotniczym w Polsce – mówi Krzysztof Krystowski, wiceprezes Leonardo Helicopters

głowców dała pracę nie tylko nam, lecz także naszym partnerom z polskiego przemysłu obronnego. W trakcie dialogu technicznego będziemy chcieli pokazać Inspektoratowi Uzbrojenia, ale też ostatecznie użytkownikowi, jakie są możliwości modernizacyjne sokołów, aby dostosować te śmigłowce do wymagań pola walki XXI w.

PZL-Świdnik współpracuje z Polską Grupą Zbrojeniową także przy innych projektach. Co jeszcze razem robicie?

PGZ, a zwłaszcza należące do niej Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 1 z siedzibą w Łodzi i ich oddziałem w Dęblinie, jest naszym podstawowym partnerem przy współpracy off-setowej w przypadku wyboru przez MON śmigłowca AW101. Uważamy, że wynegocjowany z PGZ pakiet off-setowy jest zadawalający dla naszych partnerów, o czym świadczy

podpisane porozumienie o współpracy w tym zakresie.

Chcicie też namówić PGZ do zaangażowania się w prace nad tzw. polsko-włoskim śmigłowcem bojowym AW249. Na jakim etapie są prace nad tą maszyną?

Oprócz AW249, do którego zaraz przejdę, mamy też pomysł na wspólne serwisowanie śmigłowców produkowanych przez PZL-Świdnik, a używanych przez polską armię. Uważamy, że podzielenie się tymi pracami jest korzystne dla polskiego przemysłu, i chcielibyśmy jak najbardziej angażować kolegów z PGZ do przedsięwzięć, w których ewidentnie jesteśmy liderami i intelektualnymi, i przemysłowymi. Wspominamy przez panią AW249 jest jednym z takich projektów, a w lipcu br. podpisaliśmy z PGZ list intencyjny o współpracy przemysłowej przy budowie tego śmigłowca

bojowego, który powstaje w grupie Leonardo. Mówimy o zupełnie nowym europejskim śmigłowcu bojowym, który będzie w swojej klasie najnowocześniejszy. Liderami projektu są nasi włoscy koledzy, wspierani przez włoski rząd, natomiast Świdnik chce być zaangażowany – i będzie – w rozwój oraz produkcję tego śmigłowca, jeśli polski rząd zdecyduje się dołączyć do projektu. Zależy nam na włączeniu się Polski już na etapie prac badawczo-rozwojowych, kiedy można najłatwiej dzielić się zarówno technologią, jak i wiedzą, i – co ważniejsze – określać, jak ten śmigłowiec będzie wyglądał w przyszłości. Aktualnie trwają prace projektowe i badawcze, poprzedzające budowę prototypu, dlatego to dobry moment na przyłączenie się do projektu.

Prowadzicie też prace nad największym bezzałogowym śmigłowcem w Europie, który powstaje na bazie polskiego SW-4.

Chodzi o rozwój całkowicie bezzałogowego systemu na bazie śmigłowca SW-4, którego masa startowa w wersji załogowej to 1,8 tony. Jak na śmigłowiec załogowy ta platforma jest stosunkowo mała, natomiast jako bezzałogowiec to największa tego typu konstrukcja testowana dziś w Europie. Istnieje już jego prototyp, który został przetestowany na poligonach we Włoszech i w Wielkiej Brytanii. Nasz śmigłowiec bierze też udział w europejskim programie „Ocean 2020”, którego celem jest rozbudowa potencjału bezzałogowych statków powietrznych w nadzorze akwenów. W program zaangażowanych jest ponad 40 firm i instytucji, w tym Polska Grupa Zbrojeniowa i jej Centrum Techniki Morskiej z Gdyni. Projekt SW-4 Solo rozwija się i mam nadzieję, że będzie w przyszłości służył także w Polsce.

Oblodzone drogi, mróz, gęsta mgła i nagłe opady deszczu lub śniegu sprawiają, że łatwo o kolizję. Jak przygotować samochód na zimowe warunki? Jak hamować, aby nie wpaść w poślizg? Jak jeździć podczas gęstej mgły?

Chociaż z policyjnych statystyk wynika, że najpoważniejsze wypadki zdarzają się wówczas, gdy świeci piękne słońce, nawierzchnia jest sucha, a widoczność idealna, to atak zimy co roku powoduje na drogach poważne utrudnienia. Brzydka pogoda, opady śniegu i deszczu, a także mgła czy gołoledź sprawiają bowiem, że szybko rośnie liczba drobnych stłuczek oraz kolizji.

NIE TYLKO OPONY

Zimowe warunki sprawiają, że droga hamowania się wydłuża. Aby móc z odpowiednim wyprzedzeniem reagować na różne sytuacje, warto zadbać o dobrą widoczność. Tanim, a mimo to często zaniedbywanym obowiązkiem powinna więc być wymiana płynu do spryskiwaczy z letniego na zimowy. Jeśli o tym zapomnimy, ryzykujemy, że płyn zamarznie. Tymczasem same wycieraczki mogą nie dać rady oczyścić szyby z rozjeżdżonego błota, wylatującego spod kół jadących przodem aut. O zmianie płynu na zimowy warto więc pomyśleć, zanim chwycą pierwsze mrozy.

Co zrobić, jeśli płyn w aucie zdążył już zamarznąć? Wtedy zamiast marnować czas na rady wszelkiej maści blogerów, można po prostu umyć szybę na najbliższej stacji benzynowej i ruszyć do ogrzewanego garażu lub na parking podziemny pod biurowcem, w którym pracujemy, albo np. w galerii handlowej. Po postoju na ciepłym parkingu płyn do spryskiwaczy powinien odmarznąć. Wówczas trzeba tylko „wypisać” resztki płynu letniego i zalać zbiornik płynem zimowym. Wbrew internetowym mądrościom nie warto ryzykować wlewania do zbiornika ciepłej wody, benzyny czy różnego rodzaju rozpuszczalników. Zastosowanie tych rad może bowiem być szkodliwe dla auta. Z tego samego powodu nie warto oszczędzać na jakości płynów do spryskiwaczy – te najtańsze nie tylko brzydko pachną, lecz także mogą nawet doprowadzić do uszkodzenia powłoki lakierniczej.

Na nic zda się zimowy płyn do spryskiwaczy, jeśli perfekcyjnie nie będą działać



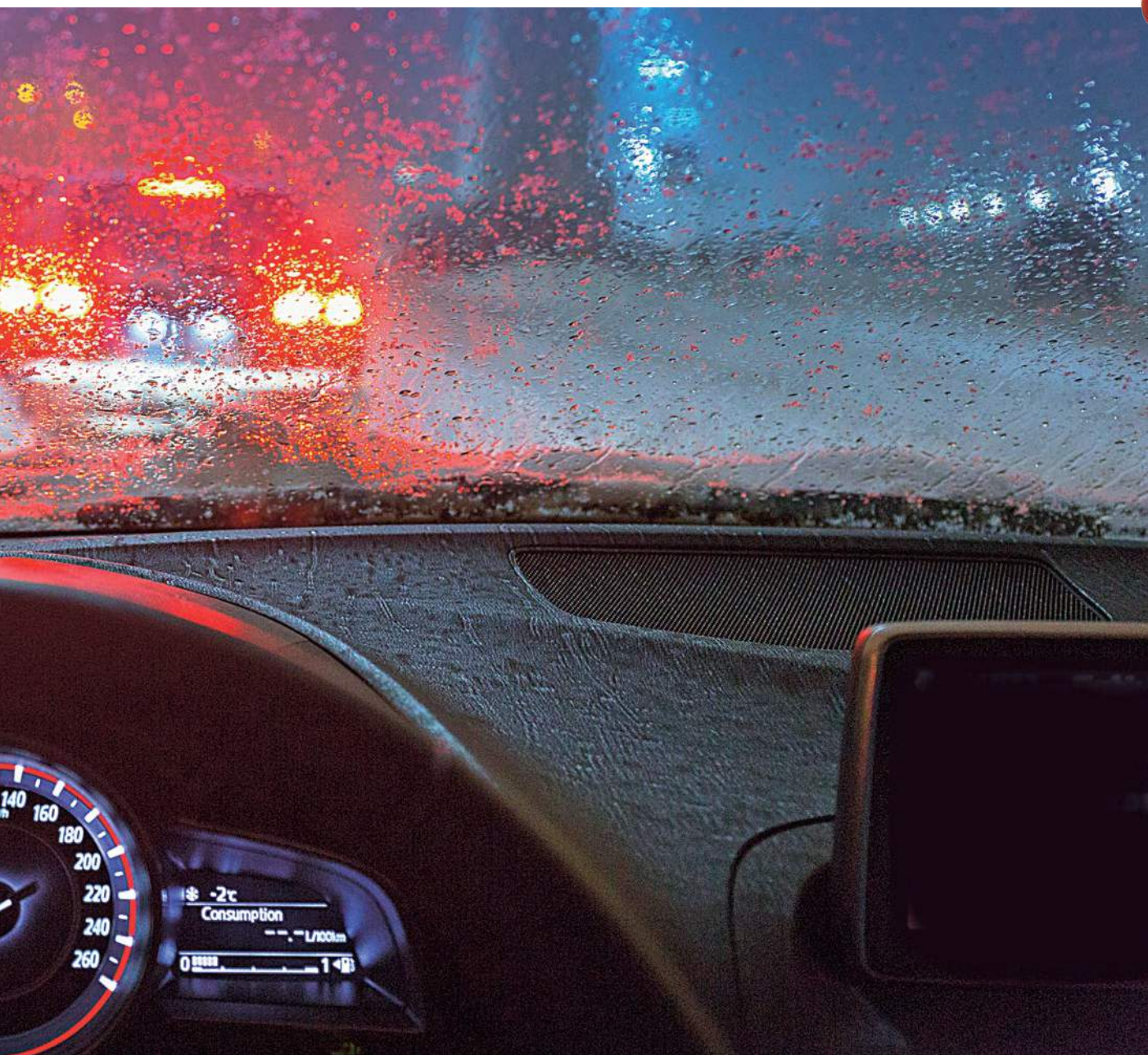
wycieraczki. Wymiana zużytych na nowe nie jest droga, a znacząco zwiększa zarówno bezpieczeństwo, jak i komfort jazdy. Podczas porannych przymrozków pamiętajmy także, aby absolutnie nie próbować ułatwiać sobie życia poprzez używanie wycieraczek zamiast skrobaczki do szyb, gdyż łatwo można je wówczas uszkodzić.

W okresie, w którym dnie są krótkie, a zmierzch zapada błyskawicznie, trzeba też zadbać o odpowiednie oświetlenie pojazdu. Uszkodzone lampy należy wymienić na nowe. Warto również wymienić niesprawne żarówki. Wszystkie lampy powinny być też czyste. Dla naszego bez-

pieczeństwa reflektory muszą być również prawidłowo ustawione, aby nie oślepiły kierowców jadących z naprzeciwka.

Ważną inwestycją zwiększającą bezpieczeństwo w okresie zimowym jest też zakup kompletu opon zimowych, ewentualnie opon całorocznych. Polskie prawo nie wymaga zmiany opon w zależności od pory roku, ale badania jasno pokazują, że opony letnie nie zapewniają wystarczającej przyczepności w zimowych warunkach.

Z wymianą ogumienia z kompletu letniego na zimowy nie warto czekać na pierwszy śnieg lub siarczysty mróz. Wizytę u wulkanizatora najlepiej zamówić, gdy



temperatura spadnie do ok. 7 st. C. Unikniemy wtedy długich kolejek, ale zapewnimy sobie również większe bezpieczeństwo. Opony zimowe mają bowiem w swoim składzie specjalne mieszanki krzemionki, która zachowuje większą elastyczność w zimowych warunkach. Przed wymianą opon na „zimówki” warto też sprawdzić, czy nadają się one do jazdy w kolejnym sezonie. Eksperti radzą zakup nowego kompletu, kiedy głębokość bieżnika spadnie do ok. 4 mm. Zużyte opony mają bowiem znacznie słabszą przyczepność na śniegu. Stare ogumienie dużo gorzej radzi sobie też z odprowadzaniem wody. Pseudooszczęd-

ność może się więc skończyć wysokim rachunkiem za naprawę auta (według danych Komendy Głównej Policji w 2017 r. niewłaściwy stan ogumienia występował w 25,6 proc. samochodów, biorących udział w wypadkach, których bezpośrednią przyczyną była niesprawność techniczna pojazdu). A to nie koniec potencjalnych kosztów. Jeśli głębokość bieżnika spadnie poniżej 1,6 mm, to trzeba się też liczyć z 500-złotowym mandatem za stwarzanie zagrożenia w ruchu lądowym i odebraniem dowodu rejestracyjnego. A co za tym idzie – z koniecznością zapłaty za dodatkowe badanie techniczne pojazdu.

Nie warto więc ryzykować. Zwłaszcza że dobre opony zimowe wcale nie muszą być bardzo drogie. Egzamin zimą może zdać wiele modeli z klasy ekonomicznej i średniej, kosztujących 150–300 zł za sztukę. Przed zakupem można zapoznać się z wynikami testów prowadzonych np. przez unijne komisje, a także ADAC czy GTU. Przy wyborze opony zimowej warto upewnić się także, czy jest ona odporna na tzw. aquaplaning, czyli zjawisko utraty przyczepności w czasie jazdy po mokrej nawierzchni. Trzeba jednak pamiętać, że nawet najdroższa i najlepsza opona zimowa na nic się nie zda, jeśli

■ nie dostosujemy prędkości do pogody i warunków na drodze.

Osoby, które jeżdżą głównie po dobrze odsnieżonych miejskich ulicach i nie pokonują rocznie zbyt wielu kilometrów, mogą także zainteresować się oponami całorocznymi (wielosezonowymi). Ich zaletą – poza oszczędnością czasu i pieniędzy na wymianie ogumienia dwa razy do roku – jest również to, że kierowca jest lepiej przygotowany na nagłe zmiany pogody (np. śnieg w październiku lub pod koniec kwietnia). Trzeba jednak pamiętać, że ogumienie tworzone z myślą o konkretnych warunkach pogodowych zawsze będzie lepsze niż uniwersalne. Poza różnicami w składzie opon w ogumieniu całorocznym mniejsza jest również liczba nacięć (tzw. lamelek) poprawiających przyczepność na śniegu – musi tak być, aby latem klocki bieżnika nie odkształcały się podczas jazdy z dużą prędkością po suchej, nagrzanej przez słońce nawierzchni. Kierowcy preferujący dynamiczny styl jazdy, a także poruszający się autami o wysokiej mocy silnika, będą więc istotnie bezpieczniejsi, jeśli zdecydują się na dwa komplety opon: letnie i zimowe. Niezależnie od tego, jakie ogumienie ostatecznie wybraliśmy, należy regularnie – co najmniej raz w miesiącu – sprawdzać ciśnienie powietrza.

W zimowych warunkach bardzo ważne dla naszego bezpieczeństwa jest także sprawdzenie układu hamulcowego, płynów hamulcowych oraz klocków. Sprawdzić też sprawność hamulca ręcznego. Proste i niedrogie czynności mogą uratować nam życie. Aby mieć pewność, że w ogóle damy radę wyruszyć w drogę, przed zimą sprawdzimy też stan akumulatora. To szczególnie ważna zasada dla właścicieli samochodów z silnikiem Diesla, choć oczywiście nie tylko dla nich. Warto wiedzieć, że gdy temperatura za oknem spada do -18 st. C, to akumulator ma jedynie 50 proc. mocy rozruchowej. Aby nie mieć problemów z otwarciem drzwi, dobrze jest z kolei posmarować gumowe uszczelki preparatem z silikonem.

POŚLIZG I MGŁA

Zimą warto zachować szczególną ostrożność, ponieważ warunki na drogach mogą zmieniać się niezwykle dynamicznie. A do tego nagłe zagrożenie nie zawsze jest dobrze widoczne. Nawet doświadczeni kierowcy mogą np. nie zauważyć, że drogę pokrył „czarny lód”, czyli cienka warstwa zamarzniętej wody. Co prawda nawierzchnia zaczyna

wówczas połyskiwać, ale łatwo pomylić ją z po prostu mokrą drogą.

Właśnie dlatego złe warunki pogodowe powinny skłonić do zdjęcia nogi z gazu, a także do zwiększenia odstępów od pojazdu poprzedzającego. Spokojny styl jazdy i próba przewidywania tego, co może wydarzyć się na drodze, pozwalają też na uniknięcie gwałtownego hamowania oraz groźnego poślizgu. W zimowych warunkach najlepiej jest bowiem zacząć wytracanie prędkości od hamowania silnikiem – odpowiednio redukując biegi, nie ryzykujemy utraty kontroli nad autem.

Przed wyjazdem w zimową podróż warto przypomnieć sobie również zasady jazdy we mgle. Bardzo wielu kierowców w Polsce nadal używa ich bowiem nieprawidłowo i podczas opadów śniegu lub deszczu niepotrzebnie oślepia innych kierowców. Niepotrzebne włączanie świateł przeciwmgłowych sprawia także, że mniej widoczne stają się światła stopu. Taki kierowca naraża się więc na ryzyko wypadku lub kolizji. Za niewłaściwe używanie świateł można też dostać mandat.

Takich problemów łatwo uniknąć, Prawo o ruchu drogowym precyzyjnie informuje, że tylne światła przeciwmgłowe kierujący może włączyć, „jeżeli zmniejszona przejrzystość powietrza ogranicza widoczność na odległość mniejszą niż 50 m. W razie poprawy widoczności kierujący pojazdem jest obowiązany niezwłocznie wyłączyć te światła”. Częstym błędem jest też używanie we mgle świateł drogowych (tzw. długich) – ich włączenie w takich warunkach jedynie pogarsza i tak słabą widoczność. Podczas jazdy w gęstej mgle, której często towarzyszy też śliska nawierzchnia, trzeba też znacząco ograniczyć prędkość. Kierowcy, którzy przy minimalnej widoczności mkną autostradą 140 km/godz., narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo. We mgle również bowiem ryzyko karambolu. Aby uniknąć nie tylko tragicznego w skutkach wypadku, lecz także drobnej stłuczki, powinniśmy zwolnić tak bardzo, aby być w stanie zatrzymać się na takim odcinku drogi, jaki akurat jest dla nas widoczny. Jak to sprawdzić? Pomocna jest choćby prosta reguła dwóch sekund – jeśli kierowca poprzedzającego pojazdu minie np. znak, słupkę lub latarnię, to my powinniśmy dojechać do tego punktu najwcześniej w ciągu dwóch sekund. Jeżeli dojedziemy szybciej, to znaczy, że dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy zwiększyć dystans.

Jan Pieniążek

PZU GO

Do końca tego roku, PZU jako pierwszy ubezpieczyciel w Europie, proponuje kierowcom rewolucyjne rozwiązanie. PZU GO to innowacyjny system, który automatycznie wezwie pomoc w razie kolizji czy wypadku. Beacon jest samowystarczalny i działa przez trzy lata. Obecnie trwa program pilotażowy. Innowacyjne urządzenie PZU GO zmieści się w dłoni dziecka. Jednak chociaż jest takie małe, potrafi uratować życie. Beacon PZU GO kierowca przykleja na przedniej szybie wewnątrz pojazdu. W razie groźnego zdarzenia na drodze, urządzenie za pośrednictwem bluetootha łączy się z aplikacją w naszym telefonie i wysyła sygnał do Centrum Alarmowego PZU. Nasi pracownicy próbują skontaktować się z kierowcą. Jeśli nie odbierze telefonu – na miejsce wypadku natychmiast wysłane zostaną służby ratunkowe. Pomysł PZU GO jest podobny do systemu eCall, w który od 31 marca wyposażony powinien być każdy nowy samochód (z nową homologacją) w Unii Europejskiej. Trzeba jednak pamiętać o tym, że średni wiek samochodu w naszym kraju wynosi powyżej 10 lat. Zanim więc eCall będzie powszechnie dostępny dla Polaków, miną lata. Nie chcemy na to czekać. Dlatego właśnie PZU, największy ubezpieczyciel w Polsce, proponuje urządzenie ratujące życie wszystkim naszym klientom, bez względu na to, jak wysłużonymi autami jeżdżą. Obecnie trwa program pilotażowy PZU GO. Chcemy mieć pewność, że sprzęt i oprogramowanie zadziała poprawnie w każdej sytuacji i rozróżni wypadek od innych zdarzeń drogowych. Sprawdzamy, czy urządzenie zawsze prawidłowo informuje naszą centralę. Mamy nadzieję, że znacząca większość, a nawet wszyscy, klienci PZU skorzystają z rozwiązania PZU GO. Jesteśmy przekonani, że jeśli dzięki systemowi uda się uratować życie choćby jednej osoby to, nasze rozwiązanie ma sens. Po wypadku liczy się absolutnie każda sekunda. PZU Go działa błyskawicznie. Gdy nasze centrum alarmowe dostaje sygnał o wypadku, natychmiast dzwonimy do kierowcy i jeśli nie odpowiada – od razu informujemy służby ratunkowe, podając precyzyjną lokalizację pojazdu. PZU GO może w przyszłości uratować wiele ludzkich istnień.

Marek Baran, dyrektor

Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU

TEST „DO RZECZY”: PROJEKTOR OPTOMA HD31UST

Jest prosty w obsłudze, potrafi wyświetlić stulcowy obraz w jakości Full HD (1920 x 1080), można go ustawić zaledwie 30 cm od ściany, dzięki czemu pozwoli na stworzenie namiastki kina domowego nawet w małej kawalerce – to dwie największe zalety projektora ultrakrótkiego rzutu.

Optoma HD31UST może stać na niewielkiej szafce. Urządzenie nie potrzebuje wiele miejsca. Odsuwając projektor od ściany na zaledwie kilkadziesiąt centymetrów, uzyskujemy przekątną ekranu od 80 nawet do 100 cali. Wiele możliwości regulacji obrazu – w tym korekcja trapezowa w pionie i poziomie oraz indywidualne ustawienia geometrii każdego rogu obrazu – sprawiają zaś, że aby oglądać filmy, nie trzeba wieszać na ścianie ekranu projekcyjnego (choć oczywiście ekran zapewni istotnie lepszą jakość niż nawet wyjątkowo równa ściana).

Zaletą jest również spora jasność (3400 ANSI lumenów) i niezły kontrast 28000:1. Mimo to projektor powinno się używać głównie w zaciemnionych pomieszczeniach. Wyświetlany obraz jest wówczas ostry, a kolory żywe. Wsparcie dla standardu REC.709 oznacza zaś, że projektor wiernie oddaje barwy w wyświetlanych filmach. Żywotność lampy szacowana jest przez producenta na 4 tys. godzin w trybie normalnym

i 15 tys. godzin w trybie ekonomicznym.

Projektor jest wyposażony m.in. w dwa złącza HDMI 1.4, dzięki czemu można do niego podłączyć jednocześnie dwa źródła obrazu. Laptopa z kolei można podłączyć za pomocą kabla USB.

Plusem są też niewielka waga (3,9 kg) oraz kompaktowe rozmiary (343 x 383 x 112 mm), co ułatwia jego przenoszenie i sprawia, że w przeciwieństwie do dawnych projektorów oferujących obraz tak wysokiej jakości nie trzeba wstawiać do salonu urządzenia rozmiaru kserokopiarki.

Dzięki zgodności z adapterami HDMI, takimi jak Google Chromecast, Amazon Fire czy Apple TV, model ten pozwala nie tylko na streaming filmów, lecz także na granie w gry na konsoli czy zamianę projektora w gadżet à la smart TV.

Minusy? Jakość dźwięku z wbudowanego głośnika 16W nie zachwyci. Dźwięk jest klarow-

ny, więc do prezentacji może i wystarczy, ale do oglądania filmów czy transmisji koncertu kołód przyda się zakup dodatkowych głośników zewnętrznych. W trybie normalnym projektor mógłby też pracować jeszcze nieco ciszej – jest on wystarczająco cichy, by nie przeszkadzał w oglądaniu filmów, ale jednak słyszalny, gdyby ktoś chciał np. zrobić pokaz slajdów w lokalnej bibliotece.

Cena: 5219 zł. © ©

Jacek Przybylski



MIŁE Z POŻYTECZNYM

Czytanie dziecięcych listów do gwiazdora (czy – jak kto woli – Świętego Mikołaja) sprawia frajdę, pokazując zarazem, jakie pokłady ciepła potrafią wydobyć z siebie nasze pociechy, kiedy... pragną coś otrzymać. Niestety, pokazują też, jak trudno maluchom przyswoić wartość pieniądza. Jest jednak sposób. To Pigzbe,

czyli elektroniczny portfel, który dzięki grafice wyświetlanej na różowym ekranie przypomina świnkę. Łączy przyjemne z pożytecznym. Dzieci dysponują specjalnymi supermocami finansowymi, a jednocześnie uczą się oszczędzać.

Sama świnka-portfel to urządzenie, które symbolami, dźwiękami i światłami informuje o zebranej kwocie pieniędzy, zachęcając do dalszego oszczędzania. Jak? Zabawą. I tu kłaniają się dwie zintegrowane z urządzeniem aplikacje na smartfony. Jedna dla dzieci – mogą nie tylko zobaczyć stan swoich pieniędzy i wydać je w Internecie, lecz także rozwiązywać różne quizy i grać w gry uczące oszczędności. Druga – dla rodziców, pozwalająca im kontrolować stan pieniędzy swoich pociech, ustawiać poziom trudności i oczywiście dokonywać odpowiednich wpłat na ich konto. Bo jednak bez kieszonkowego od rodziców nie da rady.

Najprostsza wersja Pigzbe kosztuje ok. 80 zł. Zamawiać można na Kickstarterze, ale dostawa dopiero w czerwcu przyszłego roku.

ROWERZYSTO, NIECH CIĘ ZOBACZĄ

Zanim nadejdzie wiosna, na rynku pojawi się znów kilka ciekawych rozwiązań technologicznych usprawniających komfort jazdy, a co najważniejsze – poprawiających bezpieczeństwo cyklistów. Jednym z pomysłów są Magnetic Microlights, czyli najmniejsze obecnie, bezdotykowe lampki typu dynamo.

Podstawowa zaleta – te światła hamulcowe działają bez tarcia mechanicznego, kabli lub magnesów zakładanych na koła. Zamiast tego prądy wirowe, wytworzone przez silne magnesy, wytwarzają energię elektryczną do zasilania światła, kiedy koło się obraca, magnesy wewnątrz generatora indukują prądy wirowe odpowiadającymi im polami magnetycznymi w kole.

Magnetic Microlights są rzeczywiście lekkie i dają niezły strumień światła, ważą ok. 46 g i w zależności od modelu urządzenia oraz prędkości rozwijanej przez rower mają „siłę” między 11 a 25 lux. Można zamawiać na Kickstarterze w cenie ok. 100 zł. Dostawa w maju. © ©



Wojciech Wybranowski

117



FOT. ARCHIWUM WOJCIECHA MIKOŁUSZKO



Z Wojciechem Mikołuską,
dziennikarzem, popularyzatorem nauki
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Marzenia do szczęścia

KATARZYNA PINKOSZ: Jak patrzysz na stwardnienie rozsiane (SM) – z jednej strony jako dziennikarz i popularyzator nauki, a z drugiej strony jako pacjent?

WOJCIECH MIKOŁUSZKO: Wiem wystarczająco dużo o tej chorobie, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co jest w niej niebezpiecznego, do czego może mnie doprowadzić. Znam statystyki: co druga osoba w Polsce jeżdżąca na wózku inwalidzkim to osoba ze stwardnieniem rozsianym. Z drugiej strony jako dziennikarz naukowy śledzę doniesienia naukowe i wiem, jak duży jest postęp w wynajdywaniu nowych terapii. To daje mi dużą nadzieję.

Pierwsze leki pojawiły się ok. 25 lat temu, miały niską skuteczność, duże skutki uboczne. Ostatnie kilkanaście lat to ogromny postęp: pojawiają się nowe terapie o coraz wyższej skuteczności i mniejszej ilości uciążliwych skutków ubocznych. Wiele leków znajduje się w badaniach klinicznych, część w badaniach na zwierzętach. Niektóre mają spektakularne wyniki – wręcz przywracały sparaliżowanym myszom sprawność. Niestety, lek, który świetnie sprawdza się u myszy, nie zawsze jest tak skuteczny u ludzi. Jednak nowe terapie wciąż się pojawiają. To budzi nadzieję.

Jak zdiagnozowano u ciebie chorobę?

Miało to miejsce ponad pięć lat temu, choć pierwsze objawy pojawiły się już wcześniej. Było to delikatne osłabienie prawej ręki, potem prawej nogi, widoczne po wysiłku. Szybko się męczyłem, będąc na dłuższym spacerze musiałem odpoczywać. Jednak początkowo rezonans magnetyczny nie wykazał zmian. Po dwóch latach jednak mój stan się pogorszył, osłabienie prawej strony ciała było już widoczne. W rezonansie widać było duże zmiany w rdzeniu kręgowym. Szybko się męczę, szczególnie w upał, kuleję.

Znam osoby z SM, u których przebieg choroby był bardzo gwałtowny.

Choroba u każdego przebiega inaczej. Jest zresztą kilka jej postaci. Pierwsza: rzutowo-remisyjna – pojawiają się gwałtowne rzuty choroby, po których stan chorego się poprawia, choć zazwyczaj do poziomu nieco niższego niż przed rzutem. Druga: pierwotnie postępująca – charakteryzuje się stałym postępowaniem choroby od początku jej trwania. Trzecia: wtórnie postępująca – pojawia się u części chorych z postacią rzutowo-remisyjną, kiedy zanikają epizody rzutów, a stan pacjenta zaczyna się stale pogarszać.

Nowoczesne leki są dziś w stanie zahamować postęp choroby?

Nie ma jednego leku, który u wszystkich zatrzyma lub spowolni postęp choroby. Jednak nowe terapie działają u coraz większych grup chorych. Ich skuteczność jest coraz większa, coraz dłużej udaje się utrzymać sprawność pacjentów. Dlatego chociaż jeszcze niedawno mówiło się o SM, że jest to „choroba nieuleczalna”, to dziś mówi się „przewlekła”, podobnie jak astma, cukrzyca. Dzięki nowym lekom komfort życia poprawia się, a okres sprawności wydłuża. Czapki z głów przed tym, co medycyna zrobiła w ostatnim okresie z chorobą, która była nieuleczalna.

Od niedawna przyjmujesz pierwszy lek na tzw. pierwotnie postępującą postać choroby. Jak patrzysz na niego jako pacjent i dziennikarz naukowy?

Lek podaje się we wlewie dożylnym raz na pół roku, ja zacząłem terapię w ramach badania klinicznego porejestacyjnego w sierpniu. Na pewno czuję się lepiej, mój stan fizyczny nieco się poprawił, co zauważyła nawet rehabilitantka: mam więcej siły, lepiej utrzymuję równowagę. Nie odczuwam też szczególnie skutków ubocznych leczenia.

Jako dziennikarz naukowy mogę powiedzieć, że wyniki z dużych badań klinicznych są dobre, jeśli chodzi o zahamowanie progresji choroby. To lek w rzutowo-remisyjnej postaci choroby i pierwszy lek, który działa na postać pierwotnie postępującą. Miał tak dobre wyniki, że Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) wprowadziła go na szybką ścieżkę rejestracji, żeby można go było szybko podać chorym. Europejska Akademia Leków (EMA) zarejestrowała lek w styczniu. W niektórych krajach jest już refundowany. Mam nadzieję, że będzie też w Polsce. Wyniki są bardzo dobre, choć oczywiście nie u wszystkich. Im wcześniej terapię się rozpocznie, tym lepsze efekty przynosi.

„Tato, a dlaczego?” – to jedna z napisanych przez ciebie książek, w których wyjaśniasz dzieciom trudne, naukowe kwestie. Właśnie: dlaczego i skąd się bierze SM?

Chociaż jest to choroba układu nerwowego, to zaczyna się od zaburzeń pracy „strażników” naszego organizmu, czyli komórek odpornościowych. Ich zadaniem jest niszczenie zarazków, pasożytów oraz nowotworów. Czasami jednak dostają „świra” i zamiast niszczyć zarazki, atakują własny organizm.

W przypadku SM atakują mielinę, czyli osłonkę wokół komórek nerwowych. Gdy jej nie ma, giną aksony – wypustki komórek nerwowych, a przez to komórki gorzej się ze sobą porozumiewają. Tracą kontakt nad ciałem: stąd objawy choroby, takie jak zaburzenia równowagi, utrata sprawności, u niektórych osób zaburzenia wzroku.

Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje. Jedną z hipotez, tzw. higieniczna, mówi, że układ odpornościowy jest tak nastawiony na walkę, że jeśli brakuje mu kontaktu z pasożytami, zarazkami – a tak jest w krajach wysoko rozwiniętych, o wysokim poziomie higieny – to zaczyna atakować własny organizm.

Choroba zmienia spojrzenie na świat. Co zmieniła w twoim życiu?

Na pewno w pewien sposób mnie ograniczyła: nie pójść już w góry, które bardzo kocham. Zabrała mi część wolności, bo muszę się rehabilitować, poddawać terapiom, dbać o dietę.

Nauczyła mnie jednak doceniać proste rzeczy. Wcześniej – jak wszyscy – goniłem za sukcesem. Dzisiaj mogę patrzeć, jak inni to robią i jak mało jest to ważne. Denerwowały mnie wady niektórych osób, ale ci sami ludzie w trudnych sytuacjach mi pomogli; doceniłem to i nauczyłem się akceptować ich wady. Bardziej doceniłem swoją rodzinę, która akceptuje nawet moje humory.

Zauważam ludzi mających takie kłopoty jak ja; osobę na wózku, która

nie może gdzieś wjechać – może dlatego, że sam mam nieraz kłopoty z tym, żeby gdzieś wejść. Cieszę się, że mogę obejrzeć film z dziećmi, pokazać im przyrodę, którą nadal kocham. Robię mnóstwo ciekawych rzeczy, które być może bym zlekceważył, gdybym nie był chory. W książkach dla dzieci przekazuję, że w małych rzeczach kryją się wielkie sprawy. Ludzie chcą polecieć na księżyc, a nie widzą nasionka dmuchawca, w którym jest cud życia. Na księżyc już nie polecę, ale zauważam nasionko dmuchawca.

Jako dziennikarz stojący na gruncie nauki i tego, co dziś możliwe – jakie masz marzenia, jeśli chodzi o lek na SM?

Mam trzy poziomy marzeń. Pierwszy: będę szczęśliwy, gdy pojawi się lek, który całkowicie zahamuje postęp choroby. Marzenie do kwadratu: pojawi się lek, który odbudowuje mielinę. Tak jak to dzieje się u małych dzieci, których organizm potrafi ją produkować. Gdyby to się udało, wtedy udałoby się przywrócić część już utraconej sprawności organizmu, cofnąć chorobę. Wiem, że trwają prace nad takimi lekami. A trzeci poziom, czyli marzenie do sześciu: pojawi się lek, który będzie w stanie zregenerować zniszczony akson. Dzisiaj to niemożliwe, ale może kiedyś?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Mikołuszko jest dziennikarzem, popularyzatorem nauki, autorem książek popularnonaukowych dla dzieci. Publikował m.in. w „Focusie”, „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”, „Gościu Niedzielnym”, „Kosmosie dla Dziewczynki”.



dr hab. n. med. Ewa Krzystanek,
neurolog, ordynator Oddziału Neurologii i Oddziału Udarowego Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Śląskiego Uniwersytetu Medycznego

Jest przełom w leczeniu

W ostatnim roku zarejestrowano dwie nowe terapie w leczeniu SM o bardzo ciekawym mechanizmie działania. Pierwsza to okrelizumab, lek w postaci wlewów dożylnych, podawanych co pół roku. Druga to kladribina, lek w tabletkach, podawany w dwóch cyklach w ciągu dwóch lat. Kladribina jest stosowana w postaci rzutowo-remisyjnej SM, natomiast okrelizumab to pierwszy na świecie lek zarejestrowany do leczenia zarówno postaci rzutowo-remisyjnej, jak też pierwotnie postępującej – co jest przełomem. To bardzo ważne, ponieważ do tej pory nie było leku dla tej grupy chorych. Leczenie jest bardzo wygodne: wlew raz na pół roku uwalnia pacjenta od trosk związanych z przyjmowaniem leków codziennie, terapia praktycznie nie wymaga monitorowania (w przypadku innych leków to często liczne konsultacje i badania krwi), ma bardzo korzystny profil bezpieczeństwa. Można zupełnie normalnie żyć. Te dwa leki są w Polsce zarejestrowane, ale nierefundowane. Oznacza to, że mamy przełom, ale de facto chorzy nie mogą z niego skorzystać, ponieważ z powodu ceny (przy braku refundacji) terapie są poza ich zasięgiem.



Joanna Bojańczyk

Nie różnimy się specjalnie wyglądem od mieszkańców starej Unii, choć za ubrania musimy zapłacić sporo więcej niż oni. Nie we wszystkim jednak zrównaliśmy się z Europą

Pokolenie Polaków urodzonych po 1990 r. nie pamięta czasów, kiedy rodaków za granicą rozpoznawano po butach, a w prezencie z wycieczki przywoziło się rajstopy i mydło Lux. Nie tylko oni są już ubrani przez kapitalizm, lecz także średnie i starsze pokolenie pozbyło się już ciuchów z tamtych czasów. Paradoksalnie ci najmłodsi zaczynają teraz cenić to, czego niedawno większość pozbyła się z ulgą. Kolekcje Hofflandu i Mody Polskiej stały się pożądanym vintage, wystawy o modzie PRL krążą po Polsce, wzbudzając zainteresowanie. Była już jedna w Krakowie, teraz przegląd twórczości Jerzego Antkowiaka, wieloletniego szefa Mody Polskiej, trwa w Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Czar PRL wciąż żywy.

Na co dzień ubieramy się jednak tak jak większość ludzi w krajach Zachodu. Pokolenie 20-, 30-latków nie wyobraża sobie, że kiedykolwiek istniał świat bez H&M i Zary. Według danych ostatniego raportu KPMG w sieciówkach kupuje 65 proc. badanych. Te sieciówki, jakkolwiek stale oskarżane o unifikację, sprawiły, że Polacy przestali różnić się wyglądem od rówieśników w Czechach, na Węgrzech, w Niemczech czy Belgii.

Czy mamy jakiś określony styl? 40 proc. badanych określa go jako nieformalny, codzienny. Nosimy dżinsy, buty sportowe, T-shirty, bluzy, legginsy.

Te ostatnie to osobliwy fenomen ostatnich kilkunastu lat. Spodnie to czy rajstopy, nie wiadomo, ale podbiły damskie serca czy raczej nogi i pupy. Noszą je dziewczynki w przedszkolach, nastolatki traktują jako alternatywę dla dżinsów (nie troszcząc się o wygląd z tyłu, czego zresztą na szczęście same nie widzą), używa się ich jako stroju do sprzątanía w domu, do ćwiczeń i jako piżamy. Są tanie, wygodne, kolorowe, dostępne na każdym bazariku.

JAK ROZENEK

Z badania przeprowadzonego przez KPMG wynika, że dla Polaków najważ-

niejszym elementem ubioru jest obuwie. Co czwarty badany przyznaje, że to buty definiują wygląd.

Dzisiejsze pokolenie nastolatków praktycznie nie zna innych butów niż sportowe. I nie są to już PRL-owskie sofixy, trampki, pepegi czy znienawidzone przez uczniów juniorki, zmora szkolna lat 80., ale prawdziwe najki, adidas, pumy, conversy.

Upadła teoria, że adidasów nie nosi się do garnituru, do sukienki. Dzisiaj nosi się je wszędzie i do wszystkiego. Sportowe buty

pomarańczowe, zielone, niebieskie, młodzi hip-hopowcy lubią modele wysokich butów koszykarskich. Wśród raperów panuje moda na reedycje modeli sportowych z lat 80., pionierskiego okresu hip-hopu. Parę lat temu triumfy święciła marka New Balance, przez ostatnie dwa lata ulicę podbił model adidasów z lat 80., Stan Smith, szczególnie w kolorze białym.

Kolorowe czasopisma i Internet dostarczają przez cały rok informacji o nowych trendach. O ile kilkanaście lat temu było ich kilka i były względnie



Ubiór polski

są dla nastolatków namiętnością, przedmiotem pożądania i gadżetem wyznaczającym status w grupie. Rodzicom trudno zrozumieć, o co chodzi w tym wszystkim, niektórzy ulegają kaprysom, bo buty przecież i tak trzeba dziecku kupić. Inne do szkoły, inne na wycieczkę, halówki do piłki, wypasione na imprezę. Chodzi o to, żeby mieć model obowiązujący w danym sezonie, zresztą i tak rzadko jedna para przetrwa dłużej. W kulturze młodzieżowej marka i rodzaj butów wskazują nie tylko na upodobania i zasobność portfela, lecz także na przynależność do subkultury młodzieżowej, rodzaj słuchanej muzyki, kluby, do których się chodzi. Buty stały się czymś w rodzaju manifestu ideologicznego, nowym rodzajem wyznania, kodem wtajemniczenia. Frakcja techno nosi buty w żywych kolorach,

zrozumiałe dla przeciętnego konsumenta, o tyle teraz jest ich kilkadziesiąt i stale się zmieniają. Mało kto jest w stanie się w tym połapać. Jednak fashion victims nie brakuje. Jak zwykle do podążania za modą bardziej skłonne są kobiety niż mężczyźni. Gotowe są wydać na ciuchy nawet połowę miesięcznych zarobków. O tym, jaki wygląd jest modny, prościej dowiedzieć się z Internetu, ale modne sylwetki można obejrzeć na wystawach sklepów i od razu kupić cały zestaw. Naśladowanie celebrytów i kopiowanie ich stylu stało się prostsze niż śledzenie całego skomplikowanego systemu mody. Ubrać się tak jak Małgorzata Rozenek, Kinga Rusin, Julia Wieniawa... Nic dziwnego, że pisząc o pokazach mody, portale nie pokazują tego, co wymyślił projektant, tylko to, jak

ubrane były tzw. gwiazdy, które tłumnie przychodzą na wydarzenie.

LUX KLAPKI ZA 1600

Polacy umiarkowanie interesują się modą – mówią badacze KPMG – kupują na ogół w przemyślany sposób. Najbardziej liczą się dla nich fason i cena. 40 proc. konsumentów robi zakupy ubraniowe raz w miesiącu. Na ubranie Polak wydaje 1300 zł rocznie (średnia europejska to 800 euro) – na ciuchy więcej niż na zdrowie, jak donosi portal Money.pl.



2018

FOT. ADOBE STOCK

tak nadużywane, że przestało cokolwiek znaczyć.

Mimo że warszawska ulica jest nieźle ubrana (choć nie tak dobrze, jak głoszą opinie), to widać na niej znacznie mniej ludzi naprawdę eleganckich. Nie tyle modnych, ile w stylu dyskretnym i w dobrym gatunku. Jest to rodzaj elegancji nieostentacyjnej, ukrytej... Po angielsku mówi się na to understated – niedopowiedziany. Do takiego poziomu jeszcze nie doszliśmy.

Zaledwie trzech na dziesięciu Polaków ma w swej szafie rzeczy, które ich zdaniem są luksusowe. Średnia ich wartość to 1403 zł, ale połowa wartością nie przekraczała 1000 zł.

Tymczasem jeśli rozejrzeć się po cenach artykułów luksusowego sklepu Vitkac, który ma w ofercie najlepsze światowe marki, ceny ubrań i butów wahają się w granicach kilku tysięcy. Na pytanie, kto to kupuje, sklep odpowiedzi nie udziela. Salon Louis Vuitton w Warszawie jest bardzo zadowolony z wyników, które przekroczyły oczekiwania menedżerów. Czasem do kasy stoi tam kolejka. Marka ta nigdy nie przecenia swoich artykułów. Widać na klapki japonki z plastiku za 1600 zł znajdują się klienci. Liczba torebek LV na ulicach Warszawy również wskazuje, że takich, których stać na wydatek rzędu kilku tysięcy złotych, nie jest wcale tak mało.

DRESS CODE

Po przeciwnej stronie tego spektrum znajdują się lumpeksy. I to jest ta druga różnica. Mamy mniej niż kraje starej Unii ludzi naprawdę zamożnych, za to więcej takich, których ubóstwo widać gołym okiem. W ubraniu właśnie.

Każdego, kto chociaż na tydzień wyjechał z Polski, uderza, jak bardzo nasi starsi ludzie różnią się wyglądem od swych rówieśników z Zachodu. To, co u 20-latka wyrównuje młodość, u starszych ujawnia się z bezlitosnym okrucieństwem. Emerytka włoska, francuska czy belgijska ma włosy od fryzjera, makijaż, ubranie wprawdzie nie najmodniejsze, ale zadbane. Niemiecka czy austriacka, cokolwiek byśmy pomyśleli o jej upodobaniach estetycznych, jest porządnie ubrana. Salonem Polki jest lumpeks, do fryzjera chodzi dwa razy do roku, jeśli w ogóle. Nosi ubrania, co widać po fasonach, kupione 10 lat temu: bezkształtne żakiety, za długie, workowate spódnice, niemodne suknie. Gdy chodzi o makijaż, to dziewczęć pań na dziesięć uważa, że

pod tym względem nic się już starszej kobiecie nie należy. Panowie jeszcze się bronią: makijaż i farba do włosów nie są im potrzebne, ale ubrania i obuwie też mają znoszone, chociaż garnitury z wełen z poprzedniej epoki czasem trzymają fason lepiej niż niejedna modna tandeta. Gatunek przedwojennego eleganckiego starszego pana w wypolerowanych butach, koszuli z krawatem, wełnianym płaszczu i kapeluszu już prawie wyginął. Ktoś taki nie wyszedłby na ulicę w spodniach dresowych, które widać na starszych ludziach w dzielnicach Warszawy po wojnie zasiedlonych przez ludzi ze wsi. Ich mieszkańcy – tzw. awans społeczny – dzisiaj są po siedemdziesiątce.

Na koniec obserwacja może mniej pesymistyczna, raczej z kategorii zabawnych. W zeszłym roku na nartach we Włoszech zatrzymaliśmy się w hotelu, w którym największą grupę etniczną stanowili Polacy. Byli także Czesi, Francuzi, Niemcy i oczywiście Włosi, ale w mniejszości. Jednak tylko grupa naszych rodaków, jak zaobserwowałam, nieznająca się wcześniej, unisono wyznawała jedną zasadę ubraniową. (A mówi się, że Polacy są indywidualistami)! O godz. 8 na śniadaniu 30 osób przy kolejce do automatu z kawą stawiało się karnie w basenowych klapkach z plastiku i dresach. Przegląd gatunkowy tych ostatnich, a miałam dobry punkt obserwacyjny, tuż obok automatu, podsunął mi pewne obserwacje typologiczne. Otóż dres jest gatunkiem rozbudowanym estetycznie w stopniu, którego wcześniej nie podejrzewałam. Są komplety welurowe, bawełniane, polarowe, kreszowe (w zaniku), syntetyczne i mieszane. Bluzy rozpinane i przez głowę, szerokie w stylu lat 80. oraz kuse, à la lata dwutysięczne. Kolorystyka także zróżnicowana. W zakresie wzornictwa wyróżnić można: kolorowe wstawki, hafty, cekiny, kryształki, aplikacje i oczywiście napisy. W tej ostatniej kategorii dominuje tematyka amerykańska, przy czym można zauważyć, że powodzeniem cieszy się odzież firmy Abercrombie & Fitch. Na drugim miejscu, na wyższej półce cenowej, plasuje się Ralph Lauren, dalej idą: Gap, potem ex aequo Adidas, Nike, Puma itp. Na końcu no name'y.

Dres został zatem współczesnym odpowiednikiem sarmackiego kontusza, stroju krakowskiego i czapki z rogatywką.

Dress for success. Czyż nie do tego wszyscy dążymy?



Zrozumieć i dać szansę

Wielu Polaków dopiero na emeryturze znajduje czas dla siebie. Często brakuje jednak warunków i możliwości, by dobrze go wykorzystać. Wyprawa na bazarek czy spacer z psem to nierzadko jedyna rozrywka w ciągu dnia, na którą może liczyć wielu seniorów. Samotność, brak zajęcia – to problemy, z którymi muszą się zmagać

Już dzisiaj niemal co czwarty Polak ma co najmniej 65 lat. Do 2050 r. liczba osób powyżej 60 roku życia wzrośnie do 13,7 mln – to ponad 40 proc. wszystkich Polaków. Żyjemy dłużej – i to powinno cieszyć. Taki stan rzeczy stawia jednak przed społeczeństwem szereg wyzwań, które wymagają konkretnych działań i rozwiązań.

Odpowiedzią jest m.in. „Polityka społeczna wobec osób starszych 2030. Bezpieczeństwo – Uczestnictwo – Solidarność”, czyli dokument wyznaczający

najważniejsze kierunki polityki senioralnej w nadchodzących latach oraz porządkujący działania instytucji publicznych w Polsce.

Dużo już się zmieniło, mamy więcej zrozumienia dla osób starszych, ich potrzeb i problemów. Wciąż jest jednak wiele do zrobienia w tym zakresie.

AKTYWNY JAK SENIOR

– Dzisiejsi seniorzy chcą być aktywni, czuć się potrzebni, chcą obsługiwać nowoczesne telefony, komputery, korzy-

stać z internetu. Wielu z nich ma ciekawe hobby, regularnie podejmuje różne formy aktywności fizycznej, spotyka się z rodziną i przyjaciółmi. Niestety, dużej grupie osób starszych, szczególnie na wsiach i mniejszych miejscowościach, doskwiera samotność, brak zajęcia – mówi minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Elżbieta Rafalska.

Właśnie dlatego w MRPiPS powstał Program Wieloletni „Senior+”. Chodzi w nim przede wszystkim o wspieranie tworzenia i prowadzenia dziennych domów i klubów „Senior+”. To miejsca, w których osoby starsze mogą spotkać się z ludźmi w podobnej sytuacji, na tym samym etapie życia, wspólnie spędzić czas, uczestniczyć w warsztatach kulinarnych, nauce korzystania z komputera i internetu, zajęciach sportowych, artystycznych, obejrzeć film i zjeść posiłek



przeznaczono 113,8 mln zł.

WSPARCIE MNIEJ SAMODZIELNYCH

Nie każdy senior cieszy się dobrym zdrowiem, jest samodzielny i aktywny. Konieczne jest więc ułatwienie dostępu do usług wzmacniających samodzielność, zdrowotnych, rehabilitacyjnych i opiekuńczo-pielęgnacyjnych, a także sieć usług środowiskowych i instytucjonalnych udzielanych niesamodzielnym seniorom i system wsparcia ich nieformalnych opiekunów przez instytucje publiczne. – Tutaj ogromną rolę odgrywa program „Opieka 75+”. W 2018 r., jak pokazują dane za I półrocze, do programu przystąpiło blisko 360 gmin z całej Polski, a środki przewidziane na ten cel to 57 mln zł. – wskazuje minister Elżbieta Rafalska. Jak dodaje, od nowego roku opieką będą mogły być objęte osoby starsze również pozostające w rodzinach, a nie – tak jak dzisiaj – wyłącznie samotne.

A CO Z EMERYTURAMI?

– Tak jak obiecywaliśmy w kampanii wyborczej, rząd przywrócił wiek emerytalny 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn. Prawo do emerytury uzyskało tym samym 400 tys. osób. Co ważne, osiągnięcie tego wieku nie oznacza konieczności zakończenia kariery zawodowej, daje jednak możliwość wyboru. Późniejsze przejście na emeryturę to wyższe świadczenie – o 8 proc. za rok – wyjaśnia szefowa MRPiS.

Co ważne, od 1 marca 2018 r. wszystkie świadczenia zostały podwyższone o 2,98 proc. Była to najwyższa waloryzacja w ciągu ostatnich pięciu lat. Przyszłoroczna waloryzacja będzie jeszcze wyższa, gdyż prognoza jej wskaźnika kształtuje się na poziomie 103,26 proc. – To jednak nas nie zadowala – zaznacza Elżbieta Rafalska. – Proponujemy na 2019 r. modyfikację zasad. Gwarantujemy podwyższenie najniższych świadczeń do 1100 zł w przypadku najniższej emerytury, renty z tytułu całkowitej niezdolności do pracy, renty rodzinnej i renty socjalnej oraz do 825 zł w przypadku najniższej renty z tytułu częściowej niezdolności do pracy. Dodatkowo dajemy minimalną gwarantowaną podwyżkę świadczenia na poziomie 70 zł. Oznacza to, że najniższe świadczenia zostaną podwyższone dwukrotnie – o 6,8 proc., a nie tak jak by to miało miejsce zgodnie ze wskaźnikiem na poziomie 3,26 proc. – tłumaczy.

w miłym towarzystwie. Mają w nich również dostęp do opieki terapeutycznej, rehabilitacji.

W 2015 r. w całej Polsce działało niepełna 100 takich placówek oferujących miejsca dla 2,8 tys. seniorów. W tamtym czasie na realizację programu, czyli uruchomienie domów i klubów „Senior+”, przeznaczono 30 mln zł. Do końca 2018 r. zgodnie z planami liczba placówek ma wzrosnąć do ponad 550, liczba miejsc – do ponad 14 tys. – W tym roku na realizację programu „Senior+” przeznaczylimy rekordowe 80 mln zł. Podobnie będzie w edycji 2019 – zaznacza minister Elżbieta Rafalska.

JEST CZAS, SĄ CHĘCI, BRAKUJE MOŻLIWOŚCI

Jak dodaje szefowa resortu rodziny, innym programem skierowanym do

seniorów jest też ASOS, czyli Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych. – Chodzi tu przede wszystkim o tworzenie warunków do rozwoju aktywności społecznej osób starszych, które wchodzi lub w najbliższej przyszłości będą wchodzić w wiek 60+, a kończąc aktywność zawodową, pozostają w dobrej kondycji psychofizycznej, mają potencjał, kwalifikacje, życiowe doświadczenie i czas wolny, który można i należy zagospodarować. Dlatego tak ważne jest tworzenie odpowiedniej oferty aktywności społecznej, edukacyjnej i kulturalnej – tłumaczy minister.

O tym, że na takie działania jest zapotrzebowanie, świadczy popularność programu. W latach 2016–2018 w ponad 1,1 tys. projektów realizowanych w ramach ASOS uczestniczyło blisko 450 tys. osób. W tym czasie na program

FOT. ANDRZEJ STOK

Artykuł powstał we współpracy z Ministerstwem Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Minister w żelaznej masce

Jaki jest najpiękniejszy pałac we Francji, jeszcze niezrujnowany przez imigrantów ani żółte kamizelki? Większość zapytanych odpowie, że Wersal. Nie do końca jest to prawda. Najwspanialszą rezydencją do czasu wzniesienia wspomnianego był bowiem Vaux-le-Vicomte, którego Wersal jest tylko rozbudowaną kopią.

Któż jednak okazał się na tyle bogaty i wpływowy, że stać go było na budowę rezydencji zaściankowej dziś siedzibę Króla Słońce? Tylko jeden człowiek, minister finansów owego Ludwika XIV – Nicolas Fouquet, człowiek, który dzięki pożyczkom udzielanym najbardziej wpływowym książętom i dostojnikom trzymał w garści Francję. Fouquet okradał państwo i króla na miliony liwrow. Przede wszystkim nie czynił żadnej różnicy między skarbem królewskim a własnym. Dowolnie obracał pieniędzmi królestwa, udzielał pożyczek, zaciągał fikcyjne długi, które spłacał z podatków, a różnice między oficjalnym, niskim oprocentowaniem a tym zapisywanym w księgach chował do własnej kieszeni. Nie było to nic nowego, jako że w XVII w. właściwie każdy minister skarbu w Europie był według dzisiejszych standardów aferzystą. A to, czy znalazł się w encyklopedii jako twórca i ojciec ekonomii, zależało tylko od tego, czy był w stanie odkryć i zastosować pierwsze jej prawa, aby swoje oszustwa zamaskować. Fouquet uczynił jednak coś, co uczyniło z niego głównego wroga Ludwika XIV – przewyższył w bogactwie i splendorach samego króla!

17 sierpnia 1661 r. wydał na cześć władcy przyjęcie dla 6 tys. zaproszonych gości (Warszawa liczyła wówczas jakieś 11 tys. mieszkańców). W Vaux-le-Vicomte powitał ich las fontann, z których sto wyrzucało wodę na wysokość drzew, tworząc wodną aleję, jaką mieli przejść.



FOUQUET

Potem czekało ich zwiedzanie pałacu, w którym podziwiać mogli kryształowe żyrandole, marmury, antyczne posągi i sprowadzoną z Chin ceramikę. Na koniec na 900 złotych półmiskach i talerzach podano potrawy z dzikiego ptactwa, zupy i gulasze; a do kolacji przegrywała orkiestra 24 skrzypków. Po wieczerzy wystawiono balet do muzyki Jana Baptysty Lully'ego i komedię „Natręty” samego Moliera. Po zmroku urządzono orgię świateł i fajerwerki. „Tej nocy – jak podaje Roger McDonald – królem Francji w miejsce Ludwika był Fouquet”.

Król Słońce był wściekły; szybko opuścił biesiadę, gdyż nad Sekwaną mogło być tylko dwóch władców. Pałac Vaux-le-Vicomte i okazywane ostentacyjnie bogactwo przypieczętowało los Fouqueta, który w dodatku okazał się na tyle bezczelny, że zamachnął się na męską cześć króla. Próbował bowiem uwieść młodą Louise de La Vallière i w tym celu wysłał do niej... własną, wieloletnią kochankę – panią du Plessis-Bellièvre, z prezentem 20 tys. pistoli i prośbą o spotkanie. Nie wiedział jednak, że o względy tej samej kobiety starał się Ludwik XIV. Kiedy Louise wyjawiała mu wszystko, wpadł w gniew i postanowił zniszczyć

ministra, który zamierzał uwieść królewską metresę za pieniądze ukradzione temu samemu królowi.

W zniszczeniu Fouqueta pomogli wrogowie zazdroścący jego wpływów i godności. Jednym z nich był przyszły minister finansów – Jean-Baptiste Colbert, który sam później dokonywał niezgorszych przekrętów. Wspólnie z królem kontrolowali raporty Fouqueta zawierające zawyżone wydatki i zaniżające przychody, zbierając dowody i haki. Pozbycie się ministra wymagało stworzenia całej wielopoziomowej intrygi, jako że obwiniony sprawował jednocześnie urząd prokuratora generalnego, co dawało mu prawo do bycia sądzonym wyłącznie przez paryski parlament – zachodziła obawa, że koledzy ministra nie zechcą go skazać na śmierć. Dlatego omamiono Fouqueta, donosząc mu, że król zamierza mianować go kanclerzem. Jednak kanclerz nie mógł być jednocześnie prokuratorem. Minister sprzedał zatem wspomniany urząd i natychmiast został aresztowany, a potem osądzony w długim i trudnym procesie, w którym bronił się, zrzucając winę na Mazzariniego i Colberta. Ostatecznie skazano go nie na śmierć, jak chciał król, ale na banicję. Ludwik złamał jednak wyrok sądu, kazał bowiem osadzić go w twierdzy Pignerol, gdzie nieszczęśny minister przebywał aż do końca życia. Wedle legendy to właśnie on był więźniem, któremu kazano nosić maskę ukrywającą jego tożsamość.

Dlaczego jednak Ludwik okazał się wobec niego tak okrutny? Poza wieloma innymi powodami podejrzewał, że Fouquet ukrył ogromny skarb, i liczył, że kiedyś położy na nim królewską rękę. Była to oczywiście fikcja – minister znaczną część bogactw po prostu zainwestował w pożyczki i nieruchomości, które przepadły po jego procesie. ©

UPOLUJ I UGOTUJ Z JANEM SZYSZKĄ

Podstawą jest dobry produkt do przetworzenia. Można go kupić, ale proponuję inną drogę, która pozwoli poznać prawdziwy smak rosółu z bażanta. Żeby zdobyć naprawdę dobry produkt, najpierw należy ukończyć roczny staż w kole łowieckim, a po nim kurs w Polskim Związku Łowieckim, by stać się członkiem Polskiego Związku Łowieckiego. Następnie trzeba zdać egzamin i uzyskać pozwolenie na broń myśliwską, dołączyć do jednego z kół Polskiego Związku Łowieckiego i zacząć gospodarzyć w terenie, by uzyskać możliwość odstrzału bażanta. Wtedy idziemy w teren i w sposób jak najbardziej humanitarny należy strzelić koguta. Ptak nie powinien wiedzieć, że jest strzelany. Chodzi również o względy

kulinarne, dla walorów mięsa ważne jest, by zwierzę nie było zestresowane.

Składniki:

- kogut bażanta
- 2 duże marchwie
- 1 duża pietruszka
- 1 średni por
- 1/4 główki małej kapusty włoskiej
- listek bobkowy
- ziele angielskie
- natka pietruszki
- pieprz i sól

Przygotowanie:

Koguta dokładnie oskubać i wypatroszyć. Zamrozić na co najmniej dobę. Po wyjęciu wkładamy go do zimnej wody, kilkanaście razy ją zmieniając i płuczac mięso. Przekładamy bażanta do garnka, dorzucamy oskrobane marchwie, pietruszkę, por, kapustę, liść bobkowy, ziele angielskie i wlewamy ok. 4 l wody, wstawiamy na mały ogień. Nie może on się gwałtownie gotować, ale – jak to określała moja babcia – ledwie „pyrkać” przez blisko sześć godzin. W trakcie gotowania oczywiście zbieramy szumowiny. Dobry rosół musi być całkowicie klarowny. Krótco przed zakończeniem gotowania uzupełnić solą, popieprzyć do smaku i dodać trochę drobno pokrojonej natki pietruszki. Podajemy oczywiście z makaronem (nitkami), najlepiej własnej roboty lub porządnym kupnym, czterojajecznym. ©©

oprac. raw

Jan Szyszko był ministrem ochrony środowiska, jest profesorem nauk leśnych, nauczycielem akademickim, aktywnym myśliwym.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sałata zrobotyzowana

Kwestia, co będziemy jeść, gdy będzie nas 10 mld, większość ludzi będzie mieszkająca w miastach, a ziemia rolna nie wyżywi tej masy ludzkiej, pozostaje jak dotąd równie nierozwiązana, jak sprawa redukcji zanieczyszczeń powodowanych przez cywilizację.

W kwestii jedzenia raz po raz pojawiają się rozwiązania. Mamy już danie główne: syntetyczny hamburger, który smakuje i wygląda jak prawdziwy. I to nie jest żadna SF, to rzeczywistość. Produkuje go firma Impossible Foods, jest w sprzedaży w USA, kosztuje 13 dol., a konsumenci zagłosowali na niego portfelami. W roku 2017 sprzedano 1,3 mln takich kotlecików, w tym roku aż 2,5 mln.

Teraz pora na coś do tego kotlecika: na sałatę. Brandon Alexander, menedżer firmy Iron Ox, pracował wcześniej w tajnym laboratorium X Google. Teraz przerzucił się na rolnictwo. Tylko że to rolnictwo znajduje się nie na wsi, lecz w mieście, a ściślej mówiąc – w San Carlos w Kalifornii, jest całkowicie zrobotyzowane. Wszystko dzieje się bez ziemi. Sałata, es-tragon, eskarolka są wysiewane, podlewane i pielęgnowane za pomocą robotów. Największy waży 450 kg. Rośliny są ogrzewane i doświetlane lampami LED. Pestycydów nie używa się, robot potrafi oddzielić liście zgniłe i chore od dobrych. Szerokie półki z roślinami ustawione są jedno nad drugim. Rocznie firma jest w stanie wyprodukować 26 tys. roślin. Na razie są to



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

tylko sałaty i zioła, ale w planie jest poszerzenie repertuaru o inne warzywa. Wydajność jest imponująca. Na 4 tys. metrów firma Iron Ox jest w stanie wyprodukować tyle roślin, ile tradycyjne rolnictwo wyprodukowałoby na 12 ha.

„Takich ferm będzie coraz więcej” – mówi Alexander tygodnikowi „Paris Match”. Mogą znajdować się w miastach, co pozwala zaoszczędzić na transporcie. Sami coś wiemy na ten temat, bo przecież przez całą zimę nasze pomidory, ogórki, papryka, brokuły przylatują do nas samolotami z Hiszpanii.

Czy zatem rolnictwo przejdzie wkrótce z rąk rolników do rąk inżynierów? Wszystko załatwią roboty?

„Na razie roboty sprawdzają się przy tak lekkiej, hydroponicznej uprawie jak sałata i zioła, ale przy produkcji zwierzęcej zawodzą. Technologia nie może wszystkiego załatwić” – mówią założyciele Iron Ox. I dodają: „Ale zaczekajmy, sztuczna inteligencja nadchodzi także tutaj. Ona może wszystko zmienić”. ©©



FOT. AGENCJA WISCHOD/REPORTA

Bezpiecznej drogi na Święta!



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

- 📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

TRUDNE ŻYCIE BOGACZY

Równowartość ok. 80 tys. zł muszą płacić za wymianę oleju właściciele supersamochodu Bugatti Veyron. A to dopiero początek wydatków związanych z serwisem jednego z najdroższych i najszybszych (jego prędkość maksymalna wynosi 420 km/godz.) samochodów sportowych na świecie. Wymiana zbiornika paliwa kosztuje ok. 160 tys. dol., z czego za zbiornik trzeba zapłacić 76 tys. zł, pozostałe 84 tys. zł to już cena robocizny.

Jeszcze droższa jest wymiana czterech turbosprężarek (w sumie za części i pracę mechaników trzeba zapłacić ok. 170 tys. zł). Cena zestawu nowych opon to zaś 114 tys. zł.

Małą fortunę można zostawić w serwisie nawet za wymianę najtańszych części. Dla przykładu czujnik położenia wałka rozrządu nawet w Bugatti kosztuje zaledwie 34 zł. Cóż jednak z tego, skoro opłata za jego profesjonalną wymianę wynosi już 22,5 tys. zł. Koszt jednej wizyty serwisowej może być więc wyższy niż cena zakupu niejednego nowego samochodu. Na szczęście problem z wydatkami takiego rzędu będzie mieć tylko niewielki promil ludzkiej populacji. Nowy Bugatti Veyron kosztuje bowiem ponad 10 mln zł. A i tak niełatwo go kupić.

NAJBIEZPIECZNIEJSZE AUTA ROKU

Euro NCAP, niezależna organizacja ds. oceny bezpieczeństwa, ogłosił listę najbezpieczniejszych modeli aut z ostatnich 12 miesięcy. Za najbezpieczniejszy samochód hybrydowy lub elektryczny uznano Lexusa ES. Ten sam model zwyciężył w kategorii najbezpieczniejszy duży samochód rodzinny. Za najbezpieczniejsze kompaktowe auto rodzinne uznano Mercedesa klasy A. Najbezpieczniejszym dużym SUV-em



– z grona tych, które testowane były w 2018 r. – okazał się zaś Hyundai Nexi.

DROGOWCÓW ZAPASY NA ZIMĘ

Około 430 tys. ton soli przeznaczonej do utrzymania dróg krajowych zimą zgromadziła w 286 magazynach Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Szacuje się, że podczas akcji zimowego odśnieżania i usuwania śliskości zużytych zostanie też 3,7 tys. ton chlorku wapnia oraz 71 tys. ton materiałów uszorstniających.

W całym kraju przygotowanych jest również ok. 2,3 tys. pojazdów, m.in. plugi czy solarki. Wzdłuż dróg krajowych ma być też ustawionych 1,5 tys. km zasłon przeciwnieźnych. Na potrzeby operacyjne przy drogach zainstalowano tysiąc kamer oraz ok. 500 stacji meteorologicznych, mierzących m.in. siłę i kierunek wiatru, a także temperaturę i wilgotność powietrza.

LATAJĄCE DOSTAWCZAKI

Rozwój technologii autonomicznych samochodów, coraz bardziej efektywne akumulatory i coraz mądrzejsza sztuczna inteligencja sprawiają, że według analityków firmy doradczej Morgan Stanley rynek latających nad głowami transportowych „dostawczaków” już w 2040 r. może być wart od 615 mld do 2,9 bln dol. Do latających taksówek przesiądziemy się dopiero później – uważają eksperci Morgan Stanley. ©

Jacek Przybylski





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Z uśmiechem do opozycji

MARCIN MAKOWSKI: Widzę po twoim profilu na Facebooku, że nie odpuszczasz tematu ambasador USA w Polsce, Georgette Mosbacher. Ostatnio wyrażałeś rozczarowanie z powodu jej spotkania z szefem PO Grzegorzem Schetyną. Dlaczego?

MATTHEW TYRMAND: Nie byłem rozczarowany, tego się było można po niej spodziewać. Mosbacher przechodzi coraz wyraźniej w objęcia opozycji, a według moich informacji z ambasady jej personel robi wszystko, aby wydarzenia zmierzały właśnie w tym kierunku. To, że się tym zakusom nie opiera, jest znamienne. Została przekonana, że wolność słowa jest faktycznie atakowana w Polsce, a ocalić może ją Koalicja Obywatelska, która najpewniej wygra przyszłoroczne wybory parlamentarne.

Nie przesadzasz? Co jest złego z perspektywy obowiązków ambasadorskich w spotykaniu z przedstawicielami poszczególnych partii politycznych w Polsce. Przecież na tym m.in. polega ta praca.

Świetnie, ale jest ogromna różnica między spotkaniem się z kimś a zrobieniem tego w taki sposób, aby sytuacja wyglądała jak nieformalne udzielenie poparcia. Niech wszyscy popatrzą na wpis Mosbacher na Twitterze, jej entuzjazm,

uśmiech, przyjacielskie podejście do Schetyny – wyraźniejsze niż w przypadku spotkań z wieloma przedstawicielami rządu, z których zdjęcia na profilu ambasady USA nawet się nie pojawiają. A mówimy przecież o władzy, która weszła w strategiczny sojusz z administracją Donalda Trumpa.

I to wszystko wyczytałeś z jednego zdjęcia?

Mówisz o zdjęciu, ale jest jeszcze treść opisu o „poznawaniu pluralizmu politycznego w Polsce”. Świetnie, spotkanie było na życzenie ambasador Mosbacher, dotyczyło wolności słowa, trójpodziału władzy, wiz etc. Jak myślisz, o czym ze Schetyną rozmawiała i co on jej mówił? Ambasador dała mu świetną podstawę do udostępnienia dalej tego „przyjacielskiego” przekazu, z komentarzem, że gdy tylko PO dojdzie do władzy, kwestia ruchu bezwizowego zostanie natychmiast załatwiona, współpraca ze Stanami na nowo zakwitnie, bo przecież w kluczowych sprawach dla polskiej demokracji pani Mosbacher to wielka sojuszniczka tych samych idei. To jest tak szalenie naiwne i grubymi nićmi szyte, szczególnie na chwilę przed rozpoczęciem kluczowego roku

wyborczego. Czego można się jednak spodziewać po kobiecie, która nie wykonuje żadnej analitycznej pracy, aby zrozumieć realne podstawy i historię, która przyczyniła się do obecnej sytuacji w Polsce. Która kocha brylować na salonach, a skoro lewica i liberałowie mają salony, to musi się do nich pięknie uśmiechać. Tak nie powinna się zachowywać urzędniczka, której zadaniem nie jest ingerowanie w lokalną politykę w kraju, do którego została skierowana. Widziałem już takie sytuacje w akcji, gdy prawica była zbyt pasywna.

A ja widziałem takie same uśmiechnięte zdjęcia z prezydentem Andrzejem Dudą.

Owszem, udostępniane z konta prezydenta, a nie dodane z własnego z sympatycznym komentarzem. Gdy ty robiłeś wywiad w „Do Rzeczy”, ktoś o nim z konta ambasady wspominał chociaż słowem i go zareklamował? Nie, z innych mediów, choćby z radia, w następnych dniach, owszem. Były bowiem miłsze i korzystniejsze. Tak to działa. Ambasador w Niemczech nie pozwoliłby sobie na sweet focję z liderami opozycji, pisząc o poznawaniu pluralizmu politycznego w kraju. To mnie właśnie niepokoi – z opozycją nikt nie broni się spotykać, ale robi się to podczas jakiegoś roboczego spotkania, neutralnie, ze wszystkimi liderami w formie otwartej dyskusji. Uważam, że to duża porażka Trumpa, że nie skierował na tak istotną militarnie, energetycznie i geopolitycznie placówkę kogoś, kto nie reprezentuje jego wizji uprawiania polityki. Ze swojej strony rozmawiam z ludźmi prezydenta w Departamencie Stanu i staram się im przekazać, jak się sprawy mają. Warszawa to zbyt ważna placówka, aby była elementem osobistych rozgrywek, w kontrze do Białego Domu. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OKIEM JASTRZĘBIA

Francja, przełącznik i trzeba pomagać

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Bardzo mi zaimponowała ta pani, ponieważ umiejętność wykiwania własnych niepokojów rzadka jest i pożądana.

Moja bohaterka nazywa się Nathalie Loiseau i jest francuskim ministrem do spraw europejskich. Prawie jestem pewien, że w okolicach koronkowego stanika może mieć taki francuski przełącznik do niepokoju. Piszac „francuski”, przekazuję tutaj podprogowo, że ten przełącznik nie dość, że działający, to wręcz może być gilgotliwy, czyli przynoszący taką przyjemność, jak np. francuska ta, no, jak jej tam, no ta znana na całym świecie, co się zaraz kojarzy, że francuska, no ta, kuchnia! Kuchnia przecież! Kuchnia (a co Państwo myśleli?).

Gdyż, podejrzewam, trzeba mieć owoce morza w głowie, żeby mówić to, co się z tej pani wydobywa. Pani minister Loiseau raczyła mianowicie obwieścić, iż rozwój sytuacji w polskim sądownictwie bardzo niepokoi wielu obywateli Francji.

Znaczy, że we Francji niepokoi tych obywateli. Tak powiedziała. Teraz jakoś, niedawno, nie że kiedyś. Teraz, gdy Paryż płonął cały wzdłuż i wszerz, no może Sekwana najmniej.

Z Francji zatem docierają do świata wstrząsające obrazy, jak np. policjant jeden kopie w brzuch Francuzkę, a inny policjant inną Francuzkę ciągnie za włosy po ulicy albo jak bandy zamaskowanych Francuzów pładrują sklepy w celach banalnego wzbogacenia się bez płacenia VAT (a niepłacenie VAT także we Francji źle jest widziane) i w tej sytuacji pani Loiseau mówi, że Francuzi niepokoją się polskim sądownictwem. W Strasburgu terrorysta strzela do ludzi na bożonarodzeniowym jarmarku, a pani minister obwieszcza, że się obywatele od „wolności, równości i braterstwa” przejmują polskim sądownictwem.

Naturalnie można by napisać, że się kobiecie zwariowało po prostu, ale zapewne nie o to chodzi. Z pewnością chodzi o ten francuski przełącznik niepokoju przy staniku, który potrafi wykiwać własne emocje. Normalna kobieta z Francji w aktualnej sytuacji Francji martwiłaby się w największym stopniu Francją, ale widocznie pani Loiseau przełączyła sobie na pozycję „niepokój Polska”, pogilgotało i już. Fantastyczne urządzenie ten przełącznik, tak sobie zrobić w konia własne niepokaje.

Może to jakaś cecha francusko-paryska takie przełączniki? Jakoś mi się w związku z tą paryską dwubiegunowością skojarzył inny bohater, Wiktor Młodziak, ten inżynier z „Ferdydurke”, u którego Józio trochę pomieszkiwał. Tak ten, któremu przyjemność sprawiało np. mówienie „tłusta langusta” albo „majciochy” czy jakoś tak, i chicho-

tał przy wypowiedzianych słowach niemądrych straszliwie. Wiktor odebrał staranne wykształcenie urbanisty w Paryżu właśnie. Tam też nabrał manier cudownych i specyficznych.

Niby swobodny, modnie ubrany i nowoczesny w każdym calu, a prywatnie zachowujący się, hmm, idiotycznie. Pewnie przez ten przełącznik. Niby poważny, stateczny, a prywatnie, jak nikt nie widział, „typowy inteligent chamuś, z gębą tak kretynicznie krotochwilną, obmierzłą, sprośną, plugawo zbaraniałą”. Po prostu Młodziak z Paryża też miał chyba to urządzenie pod ubraniem (tak mi się skojarzyło), ale starszego typu, tylko z trybami 1. Poważny, nowoczesny 2. Głupawy, infantylny. Pewnie nie miał jeszcze tej funkcji, żeby na zupełnie inne kraje przerzucać swój niepokój. Moim zdaniem Gombrowicz spokojnie w usta Młodziaka mógłby wsadzić słowa np. takie: „Bardzo się niepokoję czymś, co mnie tak właściwie nie niepokoi, ale wolę się niepokoić tym niż prawdziwymi niepokojami, chi, chi, chi”. Ten Paryż to jednak cywilizacja.

Na koniec zasygnalizuję tylko, że być może będzie potrzebne uruchomienie strony „Się zbiera”, bo Iza nie dostaje alimentów od Kazimierza, bo Kazimierz mówi, że nie ma pieniędzy, a Iza mówi, że też nie ma, a chce mieć. Jednak Kazimierz mówi, że jakby miał, to by dał, ale nie ma. A Iza mówi, że ją to nic nie obchodzi, bo ma mieć, bo sąd mu kazał mieć. A on jej mówi, że to nie jest takie proste. A ona mówi: „Będziesz siedział!”. Bardzo mnie niepokoi los pana premiera Marcinkiewicza i mogę się w miarę swoich finansowych możliwości zrzucić, bo w biedzie trzeba pomagać i tyle. ©



FOT. ROBERT KARZIŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Nie obchodzę świąt zimowych

„GŁOS NAUCZYCIELA”: *Święta religijne trzeba traktować ze szczególnym wyczuciem, pamiętając, że sfera religijności należy do szczególnie wrażliwych, a wolność i poszanowanie praw dzieci i ich rodziców w tym zakresie są zapisane w konstytucji i są jednym z najważniejszych praw człowieka. Jeśli o tym zapominamy, obok korzyści ze świętowania mogą pojawić się negatywne konsekwencje. Zaczynają się one w momencie, w którym tracimy z pola widzenia uczniów niewierzących bądź należących do mniejszości religijnych.*

Wspólnie się bawili, zjadali tradycyjnymi pysznościami ze swoich krajów, a nawet śpiewali kolędy

Postępowa autorka przyznaje, że rodzice innych dzieci co prawda nie zgłaszają żadnych problemów ze świętami w szkole, ale to nie znaczy, że ich dzieci nie czują się wykluczone, może po prostu rodzice się boją interweniować i pozwalają, aby ich dzieci w milczeniu cierpiały pod-

czas klasowego opłatka czy innej nieneutralnej religijnie szkolnej imprezy. Na wszelki więc wypadek, w trosce o czujące się w duchu wykluczone dzieci bojących się szkoły rodziców, w szkole lepiej świętować religijnie neutralnie. Można np. uroczystie obchodzić zimę. Wszystko po to, żeby nie urazić uczuć dzieci żydowskich i muzułmańskich.

Nie wykluczam, że autorka ma dobre intencje. Z rodzaju tych, którymi jest piekło wybrukowane. Jeśli ktoś szuka pomysłu, jak wrogo nastawić do przybyszów i tak niegrzeszących tolerancją Polaków, rugowanie z przestrzeni publicznej ich ulubionych świąt, zwalając to na muzułmanów i żydów, jest całkiem niezłym pomysłem. Nic tak przyjaźnie nie nastawi wierzących Polaków do osób innych wyznań jak wmańwanie im, że samo wspomnienie narodzin Chrystusa jest dla muzułmanów tak wstrętne, że ich wręcz obraża.

Rok temu wraz z nieformalną inicjatywą „Dzieci z Dworca Brześć” wspierającą czeczeńskie rodziny w Polsce uczestniczyłam

w polsko-czeczeńskiej Wigilii, gdzie mali muzułmanie z ośrodków dla uchodźców wspólnie z małymi katolikami z Klubu Inteligencji Katolickiej wspólnie się bawili, zjadali tradycyjnymi pysznościami ze swoich krajów, a nawet śpiewali kolędy. W Internecie można sobie obejrzeć, jak pięknie po polsku nasze kolędy śpiewa trójka czeczeńskiego rodzeństwa. I zapewniam, robi to z radością, bo małych muzułmanów nasze święta nie obrażają. Tak jak Polaków nie obraża – a na pewno nie powinna – piękna tradycja zapalania świec chanukowych przez polskiego prezydenta katolika.

Nie da się poprawić sytuacji muzułmanów czy żydów w Polsce, przedstawiając ich Polakom jako zagrożenie dla naszych ulubionych polskich świąt. Wszystkie próby rugowania polskich tradycji z przestrzeni publicznej pod pretekstem „uszanowania” osób o innych tradycjach jest zwyczajnie szkodliwe, nie róbmy tego sobie i im. Nawet jeśli wmańwiają nam, że tak jest bardziej po europejsku. ©©

PODSŁUCHANE

Mandaciki

Pani minister! Kto tam u was wymyślił ten numer z wydawaniem paragonów przed przyjęciem pieniędzy?!

Panie premierze, ja bardzo przepraszam. Ja nie wiedziałam, że coś takiego się kroi. Gdybym się dowiedziała, to bym na to nie pozwoliła!

No widzi pani. I to by był błąd. Znaleźć urzędnika, który to wymyślił i dać mu nagrodę.

Ale... jak to? Ja myślałam...

Pani minister, to źle pani myślała. Kontrola jest najwyższą formą zaufania. Poza tym gospodarka nam od tego wzrośnie.

Że jak niby?

Jak to – jak? Przecież trzeba będzie kasy fiskalne kupić nowe albo przynajmniej przeprogramować. Proszę pomyśleć, ile firm na tym zarobi. Budżet się też wzbogaci. Wyśle się zmasowane kontrole. Przecież ludzie się będą mylić na potęgę, a my tylko: mandacik i mandacik, i mandacik.

No, niby tak... Ale mieliśmy być dobrzy dla przedsiębiorców...

Eee, takie tam gadanie, bądźmy poważni. Ja tu mam ważniejsze sprawy, nie jacyś tam przywaciarze. Muszę skądś wytrzasnąć na rekompensaty na prąd, waloryzację emerytur i program zakupu butów dla najuboższych.

Butów?

Tak. Ale tego jeszcze nie ogłosiliśmy, więc proszę o dyskrecję. A tego urzędnika, co wymyślił manewr z paragonami, proszę do mnie przysłać. Może coś mu jeszcze wpadnie do głowy. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Do 2035 roku moje ugrupowanie doprowadzi do zamknięcia wszystkich kopalni węgla kamiennego w Polsce”.

ROBERT BIEDROŃ,

były prezydent Słupska, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Wróżka

dom ludzie skądinąd godni najwyższego szacunku. Tłumy naiwnych obojga płci wałd do niej". To samo mówiły raporty policyjne: „U tej sławnej kabalarzki gesto od klienteli żądanej horoskopów. Przychodzą też do niej dygnitarze dworscy, których ona «robi» jak frajerów, przez co jej szarlataniańskie zyski są niebotyczne". Wiedząc o tych zarzutach Panna Lenormand często i nie bez katerygorycznej dezaprobaty piętnowała „wróżę-szarlatanów” oraz ich „kuglarskie sztuczki”. Zapewniała, że ona sama wróżę uczciwie, stosując „niezbite pewniki astronomiczne, wynikające z nauki o liczbach alias z matematyki transcendentalnej”, i że patronują jej tak poważne „duchy genialne” jak Ariel, Nymfariel, Nanael, Mahhareel, Adramelech, Asmodeusz, Alastor, Nysroch i Lilith. Zazwyczaj „podczas czterdziestoośmiogodzinnej kontemplacji przenosiła się w kręgi astralne”, gdzie „szybując nad wszystkimi istotami półksiężycowymi dostrzegała emanujące z nich najbardziej skryte ich myśli”.

Powodzenie wszelakich wróżek (Panny Lenormand nie wyłączając) psychologowie próbowali wyjaśniać na rozmaite sposoby, m. in. grzebaniem wewnątrz jaźni ludzkiej. Amerykański etnograf John Yoors, adopto-



Bolesław Leśmian:

„Jest wróżka w Brukseli,
Nikt nie wie co przydzieli”



wany za młodu przez Cyganów, przytoczył w swej rozprawie takie wyznanie cygańskiej wróżki: „Pragnienie poznania przyszłości rodzi się z niemożności rozproszenia obaw, które nękają człowieka. Wróżbiarstwo zamiast uspokajać, wzmacnia jedynie głód dalszych przepowiedni, tak iż staje się to rodzajem narkotycznego hazardu, szkodliwszego od zwykłego hazardu, bo tracisz nie tylko pieniądze, lecz i przenikliwość”.

Wśród tracących pieniądze u Panny Lenormand nie brakowało też Polaków. Przyjeżdżali ze zniewolonej ojczyzny i z całej Europy (Wielka Emigracja), a obok nobliów czy możnych mieszczan byli główni nasi poeci ery Romantyzmu. Mickiewicz na kanwie wizyty u szarlatanki spłodził opowieść typu „political-fiction” i opublikował ją w „Pielgrzymie Polskim” 28 czerwca roku 1833. Słowacki odwiedził kabalarzkę razem z przyjacielem (Michałem Skibickim), po czym w liście do matki szczegółowo to opisał (30–XII–1832), tak kończąc: „Tuman baba i niczym zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów”.

Tumanienie przymusowych emigrantów nie mogło się obyć bez wróżb politycznych. W tej materii Panna Lenormand zwykle plotła bzdury, zapowiadając np. powstanie dziczych państw (Republika Nordalbińska, Rzeczpospolita Pirenejska, et cetera),

jednak — o dziwo! — miewała też trafienia zdumiewające, exemplum: „Rosyjski niewolnik zbuntuje się przeciw swemu panu, mszcząc się okrutnie za długie wieki uciemiężenia. Szlachta powstanie wtedy przeciw tronowi, przyprawiając o śmierć cara i część jego rodziny...” (!), lub: „W Hiszpanii stronnictwo republikańskie, chcąc uciemiężonemu ludowi przywrócić jego prawa, dzięki wojnie domowej zwyciężone będzie po wielkiej rzezi...” (!). Wobec Polski również trafiła przynajmniej raz: „Polska, ten naród nieszczęśliwy a bohaterski, powstanie kiedy chwila jego oswobodzenia nadejdzie (...) Przyjdzie potem nad brzegami pewnej wielkiej rzeki do walnej a stanowczej bitwy, w której Rosjanie pobici zostaną (...) Polska wskrzeszona wielkim będzie państwem, jednak bez monarchy; smutne doświadczenia lat minionych zbawienny wywierają wpływ na przyszłych prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej”. A obok tego taka rewelacja: „Gdy powstanie odrodzona Polska, wszystkie narody Europy podadzą sobie bratnią dłoń i zostaną na zawsze niezwyciężonymi”.

Przytaczając trafne wynurzenia Panny Lenormand nie próbuję jej rehabilitować, nie zapominam bowiem o jej rozlicznych nonsensach, jak choćby „proroctwo”, że w roku 1899 wszyscy Murzyni staną się biali, pragnę tylko zauważyć, iż wróżbici czasami strzelają niczym Robin Hood. Klientem wróżek był lotnik Antoine de Saint-Exupéry, mój ulubiony pisarz. 28 grudnia roku 1935 któraś z nich zapowiedziała mu samolotową katastrofę, i dwa dni później wałnął w saharijską wydmę podczas lotu Paryż–Sajgon. Przeżył, mimo że prawie 88 godzin tułał się na pustyni bez wody. U schyłku stycznia 1944 roku inna wróżka zapowiedziała mu rychłą śmierć. Kumplom relacjonował pełen drwiącego sceptycyzmu: „— Wzięła mnie chyba za marynarza, bo według niej zginę w falach morskich”. Utonął w Morzu Śródziemnym zestrzelony podczas patrolu 31 lipca. ©©

Waldemar Łysiak

Panna Lenormand
(szytych z epoki)



Dokładnie 200 lat temu, roku 1818, założyła swój gabinet przy reprezentacyjnej promienadzie Brukseli najświetniejsza w dziejach Europy „jasnowidząca” szarlatanka, Mademoiselle Lenormand. Brukselę uznała bowiem za swoiste centrum kontynentu — za bezpieczne (nie uwikłane militarnie konfliktowo) miejsce, do którego będą mogły spokojnie zmierzać rzesze jej wielbicieli łaknące wróżb i porad. Cieszyła się ogromną famą jako ta co przewidywała wszystkie wielkie wypadki dziejowe (od Rewolucji Francuskiej aż do upadku I Cesarstwa francuskiego) tudzież losy wszystkich wielkich figur (od zgilotynowania Dantona i Robespierre’a, do śmierci Byrona i kłeski Napoleona). Mało kto zauważał wówczas, iż Panna Lenormand wszystkie te zdarzenia „prognozowała” (ogłaszała, nie przed ich zaistnieniem, tylko po fakcie, gdyż wierzono w jej luksusowo drukowane, autoreklamarskie broszury i foldery, pełne zapewnień: „Ja to przewidziałam”). Swoim pamiętnikiem „Wspomnienia z Belgii” zapewniała też, iż przeżyje co najmniej 115 lat, lecz tym razem nie zwiodła nikogo, zmarło jej się bowiem w 71. roku życia (1772–1843). Wszelako przez ćwierć wieku (1818–1843) swych brukselskich „jasnowidzeń”, „wieszczb” i „proroctw” namieszała w głowach tysięcy zamożnych ludzi, płacących jej krocie za wróżby i porady, co się razem niezbyt różniło od dzisiejszych brukselskich decyzji/deklaracji/defamacji produkowanych dla szerzenia politpoprawnej demokracji, mimo iż Timmermans i spółka posługują się inną (nowocześniejszą) terminologią niż „król karo — przyjaźń”, „as kier — fortuna”, „dama pik — kłopoty”, itp.

Wróżyla Panna Lenormand z kart, z zapachów (libomancja), z fusów od kawy, z ręki, z knota świecy (lampadomancja), z paznokcia wielkiego palca (onimerancja), z omleta, z białka, z ołowiu, z kropli wody na lustrze, i licho wie z czego jeszcze. Żyżyjąc sławy „jasnowidzącej” miewała, rzecz prosta, nie tylko fanów, lecz również wrogów. Drwiły z niej nawet przekupki gdy pytała: „— Kto tam?...” słysząc pukanie do drzwi, kiedy zaś pewien klient wytoczył jej proces i spytał adwokata o swe szanse na procesie, ten mruknął: „— Cóż, pani powinna wiedzieć o tym lepiej niż ja”. Czynniki rządowe nie zawsze ją oszczędzały. Hrabia de Montbel (minister króla Francji, Karola X) raportował: „Zaufanie, którym cieszy się ta wróżbiarka pośród prominentnych figur z kręgów arystokratycznych, dowodzi jak niebywałym stopniu ulegają przesąd-



Najpierw o nich myślisz
Potem je planujesz
Gdy przychodzą i tak Cię zaskakują
By wreszcie dać poczucie bezpieczeństwa
Święta – niech będą takie, jakie chcesz



Bank Roku 2018 w Polsce
według magazynu **The Banker**

 **Santander**
bank jaki chcesz

Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr KRS 0000008723, NIP 896-000-56-73. Kapitał zakładowy 1 020 883 050 zł, w całości opłacony.

eprasa.pl 1486b6eccc